

Lena Zamojska powraca,
by stawić czoła nowemu
zagrożeniu. Intrygująca
kontynuacja *Kamfory!*

Małgorzata ROGALA

MATNIA

MAŁGORZATA
ŁATKA



MATNIA

MAŁGORZATA
ŁATKA

MATNIA



Copyright © Małgorzata Łatka, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny: Barbara Adamczyk

Łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka

Fotografie na okładce: Dmitry_Tsvetkov/Shutterstock

alexskopje/Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-721-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rodzicom

But what happens when an event that occurs that is so catastrophic that you just change?

You change from the known person to an unknown person.

So that when you look at yourself in a mirror, you recognize the person that you were, but the person inside the skin is a different person.

Nick Cave

Lena szarpnęła kierownicą w lewo, odruchowo próbując zapanować nad autem, ale było już za późno. Samochód obracał się wokół własnej osi, a koła ślizgały po oblodzonej drodze. Uderzenie w barierkę spowolniło jego prędkość, ale nie zatrzymało maszyny po bezpiecznej stronie jezdni i hyundai przebił się przez nią, jakby była nic nieznaczącą przeszkodą.

Gdy podniosła głowę, czuła ból w miejscu, którym uderzyła o kierownicę. Coś ciepłego spływało jej po czole. Nie zwróciła na to uwagi i rozejrzała się wokół, by ocenić swoje położenie. Jej sytuacja była poważna, ale potrzebowała paru sekund, aby zrozumieć, jak bardzo. Znalazła się na zamarznętym jeziorze, a lodowa pokrywa zaczynała pękać.

Musiła uciekać.

Odpięła pas bezpieczeństwa, czując pod palcami wibracje rozchodzące się po całym pojeździe. Nie zdążyła zrobić nic więcej, bo powietrze przeciął nagły trzask, samochód się zakołysał, a potem powoli przechylił do tyłu i zaczął zanurzać w wodzie.

Szarpnęła klamkę, lecz ta nawet nie drgnęła. Czuła, jak zimno obejmuje jej nogi, gdy do środka zaczęła przedzierać się woda. Początkowo powoli, a potem coraz szybciej, ciągnąc auto pod lód.

Rzuciła się do drzwi od strony pasażera. Niestety, i te pozostały zablokowane. Lodowaty ucisk przesunął się wyżej, aż do obojczyków. Lena nie

wiedziała, że krzyczy, dopóki nie poczuła, jak do otwartych ust wpada jej woda. Panika napierała na nią z każdej strony.

Kiedy w pobliżu dostrzegła męską sylwetkę, uderzyła dłońmi o szybę, a gdy i to nie pomogło, otworzyła usta do kolejnego krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nagle zrozumiała, że nie może liczyć na pomoc. W mężczyźnie rozpoznała Kamforę, który stojąc w bezpiecznym miejscu, z uśmiechem obserwował, jak Lenę pochłania woda.

Walcząc ze sobą, by zrobić coś przeciwnego, przepchnęła się pomiędzy siedzeniami na tylną część auta. Było to trudne, bo hyundai szybko nabierał wody i przechył stawał się coraz większy. Próbowwała otworzyć drzwi; bezskutecznie.

Woda sięgała jej już do brody, gdy wróciła na przód samochodu. Najmocniej, jak potrafiła, wyciągnęła szyję, by złapać ostatni haust powietrza, lecz nie zdążyła. Woda wlała jej się do ust i nosa.

Chciała krzyczeć – ale nie mogła.

Chciała żyć – ale na to było już za późno.

Lena krzyknęła i zerwała się z łóżka. To był tylko koszmar, pomyślała, zaciskając pięści. Nie pierwszy, który pojawił się, odkąd uszła z życiem z wypadku. Początek dokładnie oddawał to, co przeżyła miesiąc temu, zmieniało się tylko zakończenie – to nie Kamfora tonął, tylko ona. Odczytanie znaczenia snu nie było trudne. Wiedziała, że wraz z tamtym wydarzeniem pogrzebała część siebie. Nie była już tą samą osobą.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, w mocnej poświacie księżycyca dostrzegając wyraźne kształty pobliskich budynków i charakterystyczne dla włoskiego pejzażu potężne cyprysy rosnące wzdłuż drogi. Zwykle ten widok ją uspokajał. Dziś było inaczej.

Objęła się ramionami, czekając, aż nadejdzie świt.

Pięć miesięcy później

Środa, 16 września

ROZDZIAŁ 1

LENA ZAMOJSKA DODAŁA odrobinę miodu do kawy, zamieszała w niej łyżeczką, a potem uniosła kubek do ust. Zanim jednak mogła się przekonać, czy smak jest równie dobry jak aromat, dobiegający zza jej pleców hałas sprawił, że postawiła naczynie z powrotem na blacie i wychyliła się na krześle, szukając jego źródła.

– Uwaga! – krzyknęła, nim mężczyzna staranował pudła zalegające w przejściu do salonu.

Ten przeklął pod nosem i w ostatnim momencie minął paczki zostawione przez jego kolegę. Zaraz potem bezpiecznie odłożył karton na podłogę.

Lena stłumiła jęk i cicho wypuściła powietrze. Choć od południa minęło już kilka godzin, miała wrażenie, że wskazówki zegara wcale nie oddawały prawdy. Z ekipą problemy były od samego początku. Spóźnili się kilka godzin – rzekome problemy z autem. Na dodatek postawny gość z firmy przewozowej zachowywał się jak słoń w składzie porcelany: co chwilę o coś zawadzał.

Odprowadzała mężczyznę wzrokiem, dopóki nie zniknął za drzwiami, a potem spojrzała na salon. Jeszcze godzinę temu niewielkie lokum sprawiało wrażenie pustego. Teraz wolna przestrzeń kurczyła się zastraszająco szybko.

Gdy do salonu wszedł kolejny robotnik, Lena dopijała resztkę kawy.

Mężczyzna był po pięćdziesiątce i w odróżnieniu od młodszego kolegi nie miał problemów z koordynacją – z pakunkiem wetkniętym pod pachę wyglądał jednak, jakby cierpiał na poważne zaburzenia kardiologiczne. Najwyraźniej chwila przerwy byłaby nie tyle wskazana, ile niezbędna.

– Dużo tego jeszcze? – zapytała Lena. To on dowodził ekipą.

Mężczyzna przesunął pudło na środek pokoju i się wyprostował. Ściągnął czapkę z daszkiem, a następnie przetarł rękawem spoconą, zaczerwienioną od wysiłku twarz. Była już połowa września, ale temperatury nadal utrzymywały się na poziomie dwudziestu stopni, stanowiąc kolejny dowód na to, że w Polsce w ciągu ostatnich lat pogoda była lepsza u schyłku lata niż w czasie wakacji. Od jutra wszystko miało ulec zmianie, dzisiaj można było cieszyć się pewnie ostatnim ciepłym dniem roku.

– Pani, już za połową! – krzyknął, jakby dzieliło ich kilkanaście metrów, a nie dwa kroki. – Uwiniemy się w godzinę, jeśli wcześniej nie wykończy nas brak windy. – Z powrotem nałożył czapkę. – W każdym razie... bliżej końca – powiedział już ciszej i ruszył w stronę wyjścia.

W bloku, w którym Lena wynajęła mieszkanie, rzeczywiście nie było windy i przez kilka pierwszych dni, nim sama przywykła do tej wysokości, wyjście na piąte piętro także dla niej kończyło się sporą zadyszką. Mieszkanie mieściło się na poddaszu i jeszcze nie tak dawno stanowiło całość z tym poniżej, ale zapewne z powodów czysto ekonomicznych zostało podzielone na dwa osobne. Lena mogła tylko podejrzewać, jak trudne było wynajęcie takiego lokum, zwłaszcza w Krakowie. Za swoje i tak już płaciła krocie. Było spore, jednak z powodu licznych skosów część użytkowa stanowiła co najwyżej połowę powierzchni. Jej to nie przeszkadzało, w końcu mieszkała sama. Centralną część stanowił przestronny salon z aneksem kuchennym.

– To już ostatnie – powiedział robotnik pół godziny później. Skończyli wcześniej, niż sam się spodziewał.

Choć trzymał w dłoniach tylko niewielką paczkę, był cały czerwony, a ulga malująca się na jego twarzy dorównywała tej słyszalnej w głosie. Jego kolega nie wyglądał lepiej, na dodatek kołysał się lekko na boki, z trudem utrzymując ogromne pudło.

Gdy ostatnie rzeczy znalazły się na podłodze, Lena wyjęła portfel z torebki i zapłaciła ustaloną kwotę, dorzuciwszy napiwek. Kilka minut później została sama. Wróciła do salonu i zatrzymała się w progu, dokładnie oglądając pomieszczenie. Zdecydowanie nie była minimalistką. Wiedziała, że przez te lata nazbierała mnóstwo rzeczy, ale nie spodziewała się, że będzie tego aż tyle.

Pierwotnie chciała ułożyć pudła tylko w korytarzu, szybko zrozumiała jednak, że to niewykonalne. Teraz między kartonami a ścianą istniały metrowe przerwy umożliwiające poruszanie się po pokoju niczym po wojennych okopach.

Podeszła do okna. Towarzyszyło jej coś na kształt zadowolenia, że rozpakowywanie musiało poczekać do jutra. Wieczór planowała spędzić inaczej.

Zgarnęła klucze z parapetu i ponownie przecięła salon, przed wyjściem wrzuciwszy jeszcze do torby buty i dres. Opuściła mieszkanie i zbiegła na dół. Była osiemnasta dziesięć, do zachodu słońca brakowało mniej więcej pół godziny, a niebo powoli przyjmowało już barwę granatu. W tym momencie była to jedyna oznaka zbliżającej się jesieni.

Ruszyła wzdłuż Lea. Pół godziny później skręciła w wąską uliczkę. Już z tej odległości wznoszącej się po prawej stronie bryły nie można było pomylić z niczym innym. Typowy budynek szkoły podstawowej – szara elewacja, liczne duże okna na trzech poziomach, z boiskiem do koszykówki i mieszczącym się tuż za nim boiskiem do piłki nożnej. Wokół placówki ciągnęło się metalowe ogrodzenie. Od frontu prowadziły do niej szerokie drzwi.

Lena nie weszła do środka, tylko ruszyła wzdłuż budynku. Bez większych problemów zlokalizowała właściwe miejsce – sala gimnastyczna znajdowała się na parterze, do którego prowadziło osobne wejście od strony boiska. W środku unosił się charakterystyczny, doskonale rozpoznawalny zapach. Chociaż minęło wiele lat, odkąd Lena była w takim miejscu po raz ostatni, to nie mogła go pomylić z żadnym innym. Wyglądało na to, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Sala była duża, lecz teraz znajdowało się w niej około piętnastu osób w różnym wieku. Większą część grupy stanowili mężczyźni. Kilka kobiet stało pod oknem; każda z nich w tym momencie zajmowała się sobą.

Lena mruknęła coś na przywitanie i przeszła do szatni. Szybko wciągnęła na siebie spodnie i bawełnianą koszulkę, a potem wróciła na salę. Jej wejście zbiegło się w czasie z pojawieniem się wysokiego, potężnie zbudowanego instruktora. Dłuższe na czubku głowy włosy zebrał w kucyk, natomiast reszta była wygolona. Zamojska słyszała, że odszedł ze służby wojskowej kilka lat temu i obecnie zajmował się głównie szkoleniami.

Mężczyzna wyszedł na środek, skupiając na sobie uwagę zgromadzonych. Nagle ucichły rozmowy, wcześniejsze grupki się rozeszły, a samotnicy podeszli bliżej.

– Nazywam się Artur Kantor – powiedział instruktor. Stał w lekkim rozkroku, z dłońmi złączonymi za plecami. – I witam wszystkich na pierwszych zajęciach krav magi. Dla niektórych będzie to nowość, a dla innych kontynuacja i odświeżenie podstaw.

To był powód, dla którego Lena zapisała się akurat do tej grupy. Znała podstawy, ale nie czuła się aż tak pewnie, by od razu przejść na wyższy poziom. Zaczynanie od początku również nie było rozwiązaniem.

Pierwszy raz usłyszała o krav madze podczas pobytu we Włoszech, za sprawą córki właściciela wynajmowanego mieszkania. Zaczęły wspólnie ćwiczyć

z różnych powodów: Lena miała dużo wolnego czasu, a tamta potrzebowała kogoś do treningów. I tak to się zaczęło. Krav maga spodobała jej się od samego początku, co dosyć ją zaskoczyło, zwłaszcza że nie było tam ani eleganckich ruchów, jak chociażby w tai chi, ani żadnej filozofii, która sprawiałaby, by kryło się tam coś więcej. Medytacja, uspokojenie umysłu... Nic z tych rzeczy. Krav maga miała inne zadanie – nauczyć walki, aby w razie zagrożenia nie pozostawać biernym.

Lena odsunęła na bok wspomnienia i skupiła się na prowadzącym.

– Jak zapewne większość z was wie – kontynuował Kantor – jest to system samoobrony i walki wręcz, a wszystko koncentruje się wokół maksymalnej skuteczności przy minimalnej liczbie ruchów. – Nawet jego głos oddawał drzemającą w nim siłę. Był mocny, dźwięczny, a szybki sposób wymawiania słów upodabniał jego wypowiedź do rzucanej serii rozkazów. Świadomość, że był w stanie dać sobie radę w różnych sytuacjach, przekładała się na jego pewność siebie.

Kantor mówił dalej:

– Są różne powody nauki, niektórzy chcą się poczuć bezpieczniej, inni po prostu traktują to jako formę aktywności ruchowej. Otrzymacie to wszystko. Zanim jednak przejdziemy do ćwiczeń, chciałbym na początku przypomnieć o pewnych zasadach krav magi. – Wyciągnął przed siebie dłoń i wyprostował palec wskazujący. – Pierwsza będzie oczywista dla większości. Chodzi o to, by unikać miejsc i sytuacji stwarzających zagrożenie.

Lena pokiwała głową. Wpajano jej to, odkąd była dzieckiem.

Kolejny palec wystrzelił w górę.

– Druga zasada: kiedy dojdzie do niebezpiecznej sytuacji, jeśli to tylko możliwe, należy jak najszybciej opuścić miejsce zagrożenia.

To również powtarzano w domu Zamojskich... I na tym podobieństwa się skończyły.

– Trzecia zasada: jeśli oddalenie się jest niemożliwe, należy walczyć z wykorzystaniem wszelkich dostępnych środków. Czwarta zasada ma zastosowanie w sytuacjach bez wyjścia. – Kantor zawiesił głos i przesunął spojrzeniem po zgromadzonych. Dopiero gdy dotarł do ostatniego mężczyzny, dodał: – Jeśli zawiodą wszelkie wcześniejsze sposoby i nie możecie wykorzystać niczego, co znajduje się pod ręką, wtedy walczycie i... nie obowiązują żadne ograniczenia.

Po jego słowach zaległa cisza. Chyba nikt z zebranych nigdy nie chciałby się znaleźć w sytuacji, w której będzie musiał walczyć o życie.

– Każde spotkanie będziemy rozpoczynać intensywną rozgrzewką, a potem przejdziemy do ćwiczeń w parach. Zwykle parujemy się z osobami zbliżonymi poziomem umiejętności. – Trener klasnął w dłonie. – No, to zaczynamy! Dziesięć

okrążeń wokół sali. Biegiem!

PÓŁTOREJ GODZINY PÓŹNIEJ Lena wiedziała, że potrzebowała właśnie tego: wysiłku, ale innego niż ten dotychczas. Ćwiczyła ze znacznie młodszą dziewczyną, mogła mieć koło dwudziestu lat. W tym przypadku wiek nie miał żadnego znaczenia. Liczyło się to, że tamta też ani nie była nowicjuską, ani nie miała za sobą miesięcy praktyki.

Kiedy opuściła salę gimnastyczną, wciągnęła do płuc ciepłe wrześniowe powietrze. Schowała dłonie do kieszeni i ruszyła w drogę powrotną.

Była już na Lea i skręciła, mijając blok po prawej stronie. Wyszędłszy na otwartą przestrzeń, poczuła niepokój. Rozejrzała się, mając nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowana, ale nie dostrzegła nikogo z wyjątkiem starszego mężczyzny wyprowadzającego na spacer labradora. Jednak był on tak skoncentrowany na prowadzonej przez telefon rozmowie, że nie zauważył nawet, iż pies załatwia się prosto na jego nogi.

To musiało być jedynie złudzenie, pomyślała. Mimo to przyspieszyła, chcąc jak najszybciej dostać się do mieszkania.

ROZDZIAŁ 2

JAKUB ZAGÓRSKI OBRÓCIŁ SIĘ NA PLECY z głośnym westchnieniem i spojrzał w sufit. Serce tłukło mu się w piersi, a przyjemne uczucie zaspokojenia rozchodziło się po całym ciele.

– Nie wiedziałem, że uczyli was na studiach takich rzeczy – powiedział cicho. Mimo to miał pewność, że słowa dotarły do kobiety leżącej obok. Świadczył o tym śmiech, który tak lubił, niski, gardłowy. Na inne reakcje nie musiał długo czekać. Po chwili partnerka, wysunąwszy się spod kołdry, przełożyła nad nim nagie udo.

Jakub położył dłoń na jej biodrze, czując pod palcami przyjemne zaokrąglenie i delikatną skórę. Przesunął po niej ręką. Dochodziła północ, na nogach był od ponad dwudziestu godzin, ale nie miał powodów do narzekań.

– Kochany, uczyli nas jeszcze innych rzeczy – odpowiedziała, kiedy w końcu mogła mówić. Ostatnie sekundy przypominały nierówną walkę o oddech. Podniosła się lekko na nogach i usiadła na nim okrakiem. Jej piersi zakołysały się, skupiając na sobie wzrok Jakuba.

Dagmara była cholernie zmęczona, ale zadowolona. Odkąd zaczęli się spotykać, takie momenty zdarzały się coraz częściej. Choć nie czuła się jeszcze w pełni szczęśliwa, ten dzień zbliżał się wielkimi krokami, z jednej strony budząc w niej lęk, a z drugiej oczekiwanie.

– Uczyli nas jeszcze tego... – Pochyliła się nad nim.

Gdy wreszcie skończyli, zbliżała się pierwsza. Dagmara opadła na łóżko tuż obok Kuby i położyła głowę na jego piersi. Jeśliby tylko miała siłę, zapewne zdobyłaby się na jakiś komentarz, ale potrzebowała jeszcze chwili na dojście do siebie.

Zagórski wyswobodził rękę i sięgnął po zegarek. W środku tygodnia żadne z nich nie mogło sobie pozwolić, by rano być tylko na pół gwizdka.

– Już późno, muszę się zbierać – rzucił ku niezadowoleniu Dagmary. – Saburi pewnie przebiera łapami.

Saburi był psem rasy *Rhodesian ridgeback*, rzadko spotykanej w Polsce, co było dość dziwne, jeśli wziąć pod uwagę ich łagodny charakter i piękny wygląd. Z rosnącym w odwrotnym kierunku niż reszta paskiem sierści na grzbiecie wyróżniał się na tle innych psów. Kiedyś rhodesiany wykorzystywano podczas polowania na lwy i niektórzy doszukiwali się podobieństwa pomiędzy tymi zwierzętami. Do tej grupy należał Zagórski.

Nie zważając na ciche protesty, odsunął nogę Dagmary i zdecydowanym ruchem podniósł się z łóżka. Jeszcze parę minut spędzonych w takiej pozycji sprawiłoby, że zasnąłby i obudził się dopiero rano. A przecież miał obowiązki.

Dagmara usiadła i oparła się o zagłówek łóżka. Z powodu chłodu panującego w pokoju jej sutki stwardniały, lecz tym razem nie nakryła się kołdrą. Jej uwaga skupiała się na kochanku.

W słabym świetle, jakie rzucała stojąca przy łóżku lampka, przyglądała się ruchom Jakuba. Zastanawiała się, czy to był odpowiedni moment, by poruszyć temat, który nie dawał jej spokoju od pewnego czasu.

– Co byś powiedział na to, by się do mnie wprowadzić? – wyrzuciła z siebie szybko, zanim zdążyła zmienić zdanie, jak kilka razy wcześniej.

Jakub, który do tej pory zbierał swoje rzeczy, rozrzucone po całym pokoju, zatrzymał się i spojrzał na nią. Na co dzień włosy upinała wysoko, by jej nie przeszkadzały; teraz rozpuszczone, wręcz potargane, dodawały jej uroku.

– Spotykamy się... Jak długo? – Wrócił do kompletowania skarpetek. – Niecałe trzy miesiące?

Dagmara przytaknęła. Pamiętał – to dobry znak. Niestety, wyczuwała także sceptycyzm zarówno w jego postawie, jak i głosie. Ten sam, który powstrzymywał ją przed wcześniejszym poruszeniem tematu. Teraz nie mogła się już jednak wycofać.

– Nie sądzisz, że to trochę za wcześnie?

Dagmara pokręciła głową.

– Jaka to różnica, czy to kilka tygodni, czy miesięcy? – odparła zdecydowanie. – Dobrze nam ze sobą i to się liczy.

Jakub nie skomentował.

– Pomyśl, jaka to byłaby wygoda! – mówiła dalej. – Jest ogród, z którego nie korzystam, więc Saburi miałby idealne warunki. Nie musielibyśmy się zrywać o nieludzkich porach. – Zaczęła od argumentów, które uważała za najmocniejsze. – No, chyba że jesteś tak przywiązany do własnego mieszkania... Wtedy ja mogę się przenieść do ciebie.

– Daga... – Jakub podszedł bliżej. – Od samego początku mówiłem, że nie jestem dobrym materiałem na męża ani na ojca, więc nie oczekuj tego ode mnie.

– A kto o tym mówi?! – Poderwała się z łóżka i podeszła do niego, kładąc ręce na biodrach w geście oczekiwania. – Męża już miałam i nie zamierzam wchodzić w to jeszcze raz. Jesteśmy dorośli, nie mamy zobowiązań oprócz tych związanych z pracą. Co szkodzi spróbować? Jak wyjdzie, to dobrze, jak nie, przejdziemy nad tym dalej.

Jej argumenty były rozsądne. Męczyły go te nocne eskapady i zrywanie się skoro świt. Miał już swoje lata.

– Po prostu to przemyśl – dodała już ciszej.

– Zastanowię się. – Jego odpowiedź zaskoczyła ich w równym stopniu. – Ale do tego czasu nie naciskaj.

Dagmara pokiwała głową i uśmiechnęła się zadowolona. To jeszcze nie przesądzało sprawy, ale nadawało jej dobry kierunek.

Pocałował ją na pożegnanie i wyszedł. Choć w sypialni było chłodno, Dagmara nie wróciła do łóżka. Zamiast tego podeszła do okna – w samą porę, by zobaczyć, jak Jakub wsiada do samochodu. Poczekała, aż odjedzie, i dopiero wtedy wsunęła się pod ciepłą kołdrę. Na poduszce wciąż utrzymywał się jego zapach. Uśmiechnęła się, przesuwając po niej dłonią. Tak, do pełni szczęścia trochę jej jeszcze brakowało, ale dzień, w którym wreszcie ją osiągnie, był zdecydowanie bliższy niż jeszcze tydzień temu.

Czwartek, 17 września

ROZDZIAŁ 3

ZBIGNIEW KOWALSKI POTARŁ OCZY. Skrzywił się. Uciążliwe wrażenie piasku pod powiekami nie minęło, a on potrzebował chwili, by odzyskać ostrość widzenia.

Starość nie radość, pomyślał. Pracował jako ochroniarz w jednym z krakowskich biurów. Praca nie była zbyt wymagająca ani trudna, bardziej nudna, ale po czterdziestu latach harówki stanowiła miłą odmianę.

Odkąd trzy lata temu przeszedł na emeryturę, nie potrzebował nawet miesiąca, by zrozumieć, że musi gdzieś dorobić. Szczególnie że nie wyglądało na to, by darmozjady – jak nazywał dzieci swojej żony – miały w najbliższym czasie wynieść się z jego domu. Wolały żyć na zasiłku, niż pracować, ale brak roboty nie przeszkadzał im w płodzeniu kolejnych dzieci, a jego wnuków. Wyglądało na to, że ten styl życia nie pasuje tylko jemu. Jego żona nie widziała w tym nic złego i rozkładała nad trzydziestolatkami parasol ochronny.

W takiej sytuacji musiał dorzucać coś do swojej emerytury, bo inaczej by nie wydzielił. Miał sześćdziesiąt osiem lat i zwykle nie mógł narzekać na zdrowie, lecz dzisiaj mocniej odczuwał zmęczenie i nieprzespaną noc. Na dodatek poprzedniego dnia, tuż przed wyjściem do pracy, pokłócił się z żoną o pieniądze. W takich chwilach nachodziły go myśli, że lepiej byłoby mu samemu. Samotność już nie kojarzyła się Zbigniewowi z czymś przykrym, wręcz przeciwnie! – z czymś, o czym marzył w ostatnich latach, a także spokojem, którego nie miał.

Na domiar złego przed końcem zmiany odbył rozmowę z kierownikiem.

Zapowiedziano redukcję etatów. Jeszcze nie było wiadomo, kto wyleci, ale sytuacja nie wyglądała dobrze.

Cicha melodia V Symfonii Beethovena sprawiła, że wyłączył radio i sięgnął po komórkę. Dzwoniła żona.

Nie odebrał – wyciszył telefon i wrzucił go do torby. Wiedział, że i za to zrobi mu później awanturę, ale teraz chciał mieć chwilę spokoju. Trochę czasu tylko dla siebie, niezakłócanego utyskiwaniem wiecznie niezadowolonej kobiety czy dzieci, które zostaną z nim zapewne do usranej śmierci.

Przekręcił gałkę i pogłośnił radio, a potem szybko włączył się do ruchu. Chciał po drodze wstąpić do mięsnego. Był już otwarty i Zbigniew, jak zawsze gdy wybierał się na ryby, kupił w nim dwa kilogramy wątróbki. Na sumy nie było lepszej przynęty. W Wiśle można było znaleźć leszcze, karpie, a czasami nawet i pstrągi, które wydostały się z Wilgi, ale jego interesowały sumy. Zwłaszcza te dorodne okazy. Do tej pory największy, którego udało mu się wyłowić, miał dwa metry i piętnaście centymetrów. Cieszył się, że w przeciwieństwie do innych, którzy zjeżdżali się tu z całej Polski, on miał to wszystko na miejscu.

Kwadrans po siódmej skręcił z Księcia Józefa w lewo, w Polnych Kwiatów. Droga nie była najlepsza, zaledwie wygładzona i na tyle szeroka, by zmieścić się na niej jeden samochód, ale za to mniej uczęszczana, w odróżnieniu od ulicy Do Przystani, biegnącej pomiędzy ogródkami działkowymi. Tam każde auto zwracało uwagę, zwłaszcza jeśli stało dłużej niż godzinę.

Zaparkował w miejscu, skąd kiedyś musiała odchodzić odnoga wąskiej drogi, która z czasem zarosła i teraz nie było już przejazdu. Do tej pory nikt się nie czepiał, że tam parkuje, a robił to średnio dwa razy w tygodniu. Ostatnio z powodu ciągnącego się przeziębienia był tam trzy tygodnie wcześniej.

Zaciągnął ręczny i wysiadł z auta. Z bagażnika wyjął gumowce i swój nowy nabytek – piękną wędkę Cormoran Welfish, idealną do wędkowania z gruntu.

Odkąd kupił ją tydzień temu, nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł przetestować zakup. Przez dwa lata z każdej wypłaty odkładał niewielką sumkę, aż w końcu mógł sobie na nią pozwolić. Przy okazji zaszalał i wymienił także żyłkę na plecionkę. Oczywiście wszystko odbyło się w tajemnicy przed rodziną. Żona na pewno by mu nie wybaczyła, gdyby się dowiedziała.

Podniósł wędkę i poruszył nią, jakby ważył przedmiot w ręce. Pakunek przyjemnie ciążył w dłoni. Ze skrzynki w bagażniku wyjął haczyki, a także przenośne krzeselko, z którym nie rozstawał się od piętnastu lat, powycierane i z kilkoma plamami niewiadomego pochodzenia, wżartymi w strukturę tak głęboko, że nie dało się tego niczym usunąć.

Zamknął samochód i skierował się do zejścia nad Wisłę. Spakowany do torby termos z gorącą kawą, który przygotował sobie przed wyjściem z pracy, uderzał o biodro przy każdym kroku.

Przeciął wał. Kawalek dalej zaczynały się zarośla – dzięki nim mógł być pewny, że nikt nie będzie mu przeszkadzać. Odkrył to miejsce stosunkowo niedawno, tuż przed wakacjami, kiedy ładna pogoda zachęcała mieszkańców do spacerów nad Wisłą.

Kiedyś wędkarstwo było sposobem na samotne, a na pewno ciche spędzanie czasu. Można było posiedzieć, pomyśleć, pobyć ze swoimi myślami. W ostatnich czasach to się zmieniło, szczególnie odkąd sam sport zyskał na popularności. Dlatego Zbigniew wolał dzikie tereny, gdzie nie było głośnych rozmów i ludzi. Jeśli chciał porozmawiać, to umawiał się na piwo. Wędkowanie było świętością.

Znajdował się już blisko Wisły, ale jeszcze jej nie widział. W zimie, kiedy drzewa były ogołoczone z liści, tafłę wody dało się ujrzeć z tego miejsca; teraz jedynie słyszał szum wody.

Kiedy minął drzewo będące jego punktem orientacyjnym i zszedł na niewielką polanę, od razu poczuł się lepiej. Nie przeszkadzały mu nawet deszcz uderzający o kaptur ani wilgoć, która sprawiała, że każdy oddech był niczym wciąganie do ust mokrej waty.

Poprawił pasek torby i skręcił w prawo, czując podekscytowanie na samą myśl, że zaraz zarzuci pierwszą przynętę.

ROZDZIAŁ 4

NIM WINDA ZATRZYMAŁA SIĘ na ostatnim piętrze komendy wojewódzkiej, Zagórski zdążył już przeczytać dwa maile na swojej nowej komórce. Grant, jaki miesiąc temu otrzymała policja, w ogromnym stopniu przyczynił się do wymiany sprzętów, zwłaszcza tych pochodzących jeszcze z ubiegłego wieku. Obecnie Jakub mógł się pochwalić smartfonem, dzięki któremu przez cały czas miał dostęp do swojej skrzynki.

Początkowo uważał to za dobre rozwiązanie, lecz dziś nie był już tego taki pewien. Czuł się wręcz zobligowany do bycia na bieżąco i z tego też powodu teraz wpatrywał się w ekran z ośmioma wiadomościami. Zignorował informację o zbiórce pieniędzy dla rodziny chorego policjanta – już wcześniej dorzucił pewną sumkę – i zerknął na dwie inne, pochodzące od Smoczycy, jego szefowej. Poprawne nazewnictwo brzmiało: inspektor Danuta Kobza, Zastępca Komendanta Wojewódzkiego Policji. Do każdej z tych wiadomości był dołączony wykrzyknik priorytetu, lecz ten zabieg już nie działał na Zagórskiego tak, jak wcześniej. Maile od szefowej zawsze wiązały się ze słowem „pilne”.

Jakub wysiadł z windy i skręcił w prawo. Koło ósmej na korytarzu przeważnie kręciło się sporo osób. Część z nich kończyła zmianę, kolejni przygotowali się do objęcia następnej. Minął kilka gabinetów i zatrzymał się dopiero przed swoim. Wszedł do środka i stanął jak wryty, gdy zobaczył tam Wrońskiego. A raczej podeszwy jego butów wyłożonych na biurko.

Kolega machnął mu ręką na powitanie, ale Jakub nie odwzajemnił tego gestu i zamknął za sobą drzwi.

– Nie masz już swojego pokoju? – Przeszedł obok niego.

Tomek poderwał się z fotela, chwycił stare krzesło stojące pod oknem

i ulokował się naprzeciw Jakuba. Oparcie krzesła było krzywe, wysłużone i twarde. Mimo to Wroński starał się zająć stosunkowo wygodną pozycję.

– Monika ponawia zaproszenie na kolację.

Monika od czterech miesięcy była dziewczyną Wrońskiego. Temat wspólnego spędzenia wieczoru przewijał się w rozmowach partnerów od pewnego czasu, ale jak dotąd Jakub zawsze czymś go zbywał.

– Kiedy?

– W piątek.

– Niestety, nie dam rady. – Uruchomił komputer, a kiedy dostrzegł, że kolega patrzy na niego wyczekująco, wyjaśnił: – Mam już plany.

Tomasz tylko pokręcił głową. Znał Kubę od kilku lat, odkąd zostali przydzieleni do sprawy brutalnego morderstwa starszego mężczyzny. Zdążył się przyzwyczaić do jego milczenia i trzymania ludzi na dystans, ale to, że byli partnerami, obligowało go do wykrzesania z siebie czegoś więcej.

– Musisz w końcu przyjść – mówił więc dalej, bawiąc się piłeczką antystresową kupioną kilka tygodni temu. Nie było wiadome, czy pomagała mu w obniżeniu poziomu stresu, ale na pewno dostarczała rozrywki. – Nie da mi spokoju. Chce w końcu poznać gościa, z którym pracuję.

– To może spotkamy się w sobotę?

– Na sobotę to my mamy już plany. – Tomek posłużył się tym samym wyjaśnieniem, co kolega. Choć musiał przyznać, że zaskoczyła go ta propozycja. – Idziemy na kolację do starych Moniki.

Zagórski zagwizdał.

– Nie mówiłeś, że robi się tak poważnie.

Wroński poprawił się na krześle. Ostatni raz został zaproszony przez rodziców dziewczyny w ostatniej klasie szkoły średniej.

– Daj spokój – odparł jedynie, widząc, jak uśmiech Zagórskiego z każdą sekundą jego zakłopotania robi się coraz szerszy. – To tylko zwykła kolacja.

– Skoro tak mówisz.

– Ale w końcu będziesz musiał dowlec swój tyłek na spotkanie. – Tomek powrócił do wcześniejszego wątku i wyrzucił w powietrze gumową piłkę. Złapał ją po chwili drugą ręką, zanim uderzyła o blat. – Mówię ci, Monika nie należy do osób, które łatwo odpuszczają.

Jakub uważał rozmowę za skończoną. Zalogował się na swoją skrzynkę; choć orientacyjnie wiedział, czego dotyczyły maile, chciał się z nimi spokojnie zapoznać, dopóki miał okazję. Ranek był jedyną częścią dnia, w której mógł nadrobić zaległości i nadgonić papierkową robotę.

Minęła kolejna minuta. Zagórski podniósł głowę i spojrzał na kolegę. Jeśli chce coś powiedzieć, to niech mówi, pomyślał. Nie miał ochoty na odgadywanie, co oznacza ta pantomima. Wroński nadal siedział rozpostarty na krześle i się

szczyrzył.

– Nie masz żadnej roboty? – Zmierzył go wzrokiem. – Bo jak coś, to z chęcią oddam ci dwa raporty do uzupełnienia...

Gdy kolega po raz kolejny podrzucił piłeczkę pod sufit, Jakub pochylił się w jego stronę i złapał ją pierwszy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Co jest?

– Doszły mnie słuchy, że Zamojska jest w Krakowie – odparł w końcu Tomek, jakby mimochodem. Nie spuszczał wzroku z partnera. Chciał zobaczyć, jakie wrażenie robi na nim ta informacja. Dosyć spore, jeśli sądzić po tym, jak mocno zacisnął dłoń na piłeczce.

– Skąd o tym wiesz?

Tomek złożył obie dłonie na brzuchu. Kiedy już zdobył uwagę Zagórskiego, nie spieszyło mu się z jej utratą.

– Słyszałem, że ma jutro spotkanie z Kobzą.

Zagórski zmarszczył brwi. To było dla niego zaskoczenie. Ostatni raz widział Lenę Zamojską kilka miesięcy temu. Dokładnie tego dnia, kiedy – wcześniej porwana przez Kamforę – uwolniła się z tonącego samochodu. Wtedy miała szczęście, w przeciwieństwie do porywacza. Śmierć przez utonięcie nie należała może do relatywnie szybkich, ale na pewno do bardziej przerażających. Zdaniem Zagórskiego i tak była zbyt lekką karą za to, czego dopuścił się morderca.

Jak dowiedział się później, Lena wyjechała z Krakowa następnego dnia po wypadku. Przez pewien czas próbował się z nią skontaktować, jednak bez skutku. Raz nawet zadzwonił do jej przyjaciółki, ale niczego się od niej nie dowiedział. Prad miała do niego żal. Kilka miesięcy temu, kiedy Zamojska dołączyła do śledztwa, obiecał jej, że Lenie nic się nie stanie. On zawiódł, a ona tego nie zapomniała. W końcu dał sobie spokój.

Od tamtego wydarzenia minęło jakieś pół roku, mimo to nadal pożerały go wyrzuty sumienia, że wystawił Lenę jako przynętę i nie zapewnił jej wystarczającej ochrony. To, że ją porwano, zapisał na konto osobistych porażek.

– Wiadomo, po co... – Nie zdążył jednak dokończyć, bo na biurku rozdzwonił się telefon.

Podniósł słuchawkę i w milczeniu wysłuchał rozmówcy, a potem próbował dowiedzieć się czegoś więcej.

Tomasz zastanawiał się, o co chodziło tym razem. To, że mieli wezwanie, było pewne. Jeśli nawet pytania „gdzie” i „kiedy” byłyby niewystarczające, by to stwierdzić, załatwiały to postawa Zagórskiego i jego rzeczowy ton.

W tym momencie Wrońskiego interesowało jedynie miejsce. Zerknął przez okno, a kiedy upewnił się, że wciąż leje, przeniósł wzrok na partnera. Miał nadzieję, że cokolwiek to było, nie zmusi ich do wietrzenia tyłków w tę pogodę.

– Co jest? – zapytał, gdy Zagórski zakończył rozmowę. Żaden z nich już nie pamiętał o niedokończonym wątku.

– Mamy trupa.

Jakub wstał i sięgnął po płaszcz. Tomasz także się podniósł.

– Gdzie?

– Nad Wisłą.

Gorzej być już nie mogło, pomyślał Tomek, idąc za kolegą. Po drodze wstąpił na chwilę do siebie, by zgarnąć rzeczy.

Nie minęło dziesięć minut od wezwania, kiedy byli już na parkingu.

– Wiadomo, kim jest ofiara? – Wroński usiadł na miejscu pasażera. Dzisiaj to nie on miał prowadzić.

Jakub zapiął pasy i odpalił silnik, jednocześnie włączając radio. Jego ruchy były oszczędne.

– Niewiele. Tylko tyle, że to mężczyzna – odparł, wyjeżdżając z parkingu. – Nie znaleziono przy nim dokumentów.

– Skoczek? – Ze względu na lokalizację było to pierwsze, co przyszło Tomaszowi do głowy. Nadchodziła jesień, a wraz z nią uaktywniały się wszystkie lęki i depresje. Najgorzej było przed świętami, kiedy niejeden, przytłoczony własnymi niepowodzeniami, skakał z mostu. Wroński nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie zamiast zwrócić się do kogoś o pomoc, sięgali po najgorsze rozwiązanie.

– Nic więcej nie wiem – odparł Jakub, koncentrując się na drodze. Mijali akurat szlaban, by zaraz wyjechać na Mogilską. Z przeciwnego kierunku, od strony przystanku tramwajowego, ludzie zmierzali w stronę komendy. Wyglądali jak mrówki poruszające się w zwartym szyku. – Poza tym, że odnalazł go jakiś wędkarz.

W ciszy zawrócili na przełęczce, kierując się w stronę ronda Mogilskiego.

Tomasz odwrócił głowę i spojrzał w niebo. Powoli się przejaśniało, deszcz przerodził się już w mżawkę. Czuł jednak przez skórę, że mimo poprawy pogody zapowiadał się ciężki dzień.

ROZDZIAŁ 5

PRZEJECHANIE PRZEZ KRAKÓW w godzinach szczytu przypominało Wrońskiemu rodzenie kamieni nerkowych. Obie czynności wywoływały ból.

Po czterdziestu minutach, które spędzili na przebijaniu się przez miasto, minęli po drodze liczne domki działkowe i zatrzymali się przed nasypem wału, na którym biegła ścieżka rowerowa. Zagórski zaparkował zaraz za nieoznakowanym policyjnym samochodem. Tuż obok stało kilka radiowozów.

Nawet gdyby nie znali dokładnej lokalizacji, wystarczyło tylko podążać za ludźmi. Było kwestią czasu, aż utworzą się grupki podzielone według stopnia zainteresowania tematem, pogoda nie miała tu żadnego znaczenia. Część będzie chciała tylko popatrzeć, przez chwilę podejrzeć pracę policji, a potem ruszyć dalej, natomiast inni, ci bardziej wytrwali, będą szukać sensacji – najwyraźniej telewizyjne seriale przestawały im wystarczać.

Jakub wiedział, że nie było nic bardziej kuszącego od ludzkich dramatów. Pozwalały przewartościować swoje życie i poczuć się lepiej. Proste i jakże skuteczne.

Wysiedli z samochodu. Gdzieś w oddali ktoś trzasnął drzwiami.

– Dlaczego to Podgórze nie zajęło się wezwaniem? – drążył Tomek, spoglądając na Jakuba ponad dachem sedana. – Przecież to ich teren!

– Nie mam pojęcia. – Zagórski przesunął wzrokiem po najbliższej grupce gapiów.

Dopiero po chwili wyłowił z tłumu znajomą twarz. Starszy posterunkowy Adrian Malczewski stał na szeroko rozstawionych nogach, blokując przejście, i wyglądał, jakby miał problem z zapanowaniem nad grupą. Jego pulchna twarz była czerwona, tak samo jak szyja, zwłaszcza w miejscu, gdzie zbyt ciasno zapięty

kołnierzyk wpijał się w miękką skórę. Gdy tylko dostrzegł komisarza, jego dłoń wystrzeliła w powietrze.

– Ale jedno jest pewne – kontynuował Zagórski, zamykając samochód i kierując się w stronę policjanta. – Nie ściągaliby nas, gdyby to nie było coś ważnego.

Tomek pokiwał głową i w milczeniu ruszył przed siebie, teraz już w pełni skupiony. Podchodził do spraw jak do układania puzzli. Z tego też względu wstąpił do policji. Miał zamiłowanie do łamigłówek, ale ważne było także to, czym nasiąknął za młodu. Jego ojciec przez wiele lat pracował w obyczajówce, potem aż do emerytury w kryminalnym. I o ile podejmowanie decyzji w życiu prywatnym sprawiało Wrońskiemu trudność, o tyle nie miał problemu, kiedy wybierał ścieżkę kariery. Od dawna wiedział, że zwiąże się z firmą.

– Co mamy? – zapytał Zagórski, gdy dotarł do Malczewskiego.

Wiedział, że rozwiązywanie sprawy udaje się dzięki pracy zespołowej, dlatego osoby tworzące pierwszą policyjną zaporę nie tylko pilnowały porządku i aby żaden z gapiów nie przedarł się dalej, ale także zwracały uwagę na pewne podejrzanе zachowania. Musieli się zabezpieczyć na wypadek, gdyby się okazało, że mają do czynienia z morderstwem. Zdarzało się, że sprawcy wracali na miejsce przestępstwa w poszukiwaniu dalszej stymulacji. A nic ich tak nie pobudzało, jak podglądanie policjantów podczas wykonywanych czynności. Jakub przesunął spojrzeniem po zebranych, ale żaden z nich nie zwrócił jego większej uwagi.

Za to Malczewski wyglądał, jakby chciał ich ucałować na powitanie.

– Dobrze, że już jesteście! – Pociągnął ich na bok, by znaleźć się poza zasięgiem słuchu dwóch młodych mężczyzn, którzy właśnie podeszli. Zwabieni kawalkadą policyjną, z ciekawością rozglądali się na boki, trzymając w pogotowiu wyciągnięte telefony.

Kiedyś zmorą policjantów byli dziennikarze, wszędzie wściubiający nosy, obecnie ta grupa poszerzyła się o zwykłych obywateli, którym do rozprzestrzeniania informacji wystarczyła jedynie przyzwoita komórka.

– Wprowadź nas. – Zagórski zatrzymał się i spojrzał na Malczewskiego.

Mężczyzna nie potrzebował notesu. Informacji nie było wiele, więc z pamięci streścił najważniejsze szczegóły, zawierając wszystko w jednym zdaniu:

– Około godziny siódmej czterdzieści rybak znalazł w Wiśle ciało.

Zagórskiemu zawsze towarzyszyło nieprzyjemne uczucie, gdy przyjmował zgłoszenie o zwłokach znalezionych w Wiśle. Wszystko z powodu morderstwa, które poruszyło całą Polskę. Kilkanaście lat temu w śrubę płynącej rzeką barki zaplątała się ludzka skóra. Ofiarą była krakowska studentka, którą ktoś oskórował. Do sprawy włączyło się nawet FBI, lecz to nie pomogło w ujęciu mordercy okrzykniętego polskim Hannibalem Lecterem.

– Rybak? – upewnił się Zagórski. – Wcześniej była mowa o wędkarzu.

– Eee... Wędkarz – poprawił się szybko Malczewski, czerwieniejąc jeszcze mocniej.

Jakub westchnął. Znał Malczewskiego od dwóch lat i przez cały ten czas tkwił on na tej samej pozycji, jakby wspinaczka po drabinie kariery nie była dla niego. Teraz Zagórski zrozumiał powody.

Odwrócił się i podążył za wzrokiem policjanta.

– To on? Wędkarz?

– Tak.

Stojący nieopodal mężczyzna miał szarą cerę z niezdrowym odcieniem zieleni i opuchnięte od zbyt intensywnego pocierania palcami powieki – najwyraźniej rzeczywistość go przytłaczała. Wyglądał, jakby pewne informacje dochodziły do niego z opóźnieniem, o czym świadczyły nieruchome spojrzenie i wyraźny grymas, który utworzył się wokół jego ust, uwypuklając i tak mocno wysuniętą szczękę.

Pewnie żałuje, że akurat dzisiaj zachciało mu się wybrać na ryby, pomyślał Zagórski.

– Medyk już jest. – Malczewski starał się zmienić temat.

– Kto? – zapytał Wroński. Przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Pod palcami poczuł wilgoć, która została mu na wnętrzu dłoni.

– Kreuz!

Zagórski kiwnął głową z zadowoleniem. Z Kreuzem miał okazję współpracować już kilka razy. Medyk był świetnym specjalistą, jednak mało komunikatywnym. To, wraz ze specyficznym poczuciem humoru, przysparzało mu więcej przeciwników niż zwolenników. Zdaniem Jakuba można się było przyczepić do jego sposobu bycia, ale niewątpliwie był najlepszym fachowcem, z jakim sam miał okazję pracować.

– A prokurator? – zapytał Wroński.

Policjant pokręcił głową.

– W drodze – wyjaśnił i spojrzął na zegarek. – Powinien tu być w ciągu piętnastu minut.

Jakub zmarszczył nos, jakby poczuł nieprzyjemny zapach.

– Czekamy na niego? – Wroński zerknął na Jakuba.

– Nie, rozejrzemy się w tym czasie – odpowiedział, nie przerywając obserwacji otoczenia. – Wiesz, jak to czasami bywa, mówią, że są już w drodze, a tak naprawdę dopijają kawę. – Postawił kołnierz płaszcza. – Którędy teraz? – spytał Malczewskiego. W zasięgu wzroku nie miał ani policjantów, ani medyka.

Starszy posterunkowy odwrócił się do linii drzew.

– Musicie iść prosto z trzysta metrów, a potem, w miejscu, gdzie teren lekko się obniża, skręćcie w prawo. Jeszcze jakieś sto, dwieście metrów i zobaczycie ekipę. Trasa niespecjalna i jest dosyć ślisko – dodał, wskazując na swoje ubłocone

bucioru.

Zagórski wzruszył ramionami. Jego czarne buty nie pierwszy raz dotknęły błota, lecz tego samego z pewnością nie można było powiedzieć o nowiutkich adidasach Wrońskiego. Biel była tak intensywna, że aż zielonkawa.

– Trudno – rzucił tylko.

Po chwili zostawili za sobą Malczewskiego, czując na plecach jego wzrok, i ruszyli przed siebie. Szli w ciszy. Po porannych opadach deszczu każdy krok przypominał brnięcie w miękkim maśle. Mieli do pokonania ostatnie kilka metrów prostego odcinka, gdy nagle ciszę przerwało warknięcie Wrońskiego. Podniósł nogę, oblepioną błotem tak mocno, że biały pozostał jedynie fragment na wysokości sznurówek, a po chwili z gniewnym grymasem zrobił kolejny krok, któremu towarzyszyło mlaśnięcie.

Buty Zagórskiego nie wyglądały lepiej. Choć starał się iść utwardzoną ścieżką, gdzie podłoże porastała gęsta trawa, dużo to nie pomogło. Czuł nieprzyjemną wilgoć skarpetek w miejscu, w którym woda przesączała się do butów. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wrócić do samochodu po sportowe obuwie, doskonale sprawdzające się w lesie podczas długich spacerów z Saburim, ale wolał nie drażnić Wrońskiego, który wyglądał, jakby zaraz miał dostać ataku apopleksji.

Najgorsze było zejście. To, co Malczewski nazwał lekkim obniżeniem terenu, było tak naprawdę stromym uskokiem. Na domiar złego osoby, które przeszły tamtędy wcześniej, porządnie rozdeptały ziemię. Dla utrzymania równowagi i ochrony własnych tyłków przed bliskim kontaktem z błotem przytrzymywali się pni drzew.

Zagórski był za daleko, by usłyszeć, co Tomek mamrocze pod nosem, ale nie miał wątpliwości, że nie przebierał w słowach.

Pokonanie stu metrów zajęło im tyle, co przejście kilometra w normalnych warunkach. Wreszcie z pewnego oddalenia dojrzeli biały parawan. Rozstawiony na szerokość i długość około czterech metrów, miał równocześnie spełniać trzy zadania: chronić zwłoki przed wzrokiem wścibskich gapiów, osłaniać je przed warunkami atmosferycznymi i dodatkowo ułatwiać pracę podczas wstępnych oględzin. Dzisiaj sprawdzał się głównie przy dwóch ostatnich. Jeśli któryś z cywilów prześlizgnął się obok Malczewskiego, trudna trasa załatwiała resztę.

Najpierw dostrzegli trzech techników. Dwóch kręciło się przy samym brzegu Wisły, próbując zabezpieczyć ewentualne ślady, co zdaniem Zagórskiego było tylko żmudną pracą z marną szansą trafienia na jakiś istotny trop. Trzeci technik kończył robić zdjęcie otoczenia.

Gdy podeszli bliżej, natknęli się na mężczyznę. Kuczał przy ciele i z telefonem w ręku nagrywał uwagi wypowiedane cichym głosem. Był skupiony wyłącznie na swoim zadaniu. Przed nim leżało ciało, częściowo przykryte

ciemnym materiałem. Zmarły nie miał butów i w jednej ze skarpetek Zagórski dostrzegł dziurę wielkości złotówki.

– Wiadomo coś o denacie? – zapytał, zatrzymując się za medykiem. Równocześnie założył wyciągnięte z kieszeni rękawiczki.

Kreuz zerknął przez ramię. Z powodu gwałtownego ruchu okulary zsunęły mu się na czubek nosa.

– Niewiele. Brak dokumentów nie ułatwia identyfikacji – odparł, prostując się. – Jeśli zaś chodzi o przyczynę śmierci, więcej powiem wam po przeprowadzeniu autopsji, ale już teraz muszę zastrzec, że będę miał problem z ustaleniem czasu zgonu – dodał, rozkładając dłonie w geście bezradności. – Zwłoki są stare, zniknęło już stężenie pośmiertne, plamy opadowe... – wymieniał, kręcąc głową.

– Jak stare?

Kreuz wzruszył ramionami. Mimo ciężkiego skózanego płaszcza narzuconego na plecy ten ruch był doskonale widoczny.

– Tydzień, może więcej. Trudno powiedzieć, zwłaszcza że od samego początku przebywało w wodzie.

Komisarz zmarszczył czoło i z większą uwagą przyjrzał się denatowi, starając się dostrzec coś, co mogło mu umknąć wcześniej. Mężczyzna miał na sobie jeansy w kolorze, który mógł być zarówno czarnym, jak i granatowym – dokładne określenie tego było niemożliwe z powodu zamoczenia. Na kolanach materiał był tylko lekko zabrudzony. Co było nietypowe, bo – jak wspomniał medyk – ciało spędziło w wodzie dużo czasu. Można było się spodziewać znacznie większej liczby plam, a nawet przetarć lub dziur.

Mężczyzna musiał zginąć jakiś czas temu. Ciało zaczęło już puchnąć, napierając na guziki koszuli i wypychając materiał. Skóra widoczna między zapięciem przybrała zielonkawe zabarwienie. Było to związane z czasem, który minął od śmierci denata, ale nie dawało żadnych informacji o tym, gdzie przebywało ciało.

Wroński musiał pomyśleć o tym samym, gdyż odwrócił wzrok od trupa i spojrzał z zainteresowaniem na patologa.

– Skąd wiesz?

Kreuz ponownie przykucnął.

– Po tych niewielkich otworach – odpowiedział, palcem wskazując małe ranki widoczne na dłoniach.

Zagórski pochylił się, to samo zrobił Tomasz. Teraz, kiedy wiedzieli już, czego szukać, zauważyli niewielkie uszkodzenia skóry. Nie kojarzyły im się z niczym, co do tej pory widzieli.

– Kiełże – padło z ust patologa. – To skorupiaki występujące między innymi w Wiśle. Małe, mają mniej więcej dwa centymetry długości. Zwykle żywią się

martwą materią organiczną pochodzenia roślinnego i zwierzęcego. Jedzą także bezkręgowce i narybek. A kiedy pojawi się taki oto dorodny osobnik – wskazał dłonią na ciało – żywią się także jego naskórkiem. Zawsze to jakieś urozmaicenie menu.

Zagórski wyciągnął prosty kołonotatnik. Czarna okładka nosiła ślady zużycia.

– Są wszystkożerne – podsumował, zapisując najważniejsze hasła.

Kreuz przytaknął.

– Jedyna informacja, jaka płynie z uszkodzeń naskórka, to taka, że ciało było dla nich smakowitym kąskiem, zanim minęły dwa dni od śmierci.

– A potem co? – dociekał Jakub.

Kreuz wyprostował się i złączył przed sobą dłonie.

– A potem straciły zainteresowanie, ciało zrobiło się nieświeże – odparł z krzywym uśmiechem, który szybko zniknął, kiedy przekonał się, że jego żart nikogo nie rozbawił. – Zaraz po śmierci – kontynuował już poważnym tonem – zaczyna się proces gnilny. Początkowo ma miejsce w przewodzie pokarmowym, tam znajduje się największe skupisko bakterii. W wyniku reakcji hemoglobiny z siarkowodorem w okolicach brzucha pojawia się zielonkawe zabarwienie skóry, co zresztą widać. Z czasem zabarwienie zajmuje coraz większy obszar. Oprócz tego powstają smugi dyfuzyjne. – Wskazał miejsce, w którym widoczny był odsłonięty fragment brzucha. – Tworzą drzewiaste ciemnoczerwone podskórne zabarwienia. W efekcie dalszych procesów gnilnych dochodzi do nabrzmienia zwłok, które zwie się gigantyzmem gnilnym Caspra.

Kreuz przeszkakiwał wzrokiem z jednego policjanta na drugiego.

– Tutaj ten proces dopiero się zaczął – dodał. – Dlatego ciało wypłynęło na powierzchnię.

– Może jednak po tych informacjach da się określić czas zgonu? Chociażby przybliżony – próbował dalej Jakub.

Kreuz skrzywił się. To pytanie należało do najczęstszych, jakie mu zadawano, i zwykle starał się pomóc. Niestety, znalezienie odpowiedzi nie zawsze było proste.

– Teraz temperatura w Wiśle nie przekracza szesnastu, może siedemnastu stopni, więc ten etap rozkładu został trochę zahamowany. Chciałabym móc powiedzieć coś więcej, ale w tym momencie mogę jedynie stwierdzić, że denat nie żyje od tygodnia do dziesięciu dni.

Jakub schował notes do kieszeni. Wiedział, że na razie nie wyciągnie z patologa niczego więcej.

– Ktoś już pobrał odciski palców?

– Hola! Hola! – Kreuz podniósł rękę. Jak na średniego wzrostu mężczyznę miał nieproporcjonalnie długie palce, przez co dłoń wyglądała, jakby należała do

kogoś innego. – Nic się nie zmieniło, odkąd współpracowaliśmy ostatnio. Dobrze wiecie, że najpierw autopsja, odciski weźmiecie potem! Nie będziecie mi zanieczyszczać ciała, i tak mam przed sobą trudne zadanie. Woda pewnie wszystko wymyła, ale muszę sprawdzić to i owo. We właściwej kolejności.

Zagórski stłumił westchnienie. Już zdążył zapomnieć, jakim służbistą był Kreuz. Zasady musiały rządzić całym jego życiem. Nie zdążył nic dodać, bo nagle ktoś odezwał się za ich plecami:

– Ale syf!

Odwrócili się, przypatrując się nowo przybyłemu. Młody mężczyzna – jeszcze z mlekiem pod nosem, najwyraźniej niedawno skończył studia – z niezadowoleniem przyglądał się zwłokom. Jakub wiedział, że oto zjawił się Tadeusz Węgrowski, prokurator.

– To chyba jakieś żarty – powiedział do siebie.

Do tej pory Jakub nie poznał go osobiście, ale na podstawie plotek krążących po komendzie można by o nim napisać przynajmniej powieść. Ponoć nie kierował się tymi samymi zasadami co ojciec, prokurator starej daty, i jeśli chodziło o prowadzenie spraw, chłopak był przysłowiowym wrzodem na dupie. Gówniarz z nadętym ego nie nawiązywał dobrych relacji z policjantami.

Jakub zacisnął usta, kiedy zrozumiał, co oznacza jego obecność. Węgrowski właśnie stał się ich wrzodem.

– A pan to kto? – odezwał się Kreuz nieprzyjemnym tonem, najwyraźniej zirytowany zachowaniem przybysza.

– Prokurator Węgrowski – odparł mężczyzna wysokim głosem.

Kreuz uniósł brwi, ale nie powiedział nic więcej. Tylko wymowne spojrzenie zdradzało, co przemilczał.

– Kiedy będzie sekcja? – Węgrowski przejął pałeczkę w zadawaniu pytań, równocześnie próbując zetrzeć z buta największą warstwę błota przez pocieranie nim o trawę. Jego starania na nic się zdały, bo buty wyglądały jeszcze gorzej niż przed chwilą. Teraz ufajdane miał na dodatek nogawki.

Kreuz zerknął na zegarek, którego fosforyzujące wskazówki przebijały się przez lateksową rękawiczkę.

– Dopiero jutro – odpowiedział. – Tutaj zejdzie mi jeszcze z godzinę. A w zakładzie czekają na mnie dwie, na wczoraj – dodał kwaśno.

Węgrowski skinął mu lekko głową, jakby wyrażał zgodę, a potem zerknął na policjantów. Jego spojrzenie zatrzymało się na Zagórskim. Skądś wiedział, że to on jest wyższy stopniem.

– Informujcie mnie na bieżąco! W naszym interesie leży, żeby jak najszybciej rozwiązać tę sprawę – rzucił. Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, odwrócił się i ruszył w stronę skarpy.

Zagórski zmełł przekleństwo. Na pewno nie było to miejsce i czas, by sobie

ulżyć. Natomiast Wroński był innego zdania.

– W naszym interesie leży... – przedrzeźniał jego słowa, kiedy tylko upewnił się, że prokurator niemal zniknął z pola widzenia. Wyglądało na to, że Węgrowski zaszedł mu mocno za skórę tą swoją gadką. – Słyszałeś go?

Czasami Wrońskiego można było porównać do zabawki, która nakręcona, podskakiwała, dopóty starczyło baterii. Jakub wiedział, że gdyby teraz wdał się z nim w dyskusję na temat prokuratora, pogorszyłby tylko sprawę.

– Słyszałem – odparł tylko, również zirytowany. Najchętniej przemodelowałby mu tę gładką buźkę, ale był to dopiero początek ich współpracy.

Humor odrobinę mu się poprawił, kiedy dostrzegł, jak duży problem Węgrowski ma z podejściem pod górę. A jednak istnieje sprawiedliwość, pomyślał.

– No to będziecie mieć zabawę, panowie – podsumował pod nosem Kreuz z takim uśmiechem, jakby owa zabawa właśnie się zaczęła.

Jakub westchnął. Wyglądało na to, że nad rozwiązaniem tej sprawy będą pracować tylko on i Wroński. Podejrzewał, że Węgrowski jeszcze nieraz napsuje im krwi.

– O której ta sekcja? – Wrócił do tego, co naprawdę liczyło się w tym momencie.

– Umówmy się na ósmą. Wtedy odpowiednio zajmę się tym dżentelmenem.

Wroński przysunął się bliżej Jakuba. Jeszcze mu nie minęło i w jego głosie brzmiały irytacja i zaczepność:

– A tak w ogóle, to nadal nie rozumiem, dlaczego ci z Podgórze się tym nie zajmą. – Schował dłonie do kieszeni. Z powodu dużej wilgotności odczuwalna temperatura była niższa. – Przecież to ich rewir. Chcą sobie poprawić wyniki czy jak?

Zagórski już otwierał usta, by podzielić się swoimi podejrzeniami, że w jakiś sposób ekipa z Podgórze dowiedziała się zawczasu, który z prokuratorów będzie prowadził tę sprawę, i popchnęła ją wyżej. Nie zdążył nawet zacząć, bo ubiegł go medyk:

– Och, zapomniałem wspomnieć o jednym szczególe. – Uśmiechając się chytrze, pochylił się nad ciałem, a potem z pietyzmem pasującym bardziej do magika, przedstawiającego swoją najnowszą sztuczkę, niż do patologa pociągnął za róg folii, odsłaniając fragment, który wcześniej pozostawał w ukryciu.

– O kurwa! – rzucił Wroński.

To samo pomyślał Jakub i zacisnął usta. Z tych wszystkich morderstw, które dotąd miał okazję badać, szczególnie trudne były dla niego te popełniane na kobietach i dzieciach – czyli jego zdaniem najbardziej bezbronnych osobach, którym należała się szczególna ochrona – oraz te, które wiązały się z okaleczeniem poprzez pozbawienie ciała jakiejś części. Palca, dłoni, stopy. I nie miało znaczenia, czy było ono duże, czy małe, bo każde sprawiało, że ciało stawało się

niekompletne, w pewien sposób wybrakowane.

Tak było i tym razem. W miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa, widniały jedynie poszarpane kawałki skóry z wystającym obrzeżem kręgów, odróżniających się od reszty ciała jaśniejszym zabarwieniem. Dekapitacja – tak brzmiało fachowe określenie oddzielenia głowy od tułowia.

Jakub odwrócił się i spojrzał na Tomka.

– No to już masz odpowiedź, dlaczego nas wezwali.

ROZDZIAŁ 6

KOLEJNY DZIEŃ PRZYWITAŁ LENĘ zapowiadaną od kilku dni zmianą pogody. Była dziewiąta i za oknem o dominację walczyły lekka mżawka i mgiełka, która kojarzyła się z irlandzką aurą. Dzień rozpoczął się także bólem zakwaszonych mięśni.

Weszła pod prysznic i po chwili zwiększyła strumień, licząc, że gorąca woda załatwi to, czego mógłby dokonać kilkudniowy odpoczynek. W plecach i prawym ramieniu czuła silny ból, którego nabawiła się w ostatnim czasie; wczoraj jeszcze się nasilił. Ten stan nie miał jednak ulec zmianie w najbliższej przyszłości.

Teraz, z perspektywy czasu, wiedziała, że życie w pojedynkę jest dużo trudniejsze niż we dwoje. W bolesny sposób przekonała się o tym sama, zwłaszcza odkąd musiała martwić się o pieniądze. To było dla niej czymś nowym. Pochodziła z dobrego domu, „klasy wyższej”, jak górnolotnie mawiali niektórzy, co oznaczało, że do końca nauki miała całkiem niezłe zabezpieczenie finansowe. Po studiach zaś szybko się usamodzielniała, zaczynając dobrze płatną i ciekawą pracę związaną z interpretacją mowy ciała. Następnie był ślub i życie na wysokiej stopie. Tak wysokiej, że wraz z mężem wydawali niemal wszystko, co zarobili, tylko gdzieś w pamięci mając, że w przyszłości będą musieli zacząć oszczędzać.

Teraz tamten czas spędzony w Stanach wydawał się Lenie odległy, wręcz nierealny, jakby obserwowała życie kogoś innego. Tyle się zmieniło od tamtego czasu! Głównie jej priorytety. Poza tym już nie przypominała osoby, którą była kiedyś. Życie potrafiło szybko upomnieć się o beztroskie chwile szczęścia, starając się wszystkim rozdawać w miarę równe karty.

Lena wiedziała, że rozkręcenie własnego biznesu nie będzie proste. Oprócz czasu, doświadczenia i szczęścia niezbędne były także fundusze. Oszczędności, po

które sięgała w ostatnim czasie, topniały z każdym dniem, a nie było ich tak wiele. Pobył w Toskanii należał do kosztownych. Wtedy, po sprawie z Kamforą, nie zwracała aż takiej uwagi na stan finansów. Nie musiała. Kiedy jednak minął ponad miesiąc, stanęła przed decyzją: spakować swoje rzeczy albo szukać pracy. Zdecydowała się na to drugie rozwiązanie i znalazła zatrudnienie u właściciela plantacji winorośli, zresztą tego samego, u którego wynajmowała mieszkanie. Dzięki temu mogła spędzić w tym miejscu kolejne miesiące, nie ponosząc kosztów wynajmu. Praca fizyczna dobrze jej zrobiła. Przy okazji podreperowała też swoje finanse.

Całe szczęście, bo po rozwodzie z Michałem i podziale majątku okazało się, że nie zostało jej wiele. W sam raz na skromny start i życie przez kilka miesięcy, zanim nowy biznes zacznie przynosić dochody. Z tego też względu zdecydowała się jedynie na wynajęcie fachowca do wyremontowania lokalu, który – jeśli wszystko dobrze pójdzie – od października będzie jej biurem. Na zatrudnienie kogoś do odświeżenia wynajętego mieszkania już nie wystarczyło. Musiała myśleć o przyszłości i o oszczędzaniu, które nierozzerwalnie się z nią wiązało. Zwłaszcza teraz, kiedy zdecydowała się osiedlić w Polsce. Życie w kraju, w którym jej przyszła emerytura wydawała się równie prawdopodobna jak skreślenie szóstki w totka, wymagało mocniejszego zaciśnięcia pasa.

Gdy wyszła z łazienki, ból pleców zdawał się mniejszy niż wcześniej. Z powodu panującego w mieszkaniu chłodu szczelniej owinęła się szlafrokiem, mimo to na nagiej skórze czuła zimny powiew powietrza.

Ruszyła do salonu i zatrzymała się dopiero przy oknie. W ciągu godziny deszcz wyraźnie przybrał na sile. Na którą z ulic by nie spojrzała, widok był nieostry. Po mieszkaniu rozchodziło się dudnienie, kiedy krople jakby ze złością uderzały w okna dachowe. Dźwięk był na tyle głośny, że zagłuszył najnowsze wiadomości.

Lena podeszła do kartonów. To, co rozpakowała wczoraj po powrocie z treningu, stanowiło zaledwie ułamek jej dobytku. Po jakichś znakach szczególnych próbowała się zorientować, gdzie pochowane są cieplejsze ubrania, jednakże pudła, do których upchnęła wszystkie swoje rzeczy, wyglądały jednakowo. Ten sam brązowo-nijaki odcień sprawiał, że ułożone w równych rzędach wyglądały jak jedna wielka zbita masa. Pakując się w pośpiechu, nie pomyślała, żeby opisać ich zawartość. Nauczka na przyszłość.

Część rzeczy przez pewien czas leżała spakowana w domu, który dzieliła z mężem, obecnie już byłym. Małżeństwo trwało trzy lata. Jak się okazało – o całe trzy lata za długo. Od rozwodu minęły już dwa miesiące i Lena w dalszym ciągu nie żałowała swojej decyzji, a kontakt z Michałem ograniczyła do minimum.

Reszta pochodziła z podróży do Włoch, dokąd wybrała się zaraz po sprawie, nad którą pracowała z krakowską policją. Kamfora – taki przydomek media nadały

mordercy. Wszystko przez to, że pojawiał się i znikał niezauważony.

Dawniej myślała, że gdy osiągnie trzydzieści pięć lat, jej życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Okazało się jednak dalekie od wyobrażeń i zamykało się w kilkudziesięciu tekturowych pudłach. W tym wieku była zmuszona na nowo układać sobie życie. Bez męża, o którym myślała, że zawsze może na niego liczyć. Z nową pracą i z lokalem na Karmelickiej. Jak na razie z jej całego biznesu tylko biuro było namacalne, reszta znajdowała się w fazie planowania.

Lena sięgnęła po leżący na podłodze nożyk i jedno z pudeł. Zważyła je w dłoniach i odłożyła na bok – musiało zawierać książki. Zrobiła tak jeszcze kilka razy, otwierając tylko te lżejsze. Za piątym podejściem znalazła ciepłe buty, za siódmym zaś w końcu trafiła na swetry i spodnie. Gdy naciągnęła na siebie bluzkę z długim rękawem, zadzwonił telefon.

– Cześć! – odezwała się Magdalena Prad.

Lena wyprostowała się i wsunęła włosy za ucho.

– Mam nadzieję, że nie dzwonisz, by się wymigać od pomocy – rzuciła szybko, zanim przyjaciółka wyjaśniła, o co chodzi. Miały spędzić dzień na rozpakowywaniu kartonów, a potem nagrodzić się mocno zakrapianą kolacją.

– Dzwonię właśnie w tej sprawie. Wczoraj musiałam pilnie wyjechać do Warszawy.

Lena zmarszczyła brwi.

– Do Warszawy? – powtórzyła. Widziały się dwa dni temu i Magda nic nie wspominała o żadnym wyjeździe. – Coś się stało?

– Mama dzwoniła – odpowiedziała tamta cicho. – Ojciec źle się poczuł i trafił do szpitala.

– To coś poważnego?

– Stan przedzawałowy, ale udało się to złapać w odpowiednim momencie. Na wszelki wypadek zostanę tutaj na kilka dni. Tak, że musimy przełożyć nasze spotkanie i jutrzejsze zakupy.

Gdy zamilkła, do Leny dotarły inne dźwięki. Szum, hałas otwieranych drzwi i kilka rozmów toczących się w pewnym oddaleniu od Magdy, na tyle daleko, by Zamojska nie słyszała słów, jedynie szemranie.

– Zrozumiałe. A jak on się teraz czuje?

– Na tyle dobrze, że już rozstawia wszystkich po kątach. – W głosie przyjaciółki Lena usłyszała lekkie rozbawienie. – Znalazłaś w końcu klucze do mojego domu?

Lena zerknęła na parapet, sprawdzając, czy pęk wygrzebany wczoraj z jednego z kartonów nadal tam jest.

– Tak.

– To dobrze, bo w kuchni, przy ekspresie, zostawiłam ci kluczyki do samochodu – mówiła Magda. – Dzięki temu szybciej wszystko pozalutwiasz.

Przyjaciółka pomyślała o wszystkim. Dla Leny jej samochód był sporym udogodnieniem. Po powrocie do Krakowa nie miała jeszcze okazji poszukać sobie czegoś własnego.

– Dzięki, na pewno mi to pomoże. Dzisiaj po niego podjadę. – Lena usiadła na sofie i przełożyła telefon do drugiej ręki. – A ty? Czym pojechałaś?

– Pociągiem. Dwie i pół godziny i byłam na miejscu. Samochodem nigdy bym nie osiągnęła takiego wyniku. A jak u ciebie? Sprawdziła się ta firma przewozowa?

Lena skrzywiła się.

– Może ujmę to w ten sposób: obyło się bez strat. W ludziach – dodała znacząco.

Magda roześmiała się. Lena mogłaby przez to przejść jeszcze raz, by poprawić jej samopoczucie. Lecz gdy przyjaciółka odezwała się ponownie, jej głos był już poważny.

– Muszę kończyć!

– Jasne, w razie czego dzwoń. – Chciała jeszcze coś dodać, ale cichy dźwięk informował o zakończonym połączeniu.

Wróciła do rozpoczętej pracy i tym razem sięgnęła po pierwszy lepszy karton. I tak musiała kiedyś uprzątnąć to wszystko.

Przecięła taśmę i zajrzała do środka. Te rzeczy pochodziły z jej pobytu we Włoszech. Podczas wypakowywania na podłogę coś wypadło: dwie książki, które kupiła na wyjeździe, i jeden kryminał po angielsku. Spomiędzy nich wysunęła się szara teczka.

Kucnęła, pozbierała wszystko z podłogi i położyła na parapecie. Zawahała się jedynie przy teczce. Była zaskakująco lekka, pomimo kilkunastu stron wystających poza okładki. Nie musiała zaglądać do środka, by wiedzieć, co jest w środku. Odkąd otrzymała ją od Danuty Kobzy, zastępcy komendanta policji, minęło kilka miesięcy i co jakiś czas Lena trafiała na nią przypadkowo. Tak jak dzisiaj. Nigdy do niej nie zajrzała, chociaż początkowo, kiedy o nią poprosiła, planowała dokładnie przestudiować sprawę łączącą się z Kamforą. Teraz bowiem już wiedziała, że mordercą był Piotr Marszałkowski.

Opuszczając Kraków, Lena miała nadzieję zostawić wszystko za sobą. Odciąć się od przeszłości w podobny sposób, w jaki odcina się zakażony fragment ciała, by nie infekował całego organizmu. Wtedy Kraków i związane z nim wspomnienia były właśnie taką chorobotwórczą tkanką. Uciekła do Włoch, a dokładniej – do Toskanii. Tam planowała odzyskać równowagę, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że sama zmiana miejsca nie wystarczy, by zapomnieć. Alkohol także powodował krótkotrwałą amnezję.

Przez kilka pierwszych tygodni po wypadku na jeziorze dręczyły ją koszmary, a Marszałkowski zatruwał jej życie nawet po śmierci. Kiedy minął

kolejny miesiąc, a Lena nie zauważyła u siebie poprawy, skontaktowała się z Kobzą i poprosiła o przysługę. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o siostrze Kamfory. W jaki sposób zginęła? Ile miała lat? Gdzie mieszkała? To w końcu jej tragiczna śmierć sprawiła, że brat zaczął zabijać.

Im dłużej Lena się nad tym wtedy zastanawiała, tym więcej pojawiało się pytań. Kojarzyła, dlaczego mężczyzna wybierał kobiety o określonym typie urody – po wypadku, w którym zginęła jego siostra, postanowił poszukać jej substytutu. A gdy wybranka nie sprawdzała się w tej roli, zabijał ją z zimną krwią. Mimo tej wiedzy Lenie nadal trudno było uwierzyć, że strata może stać się dla kogoś morderczą siłą napędową.

Kobza nadstawiła dla niej karku. Początkowo Lena, tak mocno skupiona na sobie i swoich kłopotach, miała problem ze spojrzeniem na sprawę z dystansu. W innych okolicznościach jeszcze kilka razy by się zastanowiła przed wystosowaniem takiej prośby. Nim Kobza w końcu się zgodziła i przesłała dokumenty w sprawie Weroniki Marszałkowskiej, minął kolejny miesiąc. Miesiąc, który dla Leny okazał się istotny, bo właśnie wtedy nastąpiła u niej poprawa. Początkowo subtelna, koszmary pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu zniknęły na dobre.

Mniej więcej dwa miesiące – tyle potrzebowała, żeby po wypadku wrócić do jako takiej równowagi, dlatego kiedy otrzymała pocztą akta Marszałkowskiej, zdecydowała, że nie będzie się w nie zagłębiać. Podjęła tę decyzję, kierując się swoim dobrem. Czasami pewne rzeczy lepiej zostawić za sobą.

I kiedy dzisiaj natknęła się na tę teczkę, zareagowała podobnie. Nic się nie zmieniło. Lena nie chciała roztrząsać przeszłości, zwłaszcza teraz, kiedy wróciła do Krakowa i jej życie kręciło się wokół remontów i załatwiania firmowych spraw; wszystkiego, co sprowadzało się do dwóch słów: „nowy start”. Odłożyła teczkę z powrotem do pudła, tam, gdzie było jej miejsce.

Po chwili sięgnęła po kolejny karton.

ROZDZIAŁ 7

DOCHODZIŁA TRZYNASTA, kiedy Lena dotarła do swojego przyszłego biura, mieszczącego się na jednej z ciekawszych krakowskich ulic. Karmelicka dochodziła prawie do samego rynku, oferując po dwóch swoich stronach prawdziwą handlową różnorodność, od małych sklepów obuwniczych, restauracji i kawiarni do szkół językowych i wielu innych miejsc wartych odwiedzenia.

Lena przejechała dłonią po piecu kaflowym. W miejscu, gdzie palce dotknęły gładkiej powierzchni, ukazał się piękny zielony kolor, dotąd ukryty pod grubą warstwą kurzu. Ten odcień widziała jedynie jako dziecko – miały go butelki, z których piła oranżadę. Nigdy potem nie spotkała się z tak intensywną barwą.

Wytarła dłoń w chusteczkę i odwróciła się do wysokiego mężczyzny. Starła się nie patrzeć na bliznę przecinającą jego twarz. Miała nierówne brzegi, przez co wyglądała jak pomarszczony szew i przyciągała uwagę.

– Czyli wyrobi się pan ze wszystkim do końca miesiąca? – upewniła się raz jeszcze.

Bogusław Fabiasz był fachowcem, którego wynajęła do remontu trzydziestometrowego pomieszczenia biurowego. Wzięła go z ogłoszenia, ale nie żałowała. Mężczyzna był dokładny, pracowity i – co najważniejsze – jak na razie wywiązywał się z podjętego zadania.

– Bez problemu – odpowiedział z przekonaniem, które spodobało się Lenie. Polubiła go jeszcze mocniej, gdy z jego ust padło inne zapewnienie: – A może nawet wcześniej. Zobaczmy, jak pójdzie z płytkami w łazience.

Na taką odpowiedź liczyła. Była zadowolona, bo wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Postępy były widoczne przy każdej wizycie, a samo pomieszczenie stawało się coraz bliższe temu, jak miało wyglądać po skończeniu

prac.

Podeszła do krzesła, na którym zostawiła wcześniej torebkę i kurtkę.

– W takim razie będę się już zbierać.

Planowała wpaść tylko na chwilę, a skończyło się na tym, że spędziła w biurze ponad godzinę. Szybko pożegnała się z robotnikiem, który już zdążył wrócić do malowania ściany.

Gdy wyszła na klatkę, po drugiej stronie wąskiego korytarza dostrzegła mężczyznę. Nosił ciemny, dobrze skrojony garnitur i stał dokładnie przed drzwiami znajdującymi się naprzeciw jej lokalu. Dzięki złotej tabliczce przymocowanej do drzwi wiedziała, że mieści się tam kancelaria notarialna. Mężczyzna miał klucze i na podstawie tego, jak wyglądał, oceniła, że musiał być jej sąsiadem. Rozmawiał przez komórkę i wyglądał na zaaferowanego. W innym przypadku wykorzystałaby okazję i zamieniła z nim kilka słów. Tymczasem skinęła mu jedynie głową, gdy na dźwięk jej kroków odwrócił się w jej stronę, i zeszła na parter.

Z zewnątrz kamienica nie wyróżniała się na tle sąsiednich. Żółta elewacja była trochę przybrudzona, co szczególnie rzucało się w oczy w słoneczne dni, kiedy słońce podkreślało każdą niedoskonałość, lecz mimo to prezentowała się o niebo lepiej niż inne stare budynki w mieście. Szczególnie w porównaniu z tymi przy Dietla – tamte aż prosiły się o odnowienie. Niektóre z nich wręcz straszyły swoim wyglądem, jakby niedługo miały się rozsypać.

Lokal znalazła, będąc jeszcze we Włoszech. Początkowo tę pozycję wpisała sobie jako zapasową, kierując się przy wyborze dobrą lokalizacją i ciekawym wnętrzem. Miał tylko jedną, ale istotną wadę: trzeba było wyłożyć sporo pieniędzy, by wyglądał dobrze.

Gdy tylko pojawiła się tu wraz z pośrednikiem, wiedziała, że to właściwe miejsce. Wysoki, charakterystyczny dla kamienicy sufit, stojący w kącie piec kaflowy i dwa duże okna. Lokal okazał się idealny. Mając do wyboru niewielki gabinet, nie większy niż trzy na pięć metrów, w jednym z nowoczesnych budynków z horrendalnym czynszem, wołała odrobinę dopłacić i mieć dwa razy większe pomieszczenie. A po odświeżeniu miejsce dokładnie takie, o jakie chodziło jej od samego początku.

Dobrze wiedziała, jak ważne jest zrobienie odpowiedniego wrażenia. Już sam fakt, że startowała z biznesem, jakiego dotąd w Polsce nie było, stawiał ją w trudniejszym położeniu. Umiejętność interpretacji mowy ciała była popularna szczególnie w Stanach. Jak będzie w Polsce, okaże się już niedługo. Na szczęście miała jeszcze dodatkowe zabezpieczenie – co prawda niewielkie, ale zawsze – zanim firma zacznie przynosić zyski: kurs na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po próbnym wykładzie pół roku temu, na którym przybliżyła studentom, czym tak naprawdę jest mowa ciała, zainteresowanie tą tematyką przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Podejrzewała, że zaskoczyło także dziekana, który początkowo

sceptyczny, zgodził się na dwa semestry zajęć po dwa razy w tygodniu.

Lena wzdrygnęła się, kiedy poczuła na twarzy smagnięcie chłodu, i poprawiła szal wokół szyi. Zmianie pogody towarzyszył mocny spadek temperatury. Na szczęście deszcz atakujący od samego rana ustał, przynajmniej na chwilę. Jeśli sądzić po zawieszonych nisko chmurach, można było się jednak spodziewać, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Ruszyła wzdłuż ulicy i zatrzymała się na przystanku tramwajowym.

Magda mieszkała na dość starym osiedlu przy ulicy Owcy-Orwicza i żeby dostać się na miejsce, Lena później musiała przesiąść się jeszcze na autobus. Na samą myśl o czekającej ją podróży poczuła głód. Do odjazdu najbliższego tramwaju miała kilka minut, więc wykorzystała ten czas, wstępując do cukierni na rogu.

Ostatnio przemieszczała się głównie środkami transportu publicznego i powoli zaczynała mieć tego dość. Gdy zakończy wszystkie remonty i ureguluje wydatki związane z wyposażeniem biura, oceni stan swoich finansów. I wtedy kupi takie auto, na jakie będzie ją stać. Już teraz wiedziała, że nie będzie młodsze niż dekada.

Jej hyundai po wyciągnięciu z rzeki nadawał się jedynie na złom. W Toskanii nie potrzebowała samochodu i dopiero po powrocie do Krakowa boleśnie odczuła jego brak. Tym bardziej cieszyła się, że przez kilka dni będzie miała do dyspozycji samochód Magdy. Na wieczór miała w planach intensywny kurs krav magi, a potem chciała się przygotować na jutrzejsze spotkanie z Kobzą.

Inspektor Danutę Kobzę nazywano Smoczycą. To niezbyt pieszczotliwe miano zawdzięczała specyficznym ruchom nozdrzy. Lena tylko kilka razy miała okazję je zaobserwować, ale ten widok zapadł jej w pamięć. Wiedziała, że wiązały się ściśle z jej stanem emocjonalnym i nasilały się podczas irytacji, a szczególnie gniewu.

Kobza mimo dobrotliwego wyglądu i niewielkiego wzrostu trzymała wszystkich mocno za jaja. A kiedy wymagała tego sytuacja, potrafiła ścisnąć na tyle mocno, by z miejsca osiągnąć to, czego chciała. Lena wiedziała, że traktowała wszystkich tak samo, bez względu na płeć.

Kiedy kilka dni po swoim przyjeździe do Krakowa poprosiła ją o rozmowę, sama nie wiedziała, czego się spodziewać. Odmowa była równie realna, jak i zaproszenie. Na szczęście otrzymała to drugie. Cieszyła się, że pierwszą z przeszkód ma już za sobą.

Podczas jutrzejszego spotkania chciała zaproponować Kobzie, czyli komendzie, swoje usługi. Parę miesięcy temu pokazała wszystkim niedowiarkom, jakie znaczenie dla prowadzonego postępowania może mieć znajomość mowy ciała, i wiedziała, że pod tym względem nie musiała udowadniać swojej wartości. Tym bardziej, że tak naprawdę to Kobza sprawiła, że Lena dołączyła do tamtej

sprawy. Brak postępów w śledztwie dotyczącym morderstw i kolejne ciało w parku doprowadziły do tego, że Smoczyca sięgnęła po nietypowe środki.

Zamojska od początku podejrzewała, że po zamknięciu sprawy Kamfory Kobza czuła, że ma wobec niej dług. Niewypowiedziany, gdyż Lena nigdy nie ośmieliłaby się nawet o tym wspomnieć. To przekonanie wynikało wyłącznie z zachowania pani inspektor, a także rezerwy, mniejszej niż zazwyczaj. Jakby to, co spotkało Lenę, zmniejszyło dystans między nimi. Swoje podejrzania potwierdziła, kiedy zwróciła się do funkcjonariuszki z prośbą o udostępnienie akt Weroniki Marszałkowskiej. Wprawdzie początkowo spotkała się z niechęcią, ale ostatecznie otrzymała to, na czym jej zależało. I to był właśnie dowód. O ile wiedziała, Kobza nie należała do osób, które rozdają przysługi niczym drobne, a głowę zawsze nosiła wysoko.

Mocne szarpnięcie przerwało jej rozmyślenia. Poleciała do przodu, z trudem ratując się przed upadkiem. Wyrzała przez przednią szybę. Znajdowali się na wysokości stadionu Cracovii. Wokół tłoczyło się pełno samochodów, niektóre powoli zjeżdżały na chodniki, robiąc przejazd. W tym momencie do Leny dotarł głośniejszy z każdą chwilą ryk syreny. Ruch na drodze zamarł na kilka sekund.

Podniosła rękę, by uczynić w powietrzu znak krzyża – znak, który wykonywała automatycznie, odkąd była dzieckiem. Znieruchomiała jednak, gdy przekonała się, że to nie karetka, tylko pędzący na sygnale radiowóz. Tuż za nim jechał ciemny, nieoznakowany samochód o wydłużonym tyle.

Po kilku sekundach ruch wrócił do normy i autobus pojechał dalej.

Pod dom przyjaciółki dotarła dziesięć minut później, już bez żadnych przeszkód. Jej spojrzenie automatycznie powędrowało w stronę auta, które przyciągało wzrok niczym magnes. Stało na podjeździe, skierowane maską do frontu domu. Czerwony niczym strażacki wóz suv był stosunkowo nowym nabytkiem, na który Magda skusiła się w styczniu, po dobrym podsumowaniu finansowym minionego roku, i działał podobnie jak znak stop – nie można było przejść obok bez zatrzymania. Słońce, które na chwilę wyszło zza chmur, podkreśliło błysk lakieru.

Lena już nie mogła się doczekać, aż do niego wsiądzie.

Ruszyła do drzwi wejściowych, a potem, po otwarciu trzech masywnych zamków, które sama wymieniła po włamaniu, do jakiego doszło, kiedy jeszcze tam pomieszkiwała, weszła do domu.

Kluczyki leżały dokładnie w tym miejscu, o którym wspominała Magda – na kuchennym blacie. Zgarnęła je i po chwili wycofała się do wyjścia.

W końcu wsiadła do samochodu. Torebkę rzuciła na siedzenie obok. Włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik. Kiedy sięgnęła po pas bezpieczeństwa, coś stało się z jej ciałem. Zdrętwiała jej ręka, w uszach usłyszała szum krwi, a serce zaczęło bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki

piersiowej.

Zawał – to była pierwsza myśl, która przysła jej do głowy.

Spanikowana, wyciągnęła dłoń i po omacku zaczęła szukać klamki.

Kiedy w końcu udało jej się otworzyć drzwi, ześlizgnęła się z siedzenia i zatrzymała przy aucie na drżących nogach. Z dłońmi opartymi na kolanach pochylała się, próbując złapać oddech. Zajęło jej to dobre kilka minut. Potrzebowała kolejnych paru chwil, żeby się wyprostować, ale nadal chwiała się niczym nowo narodzony żrebak.

Nie wiedziała, co się z nią właśnie stało, ale na pewno miało to związek z samochodem. Od czasu wypadku nie prowadziła. Ostatni raz siedziała za kierownicą, kiedy zaczął się na nią Kamfora. Wtedy też doszło do wypadku. Lena podejrzewała, że to, w jaki sposób zakończyło się jego życie, stanowiło nikłe pocieszenie dla rodzin jego ofiar.

Zrobiła jeszcze jeden głęboki wdech i okrążyła samochód. Potrzebowała torebki, która leżała na siedzeniu pasażera.

Kiedy kilka minut później podjechała taksówka, Lena czekała na poboczu, a całe wydarzenie wydawało się wręcz nierealne. Do tego momentu myślała, że nawet dobrze radzi sobie z przeszłością, jeśli nie liczyć koszmarów, które dręczyły ją tuż po wypadku. Owszem, była trochę bardziej nerwowa, wybuchowa, jakby poziom jej napięcia przesunął się na skali zbyt mocno w prawo. Lecz to, co stało się przy samochodzie... Sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

Droga powrotna do mieszkania minęła jej zadziwiająco spokojnie. Zaskakiwało ją, że podróż taksówką nie wzbudzała w niej silniejszych emocji. Wyglądało na to, że problem pojawiał się tylko wtedy, gdy siadała na fotelu kierowcy.

Tak szybko, że nawet nie zorientowała się kiedy, zatrzymali się przed jej blokiem. Dopiero słowa taksówkarza sprawiły, że wróciła do rzeczywistości. Bez namysłu zapłaciła pięćdziesiąt złotych, nie zauważywszy nawet, że kierowca ją naciągnął, wykorzystując jej roztargnienie. W tym momencie dla Leny te dwadzieścia złotych więcej było niczym w porównaniu z poniesionymi kosztami psychicznymi. I kłopotami, które wiązały się z lękiem przed prowadzeniem samochodu. Z wykończeniem biura bez auta da sobie radę. Problem stanowiła przyszłość. Po uruchomieniu firmy musiała być w pełni mobilna. Przyjmowanie zleceń oznaczało przemieszczanie się w różne miejsca, podróże. Nie mogła liczyć wyłącznie na autobusy, a na korzystanie z taksówek – nawet od czasu do czasu – nie była w stanie sobie pozwolić. Istniał jeszcze jeden problem, który odpychała jak najdalej od siebie. Nie pierwszy raz towarzyszyło jej to nieprzyjemne poczucie, że jest obserwowana. Podniosła rękę i przesunęła po karku palcami, jednak wrażenie nie zniknęło. Wręcz przeciwnie – nasilało się, kiedy tak stała w miejscu.

Rozejrzała się, ale nie zauważyła niczego podejrzanego. Mimo to jej

wymuszone opanowanie zniknęło, jakby w ciągu dnia wykorzystała cały zapas.

Odwróciła się na pięcie i nie zwracając uwagi na to, jak to może wyglądać z boku, pobiegła do klatki, po raz kolejny tego dnia czując, jak jej serce przyspiesza, a dłonie drżą.

LENA OBUDZIŁA SIĘ W ŚRODKU NOCY. Budzik miał zadzwonić dopiero za cztery godziny i siedemnaście minut. Wokół było ciemno, jeśli nie liczyć jasnej smugi światła dochodzącej do miejsca, gdzie zasłona kończyła się około centymetra nad podłogą. Światło latarni znajdującej się po południowej stronie bloku znalazło sobie lukę, niewielkie wejście, i sączyło się do środka.

Nie zwracała na to uwagi. Była przerażona i nie musiała długo szukać przyczyny tego stanu. Obraz z koszmaru zaczął jej się głęboko w pamięci, a na języku czuła metaliczny posmak krwi – najwyraźniej przygryzła sobie wnętrze policzka. Najgorszy był jednak pierwotny lęk związany z walką o przeżycie. Taki, który sprawiał, że cały organizm był w stanie pobudzenia i gotowości do walki, nawet jeśli wróg pozostawał niewidoczny. Adrenalina przesączała się do jej żył tak szybko, jakby dostała ją w zastrzyku. A wszystko to z powodu koszmaru, który ostatni raz miała kilka miesięcy temu. Tego samego, o którym myślała, że zniknął.

Dotknęła szyi. Nadal czuła na niej palce Kamfory, jakby dopiero co zacisnął tam dłonie. Gdy w końcu zwlekła się z łóżka, ruszyła do łazienki i weszła pod prysznic. Była zdenerwowana i zaniepokojona faktem, że zły sen powrócił. W ciągu niecałej doby po raz drugi przekonała się o tym w bolesny sposób.

Odkręciła kurek z gorącą wodą, oparła się dłońmi o ścianę i pochyliła głowę, czując, jak na ramiona spada grad kropel. Bolało. Woda drażniła skórę, ale Lena nie obniżyła temperatury ani ciśnienia. Zawsze po koszmarze była wykończona oraz równocześnie spocona i zmarznięta, jakby faktycznie zanurzyła się w lodowatej wodzie.

W tym momencie pragnęła jednego: zmyć z siebie lepkie wrażenie, które pozostało na jej skórze. To jednak było niemożliwe. Równie dobrze mogła spróbować wymazać je z pamięci. Problem tkwił gdzie indziej.

Kiedy para wypełniła pomieszczenie, a Lenie w końcu zrobiło się cieplej, zakręciła kurek. Owinęła się ręcznikiem i stanęła pośrodku łazienki. Długi prysznic sprawił, że wszystkie lustra pokryły się parą. Rąbkiem ręcznika przetarła szklaną tafelę na tyle, by zobaczyć swoje odbicie. Pożałowała, kiedy tylko wzrok wyłowił przekrwione spojówki. Widoczne wcześniej zasinienie pod oczami przybrało na intensywności, osiągając barwę bakłażana. Teraz cienie wydawały się sztuczne, jakby namalowane, zwłaszcza w zestawieniu z pobladłą cerą. Nawet włosy, które skróciła przed powrotem do Polski, wyglądały nieciekawie, wisząc smętnie wokół twarzy.

Zrobiła głęboki wdech i wsunęła kosmyki za uszy. Na nic innego nie miała

siły. Choć czuła się już lepiej niż godzinę temu, to napięcie pozostało wyczuwalne, zwłaszcza w partiach mięśni najbardziej skurczonych podczas koszmaru.

Dotarło do niej, że choćby nie wiadomo ile razy to sobie powtarzała, sprawa z Kamforą była dla niej równie aktualna jak przed sześcioma miesiącami. A może nawet i bardziej – mimo zakończenia ona wciąż w niej tkwiła. Wszystkie podjęte przez nią kroki i zobowiązania były obciążone przeszłością, która spajała się z jej życiem mocniej niż terażniejszość. A koszmar tylko przypieczętował to, czego przedsmak odczuła już przy samochodzie. Nie potrzebowała więcej dowodów.

W całej tej sytuacji potrafiła ocenić swój stan i to, co mogła zrobić, by go poprawić. Wiedziała, że musi poradzić sobie z przeszłością. Przychodził jej do głowy tylko jeden pomysł. Zamiast stosować uniki przed problemami, musiała w końcu stawić im czoło, a to wiązało się z cofnięciem się do samego początku. Do wydarzenia, od którego wszystko się zaczęło.

Wciągnęła na siebie czystą piżamę i ruszyła do salonu. Akta znalazła w tym samym miejscu, w którym położyła je poprzedniego ranka. Zaparzyła sobie zielonej herbaty i usiadła na sofie, zarzucając koc na ramiona.

Otworzyła teczkę i jej wzrok spoczął na pierwszej stronie. Papier był biały, lekko pofalowany, jakby przechowywany w zawilgoconym miejscu. Zawierał informację o umorzeniu śledztwa. W lewym górnym rogu znajdowała się czerwona, lekko wypłowiała pieczęć prokuratury okręgowej.

Szybko przewertowała pozostałe kartki, zauważając na brzegach lekkie zagięcia powstałe od częstego przewracania. Potem zaczęła czytać.

Piątek, 18 września

ROZDZIAŁ 8

WRÓŃSKI SKRĘCIŁ W ULICĘ RACIBORSKĄ, przejechał kilkaset metrów i odbił w Przemiarce, a potem jechał nią aż do końca, z prawej strony mijając dwa bloki. Zwolnił dopiero przy ostatnim i na wysokości drugiej klatki schodowej zaparkował za czarnym suzuki ze zniszczoną karoserią. Jeśli sądzić po umiejscowieniu wgłębienia i resztkach czerwonej farby na zderzaku, ktoś zaliczył bliskie spotkanie z hydrantem.

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał siódmą trzydzieści, ale Zagórskiego jeszcze nie było.

Wyłączył silnik i zaczął słuchać wiadomości. Nawet najnowsze informacje ze świata nie potrafiły jednak odciągnąć jego myśli od czekającej go autopsji. Drażniła go ta słabość – była niczym skaza charakteru, zwłaszcza że inne drastyczne widoki tak na niego nie działały. Widział różne oblicza śmierci. Gwałtowne i niemal bezbolesne, powolne i pełne cierpienia. Poruszały go, ale w inny sposób. Budziły złość i były siłą, która napędzała go, by nie odpuszczać, dopóki odpowiedzialna za nie osoba nie znalazła się za kratami.

Za to z trudem znosił autopsję. Już teraz jego wrażliwy żołądek dawał o sobie znać, choć do rozpoczęcia sekcji zostało jeszcze trochę czasu.

Nagle uderzenie w bagażnik sprawiło, że odwrócił głowę i zerknął za siebie. To Zagórski zaanonsował swoje przybycie. Tomek obserwował, jak kolega obchodzi samochód i otwiera drzwi od strony pasażera.

– Przepraszam za spóźnienie! – powiedział, szybko zajmując miejsce.

– Spoko. – Wroński uruchomił silnik. Jemu spóźnienie nie robiło większej różnicy, dopóki nie przekraczało dziesięciu minut. Do punktualności podchodził z większym spokojem niż Zagórski, który miał w sobie jeszcze stare przyzwyczajenie zapewne z czasów wojska. – Już miałem sprawdzać, czy nic ci się nie stało.

– Bardzo śmieszne!

Tomasz nie przestawał się szczerzyć, nawet kiedy Jakub rzucił mu wymowne spojrzenie.

– No co? – spytał, podnosząc ręce w obronnym geście.

Zagórski nie odpowiedział. Nie był w nastroju do żartów. Niewielka liczba godzin, jaką przespał w ostatnim czasie, skutkowałą wzmożoną irytacją. Dagmara miała rację, coś należało z tym zrobić

– Lepiej już jedźmy! – Wskazał palcem drogę. – Nie każmy Kreuzowi czekać.

W milczeniu wyjechali z osiedla i skręcili na pierwszym skrzyżowaniu. Minęli Tesco na Kapelance, przecięli rondo Grunwaldzkie i po odstaniu dziesięciu minut w korku na Dietla pojawili się na Grzegorzeckiej.

Dotarli na miejsce tuż przed ósmą. Znalezienie wolnego miejsca nie wiązało się z żadnym wyjątkowym szczęściem, choć to, że zaparkowali niedaleko głównego wejścia, mogło już nim być.

Budynek Zakładu Medycyny Sądowej miał nieregularną konstrukcję: tył był szerszy niż front budynku. Elewacja – szara, ciemniejsza na dolnym odcinku – wyglądała, jakby ktoś obsypał budynek popiołem.

Szybko weszli do środka, minęli kantorek mieszczący się po lewej stronie i schodami dotarli na poziom noszący nazwę wysokiego piętra. Tak naprawdę wysokością odpowiadało dwóm kondygnacjom.

Łukowaty korytarz był jeszcze pusty. Zawieszane na żółtych ścianach czarno-białe fotografie przedstawiały spory wycinek historii budynku. Wraz z kilkoma ławkami ustawionymi pod ścianą i licznymi roślinami po drugiej stronie sprawiały pozytywne wrażenie. Jedynym mankamentem był ledwo wyczuwalny, charakterystyczny, ostry zapach, przesączający się na korytarz.

Gdy zatrzymali się przed gabinetem Zygmunta Kreuza, Jakub zapukał i po chwili otworzył drzwi. Złapali patologa akurat, gdy stojąc przy biurku, nalewał sobie kawy.

– Dobrze, że jesteście – odezwał się na ich widok. – Asystent właśnie kończy myć ciało.

Jakub obserwował, jak Kreuz z kubkiem w dłoni wychodzi na korytarz, zamyka za sobą drzwi, a potem wolną dłonią wskazuje kierunek niczym kustosz w muzeum podczas oprowadzania wycieczki.

– Początkowy etap już za nami – zaczął mówić. – Zdjęcia ciała, w takim

stanie, w jakim tutaj trafiło, ubrań... Wszystko jest już udokumentowane. Zabezpieczyłem również kilka próbek włosów i włókien, które przetrwały zapewne tylko dlatego, że weszły pomiędzy inne nici ubrania.

Szli dalej. W pewnym momencie korytarz skręcał w prawo. Ściany w tym miejscu także ozdabiałały obrazy przedstawiające panoramę miasta.

– Mam nadzieję, że coś z tego będzie – kontynuował medyk. – Zapewne mielibyśmy więcej, gdyby większości nie zabrała woda. Przed waszym przybyciem pobrałem także próbkę biologiczną spod paznokcia. Wątpię, by znalazło się tam coś wartościowego, ale sprawdzić trzeba.

– Kiedy przyjdą wyniki? – spytał Zagórski.

Kreuz spojrział na niego z ukosa. Idący po prawej stronie Jakuba Tomasz tylko przysłuchiwał się rozmowie.

– Do tygodnia, góra półtora – odpowiedział, zatrzymując się na końcu korytarza przed drzwiami prowadzącymi do sali sekcyjnej.

Kiedy mężczyźni weszli do prosektorium, zastali wszystko dokładnie tak, jak zakładał Kreuz. Asystent właśnie zamykał dopływ wody umieszczony na stole sekcyjnym, za pomocą baterii podobnej do tej, jaką Zagórski miał nad zlewem w swojej kuchni.

Centralną część sali zajmowały trzy stanowiska i gdyby wymagała tego sytuacja, równocześnie mogło pracować tutaj kilka zespołów. Wysokie okna o każdej porze dnia były zasłonięte roletami. Jedyne źródło światła w pomieszczeniu stanowiły zamontowane na suficie lampy.

Jakub wszedł do prosektorium jako ostatni i ruszył do środkowego stołu, na którym leżała ofiara. Przy takim wyeksponowaniu ciała brak głowy sprawiał jeszcze gorsze wrażenie niż wcześniej. Skóra na brzuchu przybrała zielonkawy kolor. To, co wcześniej widzieli w terenie, było jedynie fragmentem zabarwienia, które obecnie objęło już cały brzuch i rozchodziło się dalej.

Wzrok komisarza zatrzymał się na odzieży denata popakowanej w foliowe worki. Każdy element garderoby zmarłego należało opisać i skatalogować. Skrupulatność Kreuza i jego zamiłowanie do przestrzegania zasad działały na ich korzyść.

Zagórski pamiętał dokładnie, co denat miał na sobie. Levisy i koszulę z tej samej firmy. Obie rzeczy można było znaleźć w większości galerii handlowych. Wiedział o tym, bo sam robił tam zakupy, gdy jedna z dwóch par spodni była zniszczona na tyle, że nawet na spacer po lesie by w nich nie wyszedł. Z tą myślą podszedł pod ścianę i oparł się plecami o jedną z szafek ustawionych w równym rzędzie.

Wroński wziął z niego przykład, ale zajął najbardziej oddalone miejsce na końcu sali. Za każdym razem, gdy przekraczał próg prosektorium, odliczał sekundy do momentu, w którym będzie mógł je opuścić. Nie pamiętał już, ile razy błędził

spojrzeniem po jasnych płytkach posadzki czy też tych na ścianie. Tym razem jego wzrok zatrzymał się na okrągłym zegarze nad drzwiami. Od wejścia minęły dopiero może ze dwie minuty, mimo to miał wrażenie, że spędził w tym miejscu przesiąkniętym ostrym zapachem chemikaliów znacznie więcej czasu. A sekcja jeszcze się nie zaczęła.

Patolog ściągnął z wieszaka dwukolorowy fartuch – przód był niebieski, z lekko połyskującej tkaniny, natomiast tył biały – i nasunawszy go na ramiona, obwiązał się nim w pasie. Jakub obserwował ze swojego miejsca, jak Kreuz zakłada plastikowe okulary, a następnie naciąga rękawiczki jednorazowe.

Po chwili, gdy był gotowy, podszedł do stołu i spojrzał na ciało w sposób zdradzający, że zajmuje się tym połowę swojego życia.

– Wszyscy już wiemy, że nie ma co czekać na prokuratora – powiedział, spoglądając na Zagórskiego. Gdy komisarz skinął głową, kontynuował: – Zatem zacznijmy od brakującej części. – Kreuz pochylił się nad miejscem, w którym zaczynał się korpus. – Nie widzę krwawych wylewów w miejscu cięcia, co oznacza, że dekapitacji dokonano po śmierci. Najprawdopodobniej użyto w tym celu siekiery.

Jakub zanotował sobie te informacje. Szczególnie pierwsza była istotna, ponieważ wiele mówiła o sprawcy. W swojej pracy spotykał się z różnymi sytuacjami, gdzie części okaleczeń dokonywano po śmierci, inne, te bardziej przerażające, zazwyczaj powstawały jeszcze za życia ofiary. To, co teraz dokładnie prześledzą, było zapisem tortur, jakim poddano mężczyznę.

– Głowa może dostarczyć wielu informacji, dlatego szkoda, że nie możemy jej zbadać – dodał medyk i sięgnął po skalpel oraz zapalniczkę.

Zagórski z ciekawością patrzył na odbywający się przed oczami pokaz. Patolog zrobił nakłucie w miejscu, w którym brzuch był najbardziej nabrzmiąły, a potem przystawił do otworu palnik. Wydobywający się z ciała gaz zabarwił płomień na niebiesko.

– Metan – wyjaśnił zebranym.

Jakub usłyszał, jak Wroński gwałtownie wciągnął powietrze. Widocznie spektakl zrobił wrażenie odwrotne do zamierzonego. Zagórski podejrzewał też, że Kreuz pokazywał studentom taką sztuczkę już niejedną raz, by ich rozluźnić.

Po chwili medyk odłożył palnik na sąsiedni stolik i poprawił w dłoni skalpel.

– No to sprawdźmy, co ten dżentelmen ma nam do powiedzenia – zaproponował i ostrzem naciął skórę, zaczynając od okolic kości łonowej.

Przesunął skalpel ku wyższym partiom ciała, przecinając także pozostałe tkanki, kierując się aż do mostka. Skóra ustępowała pod naciskiem stali z cichym sykiem, przypominającym ten, który wydaje uciekające z przebitej opony powietrze. Nagromadzone w ciele gazy szukały ujścia. Potem cięcie rozeszło się, biegnąc pod kątem czterdziestu pięciu stopni w kierunku ramion. Kształtem

przypominało literę Y.

Milczący asystent zebrał nadmiar skóry z klatki piersiowej, ułatwiając Kreuzowi dostęp do żeber. Pracowali w skupieniu.

Patolog sięgnął po przygotowane na tacy nożyce, bardziej przypominające ogrodniczy sekator, i zabrał się do przecinania żeber. Każdemu ruchowi towarzyszyło nieprzyjemne, głucho chrupnięcie.

Jakub zerknął na Tomasza, sprawdzając, jak ten to znosi. Do tej pory radził sobie całkiem nieźle i jedynie bladeść skóry oraz wzdrygnięcie podczas każdego kolejnego dźwięku zdradzały, że stara się nad sobą panować. Wroński był świetnym policjantem, ale na tę jedną rzecz nie miał wpływu – z czasem stała się jego przekleństwem i pożywką dla dowcipów krążących na komendzie. W trakcie autopsji stawał się nerwowy jak nastolatka przed pierwszą randką.

Jakub nie miał z tym większych problemów. Traktował sekcję jak obowiązek – przykry, jeden z wielu, jakie musiał wykonywać. Ale gdyby miał wybór pomiędzy papierkową robotą a spędzeniem dwóch godzin w prosektorium, bez wahania wybrałby drugą opcję.

Spojrzał na patologa, który właśnie wyciągnął mostek, odsłaniając płuca i serce denata. Kreuz przeprowadzał badanie w ciszy, odzywając się tylko wtedy, kiedy było to potrzebne. Najwyraźniej z tym asystentem pracował już dość długo. Stanowili zgrany zespół. Tam, gdzie kończył jeden, zaraz zaczynał drugi.

Gdy młodszy z mężczyzn zebrał resztę skóry znajdującej się niżej, ukazało się wnętrze jamy brzusznej.

Kreuz w pierwszej kolejności wyciągnął płuca i serce, które dokładnie obejrzał. Równie wnikliwej analizie poddał pozostałe organy. Szukał jakichkolwiek anomalii, które mogłyby pomóc w sprawie. W tym przypadku autopsja nie służyła dokładnemu zważeniu i opisaniu każdego z organów. Koncentrowali się na zmianach, szukali odpowiedzi, wyjaśnienia, w jaki sposób denat zginął.

Dokładniejsze pomiary przeprowadziliby, gdyby na którymś narzędzie uwidoczniły się chorobowe tkanki.

– Wezmę próbki do dalszych badań toksykologicznych i histopatologicznych – powiedział Kreuz, pobierając wycinek z serca i płuc.

– Kiedy będą wyniki? – spytał Jakub. To pytanie było jednym z najczęstszych, jakie zadawał patologom, tuż obok tego o czas zgonu.

Patolog nie podniósł głowy.

– W poniedziałek, najpóźniej we wtorek wyjaśni się, czy w chwili śmierci był pod wpływem alkoholu.

Jakubowi to nie wystarczyło. Wiedział, że wynik na alkohol będzie dodatni. Podczas fermentacji gnilnej powstawał on z glukozy i rozkładu aminokwasów. To, czy ktoś wcześniej pił, można było ustalić tylko na podstawie jego ilości. Po takim

czasie bardziej przydatna byłaby informacja o zawartości innych substancji, które mogliby znaleźć.

– A reszta?

Kreuz wzruszył ramionami.

– Jakież dwa tygodnie.

Czyli mniej więcej tyle, ile będą czekać na wyniki z wcześniejszych próbek, o których wspominał patolog. Jakub przyjął to do wiadomości i pozwolił Kreuzowi robić swoje.

Po drugiej godzinie sekcji medyk był gotowy przedstawić pierwsze wnioski. W samą porę – Zagórski powoli zaczynał się już niecierpliwić.

– Wiek mężczyzny oceniam na około czterdzieści do pięćdziesięciu lat. Uwzględniając proporcje ciała, mogę stwierdzić, że miał około metra siedemdziesiąt wzrostu, ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów. Po owłosieniu na klatce piersiowej i rękach, a także po kolorze skóry wnioskuję, że był rasy kaukaskiej.

– Możesz coś powiedzieć o czasie śmierci?

Patolog pokręcił głową.

– Nic ponad to, co wcześniej – odparł, podobnie jak wtedy rozkładając ręce na boki. – Pozostaje tylko orientacyjny czas zgonu i niestety, zamiast go zawęzić, tylko go poszerzę. Wcześniej mówiłem, że może nie żyć nawet z dziesięć dni, ale bezpiecznie będzie przyjąć pełne dwa tygodnie.

Zagórski wiedział, że na pewne pytania nie zawsze można poznać odpowiedź. Miał nadzieję, że sekcja dostarczy jakichś innych punktów zaczepienia. W tym momencie każda informacja mogła być przydatna.

Kreuz mówił dalej.

– Podsumowując: śmierć mogła nastąpić nawet dwa tygodnie temu. Denat jest dobrze po czterdziestce. Powiedziałbym nawet, że zbliżał się do pięćdziesiątki, co sugeruje stan organów wewnętrznych. Gdyby nie zginął teraz, najprawdopodobniej zmarłby w wyniku zawału lub udaru w najbliższych kilku latach. Cierpiał na hipercholesterolemię. – Nim padło pytanie z prośbą o tłumaczenie, wyjaśnił: – To rodzaj zaburzenia, w którym organizm nie radzi sobie z usuwaniem z krwi nadmiaru cholesterolu. W efekcie odkłada się on w żyłach, sukcesywnie zmniejszając ich prześwit. Dużo osób nie zdaje sobie sprawy, że cierpi na tę chorobę, dopóki nie jest za późno, nie podejmuje więc wcześniejszego leczenia.

Zagórski zaczął zastanawiać się nad zawężeniem poszukiwań, biorąc pod uwagę tę jednostkę chorobową.

– To rzadkie schorzenie?

– Nie na tyle, by iść tym śladem. – Patolog ostudził jego zapał. – W wyniku hipercholesterolemii powstają złogi, które mogą prowadzić do powstania

miażdżycy i choroby wieńcowej. Czyli dokładnie takiego pakietu, jaki miał denat. Podwyższony poziom cholesterolu dotknie każdego prędzej czy później – zawyrokował pesymistycznie. – Jeśli ktoś nie ma dodatkowych predyspozycji, początki choroby są widoczne przeważnie już koło czterdziestki i pogłębiają się z wiekiem.

– Czy ofiara mogła wiedzieć, że jest chora? – dociekał Jakub.

– Nie sędzę. Można z tym żyć, nawet dość długo, zażywając sterole. – Mówiąc, Kreuz wymachiwał skalpelem niczym dyrygent podczas koncertu. – Także dzięki odpowiedniej diecie, ćwiczeniom fizycznym i ogólnie dbaniu o siebie. – Odwrócił wzrok od komisarza i ponownie spojrzął na denata. – Ale tutaj nie widzę żadnej z tych rzeczy. A hipercholesterolemia daje oznaki już wcześniej w postaci żółtych plam na kolanach, łokciach i pośladkach. Co prawda z powodu postępującego rozkładu nie są teraz dobrze widoczne, ale gdybyśmy mieli głowę, na powiekach zauważylibyśmy podskórne guzki. Zerknijcie – powiedział, zachęcając ręką, by mężczyźni podeszli bliżej.

Zrobił to tylko Jakub, który przysunął się do patologa od jego lewej strony; Tomasz nie drgnął nawet o milimetr.

W tym czasie Kreuz sięgnął po niewielkie ostre nożyczki, podobne do tych, których kobiety używają do obcinania skórek, i zaczął przecinać żyłę. Ostrze weszło, ale nie mogło się przesunąć dalej, natrafiwszy na jakąś przeszkodę. Kreuz pomógł sobie skalpelem.

Komisarz zerknął na wypatroszoną żyłę i skrzywił się, czując obrzydzenie. Przypomniało mu się, co jadł na śniadanie.

– Popatrzcie na te żółtawe grudki, wyglądem przypominające twaróg. To cholesterol – wyjaśniał Kreuz, nie zwracając uwagi na dźwięki dochodzące z końca sali. Tomasz dobił do swojego poziomu wytrzymałości.

– Facet ciężko pracował na to przez całe swoje życie. – Medyk podniósł głowę i spojrzął na Jakuba. – A tak w ogóle... Kiedy sami ostatnio sprawdzaliście sobie poziom cholesterolu? Jesteście w takim wieku, kiedy to badanie, oprócz prostaty i kolonoskopii, powinniście wpisać sobie do kalendarza.

Zagórski nie dał się wciągnąć w tę dyskusję. Tylko tego mu jeszcze brakowało.

– Czyli gość nie dbał o siebie. – Wrócił do głównego wątku.

Patolog skwitował uśmiechem zmianę tematu. Po chwili jednak spoważniał, koncentrując się na badanym mężczyźnie.

– Tak. Facet nie tylko nie zachowywał diety, ale najwyraźniej był też palaczem. Jeśli oceniać po stanie płuc i znaczących je licznych czarnych naciekach oraz brązowym zabarwieniu węzłów chłonnych, musiał wypalać co najmniej paczkę dziennie, przynajmniej na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Albo też... – podjął Kreuz po krótkim wahaniu – mógł palić mniej, powiedzmy: z dziesięć

papierosów dziennie, ale mieszkać w Krakowie od urodzenia. Dzięki smogowi wszyscy mamy takie nacieki, a ich wielkość zależy od czasu, jaki tutaj mieszkamy.

– Człowiek powinien się zastanowić – odezwał się asystent, pierwszy raz, odkąd zaczęli autopsję. Pierwszy raz w ogóle, jeśli Jakub miałby zliczyć wszystkie sekcje, w których brali razem udział. Jego głos był wysoki jak u nastolatka przechodzącego mutację i zdecydowanie nie pasował do potężnej sylwetki. – Kiedy z dumą oznajmia innym, że jest krakusem. Równie dobrze można powiedzieć: mam chore płuca. Wyszłoby na to samo.

Jakub powoli pokiwał głową. Lecz to nie smog był powodem, dla którego znaleźli się tu tego dnia. Powrócił myślami do sprawy. Niestety, nadal nie miał dużo więcej niż przed autopsją. To, co do tej pory powiedział Kreuz, było mgliste. Cały czas brakowało czegoś, od czego dobrze byłoby zacząć śledztwo.

– Mógł mieszkać w Krakowie i wypalać pół paczki dziennie albo być przyjezdnym z poważnym uzależnieniem od papierosów – podsumował dla podkreślenia braku precyzji.

Patolog przytaknął.

– Nie mówiłem, że będzie lekko – dodał po chwili, czując się zobligowany do wyjaśnień. Wiedział, czego oczekiwali od niego policjanci, ale tym razem nie mógł im tego dać.

Zagórski zapisał w notesie kilka informacji, które zdobyli do tej pory. Orientacyjny wiek denata, czas śmierci, stan fizyczny, który bynajmniej nie ułatwiał im przyszłej identyfikacji. Zapewne połowa mężczyzn w kraju mogła się pochwalić podniesionym cholesterolem. Zastanawiał się, czy i jego żyły były już pozatykane jak u faceta na stole. Dotąd sceptycznie podchodził do wizji wizyt u lekarza, teraz jednak zmienił zdanie. Jedno spojrzenie na zatkane żyły wystarczyło. Wiedział też, że kiedy następnym razem sięgnie po boczek, przed oczami stanie mu scena z prosektorium.

Dopisał jeszcze słowo „palacz”, a potem podniósł głowę znad notatek i zerknął na Kreuzza. Nie zdążył zadać kolejnego pytania, Tomasz go ubiegł.

– Przeszedł jakieś operacje? – spytał ze swojego kąta. Wyglądał, jakby stał tam za karę.

Obaj liczyli na jakieś trafienie. Mało kto w całym swoim życiu nie miał żadnego zabiegu, a po nich zawsze zostawał ślad w kartotekach medycznych.

– Niestety. – Kreuz jednym słowem rozwiął ich nadzieje.

Następnie sięgnął po żołądek, który zostawił sobie na koniec. Położył go na stole sekcyjnym, przeciął skalpelem i zerknął do wnętrza.

– Nie ma tu nic ciekawego – odezwał się po chwili. – Cokolwiek zjadł przed śmiercią, zrobił to na tyle wcześniej, że zdążył wszystko strawić.

Zagórski schował notes do kieszeni. Nie przydał mu się na wiele. Równie dobrze mógł to zapamiętać.

– Czyli nie ma tego za dużo – rzucił, skrzyżowawszy ramiona.
– Jest coś jeszcze – powiedział powoli Kreuz. – Zostawiłem to na koniec. –
Zanim wyjaśnił, o co chodzi, zwrócił się do asystenta: – Pomóż mi go odwrócić.

Po chwili wszyscy mogli zauważyć na plecach denata siniak wielkości męskiej pięści.

– Przed sekcją zrobiliśmy jeszcze tomografię i podczas badania uwidoczniło się pęknięcie w dolnej części prawej łopatki.

Zagórski wyteżył uwagę.

– Stara rana? – spytał, przypatrując się nietypowemu śladowi.

Większe urazy wymagały prześwietlenia, więc także i w takim wypadku gdzieś w szpitalnych dokumentach mógł pozostać jakiś trop.

Odpowiedź patologa wprowadziła go w konsternację.

– Niestety, nie. Stosunkowo świeża, nie dostrzegłem na kości śladów procesu gojenia.

– Do czego zmierzasz? – Zagórski zmarszczył czoło.

Kreuz złączył przed sobą palce w wieżyczkę. Tyle razy miał do czynienia ze studentami, że nie przeszkadzały mu nawet brudne rękawiczki.

– Łopatka jest bardzo twardą kością – wyjaśniał – odporną na uszkodzenia, dodatkowo jeszcze chronioną przez otaczające ją mięśnie. Owszem, często widuję ją pękniętą, szczególnie po wypadkach drogowych; przyznam, że sam po raz pierwszy zetknąłem się z czymś takim. Z całą pewnością ofiara nie brała udziału w zdarzeniu tego typu, ale takie pęknięcie może powstać przy użyciu dużej siły, na przykład na skutek uderzenia kijem bejsbolowym... – Urwał, jakby zastanawiając się nad dalszymi możliwościami. – Także kijem do golfa, może nawet deską, jeśli byłaby odpowiednio wyprofilowana.

Zagórski nareszcie zrozumiał, do czego zmierzał patolog.

– Więc morderca zaszedł go od tyłu.

Kreuz przytaknął.

– Śmierć mogła nastąpić w wyniku uderzenia w głowę, a może nawet strzału z broni. Podczas autopsji nie znalazłem innych dowodów, które tłumaczyłyby sposób jego śmierci. Brak głowy jest jedynym wyjaśnieniem. To tam morderca zadał cios, który pozbawił go życia.

– Coś jeszcze?

Kreuz zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem, czy to istotne, ale zauważyłem na jego dłoniach pewne zgrubienia. Czuć je zwłaszcza przy dotyku.

Zagórski zmrużył oczy, próbując je dostrzec.

– Pracownik fizyczny?

– Ciężko powiedzieć. Pojawienie się odcisków zależy zarówno od uwarunkowań genetycznych, jak i wykonywanej pracy. Widywałem osoby, które

na co dzień pracują na budowie, a ich dłonie były w lepszym stanie niż ręce niejednej kobiety.

– Jego ubrania nie należały do tanich – zauważył Jakub. Nie każdego było stać na zakupy w tej sieciówce. On sam mógł sobie pozwolić na kupno lepszych rzeczy dopiero, gdy zaczął pracować. Lecz nawet wtedy nie chodził w nich często, a po wstąpieniu do wojska problem odzieży miał z głowy. – Spodnie i koszula wyglądają, jakby zostały kupione niedawno.

– No właśnie. Dlatego raczej powiedziałbym, że miał jakieś hobby, i stąd te odciski oraz cienkie poprzeczne nacięcia, szczególnie na kciukach.

Zagórski zastanawiał się nad uzyskaną informacją, jednocześnie odwracając się do Wrońskiego, którego twarz przybierała kolor płytek na ścianie.

– Wzięłeś z samochodu trupa łyżkę?

Kreuz nie zareagował, przyzwyczajony do policyjnego żargonu. Wiedział, o czym mowa. Nazywano tak kawałek łukowato wygiętej blachy wyłożonej papierem. Taki kształt ułatwiał pobieranie odcisków od zmarłych.

Wroński przytaknął, wyjął z torby przyrząd i podał Kubie.

Zagórski naciągnął rękawiczki i podszedł do denata. Gdy skończył, wyraził to, co przyszło mu do głowy.

– Istnieją trzy powody, dla których dochodzi do rozczłonkowania defensywnego. Pierwszy to zabranie przez mordercę części jako trofeum, drugi to próba ukrycia sposobu, w jaki doszło do morderstwa, natomiast trzeci to...

– Utrudnienie identyfikacji – dokończył Wroński, podchodząc bliżej. Po zakończeniu autopsji poczuł się lepiej.

Kiedy dziesięć minut później opuszczali budynek, dochodziła jedenasta. Jakub zerknął na kolegę, który wyciągnął z torby butelkę wody, przewidziawszy, że będzie potrzebna.

– Coraz lepiej ci tam idzie – zauważył i ruszył w stronę samochodu. – Może teraz nawet dasz radę coś zjeść.

Tomek zakrztusił się, a krople wody prysnęły mu spomiędzy warg. Spojrzał na Kubę, jednocześnie ocierając brodę dłonią.

– Nie aż tak – odparł szybko, wyrzucając pustą butelkę do kosza.

Zagórski uśmiechnął się i sprawdził komórkę. Wyciszył ją przed rozpoczęciem sekcji i teraz miał dwa nieodebrane połączenia i kilka esemesów. Wszystkie od tej samej osoby.

– Nici z lunchu – mruknął i otworzył drzwi od strony kierowcy. – Wracamy na komendę. Kobza chce nas widzieć.

Wroński pokiwał głową. Akurat jemu takie rozwiązanie nie przeszkadzało. Poranną autopsją zapewnił sobie post do końca dnia.

– Pewnie chce wiedzieć, czy już rozwiązaliśmy sprawę – stwierdził, zapinając pasy.

Jakub wpatrywał się w boczne lustro.

– Pewnie tak – zgodził się. W duchu przyznał, że prokurator wiedział, co robi, trzymając się z daleka.

ROZDZIAŁ 9

LENA ZAŁATWIŁA NIEZBĘDNE FORMALNOŚCI, by móc wejść na teren komendy, i tak samo jak kilka miesięcy wcześniej, kiedy pierwszy raz tam się pojawiła, przypięła do spodni identyfikator z napisem „GOŚĆ”, a następnie ruszyła w stronę budynku.

Była zdenerwowana. Ten stan utrzymywał się od wczorajszego wieczoru, a potem jeszcze spotęgowały go kolejne koszmary. Dodatkowo teraz czuła niepewność związaną ze spotkaniem, w którym pokładała duże nadzieje. Współpraca z policją była jej zarówno pierwszym, jak i ostatnim zadaniem, dlatego uznała, że własną działalność dobrze byłoby rozpocząć od konsultacji dla służb mundurowych.

Miała jeszcze trochę czasu, kiedy wsiadła do windy, zamiast trójki wybrała więc przycisk ostatniego piętra. Korzystając z okazji, że była już na miejscu, chciała zobaczyć się z Zagórskim.

Na jedenastym piętrze mieścił się cały wydział kryminalny. Sądząc po pustkach panujących na korytarzu, można by pomyśleć, że nikogo tu nie ma. Zapewne część policjantów była w terenie, jeszcze inni siedzieli przy swoich biurkach. Trybiki w maszynie działały bez zarzutu.

Po wyjściu z windy skręciła w prawo, w stronę gabinetu Zagórskiego. Na myśl przychodziły jej różne sposoby rozpoczęcia rozmowy, ale każdy z nich wydawał się sztuczny, wręcz dziecinny.

Zapukała zdecydowanie, stawiając na improwizację.

Ponieważ przez kilka sekund nie doczekała się żadnej reakcji, nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Gabinet był pusty.

– Nie ma go! – odezwał się męski głos zza jej pleców.

Lena odwróciła się i spojrzała na mężczyznę z wąsami tak długimi i zgrabnie zakręconymi, że sam Zagłoba mógłby mu pozazdrościć. Cały czar jednak prysł, kiedy pomiędzy nimi dostrzegła resztki posiłku.

Z trudem hamując odruch obrzydzenia, zapytała:

– A wie pan, kiedy będzie z powrotem?

Mężczyzna spojrzał na plakietkę, a dopiero potem wzruszył ramionami, koncentrując uwagę na jej twarzy.

– Ciężko powiedzieć. Pojechał na sekcję.

– Aha... – Chciała się cofnąć, lecz tamten uniemożliwił jej zrobienie kroku.

– A kto go szuka? – spytał, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z jej zakłopotania.

– Lena Zamojska.

Mężczyzna wsunął resztę kanapki do ust i wymamrotał coś, ale Lena nie zrozumiała ani słowa.

– Przekazać mu? – powtórzył pytanie, przełknąwszy.

Lena pokręciła głową.

– Nie trzeba, skontaktuję się z nim w inny sposób.

– W takim razie mu przekażę – odparł mężczyzna, jakby nie usłyszał odpowiedzi, i oddalił się, pogwizdując pod nosem.

Lena zmarszczyła czoło. Nie rozumiała całej sytuacji. Zupełnie jakby mówili do siebie w innych językach. Nie zastanawiając się nad tym dłużej, pokręciła tylko głową i ruszyła z powrotem do windy.

Zjechała na trzecie piętro; przed uchylonymi drzwiami była dwie minuty przed czasem.

Zapukała.

– Proszę! – rozległ się donośny, lecz nieco stłumiony głos.

Nie dając długo na siebie czekać, otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – odezwała się od progu.

Kobza właśnie skończyła pisać esemesa i podniosła głowę, odkładając komórkę na biurko.

– Dzień dobry, pani Leno. Zapraszam.

Lena zamknęła za sobą drzwi i kiedy weszła do środka, dyskretnie rozejrzała się po gabinecie. Na widok masywnych mebli uznała go za typowo męski, ale w niektórych miejscach dostrzegła elementy łagodzące to wrażenie.

Kobza podniosła się z fotela, obeszła biurko i po chwili zatrzymała się przed Leną z wyciągniętą dłonią.

– Dziękuję, że znalazła pani czas na spotkanie.

Zamojska odwzajemniła uścisk. Zwróciła uwagę, że Kobza nie zmieniła się zbyt mocno przez ostatnie kilka miesięcy. Tylko włosy wcześniej nosiła upięte wysoko na czubku głowy, teraz zrezygnowała z tego na korzyść bardzo krótkiej

fryzury, która jeszcze bardziej zmiękczyła jej rysy. Zresztą niepotrzebnie, bo jeśli chodziło o wygląd, to Kobza sprawiała wrażenie takiej do rany przyłóż. Ale wiadomo było nie od dziś, że rany można było także posypać solą.

Zastępca komendanta policji może i sprawiała wrażenie łagodnej, ale w rzeczywistości była wykuta z najtwardszej stali.

Kobza ponownie obesza biurko i po chwili zapadła się w miękkim fotelu.

– Napije się pani czegoś? – zapytała z dłonią zawieszoną nad telefonem.

Zamojska pokręciła głową; skorzystała z jednego z dwóch krzeseł ustawionych naprzeciw niej i usiadła.

– Nie trzeba, dziękuję.

Kobza odsunęła się od biurka i opadła na wygodne szerokie oparcie. Złożyła przedramiona na podłokietnikach, a dłonie złączyła przed sobą jak do modlitwy.

– Nie będę ukrywać, że jestem zaskoczona pani prośbą – zaczęła, przypatrując się Lenie niczym sokół na chwilę przed przyszpileniem zwierzyny. – Myślałam, że na dobre porzuciła pani Kraków.

Lena odchrząknęła. Mogła się spodziewać, że temat przeszłości będzie pierwszym poruszonym.

– Nie – odparła zdecydowanym tonem. – Wyjechałam, bo musiałam odpocząć od tego miasta i wspomnień związanych z Kamforą.

Pominięła fakt, że wtedy jeszcze nie wiedziała, co zrobi dalej ze swoim życiem.

– Ach, no tak. – Kobza pokiwała lekko głową. – Kamfora. – Wypowiedziała to słowo powoli, z grymasem, jakby miało obrzydliwy smak. Lecząc po chwili wyraz jej twarzy się zmienił. – W sumie nigdy nie miałam okazji podziękować za pomoc w jego wytypowaniu, a także pogratulować sukcesu.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Mówiła to szczerze, bez względu na to, co ją spotkało. – Z jednej strony Kamfora już nie skrzywdzi nikogo, a z drugiej... – zawahała się – wzrosło zainteresowanie tematem mowy ciała. Choć przyznam, że wolałabym, aby informacje o moim udziale w śledztwie nie przedostały się do mediów.

Kobza zacisnęła usta i pochyliła się.

– Ma pani moje słowo, że nie wiem, w jaki sposób zwiedzieli się o tym dziennikarze.

Był taki czas, kiedy Lena podejrzewała, że to sama Kobza dała prasie cynk. Głośne śledztwo było na bieżąco komentowane i towarzyszyło mu duże napięcie, zwłaszcza społeczne. Kiedy więc w końcu doszło do wytypowania mordercy, policja tym bardziej musiała się pochwalić. A to, że skorzystali z niekonwencjonalnych metod, przyciągnęło dodatkową uwagę.

Jednak gdy Lena obserwowała teraz kobietę, nie dostrzegła subtelnych zmian zdradzających kłamstwo. Jej głos był spokojny, oddech miarowy jak na

samym początku rozmowy, a twarz nie pokazywała innych emocji. Nie doszukała się przekazu, który przeczyłby słowom Smoczycy, ponieważ twarz i postawa pozostawały spójne. Wyglądało na to, że Lena wyciągnęła wcześniej błędne wnioski.

– Proszę spojrzeć na to z innej strony – mówiła dalej Kobza. – Dotąd w Polsce komunikacja niewerbalna kojarzyła się jedynie ze skutecznym narzędziem sprawdzającym się w sprzedaży. Szkolono w odpowiednim jej wykorzystaniu osoby zajmujące wyższe stanowiska, nie wspominając już o politykach, natomiast dzięki sprawie Kamfory pierwszy raz pojawiła się wzmianka o zastosowaniu jej w działaniu operacyjnym. I gdyby nie fakt, że dobrze mówić o takich ciekawych rozwiązaniach, zwłaszcza że przynoszą efekty, przetrzepałabym cały wydział i znalazła tego, kto wspomniał o tym sępom. Zapewniam, że na przyszłość taka osoba zastanowiłaby się nie raz ani nie dwa, zanim otworzyłaby usta w pobliżu dziennikarza, oddalonego nawet o sto metrów.

Lena przytaknęła. Teraz nie było sensu do tego wracać, ale wtedy, gdy czytała o tym w nagłówkach serwisów informacyjnych, cieszyła się, że jest oddalona od Krakowa o ponad tysiąc kilometrów.

Nie przyszła tutaj jednak wspominać stare czasy, lecz z konkretną sprawą.

– To właśnie dlatego tu jestem – odezwała się, przechodząc do sedna. – Wróciłam do Krakowa i otwieram firmę związaną dokładnie z tym, czym zajmowałam się jeszcze w Stanach. Konsultacje w zakresie mowy ciała, rozwiązywanie spraw, w których jej znajomość będzie przydatna. I chciałabym zaoferować policji moje usługi. – Wzięła głęboki wdech.

W pokoju panowały zaduch i temperatura stanowczo nieodpowiednia do długich spodni i marynarki. Dzięki niewielkiej farelce stojącej obok biurka w całym gabinecie było gorąco. Od suchego powietrza Lenie zaschło w ustach i zdążyła pożałować, że nie poprosiła chociażby o szklankę wody.

Kobza najwidoczniej lubiła ciepło, gdyż na jej twarzy nie było nawet kropli potu.

– Już pokazałam, jakie możliwości to daje – kontynuowała po chwili Lena spokojnym głosem. – I myślę, że moje doświadczenie może być przydatne także podczas innych dochodzeń.

– Od kiedy? – Kobza uśmiechnęła się, a po chwili pochyliła się w stronę rozmówcy, opierając łokcie na biurku.

– Od października.

– No dobrze. – Krótco trzymała Lenę w niepewności. – Co do ewentualnej współpracy nie trzeba mnie przekonywać. Pomagając policji przy sprawie Kamfory, zyskała pani moje pełne poparcie. Jednak musi pani wiedzieć, że będziemy korzystać z pani pomocy tylko przy trudniejszych sprawach, kiedy będą zawodzić standardowe policyjne metody. Gdy dodatkowe koszty będą miały swoje

uzasadnienie.

Lena skinęła powoli głową. Takie zapewnienie to i tak więcej, niż się spodziewała.

– Widziała się pani z komisarzem Zagórskim? – Kobza szybko przeszła od jednego tematu do drugiego. – Prawdopodobnie to z nim będzie pani współpracować. Dobrze wam poszło ostatnim razem.

– Jeszcze nie miałam okazji. Próbowałam go wcześniej zastać, ale pojechał na autopsję – wyjaśniła, powtarzając słowa napotkanego policjanta.

– A tak. Pracuje nad nowym dochodzeniem.

Coś w sposobie, w jaki o tym wspomniała, sprawiło, że Lena dodała:

– Gdyby była taka potrzeba, to może mogłabym pomóc już wcześniej.

Smoczyca pokręciła głową.

– Nie tym razem – ucięła. – Słyszała pani o ciele znad Wisły?

– Jedyne jakieś wzmianki. – Tylko tyle, ile dowiedziała się z radia, ale nie było to nic więcej ponad to, o czym Kobza już wspomniała.

– W tym przypadku pani umiejętności nam się nie przydadzą – podsumowała tamta, nie wdając się w szczegóły. – Tylko stara policyjna szkoła.

Ostatnim zdaniem Kobza w jasny sposób zasygnalizowała koniec spotkania. Podniosła się z fotela, złączając przed sobą dłonie. Lena planowała powiedzieć coś jeszcze, ale w obliczu tak klarownego przekazu nawet nie spróbowała. Sięgnęła po torebkę i podniosła się z krzesła.

– W razie czego proszę o kontakt – rzuciła, wręczając swoją wizytówkę, i pożegnała się szybko, nie chcąc przedłużyć.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, uśmiechnęła się pierwszy raz tego dnia. Spotkanie okazało się więcej niż obiecujące.

Wyciągnęła z torebki chusteczkę i otarła wilgotną twarz. Nawet na zajęciach krav magi nie spociała się tak, jak w gabinecie Kobzy. Był to jednak niewielki koszt w porównaniu z korzyściami, jakie mogła jej przynieść ta rozmowa.

Ruszyła do windy, po drodze sprawdzając komórkę. Miała jedno nieodebrane połączenie od ojca i esemesa od Magdy. Zaczęła od przyjaciółki, która pytała o wrażenia po rozmowie w sprawie ewentualnej współpracy.

Dźwięk windy oznajmił otwarcie drzwi, więc Lena weszła do środka. Odpisywała na wiadomość i nie rozglądała się na boki. Dopiero gdy wypowiedziano na głos jej nazwisko, podniosła głowę. Mężczyznę, który się odezwał, był Tomasz Wroński. A tuż obok niego stał Jakub Zagórski.

– Cześć! – Uśmiechnęła się do nich pozytywnie zaskoczona. Myślała, że skoro nie zastała Kuby, spotkają się dopiero przy innej okazji.

Mężczyźni najwyraźniej nie byli zdziwieni jej obecnością na komendzie. Cofnęła się, robiąc im miejsce, by mogli wysiąść. Oprócz nich windę opuściły jeszcze dwie inne osoby. Wroński ewidentnie chciał coś powiedzieć, lecz nie

zdążył, bo Jakub klepnął go w ramię.

– Smoczyca już czeka. Lepiej idź tam, ja zaraz do was dołączę.

Następnie, nie zwracając już na partnera uwagi, spojrzął na Lenę.

– Co tutaj robisz?

Zamojska przyglądała się jego twarzy. Szukała zmian, jakie mogły na niej zajść przez pół roku. Nie zauważyła jednak niczego nowego.

– Miałam spotkanie z Kobzą.

Jakub potrząsnął głową. Nie o to mu chodziło.

– Ale co w ogóle tutaj robisz? – ponowił pytanie z naciskiem na słowo „tutaj”. Nie dając jej czasu na odpowiedź, dorzucił: – Wpadłeś do Krakowa w odwiedzinach?

– Nie, otwieram swoją firmę. Będę udzielać konsultacji z wykorzystaniem komunikacji niewerbalnej.

A jednak go czymś zaskoczyła.

– Zapowiada się dobrze – skomentował krótko, w palcach obracając kółeczko, do którego był przyczepiony kluczyk do samochodu.

Lena mówiła dalej, mając dziwną potrzebę wypełnienia ciszy.

– Co prawda na razie jestem na etapie przygotowań, odświeżam wynajęte mieszkanie, oprócz tego wykańczam przyszłe biuro... Ale jak to się mówi: do przodu. – Posłużyła się frazą, której normalnie nigdy by nie użyła. Nie była w jej stylu. Bardziej kojarzyła się Lenie ze starszym pokoleniem.

Przełknęła niezadowolenie. Ich rozmowa nie wyglądała nawet w połowie tak, jak niegdyś to sobie wyobrażała. Przypominała raczej taniec początkujących tancerzy, gdzie każdy z nich poruszał się w rytm innej muzyki, ciągle nadeptując partnerowi na palce. Zamiast przyjemności odczuwała skrępowanie.

– Lena... – odezwał się Jakub w tym samym momencie, kiedy Zamojska postanowiła zakończyć tę dziwną rozmowę.

– Będę się zbierać. – Uśmiechnęła się. – Co chciałeś powiedzieć?

Otworzył usta, lecz zanim zdążył się odezwać, na korytarzu rozległ się donośny głos, tak wyraźny, jakby szefowa stała obok nich, a nie znajdowała się za zamkniętymi drzwiami.

– Zagórski!

Lena w końcu zrozumiała, dlaczego podczas rozmowy z Kobzą odniosła wrażenie, że jej głos jest jakby stłumiony. Najwyraźniej Smoczyca nie ujawniała pełni swoich możliwości, bo inaczej nie miałyby do kogo mówić.

Na twarzy Jakuba pojawił się słaby uśmiech. Czymkolwiek wcześniej chciał się z nią podzielić, zatrzymał to dla siebie.

– Muszę już iść – mruknął.

– Jasne, może umówimy się na kolację? Ja stawiam – dodała z uśmiechem, od którego rozboleły ją kąciki ust.

Jakub przytaknął, ale myślami najwyraźniej był już gdzie indziej.

– Jasne, masz ten sam numer co wcześniej?

– Tak.

Kolejny wrzask przeciął powietrze.

– Naprawdę muszę już iść. – Zagórski skinął głową na pożegnanie i ruszył w stronę pieczary Smoczycy.

Lena odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem. Wiedziała od Magdy, że po tym, jak wyjechała z Krakowa, Zagórski próbował się z nią kontaktować. Po sprawie z Kamforą faktycznie uciekła. Uciekła od Krakowa, od męża i od wspomnień – tych złych było dużo więcej niż dobrych, dlatego postanowiła zerwać większość kontaktów. Czy postąpiłaby tak jeszcze raz? Nie, ale wtedy tamto rozwiązanie wydawało jej się dobre. Gdy balast zbyt mocno przyciskał ją do ziemi, najprostszym rozwiązaniem było po prostu go zrzucić.

ROZDZIAŁ 10

KIEDY LENA OPUŚCIŁA KOMENDĘ, zatrzymała się na moment przed budynkiem i spojrzała w górę. Nie zmienił się od momentu, gdy widziała go ostatni raz. Jedynie bardziej poszarzał. Jedenaście pięter pięło się prosto do nieba o barwie smogu, mieszaniny szarości z domieszką brudnej żółci. Zamiast kawałka nieba miała zawieszoną nad sobą chmurę pyłów.

Skierowała się w stronę mniejszego budynku, położonego tuż przy bramie. Przy szlabanie dwa samochody czekały na zgodę na wjazd. Zwróciwszy identyfikator, ruszyła w stronę przystanku tramwajowego.

Gdy dotarła na miejsce, sprawdziła godzinę, a potem zerknęła na rozkład jazdy. Niestety, czwórka odjechała dwie minuty wcześniej. Na przystanku przebywało zaledwie kilka osób, lecz cała ławka była zajęta. Stała z boku, osłaniając się przed wiatrem, i zastanawiała się nad resztą dnia. Mogła wrócić do domu i uporządkować resztę rzeczy. Sama myśl wystarczyła, by odrzuciła ten pomysł. Do tej pory miała obolałe ramiona i potrzebowała krótkiej przerwy. A i tak podejrzewała, że przez dłuższy czas zawsze w tym mieszkaniu będzie jeszcze coś do zrobienia.

Mogła również trzymać się pierwotnego planu, zakładającego wyjazd do Ikei, ale po chwili zmieniła zdanie. Na włóczenie się po sklepie w tłumie ludzi nie miała najmniejszej ochoty. Kiedy próbowała określić, co chciałyby, a nie co powinna zrobić, jej myśli podążyły w innym kierunku. Do Weroniki Marszałkowskiej.

Czytanie akt zaczęła w salonie, lecz po niespełna piętnastu minutach, czując przenikający chłód, przeniosła się do łóżka. Kaloryfery były zimne, sezon grzewczy jeszcze się nie rozpoczął. Jak dowiedziała się w ostatnim czasie, do

uruchomienia ogrzewania spółdzielnia potrzebowała jeszcze dwóch dni, a potem Lena powinna cieszyć się temperaturą na poziomie przynajmniej dwudziestu stopni. Jak na razie nieodłącznymi elementami jej garderoby pozostawały grube swetry. Do tego czasu musiała jakoś dać sobie radę.

Teczkę z aktami zamknęła parę minut po szóstej. Co prawda przeczytanie wszystkiego zajęło jej niecałą godzinę, lecz spędziła nad całością więcej czasu, wracając do niektórych informacji jeszcze po kilka razy, analizując je ze szczególną uwagą, jakby co najmniej szukała drugiego dna. Może właśnie tak było.

Kiedy w końcu podjęła decyzję, że przeczyta akta, liczyła na to, że znajdzie w nich także informacje na temat życia Weroniki Marszałkowskiej, ale – jak się można było spodziewać – większość stron zajmowało samo śledztwo i krótkie podsumowanie.

Najwięcej czasu zajęło Lenie zapoznanie się z niektórymi określeniami i nową dla niej terminologią. Pewne trudności napotkała też przy protokole z rekonstrukcji.

Zasiadając do lektury, wiedziała jedynie, że kobieta zginęła przed ponad dwoma laty w wypadku samochodowym. Nie miała pojęcia, że po wnikliwym śledztwie i zrekonstruowaniu wypadku okazało się, że nie było w nim jednak nic przypadkowego. Został wręcz zaplanowany. Weronika Marszałkowska zdecydowała się popełnić samobójstwo i wybrała taki właśnie sposób rozstania się z życiem.

Był jeszcze jeden wątek, który zaskoczył Lenę: informacja, jakiej dostarczył śledczym brat Weroniki, Piotr Marszałkowski. Niedługo przed śmiercią siostra zostawiła mu nagranie na pocztce. Było to pożegnanie.

Lena dwa razy sprawdzała w aktach, czy nie sporządzono transkrypcji tej wiadomości, ale jej nie znalazła. Zapis musiał istnieć gdzieś w formie cyfrowej, do której nie miała dostępu.

Domyślała się, że policja, mając dowód w postaci nagrania, zaczęła prześwietlać życie Marszałkowskiej. Wtedy też wyszło na jaw, że Weronika chorowała na depresję już od okresu adolescencji i od tego czasu pozostawała pod opieką lekarzy. Jak udowadniały dwie nieudane próby samobójcze, czasami nawet leczenie nie pomagało.

Weronika nie była pozostawiona sama z tą chorobą. Chodziła na terapie, leczyła się również w ośrodkach zamkniętych, gdy było już tak źle, że nie mogła sama o siebie zadbać. Lena podejrzewała, że jej życie było nakreślone okresami wzlotów i upadków, coraz boleśniejszych. Terapia musiała przecież od czasu do czasu prowadzić do poprawy, ale ostatecznie wygrała depresja i kolejna próba samobójcza już się powiodła.

Za pierwszym razem Weronika zdecydowała się na drastyczny krok – podcięcie żył w wannie. Nie zawsze prowadziło to do śmierci – Lena wiedziała, że

niektórzy sięgali po żyletkę, by zwrócić na siebie uwagę, kiedy nie mogli sobie poradzić ze swoimi słabościami i problemami.

Dla innych miało to być rozwiązanie ostateczne. Adnotacja w aktach o sposobie, w jaki Weronika podcięła sobie żyły, pozwoliła Lenie sądzić, że tu nie było mowy o żadnym wołaniu o pomoc. Chciała po prostu umrzeć. Przeżyła tylko dzięki szybkiej reakcji sąsiadki z piętra niżej, którą zaląła woda z przeciekającej wanny. Po tym zdarzeniu Marszałkowski wysłał siostrę na przymusowe leczenie. To jednak nie powstrzymało kobiety przed podjęciem kolejnej próby, dwa lata później. Wtedy wybrała inny sposób: lekarstwa. Zażyła większość medykamentów, które trzymała w apteczce. I – podobnie jak wcześniej – miała szczęście, choć pewnie sama miała na ten temat odmienne zdanie. Tym razem odratował ją brat. Zdążył w ostatnim momencie. Jeszcze godzina i nie byłoby szans na ratunek.

Dlatego gdy Marszałkowska zdecydowała się na trzecią próbę, chciała mieć pewność, że tym razem nikt jej nie powstrzyma. Odebrała sobie życie, wjeżdżając w przydrożne drzewo z dużą prędkością.

Do trzech razy sztuka, pomyślała Lena ze smutkiem. A więc zagadka i cała ta tajemnica rozwiązane. Skuliła ramiona i poprawiła szal, gdy mocny podmuch wcisnął jej się za kołnierz. Z jakiegoś niejasnego powodu, chociaż wiedziała o Weronice, nie potrafiła odpuścić. Sprawa była zamknięta, ale Lena nadal odczuwała niedosyt. Niedosyt, który wręcz się nasilił po przeczytaniu akt.

Dlatego kiedy przyjechał jej tramwaj, nie wsiadła do niego. Pamiętając, na którym osiedlu mieszkała Weronika, ponownie podeszła do tablicy z rozkładem jazdy i sprawdziła numer tramwaju na Kurdwanów. Wiedziała, że podeszła do całej sprawy zbyt emocjonalnie, a konsekwencją tego był kolejny nieprzemyślany ruch. Działając pod wpływem impulsu, postanowiła udać się w miejsce, gdzie przez kilka lat mieszkała Marszałkowska. Chciała wiedzieć więcej. Gdzie i jak żyła? Weronikę, czy tego chciała czy nie, otaczały inne osoby, które musiały wiedzieć coś na jej temat. W aktach nie było nic, co pozwoliłoby Lenie wyobrazić ją sobie jako żywą, oddychającą osobę.

Niestety, nie było bezpośredniego połączenia i w połowie drogi czekała ją przesiadka. Gdy przyjechała dziewiątka, wsiadła do pierwszego wagonu i bez problemu znalazła wolne miejsce za motorniczym. Tramwaj dopiero nabierał pasażerów, kierując się do centrum. Podparła głowę na dłoni i przypatrywała się miastu zza szyby. W miarowym bujaniu znalazła coś uspokajającego.

Na Wielickiej przesiadła się na szóstkę i pojechała nią już do samego końca, aż do pętli. Wreszcie dotarła na miejsce. Wokół panowała specyficzna szarość charakterystyczna dla tej pory roku – przytłaczająca i nieprzyjemna jak przyciasny, niewygodny sweter. Do zimy było jeszcze daleko, ale Lena już zatęskniła za ciepłymi i długimi dniami.

Przebiegła ulicę Witosa i zatrzymała się przed tablicą informacyjną. Szeroka

na trzy metry, długa na dwa, pozwalała rozeznaczyć się w umiejscowieniu bloków. Ponumerowane budynki na planie wyglądały jak klocki Lego, które dziecko ułożyło zbyt ściśle obok siebie.

Z torebki wyciągnęła teczkę. Wzięła ją ze sobą na spotkanie z Kobzą, żeby ją zwrócić, ale zupełnie o tym zapomniała. Otworzyła ją i szybko przerzuciła trzy pierwsze kartki. Odwróciła stronę i przebiegając wzrokiem po drobnym, lekko pochyłym piśmie z ładnie zaokrąglonymi literami, bardziej pasującym do kobiety niż męskiego nazwiska znajdującego się na końcu dokumentu, sprawdziła numer budynku. A potem odszukała go na tablicy.

Schowała teczkę do torebki i ruszyła wzdłuż linii drzew ciągnących się aż do pierwszego bloku. Potem skręciła w lewo i po paru minutach zatrzymała się pod właściwym numerem. Nagle nie wiedziała, co dalej zrobić. Zerknęła na zegarek, czując na sobie wzrok starszej pani, która przewieszając się niebezpiecznie przez okno na drugim piętrze, opierała się łokciami na parapecie i obserwowała wszystko w zasięgu wzroku. W tym momencie jej szczególną uwagę zwróciła Zamojska.

Lena podeszła bliżej, pod samą klatkę, i zadarła głowę.

– Dzień dobry – odezwała się pierwsza. – Chciałam zapytać, czy może kojarzy pani pewną osobę, Weronikę Marszałkowską? – A gdy nie było żadnej reakcji, dodała: – Jakiś czas temu mieszkała w tym bloku.

Wyraz twarzy kobiety nie zmienił się. Może jedynie poruszyły się jej wąsy, kiedy burknęła coś pod nosem. Lena nie musiała być specjalistką od mowy ciała, by wiedzieć, że niczego się od niej nie dowie.

– Wystarczyło powiedzieć „tak” lub „nie” – mruknęła i odwróciła się. W tym samym momencie jej spojrzenie padło na młodą kobietę, która walczyła z ciężkimi drzwiami napierającymi na wózek.

– No, otwórz się!

– Proszę poczekać, pomogę pani! – Lena ruszyła w jej stronę. W wózku zauważyła drobną buzię kilkumiesięcznego chłopca, który smacznie drzemał.

– Dziękuję! – sapnęła nieznajoma. – Już kilka razy zgłaszałam, że drzwi się blokują, ale wygląda na to, że oprócz mnie nikomu to nie przeszkadza.

Ledwo wypchnęła wózek na chodnik, zza jej nóg wymknął się trzylatek, który szybko pobiegł w stronę niedalekiej piaskownicy.

– Szymek, nie tak szybko! – krzyknęła jeszcze za nim.

Chłopiec zwolnił, ale tylko na chwilę. Gdy ucichł głos matki, pomknął przed siebie, by na koniec wskoczyć do piasku z bojowym okrzykiem na ustach.

Kobieta pokręciła z dezaprobatą głową, a następnie spojrzała na Zamojską. Z natury miała małe oczy, a teraz, gdy tak je mrużyła, wyglądały jak dwie szparki.

– Czekają pani na kogoś? – spytała, przyglądając jej się uważnie.

Lena zdała sobie sprawę, że źle oceniła wiek kobiety. Początkowo zakładała, głównie przez strój, który ograniczał się do spodni dresowych i bluzy z kapturem,

że ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Zwykle wtedy przejawiają się też ciągoty do mocnego makijażu i tlenionych blond włosów, przypominających spaloną słońcem słomę. Z wiekiem się z tego wyrasta. Przeważnie.

Przyglądając się teraz kobiecie, doszła do wniosku, że musiała być już dobrze po trzydziestce – a przynajmniej na taką wyglądała.

– W sumie to tak – odpowiedziała wymijająco. A potem postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję. – Szukam kogoś, kto znał Weronikę Marszałkowską. Wiem, że kilka lat temu mieszkała w tym bloku.

Kobieta milczała przez chwilę, w skupieniu przygryzając dolną wargę.

– Dlaczego pani się nią interesuje? – zapytała w końcu.

Lena dobrze rozumiała jej rezerwę, dlatego posłużyła się informacją, na którą natknęła się kilka dni temu w Internecie:

– Pracuję nad książką o Kamforze, seryjnym mordercy, który...

– Wiem, kim on był.

Lena spodziewała się takiej reakcji. Po panice, jaka ogarnęła miasto, zakrojonych na ogromną skalę poszukiwaniach i nagonce prasy chyba nie było w Krakowie nikogo, kto nie miałby o tym pojęcia.

– W związku z tym chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o jego siostrze – dorzuciła. To było już bliższe prawdy. – Jaką była osobą? Sąsiadką? Znajomą?

Kobieta się uśmiechnęła. Jej nastawienie uległo przemianie, kiedy usłyszała wzmiankę o książce.

– Dobrze pani trafiła. Kumplowałyśmy się z Niką. – Wyciągnęła rękę, którą Lena uściśnieła. – Aśka.

– Lena Zamojska.

Kobieta pchnęła lekko wózek, który zachybotał się na nierównej powierzchni chodnika, i ruszyły wolno wzdłuż bloku.

– Jak długo się znaliście? – Lena nie czekała na zaproszenie do zadawania pytań. Nie miała zamiaru zmarnować takiej okazji.

– Coś koło roku – odparła po krótkim wahaniu Aśka. – Różniłyśmy się jak dzień i noc. – Podniosła rękę i poprawiła grzywkę, która opadła jej na pół twarzy.

– W jakim sensie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Pochodzimy... – zaczęła i szybko się poprawiła: – Pochodziłyśmy z dwóch różnych bajek. Nawet temat dzieciaków nas nie łączył. Ona by tylko w domu siedziała, a ja przeciwnie.

Lena milczała, czekając, aż rozmówczyni podejmie temat w swoim tempie. Nie upłynęła nawet minuta, nim usłyszała:

– Jeśli dobrze pamiętam, poznałyśmy się pewnej nocy, kiedy musiałam iść do lekarza, chłop w robocie i nie miałam z kim Szymka zostawić. I tak się jakoś zaczęło. Trochę opornie. Na początku spotykałyśmy się głównie okazjonalnie,

z czasem już częściej. Nika potrzebowała więcej czasu, by się do kogoś przekonać.

Lena zachęcająco pokiwała głową.

– A jaką była osobą?

– Cichą, nerwową – wymieniała Aśka. – Nie wchodziła nikomu w drogę.

Trochę taki cień człowieka. Wiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

Kobieta wyjęła z kieszeni bluzy paczkę papierosów i znacząco wyciągnęła ją w stronę Zamojskiej.

Lena prawie czuła smak nikotyny na języku i rozluźnienie, jakie dawał.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała po krótkim wahaniu, choć tak naprawdę miała ochotę się skusić.

Przez chwilę obserwowała, jak kobieta walczy z zapalniczką. Długie sztuczne paznokcie sprawiły, że osiągnięcie celu stanowiło nie lada wyczyn.

– Pracowała w domu – ciągnęła Aśka, wypuszczając z ust chmurę dymu. – A potem czytała książki lub oglądała filmy. Nuda. Dopiero przy mnie trochę się rozkręciła.

Sposób, w jaki o tym opowiadała, drażnił Lenę. Może dlatego, że i jej wieczory wyglądały podobnie? Najpierw praca, załatwianie spraw związanych z firmą, a potem spędzanie czasu w domu. Gdyby nie Magda, to oprócz zajęć krav magi nigdzie by nie wychodziła.

– A czym się zajmowała?

Joanna ponownie wzruszyła ramionami.

– Brała jakieś zlecenia. Nie rozmawiałyśmy na ten temat.

– A miała kogoś? Z kimś się spotykała?

– Nie sędzę – odpowiedziała tamta po krótkim wahaniu. – Przynajmniej nie wtedy, kiedy tutaj mieszkała. Stroniła od ludzi. Nie utrzymywała z nikim bliższych kontaktów, oprócz mnie, oczywiście. Starła się wtopić w tłum, nie wyróżniać. Lepiej czuła się sama niż w towarzystwie.

To by się zgadzało, pomyślała Zamojska, po części opierając się na informacjach z akt, po części na własnej wiedzy na temat schorzenia Marszałkowskiej. Osoby depresyjne wycofywały się z życia. Często dusiły problemy w sobie, aż sprawy zachodziły za daleko.

– Czyli miała osobowość introwertyczną – podsumowała, mówiąc bardziej do siebie.

Aśka przystanęła i spojrzała na nią.

– Jaką? – Wydmuchała dym prosto w twarz Leny.

Zamojskiej do oczu napłynęły łzy.

– Introwertyzm jest jednym z typów osobowości... – zaczęła wyjaśniać, lecz zamilkła, gdy tamta machnęła ręką.

– O czym mówiłyśmy? – spytała i pchnęła wózek.

Lena zamknęła gwałtownie usta, zaskoczona zachowaniem kobiety. Odchrząknęła i odezwała się dopiero po chwili:

– A poznałaś jej brata?

– Tak. Gdy ludzie dowiedzieli się, że z nim rozmawiałam, nie mogłam spokojnie wyjść na spacer.

Zamojska postawiłaby stówę, że prawda wyglądała zupełnie inaczej. Na podstawie tego, co kobieta mówiła i jakie sprawiała ogólne wrażenie, podejrzewała, że Aśka korzystała z tej chwili sławy.

– Kiedy to było?

– Krótko po jej wypadku. Początkowo nie wiedziałam, kim on jest. Przystojny, miły, zrobił na mnie dobre wrażenie. – Mrugnęła porozumiewawczo do Leny.

Zamojska udawała, że wie, o co chodzi. Tak naprawdę musiała się mocno pilnować, by nie przewrócić oczami. Zachowanie kobiety coraz bardziej działało jej na nerwy.

– Myślałam, że to nowy lokator – mówiła dalej Aśka. – Akurat wychodziłam na spacer z Szymkiem, kiedy natknęłam się na niego na klatce schodowej.

Zamilkła. Było widać, że wróciła pamięcią do tamtej sytuacji.

– W głowie mi się nie mieści, że byłam sam na sam z mordercą – podjęła po chwili, wzdrygając się mimowolnie. Wystarczyło samo wspomnienie, żeby musiała szukać ukojenia w papierosie. Odpaliła kolejnego. – Ale to był jeden jedyny raz, kiedy go widziałam.

Lena miała już powiedzieć, że była bezpieczna, gdyż Kamfora polował na kobiety wyglądem zbliżone do jego siostry, a Aśka nie była w jego typie. Zmieniła jednak zdanie.

– Czyli wcześniej tutaj nie przyjeżdżał? – upewniła się jeszcze.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie – odpowiedziała krótko. Przydługa grzywka ponownie wpadła jej do oczu.

Kiedy z wózka dobiegł płacz, pochyliła się nad dzieckiem i włożyła mu do ust smoczek, który przed chwilą zsunął się na kocyk. Potem zaczęła energiczniej poruszać gondolą.

– Przejdźmy się trochę, inaczej zaczniesz wrzeszczeć.

Lena zrównała z nią krok.

– A Nika wspominała coś o swoim bracie?

Aśka wzruszyła ramionami po raz kolejny. Najwyraźniej to był jeden ze sposobów, jakimi komunikowała się z otoczeniem. I kiedy Lena myślała, że już nie odpowie, odezwała się:

– Nie za dużo. Nie lubiła o nim mówić. Ale musiało być coś na rzeczy. Jeśli byłoby to tylko możliwe, najchętniej wyrzuciłaby go ze swojego życia. Było po

niej widać, że braciszek dawał jej mocno w dupę.

– No ale przecież wspominałaś, że tu nie przyjeżdżał... – Lena zwróciła uwagę na pewną nieścisłość.

– Co z tego? Zawsze znalazł sposób, by ją kontrolować. Nika mówiła, że bywały okresy, kiedy miała więcej spokoju, ale rzadkie i zwykle zapowiadały problemy. – Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa i ponownie, nie robiąc sobie niepotrzebnego kłopotu, odpaliła go od końcówki poprzedniego.

Kobieta kopciała jak stary parowóz. Lena zauważyła, że to był już jej trzeci w ciągu dziesięciu minut.

– Gdybym miała takiego braciszka, spieprzałabym przed nim na drugi koniec świata.

I w końcu znalazły nić porozumienia, pomyślała Lena, jednak zachowała to dla siebie.

– Widzę, że dobrze ją znałaś... – wypaliła, nie mogąc dłużej się powstrzymać.

Zdażyła się już zorientować, że ich relacja nawet nie otarła się o przyjaźń, wbrew wyobrażeniom Aśki. Rozumiała, dlaczego Weronika nie zdradziła sąsiadce zbyt dużo na temat swojego życia – same ogólniki, nic więcej. Kobieta chlapała jęzorem na prawo i lewo.

Aśka, ku zaskoczeniu Leny, wzięła jej słowa na serio.

– Byłam dla niej ważna – powiedziała. A potem nagle zmieniła temat: – A wiesz, że Nika chorowała na depresję? – Liczyła, że tym pytaniem ponownie skupi na sobie jej uwagę. Oczekiwała poruszenia, ale kiedy Lena przytaknęła, jej zadowolenie przygasło.

Zamojska postanowiła zakończyć to spotkanie. Nie dowiedziała się niczego nowego, a rozmowa z kobietą tylko ją rozdrażniła i sama panowała nad sobą z coraz większym trudem.

– Więc nie zaskoczyło cię, że popełniła samobójstwo? – Zadała ostatnie pytanie, spodziewając się, jaka będzie odpowiedź.

– Zaskoczyło – rzuciła tamta z westchnieniem, zatrzymawszy się.

Lena również przystanęła. Na jej czole pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Jak to? Przecież wiedziałaś o jej depresji...

– No tak – zgodziła się Aśka. – I gdybyś zapytała mnie o to na początku znajomości z Niką, nie zdziwiłoby mnie to. Ale wtedy...

Lena poczuła, że poruszyła ważny temat.

– A co się stało? – zapytała szybko. Najwyraźniej Aśka w końcu miała swoje pięć minut i postanowiła w pełni je wykorzystać.

– Terapia w końcu przyniosła efekty. Zachowywała się inaczej. Wyglądała na szczęśliwą. Każdy mógł to zobaczyć, nawet osoby, które nie znały jej tak, jak ja.

Sięgnęła do kieszeni bluzy i wyjęła z niej telefon. Przez chwilę czegoś na

nim szukała.

– Sama oceń – powiedziała i wyciągnęła komórkę w jej stronę.

Na zdjęciu była Weronika. Siedziała na ławce. Zdjęcie musiało zostać zrobione podczas remisji choroby. Przedstawiało elegancką, zadbaną kobietę z szerokim uśmiechem.

Lena nie musiała zaglądać do akt, by porównywać je z innym, z tym dołączonym do teczki – różnica była ogromna. Dzięki notatce z tyłu wiedziała, że to w aktach pochodziło z dwa tysiące dziewiątego roku, czyli sprzed czterech lat przed jej śmiercią. Otoczenie i białe ściany, a także wygląd Marszałkowskiej sugerowały, że najprawdopodobniej zrobiono je podczas jej pobytu w jednej z placówek. Fotografia nie była dobrej jakości, ale blada, wręcz przezroczyta skóra z biegnącymi blisko powierzchni fioletowymi żyłkami nie mogła być efektem jedynie użycia kiepskiego sprzętu. Ciemne włosy, przyciśnięte mocno do głowy, wyglądały jak przyklejone do skóry, przez co cała twarz Weroniki sprawiała wrażenie zmęczonej, zrezygnowanej. Jeszcze ten nieruchomy wzrok i odrętwienie w oczach – może wynik leków, może konsekwencja depresji?

Lena dobrze pamiętała oczekiwanie, które towarzyszyło jej, kiedy pierwszy raz spojrzała na zdjęcie. Spodziewała się zobaczyć kogoś wyjątkowego. Dostrzec w jej wyglądzie coś, co wyróżniałoby ją spośród tysięcy podobnych kobiet. Wtedy nie znalazła żadnego wytłumaczenia jej wyjątkowości. Tym razem, spoglądając na zdjęcie w komórce Aśki, mogła podejrzewać, że Marszałkowska miała w sobie to coś. Coś, co sprawiało, że zwracali na nią uwagę zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Lena skupiła się na nowszym zdjęciu.

Istniało wiele rodzajów uśmiechu, każdy przekazywał inną informację. Niektóre wiązały się z pozytywnymi emocjami, ale były też takie, które miały maskować inne uczucia – na przykład uśmiech strachu, niemający nic wspólnego z radością, choć często odbierany jako taki. Wtedy wargi rozciągały się w kierunku uszu, przypominając kształtem prostokąt. Uśmiech lekceważenia też nie pojawiał się przy pozytywnych emocjach, objawiając się przeważnie po jednej stronie twarzy ściągniętym i lekko podniesionym kącikiem ust. Uśmiechem tuszowało się także zakłopotanie.

Lena wiedziała, jak proste jest wywołanie tej ekspresji, przywdzianie tej maski. Każdy czasem ukrywał prawdziwe uczucia. Dlatego zwykle ograniczała się do analizy tego, czy uśmiech rozmówcy był szczery, czy nie.

Za uśmiech odpowiadał mięsień jarzmowy większy, który u każdego człowieka znajdował się po obu stronach twarzy, ciągnąc się od kości policzkowych w dół, a także biegnąc w poprzek niej aż do samych kącików ust. To właśnie skurcz tego mięśnia powodował rozciągnięcie warg, podniesienie policzków i pojawienie się pod oczami wybrzuszenia skóry i zmarszczek zwanych potocznie kurzymi łapkami. Lecz samo pojawienie się uśmiechu nie świadczyło

o przeżywanych emocjach. Często ludzie błędnie sądzą, że to po oczach można rozpoznać, czy ma się do czynienia z fałszywym uśmiechem, czy ze szczerym. Prawda leży jednak gdzie indziej: takiej wypowiedzi należy szukać w brwiach – kiedy uśmiech jest fałszywy, nie dochodzi do ich obniżenia. Za ten ruch odpowiadał już inny mięsień.

Lena podniosła rękę i przytknęła ją do ekranu, palcami zakrywając Weronice dolną część twarzy. Pozostały oczy i brwi, które w trakcie wykonywania zdjęcia były obniżone w wyniku skurczu mięśnia okrężnego oka.

Miała teraz dwie fotografie, które przedstawiała Marszałkowską w różnych, skrajnych, momentach życia. Wyglądało na to, że Aśka się nie myliła – Weronika faktycznie miała remisję choroby i jeśli przez większość czasu wyglądała jak na tym zdjęciu, można było wyciągnąć wnioski, że nastąpiła poprawa.

Chciała zapytać o coś jeszcze, ale nie zdążyła.

– Szymek, uważaj pod nogi! – Aśka krzyknęła tak głośno, że Lenę zakłuło w lewym uchu. – To dziecko ma chyba ADHB.

– ADHD – poprawiła automatycznie.

Kobieta odwróciła wzrok od syna i spojrzała na nią. Zamojska zrozumiała, że zwierzenia się skończyły. Przynajmniej ze strony Aśki.

– A masz już tytuł książki? – spytała, posyłając w stronę rozmówcy kolejną chmurę dymu.

Lena powstrzymała się, żeby nie pomachać dłonią przed nosem. Mimo iż czasami jeszcze popalała, dym papierosowy coraz bardziej ją drażnił.

– Kamfora – rzuciła pierwsze słowo, które przyszło jej do głowy.

Zadowolona kobieta pokiwała głową. Gdyby Lena faktycznie napisała taką książkę, miała już pierwszą czytelniczkę.

– Kiedy się ukáže?

Lena zastosowała unik. Udzielanie niebezpośrednich odpowiedzi było oszustwem tylko wtedy, jeśli drugi rozmówca o tym wiedział.

– Zobaczmy, jak mi pójdzie ze zbieraniem materiałów.

Jeszcze parę minut temu myślała, że wyprawa na drugi koniec Krakowa była tylko stratą czasu. Ale teraz wiedziała, że było wręcz odwrotnie, chociażby przez wzgląd na to, czego nie znalazła w aktach.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziała, zanim kobieta zdążyła zadać kolejne pytanie o książkę. Wyciągnęła z torebki wizytówkę i wręczyła ją Aśce. Była to jedna z ostatnich, jakie miała, jedynie z imieniem i nazwiskiem oraz numerem telefonu. Nowe już od kilku dni czekały, aż Lena odbierze je z drukarni.

– Jeśli coś sobie przypomnisz, proszę o kontakt – dodała, wręczając jej sztywną karteczkę.

Kobieta zerknęła tylko na wizytówkę i postukała się nią po kciuku. W kontakcie z jej paznokciami kartonik wydawał nieprzyjemny, skrzypiący

dźwięk.

– Podać moją komórkę? – spytała.

Lena zawahała się. Już miała odpowiedzieć, że nie ma takiej potrzeby, ale zmieniła zdanie. Kiwnęła głową. Wszystko dla uwiarygodnienia historii o pracy nad książką.

– Oczywiście. – Wyjęła telefon i kiedy Aśka podyktowała jej numer, wybrała odpowiednie cyfry. Nie miała zamiaru ich zapisywać.

– Puść mi dzwonek, upewnię się, czy się nie pomyliłam.

Lena wybrała numer i po chwili, gdy rozległy się pierwsze takty popowej piosenki, rozłączyła się.

– No dobrze, dziękuję za rozmowę – dodała raz jeszcze, a potem szybko się pożegnała. Gdy ruszyła w przeciwnym kierunku, czuła na plecach wzrok Aśki.

Boże, chroń mnie od takich przyjaciół!, pomyślała, zniknąwszy za zakrętem.

Początkowo miała wyrzuty sumienia, że oszukuje kobietę. Podając się za kogoś innego, wprowadziła ją w błąd. Kiedy jednak dowiedziała się o niej tego i owego, zmieniła zdanie. Aśka była jedną z tych osób, do których doskonale pasowało określenie „kuta na cztery łapy”.

Blisko półtorej godziny później Lena dotarła do domu zmęczona i głodna. Oprócz zjedzonej na śniadanie suchej drożdżówki z wczoraj nie miała w ustach zupełnie nic.

Rzuciła zebrane ulotki na stojący w przedpokoju niewielki stolik, ściągnęła buty, odwiesiła płaszcz i kiedy odkładała klucze na blat, zadzwoniła jej komórka.

Numer nieznany – gdy odebrała, nikt się nie odezwał. Pomyłka, pomyślała i sięgnęła po ulotkę z pizzerii. Zamówiła dużą wegetariańską. Dzięki temu załatwiła przynajmniej jedną naglącą sprawę. Gdy pół godziny później przyjechał dostawca, już popijała wino. Przeczuwała, że nie jest to najlepsze rozwiązanie na jej pusty żołądek, ale korzyści wygrywały w tym zestawieniu. Ostatnimi czasy miała wrażenie, że jej zmysły są wyczulone, wrażliwsze niż zwykle, jakby nerwy miała na wierzchu. Dołała sobie wina i po chwili pociągnęła długi łyk, wiedząc, że w tym momencie nic nie jest w stanie bardziej jej odprężyć.

Sobota, 19 września – niedziela, 20 września

ROZDZIAŁ 11

LENA DOPIŁA KAWĘ i nawet nie zdążyła odłożyć kubka na stół, gdy w mieszkaniu rozległ się nieprzyjemny dźwięk dzwonka. Wzdrygnęła się. Pierwszy raz, odkąd wprowadziła się do tego mieszkania, ktoś dzwonił do jej drzwi. Dzwonek miał niski, nieprzyjemny dźwięk.

W myślach do długiej listy rzeczy do zrobienia dodała wymianę go na inny, klasyczny *ding-dong*, który nie będzie powodował u niej palpacji serca.

Podeszła do drzwi i zerknąwszy przez wizjer, otworzyła je szeroko. W progu zobaczyła Magdę.

– Co tu robisz?! – odezwała się na powitanie, wciągając ją do mieszkania.

Przyjaciółka wyglądała, jakby przydałyby jej się dobra dawka snu i odpoczynek. Nawet staranny makijaż nie poradził sobie z ukryciem zmęczenia. Jej cera – zwykle oliwkowa – sprawiała wrażenie przygaszonej i jakby lekko zmiętej.

Pocałowała Lenę w policzek.

– Wróciłam do Krakowa późnym wieczorem – odpowiedziała i ściągnęła szal. Pasma włosów, które opadło jej na czoło, poprawiła szybkim, niedbałym ruchem. Odkąd przed kilkoma dniami zmieniła fryzurę na krótszą, nie mogła się do niej przyzwycząić. – Nie dzwoniłam, bo chciałam ci zrobić niespodziankę.

Lena wzięła jej płaszcz i powiesiła na prowizorycznym uchwycie. Wieszak, jak wiele innych rzeczy w tym mieszkaniu, był rozwiązaniem tymczasowym, lecz podejrzewała, że w Wiśle upłynie jeszcze trochę wody, zanim zmieni wszystkie na

inne, stałe.

– Jak tata? – spytała, idąc w stronę salonu.

– Już dużo lepiej. Po weekendzie mają wypisać go do domu. Teraz będzie musiał bardziej na siebie uważać, czeka go jeszcze zmiana diety, ale... – Magda wzięła głęboki wdech. – Biorąc pod uwagę to, jak to się mogło skończyć, myślę, że to i tak nieduże poświęcenie.

Lena pokiwała głową. Ojciec przyjaciółki był lekarzem ginekologiem i – jak to często bywa: najciemniej pod latarnią – w ogóle o siebie nie dbał. A przynajmniej nie w taki sposób, w jaki powinien. Otyły, z zamiłowaniem do czerwonego mięsa, umiał strofować pacjentki, ale jeśli chodziło o niego, nagle restrykcje przestawały obowiązywać.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała i dotknęła ramienia Magdy. Widok znajomej twarzy był tym, czego potrzebowała, zwłaszcza w ostatnim czasie.

– Też tak sądzę! – Prad chciała jeszcze coś dodać, ale zamilkła, kiedy weszła do salonu i obejrzała wnętrze. Lena wspominała, że ma sporo rzeczy, ale przyjaciółka nie wyobrażała sobie, że będzie tego aż tyle. – Teraz już wiem dlaczego – dodała po chwili z uśmiechem. Usiadła na stołku w kuchni, obserwując, jak Lena wyciąga filiżanki i prostą kawiarkę. – Dla mnie herbata. Kawę już piłam i za wcześnie na kolejną. Do tej pory czuję kopa po podwójnym espresso.

Zamojska wlała wodę do czajnika i schowała jedną z filiżanek do szafki, zastępując ją dużym kubkiem. Wsypała do niego herbatę oolong, kupowaną specjalnie dla Magdy, i zabrała się do przygotowania kolejnej kawy dla siebie. Początkowo, głównie z powodu przyzwyczajenia do kaw z ekspresów ciśnieniowych, była sceptycznie nastawiona do tak prostego sprzętu jak kawiarka, ale po którymś użyciu zauważyła, że dzięki niej napój ma głębszy aromat i niepowtarzalny smak.

– Widziałam, że nie ruszałaś samochodu... – odezwała się Magda, po pewnym czasie zanurzywszy łyżeczkę w kubku. Przemieszała jego zawartość. Listki rozwinęły się, a napar zaczął nabierać jasnozielonej barwy.

Lena zdążyła już nastawić kawiarkę i usiadła obok.

– Chciałam, ale... ostatecznie nie dałam rady.

Magda podniosła na nią wzrok.

– Nie odpalił? – Przyglądała się przyjaciółce z niedowierzaniem. – Dzisiaj przyjechałam bez problemu.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała Lena, kręcąc głową. – To nie samochód zawiódł tylko... ja – zaczęła wyjaśniać. – Gdy wsiałam za kierownicę, okazało się, że nie dam rady. Nie byłam w stanie prowadzić. Myślę, że miałam książkowy napad paniki.

Magda ściągnęła brwi. Choć Lena wyglądała w tym momencie, jakby przydało jej się jakieś pocieszenie, wiedziała, że puste frazesy nie poprawiłyby

sytuacji. Zresztą przez te wszystkie lata przyjaźni przyzwyczyły się do mówienia sobie prawdy.

– To z tego powodu jesteś taka zmęczona?

Lena wzruszyła ramionami.

– Nie tylko. – Po chwili opowiedziała jej o powracających koszmarach.

– Myślałam, że to minęło. – W głosie Magdy słychać było troskę.

– To jest nas dwie – podsumowała Lena, doglądając kawiarki. Z kuchni dolatywał zapach kawy z dodatkiem pomarańczy. – Decydując się na powrót do Krakowa, liczyłam się z tym, że mogę mieć nieprzyjemne skojarzenia, wspomnienia, z którymi nie zawsze będę w stanie sobie poradzić. Przynajmniej z początku. Ale nie myślałam, że koszmary powrócą. Byłam pewna, że mam to już za sobą. Na dobre.

Magda zacisnęła usta. Nic, co przychodziło jej do głowy, nie było tym, co Lena chciałaby usłyszeć. Sama nie wiedziała, jak zachowałaby się po czymś takim. Po chwili doszła do wniosku, że gdyby chodziło o nią, jej noga prawdopodobnie nigdy więcej nie stanęłaby w Krakowie. Wolałaby zacząć w nowym miejscu – nowy start bez ciężaru wspomnień. Dlatego z jednej strony była dumna z Leny, jej decyzji i tego, że potrafiła stawić czoło swoim lękom, z drugiej jednak się o nią martwiła.

– Wiesz, że cieszę się z twojego powrotu – zaczęła, zdecydowawszy, że musi powiedzieć głośno to, co myśli. – Z tego, że jesteś blisko. Ale to po części wynika z egoizmu. A egoistką nigdy nie chciałam być... – przerwała w połowie zdania. Po chwili wyartykułowała myśl, która towarzyszyła jej, odkąd Lena opowiedziała jej o swoich planach: – Myślisz, że to był dobry pomysł, żeby tutaj wracać? Otwierać firmę akurat w Krakowie, kiedy mogłabyś to zrobić w każdym innym miejscu? Przecież świat stoi otworem!

Lena wstała i ściągnęła kawiarkę z płyty. Nalała solidną porcję kawy do filiżanki i z powrotem usiadła naprzeciw Magdy.

– Taka ucieczka byłaby niczym innym jak przyznaniem się do porażki. – Odchyliła się na krześle, głośno wzdychając. – Już raz pozwoliłam Kamforze dyktować warunki. Teraz, kiedy zginął, nie pozwolę, by miał jeszcze jakikolwiek wpływ na moje życie, nawet z za grobu. Skończyłam z uciekaniem – dodała twardo. Jej słowa zabrzmiały jak deklaracja.

– W takim razie może warto skorzystać z profesjonalnej pomocy?

Lena zmrużyła oczy, próbując przejrzeć myśli swojego gościa.

– Sugerujesz psychologa?

Do tej pory nawet nie przyszło jej to do głowy. Zawsze sama radziła sobie ze swoimi problemami i nie zamierzała tego zmieniać.

– Tak, uważam, że to dobry pomysł – odparła tamta, wytrzymując spojrzenie, jakim obdarzyła ją przyjaciółka. – Zwłaszcza teraz, gdy wspomniałaś

o koszmarach.

Lena mocniej zacisnęła palce na filiżance.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała, próbując przekonać samą siebie.

To był tylko przejściowy stan. Powrót do Krakowa otworzył starą ranę. Postanowiła, że nie wspomni Magdzie o swoim prywatnym śledztwie. Nie chodziło o to, że ma problem z zaufaniem. Wyjaśnienie znajdowało się w zupełnie innym miejscu. Lena знаła przyjaciółkę na tyle dobrze, by wiedzieć, co ta by powiedziała. Tylko umocniłaby się w przekonaniu, że Zamojska nie powinna była wracać.

Dzwonek telefonu sprawił, że temat zawisł w powietrzu, w oczekiwaniu na odpowiedni moment.

Magda podniosła torebkę z podłogi i odnalazła w niej komórkę.

– Przepraszam, ale muszę odebrać. Ważny klient.

Lena kiwnęła głową i zaczęła zbierać rzeczy. Słyszała, jak Magda chodzi po mieszkaniu. Zawsze tak robiła podczas rozmowy, zresztą i ona miała podobną manierę.

Kubek i filiżankę wrzuciła do zmywarki, kawiarkę opłukała w zlewie i odłożyła na ociekacz. Nie minęło pięć minut, a Magda, wróciwszy do salonu, oparła pięści na biodrach i z zaciętą miną zaczęła wpatrywać się w rząd pudeł.

– Powiedz w takim razie, od czego zaczynamy.

DOCHODZIŁA DWUDZIESTA DRUGA, kiedy Lena wyszła z bloku z pustymi kartonami i skierowała się do kontenera na śmieci, oddalonego o dobre dwieście metrów. Przemierzała tę trasę już trzeci i ostatni raz tego dnia. Dzięki przyjaciółce najgorszy etap prac miała już za sobą. Do rozpakowania zostały jej tylko nieliczne rzeczy, ale nimi planowała się zająć kiedy indziej.

Wracała do domu. Gdy była na wysokości drugiej klatki, poczuła, jak cierpnie jej skóra na karku, jakby nagle ktoś przytknął tam coś zimnego. Choć nie widziała żadnego realnego zagrożenia, ciało ostrzegało ją przed czymś.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Wysunęła dłonie z kieszeni i odwróciła się, rozglądając po najbliższym otoczeniu. Na dłuższą chwilę zatrzymała wzrok na stojących nieopodal samochodach, starając się dostrzec czyjąś sylwetkę, a gdy nic nie zauważyła, przeczesала także inne miejsca – zarówno te oddalone o zaledwie kilkanaście metrów, jak i dalsze, w okolicach bloku na wprost. Omiotła spojrzeniem również okna, próbując zrozumieć, co wywołało w niej niepokój.

Bez skutku. Mimo to lęk nie zniknął, a serce pompowało krew dwa razy szybciej niż zwykle.

Potrząsnęła głową i przyspieszyła kroku. Nieprzyjemne wrażenie trwało nawet, kiedy dotarła do mieszkania i zamknęła się na cztery spusty. Oparła czoło o drzwi, czując, że to zdarzenie wyssało z niej energię. To nie był pierwszy raz, kiedy towarzyszyło jej poczucie, że ktoś ją obserwuje.

Dotąd nigdy nie było jednak tak wyraźne, wręcz namacalne.

ROZDZIAŁ 12

W NIEDZIELNY PORANEK Lena włożyła do koszyka jeszcze kilka bułek i podeszła do kasy. Miała już wszystko, co powinno pozwolić jej przetrwać najbliższe dwa dni na przyzwoitym poziomie. Relatywnie przyzwoitym. W sumie gdy się zastanowiła, doszła do wniosku, że jakiegokolwiek posiłku by nie przygotowała, i tak będzie lepszy od tego, czym się żywiła w ostatnim czasie.

Całą sobotę spędziły z Magdą na rozpakowywaniu pudeł i opróżnianiu kolejnych butelek wina, niekoniecznie w tej kolejności. Na początku sprawniej szło im z tym pierwszym, natomiast pod koniec dnia równowaga została zachwiana na rzecz alkoholu.

Do opuszczenia domu zmusiły ją pusta lodówka i głośnie burczenie w brzuchu, przywodzące na myśl rozjuszony zwierzę. Magda nie została u niej na noc, na szczęście dla Leny wróciła do siebie wieczorem. W przeciwnym razie byłaby świadkiem jej koszmarów. Co innego o nich usłyszeć, a co innego ujrzeć ich skutki. Zamojska nie spała już od piątej. I choć nad ranem także męczył ją koszmar, tym razem to nie on wyrwał ją ze snu, tylko dźwięk przychodzącego połączenia, które na dodatek okazało się pomyłką.

Z trudem dotrwała do rana, przewracając się niespokojnie w pościeli. Gdy dochodziła dziewiąta, przekroczyła próg pobliskiego sklepu i zrobiła szybkie zakupy. Wychodząc z budynku, przepuściła w drzwiach starszego pana i ruszyła do domu. Nie miała daleko – po przejściu jakichś stu metrów zatrzymała się przed swoją klatką schodową. Wpisała kod do drzwi i po chwili zaczęła energiczną wspinaczkę po schodach, traktując tę prozaiczną czynność jako element ćwiczeń. Już na wysokości pierwszego piętra poczuła zapach smażonej ryby i przypalonego tłuszczu, który nasilał się z każdym kolejnym krokiem. Po chwili przekonała się, że

za ten smród odpowiadał sąsiad z czwartego piętra. No cóż, taki urok mieszkania w bloku, pomyślała. Z dobrym węchem można było z powodzeniem odkrywać, co kto jadł na obiad.

Wszedłszy na piąte piętro, zatrzymała się przed drzwiami z numerem dwadzieścia jeden. W futrynę było wetkniętych kilka ulotek, jeszcze inne walały się po całym poziomie, jakby ktoś zatrzymał się na ostatnim stopniu i rozrzucił je byle gdzie.

Szybko je pozbierała i właśnie włożyła klucz do zamka, kiedy z tylnej kieszeni jeansów dobiegł ją dźwięk telefonu. W opustoszałej klatce schodowej nawet stonowana melodia niosła się po wszystkich piętrach.

Hałas nasilił się, gdy przekroczyła próg mieszkania.

– Chwila! – powiedziała, jakby ktoś po drugiej stronie mógł ją usłyszeć. Położyła siatki na stole w kuchni i odebrała, nim włączyła się poczta głosowa. – Halo?!

Odpowiedziała jej cisza.

– Halo! – powtórzyła raz jeszcze.

Kiedy i to nic nie dało, odsunęła od siebie telefon i sprawdziła, czy jednak się nie spóźniła i ktoś już zdążył się rozłączyć. Ale połączenie było aktywne. Numer nieznan.

Pewnie pomyłka, pomyślała drugi raz tego dnia. Rozłączyła się i odłożyła telefon na blat. Nie zdążyła rozpakować pierwszej z siatek, kiedy komórka zadzwoniła ponownie. Ten sam numer – i znów brak odpowiedzi. Lena starała się rozpoznać jakieś odgłosy. Zdarzało się, że noszony w kieszeni czy w torebce aparat sam wybierał przypadkowe numery. Ale w tle nie wychwyciła żadnego dźwięku, szelestu czy czegośkolwiek, co mogłoby świadczyć o przypadkowości. Zamiast tego, im dłużej się wsłuchiwała, tym bardziej narastało w niej przekonanie, że słyszy czyjś oddech.

Szybko się rozłączyła i chwyciła się blatu. Przez cały czas wpatrywała się w komórkę. Tych głuchych telefonów było zbyt wiele. Do tego to ciągle uczucie, że jest obserwowana... Zwłaszcza w ostatnim czasie.

Rozpakowała szybko pozostałe rzeczy i skierowała się do drzwi. Musiała z kimś o tym porozmawiać, powiedzieć o swoich podejrzeniach, nawet jeśli wiązało się to z opuszczeniem bezpiecznego miejsca, jakim było jej mieszkanie.

DOCHODZIŁO POŁUDNIE, kiedy Zagórski wrócił ze spaceru z psem i przygotowywał sobie kawę. Był sam, Dagmara poprzedniego dnia wróciła do domu. Cekał ją ważny dzień i musiała się przygotować. Ponoć trafiła jej się największa sprawa w jej dotychczasowej karierze, a zdaniem Jakuba na pewno jedna z ważniejszych. Choć nikt nie powiedział jej tego oficjalnie, od jej zakończenia zależała dalsza kariera kobiety.

Wrócił do pokoju, usiadł na kanapie, a po chwili obok niego ułożył się Saburi. Zagórski napił się kawy i podrapał psa po głowie. Jego wzrok zatrzymał się na przetarciu na pięcie. Przypomniawszy sobie, że podczas oględzin nad Wisłą zwrócił uwagę na stopy denata, a dokładniej właśnie na dziurę w skarpecie. Zapewne obaj zakładali je rano, nawet nie myśląc, że ktoś może zauważyć ten defekt. Szybko ściągnął swoje. Nigdy nie wiadomo, co się stanie, a z całą pewnością nie chciał, by ktokolwiek kojarzył go akurat z czymś takim.

Podniósł się z kanapy. Pies przez chwilę był czujny i śledził, jak jego pan wychodzi z pokoju. Gdy nie doszły go jednak żadne dźwięki poruszanych misek ani innych rzeczy wymagających jego asysty, zamknął oczy.

Jakub wyrzucił skarpety do kosza, opłukał kubek i zanim rozległ się dzwonek, usłyszał charakterystyczny dźwięk, jaki wydawały pazury Saburiego w kontakcie z panelami.

Pies zatrzymał się z nosem przytkniętym do drzwi, wyczuwając czyjąś obecność. Jakub nie spodziewał się nikogo. Dagmara była u siebie, a jakoś nigdy się nie zdarzało, by goście walili do niego drzwiami i oknami. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie, by przekonać się, że to musiał być ktoś znajomy. W przeciwnym razie postawa czworonoga byłaby bardziej zachowawcza i czujna.

Chwilę zajęło mu przepchnięcie psa na bok. Podekscytowany rhodesian nie należał do zwierząt, które można odsunąć z łatwością.

Otworzył drzwi, zanim rozległ się dzwonek.

– Lena? – zapytał zaskoczony. Była to ostatnia osoba, jaką spodziewał się zobaczyć w jego mieszkaniu.

Kobieta zastygła z dłonią w powietrzu.

– Cześć! – Uśmiechnęła się. To był jeden z tych uśmiechów mających ukryć zakłopotanie.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo z mieszkania, przeciskając się obok nóg Jakuba, wychylił się Saburi. Próbę zatrzymania go można było porównać do okiełznania nawałnicy. Pies, uszczęśliwiony widokiem Leny, napierał na jego nogi, dopóki Zagórski nie zrobił mu wystarczająco miejsca.

Gdy powitanie z Saburim można było uznać za zakończone, Lena podniosła głowę i spojrzała na jego właściciela.

– Możemy porozmawiać?

Kuba przepuścił ją w drzwiach. Na gołych stopach poczuł, jak do mieszkania wciska się nieprzyjemny chłód z klatki schodowej.

Lena nie potrzebowała dodatkowego zaproszenia. Przemknęła obok i zatrzymała się dopiero w przedpokoju. Obróciła się w stronę gospodarza, usłyszawszy szczęknięcie zamków.

– Chodźmy do salonu – powiedział Jakub.

Szybko ściągnęła kurtkę, ale nie odwiesiła jej na wieszak, tylko trzymając ją

w ręce, ruszyła w głąb mieszkania.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, gdy siadała na krześle.

– Dziękuję, ja tylko na chwilę. Nie chcę przeszkadzać.

Dopiero teraz pomyślała, że mogła zadzwonić wcześniej, a nie nachodzić go w domu. Na roztrząsanie wątpliwości było już jednak za późno.

Zagórski nie odpuszczał.

– To może kawa?

– Poproszę – zgodziła się w końcu. Zależało jej, by mogli jak najszybciej przejść do tego, co ją sprowadziło.

Jakub poszedł do kuchni, a Lena w tym czasie rozejrzała się po salonie. Pokój nie zmienił się od momentu, kiedy była tu ostatnio. To samo proste umeblowanie, stanowiące przykład tego, jak wyposażyć salon tylko w niezbędne rzeczy. Jedynym nowym akcentem było legowisko dla psa, ale analizując wygląd koca na kanapie, można było dojść do wniosku, że raczej wybierał on inne miejsca do spania.

Teraz Saburi rozłożył się na podłodze tuż obok Leny. Jego głowa znajdowała się na wysokości jej talii, wielkością przypominała piłkę do rugby. Podczas pierwszego spotkania Saburi nie wyglądał na łagodnego psa, raczej obronnego, co po części wynikało z jego masy i doskonale rozwiniętych mięśni. Zdobywał punkty przy bliższym poznaniu, kiedy jego wielkość i wygląd przestawały budzić obawy.

Po chwili Jakub wrócił do salonu z dwoma kubkami. Lena z zaskoczeniem zauważyła, że pamiętał, jaką kawę pije. Czarną, bez cukru.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się pierwszy, siadając naprzeciw niej.

– Chciałem to zrobić już wcześniej... tyle że nie było okazji. Tak szybko wyjechałaś.

Wyglądało na to, że pierwszy poruszy kwestię, o której Lena sama chciała wspomnieć zaraz po tym, jak skończy główny wątek. Kiedy zaczęli pracować nad sprawą Kamfory, byli dla siebie obcymi ludźmi, lecz z czasem coś zaczęło ich łączyć. Jak by to powiedziała Magda: pewna chemia.

– A raczej przeprosić – dodał po chwili.

Jego słowa wywołały na jej twarzy konsternację. Najwyraźniej się pomyliła. Zastygła z kubkiem w połowie drogi do ust.

– Ale za co? Nie masz mnie za co przeproszać!

Jakub pokręcił głową.

– Wciągnąłem cię do śledztwa, lecz nie zapewniłem ci odpowiedniego bezpieczeństwa, choć byłaś przynętą na Kamforę.

A więc o to chodzi, pomyślała. O wyrzuty sumienia. Pochyliła się w jego stronę i dopiero gdy na nią spojrział, powiedziała:

– Kuba, przecież nikt nie mógł tego przewidzieć. Żadne z nas! Gdybym miała kogoś obwiniać, to tylko siebie, że podczas spotkania zdradziłam mu

informacje, które później wykorzystał, przygotowując zasadzkę.

– Naprawdę mi przykro, że cię to spotkało.

W milczeniu napił się kawy. Nawet teraz, gdy przypominał sobie chwilę, w której dowiedział się, że Kamfora porwał Lenę, czuł znajomy lęk.

Westchnął i odstawił naczynie na stół. Dla niego tamten temat był już zamknięty.

– O czym chciałaś pogadać?

– O Kamforze – odpowiedziała, sugerując, że dla niej jest wciąż aktualny. To, że Jakub sam nawiązał do tego wątku, ułatwiło jej rozmowę.

Zagórski zmarszczył czoło.

– O Kamforze? – upewnił się, krzyżując ramiona na piersi.

– Tak. Chciałabym wiedzieć, jak wyglądała akcja poszukiwawcza ciała. – Od pewnego czasu właśnie to zajmowało jej myśli.

Jakub spodziewał się, że kiedyś będzie musiał jej o tym opowiedzieć.

– Pamiętasz – zaczął, wyciągając pod stołem nogi – że po wypadku i pierwszym przeszukaniu jeziora wstrzymano prace z powodu mrozów?

Lena przytaknęła. Była na miejscu, kiedy szef nurków zarządził przerwanie poszukiwań. Jeśli ona miałaby o tym decydować, nie przestaliby, dopóki nie odnaleźliby ciała.

– Tak, ale prace miały zostać wznowione, gdy tylko będzie to możliwe.

W lutym większość Europy nawiedziła zima, lecz w Polsce takich temperatur nie było od trzydziestu lat i praca w takich warunkach nie miała sensu.

– To prawda. Trochę przesunęło się to w czasie, ale poszukiwania wznowiliśmy pod koniec maja – kontynuował Jakub. – Dwie ekipy sprawdzały coraz większe obszary jeziora. Bez skutku. Czas zadziałał na naszą niekorzyść. Po tych kilku miesiącach ciało mogło być w każdym jego zakątku. Kobza doszła do takich samych wniosków i po kolejnych kilku dniach, kiedy nie było żadnych wyników, ucięła sprawę.

– Zakreśliła kurek z pieniędzmi? – upewniła się Zamojska.

Jakub zawahał się, zastanawiając, ile może zdradzić. Ostatecznie zdecydował się wyznać prawdę.

– Tak.

Lena westchnęła. Mogła tylko podejrzewać, jakich nakładów finansowych wymagała akcja poszukiwawcza. Sprawa Kamfory została rozwiązana, chodziło jedynie o wyciągnięcie jego ciała, a ponieważ nie było już takiej presji jak wcześniej, zwyczajnie odpuścili. Jej wątpliwości to jednak nie rozwiewało.

Jakub pochylił się w jej stronę.

– Po co to odgrzebujesz?

Dobre pytanie, pomyślała i podniosła kubek do ust tylko po to, by zyskać kilka sekund. Sama długo zastanawiała się, czy to w ogóle możliwe, by

Marszałkowski przeżył. A może zaczynała wariować? Nie wiedziała, co byłoby gorsze.

Odchrząknęła.

– Podejrzewam, że mógł przeżyć – odparła w końcu, nawet jeśli miała wyjść na paranoiczkę. Teraz, kiedy padły pierwsze słowa, nie było już odwrotu. – Odkąd znów jestem w Krakowie, czuję się obserwowana. Przed domem, na ulicy. Od pewnego czasu dostaję też głuche telefony...

Kuba zignorował ostatnie słowa, koncentrując się na pierwszej informacji.

– Lena, zastanów się! Niby w jaki sposób Kamfora przetrwał to wszystko?

– Nie wiem! – Bezradnie pokręciła głową. – Mógł wydostać się z samochodu – rzuciła. To było rozwiązanie, nad którym myślała już od dawna. – Pamiętasz, jak wtedy mówiłam, że kiedy tonął, nie widziałam go na tylnym siedzeniu? Było ciemno i może się gdzieś schował, w jakichś krzakach. – Głos drżał jej coraz bardziej. – A nawet jeśli był w samochodzie, przecież mógł się z niego wydostać.

– Lena! Nie ma szans, żeby mógł to przeżyć. Jeśli dobrze pamiętam, było wtedy jakieś dziesięć stopni mrozu, a w tapicerkę na tylnym siedzeniu wsiąkło tyle krwi, że musiał być poważnie ranny, zanim hyundai znalazł się pod wodą. – Cały czas patrzył jej w oczy. – Gość leży gdzieś na dnie jeziora i gdybym był katolikiem i lepszym człowiekiem, powiedziałbym: świeć, Panie, nad jego duszą. Ale nie jestem! Facet dostał to, na co zasłużył.

– Ale...

– Tyle się wtedy działo. Byłaś w szoku. Adrenalinę miałaś pewnie na takim poziomie, że podczas badania zabrakłoby skali. – Zrobił krótką przerwę na oddech i po chwili wymieniał dalej: – Niedawno zostałaś porwana, ktoś groził ci śmiercią. Miałaś wypadek i ledwo uszłaś z tego z życiem.

Lena wiedziała o tym wszystkim, ale teraz, kiedy te słowa wypowiedział ktoś inny, jej wcześniejsze obawy brzmiały jak wynurzenia paranoiczki.

– Nie wspominając o uderzeniu w głowę, którego doznałaś w wypadku. – Jakub wskazał palcem podłużną bliznę nad jej prawą skronią.

Uniosła dłoń. Podejrzewała, że gdy weszła do ciepłego pomieszczenia po dłuższym przebywaniu na zimnie, blizna wybarwiła się na różowo. Z czasem miało to minąć. Opuszkami przesunęła po wgłębieniu, wyczuwając charakterystyczny kształt. I choć ten ślad był jedynym widocznym, jaki pozostał po wypadku, w środku miała ich znacznie więcej.

Zagórski pochylił się w jej stronę.

– Słyszałaś kiedyś o PTSD? – zapytał. Wraz ze zmianą tematu zaszła zmiana w jego zachowaniu. Mówił łagodniej i ostrożniej dobierał słowa.

Lena nie wiedziała, do czego zmierza. Z tym skrótem spotykała się głównie podczas oglądania amerykańskich filmów: *Post-Traumatic Stress Disorder*.

– Obiło mi się o uszy – odpowiedziała jedynie. – Kojarzy mi się

z żołnierzami wracającymi do kraju z wojny.

Jakub przytaknął.

– Dobrze kojarzysz, tyle że zespół stresu pourazowego nie dotyczy wyłącznie żołnierzy. Ma związek z traumą i może dotknąć każdego. Owszem, początkowo badania skupiały się na wojskowych, ale potem zauważono, że cierpią na to także cywile.

Lena wytrzymała jego wzrok.

– Myślisz, że i ja? – upewniła się, gdy w końcu zrozumiała, do czego zmierza.

– Tak sędzę. Gdybym miał zgadywać po tym, jak wyglądasz, powiedziałbym, że od długiego czasu nie przespałaś całej nocy. Masz koszmary? – Zwracał się do niej tak, jakby rozmawiał z przestraszonym dzieckiem.

Do tej pory stwierdzał fakty, więc kiedy z jego ust padło pytanie, Lena nie wyłapała tego od razu. Dopiero po chwili odpowiedziała kiwnięciem głowy. Tym samym on zdobył pewność, że się nie mylił.

– Nie odczułem tego na własnej skórze, ale widziałem wiele osób, które bez pomocy z zewnątrz odcinały się od wszystkich. Z czasem będzie coraz gorzej – kontynuował, roztaczając przed Leną wizję mało sielskiej przyszłości. – Może pojawić się depresja, nerwica. Twój umysł będzie cię coraz mocniej ograniczał, a ty będziesz się coraz bardziej zanurzać w swoich problemach.

Lena wiedziała, że ten etap już się zaczął. Świeżo w pamięci miała to, w jaki sposób zakończyła się jej próba, gdy usiadła za kierownicą. Ale akurat tego nie chciała z nim omawiać.

Słowa Jakuba brzmiały rozsądnie. Czy za to wszystko może odpowiadać trauma? – zastanawiała się. Koszmary, poczucie zagrożenia. Nie wszystko się jednak zgadzało.

– A wrażenie, że jestem obserwowana?

Zagórski i na to miał odpowiedź.

– Jeszcze jeden skutek traumy. To nic niezwykłego ani niepokojącego. Mało śpisz, masz wysoki poziom lęku i ogólnego niepokoju, taka mieszanka sprawia, że twój umysł poszukuje źródeł, które mogłyby być tego powodem. – Zrobił krótką pauzę. – Mózg próbuje zracjonalizować emocje; w taki sposób radzi sobie z problemem.

Lena milczała, przyglądając się swoim dłoniom. Zastanawiała się nad tym, co powiedział.

– Jesteś teraz bardziej wrażliwa na wszystko, co cię otacza. I to, co kiedy indziej nie zwróciłoby twojej uwagi, teraz zauważasz...

– Wyolbrzymiam – dopowiedziała Lena.

– Potraktuj to jako jeden z objawów, który kiedyś minie. – Słowa miały zabrzmieć jak pocieszenie, ale raczej nie spełniły swojego zadania.

- A te głuche telefony? – spytała, wciąż nieprzekonana.
- A twój mąż? – Zagórski odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Były mąż. I co z nim?

– Może on to robi. Już raz pokazał, do czego jest zdolny – przypomniał, gdy Lena pokręciła głową. – Nie możesz tego wykluczyć. Sama mówiłaś, że telefony pojawiły się, kiedy tyko wróciłaś do Krakowa.

– Nie sędzę, żeby to był on – odparła po krótkim wahaniu. – O ile mi wiadomo, spodziewa się dziecka, więc ma inne rzeczy na głowie niż próby gnębienia mnie.

W pokoju na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

– Głuche telefony trafiają się każdemu – odezwał się wreszcie Kuba. – Przypomnij sobie, jak było wcześniej.

Lena wzruszyła ramionami.

– Zdarzały się, ale nie tak często.

– Wspominałaś, że otworzyłaś firmę.

– Otwieram – poprawiła go. – Ruszam z nią dopiero od października.

– No dobra. I nie zamieściłaś dotąd w sieci żadnych informacji na ten temat?

– Na razie same dane. Pracuję nad resztą. – Zmarszczyła czoło. Miała problem z nadążeniem za myślami Zagórskiego.

– Czyli twój numer telefonu jest dostępny w Internecie – wyjaśnił. – Co oznacza, że takie połączenia będą się powtarzać.

Lena w milczeniu analizowała jego słowa. Dopiero po chwili odetchnęła z ulgą. Po raz pierwszy, odkąd się to zaczęło, czuła się lepiej. Jakub rozbił jej argumenty, opierając się na racjonalnym podejściu, dlatego ze spokojem przyjęła jego propozycje wyjaśnień. Zapewne gdyby nie była ostatnio taka rozstrojona, sama doszłaby do tego wcześniej. Teraz, kiedy o tym myślała, wszystko nie wydawało jej się już tak przerażające.

– Mogę skorzystać z toalety? – spytała. Tak naprawdę była to tylko wymówka, by wyjść z pokoju. Wyczerpała temat, a na inne rozmowy nie była po prostu gotowa.

– Jasne.

Wstała i przeszła nad Saburim. Wiedziała, że łazienka mieściła się na końcu korytarza. Chwilę później spuściła wodę w toalecie, by uwiarygodnić swoje zagranie, i kiedy oparła dłonie na umywalce, podniosła głowę i przejrzała się w lustrze. W jasnym świetle jej podkrążone oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze. W ostatnim czasie najwyraźniej straciła kilka kilogramów. Nie za wiele, ale wystarczająco, by potrzebowała paska, aby utrzymać spodnie na miejscu. Kości policzkowe stały się wyraźniejsze – niekoniecznie dodawało jej to uroku.

Skupiona na sobie, dopiero po chwili zwróciła uwagę na kilka rzeczy ułożonych na półeczce tuż obok umywalki. Dwie szczoteczki do zębów, puder

w eleganckim opakowaniu i pomadka do ust od Diora.

Zagórski spotykał się z kobietą, która lubiła się otaczać dobrymi rzeczami, z najwyższej półki. A Lena myślała kiedyś, że to ona jest dla niego atrakcyjna! Na pewno nie teraz, kiedy nawet sobie się nie podobała. Jadąc do niego, nie zaprzętała sobie głowy swoim wyglądem. Jeśli potrzebowała kolejnego dowodu na to, że coś było nie tak z jej życiem, to właśnie go zdobyła. Dawno temu spotkała się z opinią, że po wyglądzie można ocenić, czy dana osoba zmagą się z jakimiś problemami. Szczególnie widoczne było to w przypadku kobiet, kiedy zwykle zadbane, nagle przestawały przykładać wagę do tego, jakie robią wrażenie.

Trochę zbyt mocno pociągnęła kilka kosmyków, które wysunęły się z kucyka, i na tyle, na ile było to możliwe, doprowadziła się do porządku, jednak nie dało to wyraźnej poprawy. Potarte dłońmi policzki były zaczerwienione, jakby dostała w twarz.

Lena westchnęła. To nie był jej najlepszy dzień. Musiała się wziąć za siebie. Zdrowsze posiłki o regularnych porach – to było pierwsze postanowienie. Z taką myślą wyszła z łazienki i zgasła światło.

Kiedy wróciła do pokoju, Jakub siedział w tym samym miejscu. Zniknął jedynie jego kubek. Leny zaś, jeszcze z połową zawartości, stał nieruszony.

– Będę się zbierać – powiedziała, stając w progu.

Kuba spojrzął jej w oczy, próbując odszyfrować, czy poradzi sobie w najbliższej przyszłości.

– Dzięki za rozmowę – dodała jeszcze, obserwując, jak wstaje.

Saburi też się podniósł.

– Do usług.

Szybko się ubrała. Przez ten czas żadne z nich nie nawiązało do kolacji, o której wspominali przed dwoma dniami. Teraz było wiadomo, że każde z nich miało inne motywy. Zagórskiego pożerały wyrzuty sumienia, za propozycją Leny stało coś innego, ale przestało być aktualne po tym, co zobaczyła w jego łazience.

– Wiesz, że to samo nie minie? – zapytał, kiedy była gotowa do wyjścia.

Znieruchomiała z szalem w dłoniach. Dobrze wiedziała, do czego zmierza.

– PTSD jest utrapieniem i może stać się jeszcze większym, jeśli nic z tym nie zrobisz. A sama sobie nie poradzisz. Jeśli nie pójdziesz na terapię, te objawy się nasilą.

Lena wciąż milczała i jedynie lekkie skinięcie głową świadczyło, że usłyszała jego słowa.

Nacisnęła klamkę i opuściła mieszkanie.

Poniedziałek, 21 września

ROZDZIAŁ 13

JAKUB WYSZEDŁ Z GABINETU KOBZY. Choć rano wziął prysznic, to po wizycie w jej dusznym gabinecie najchętniej zrobiłby to jeszcze raz. Zwłaszcza że spotkanie ze Smoczycą się przeciągnęło i zamiast standardowej półgodziny trwało dwa razy dłużej. Szefowa była nad wyraz skora do rozmowy. Nie wiedział, czy ma się obawiać, czy cieszyć z tej niewielkiej zmiany w jej postawie. Jak na razie wolał zachować daleko idącą czujność i podchodzić do niej jak do dzikiego zwierzęcia, które obserwuje się, nie wiedząc, czy nie zaatakuje podczas następnego ruchu.

Wysiadł z windy na ostatnim piętrze i ruszył w stronę gabinetu Wrońskiego. Wszedł do środka. W pokoju Tomka, pod oknem, znajdowały się dwa biurka ustawione tuż obok siebie – gdyby nie niewielka ścianka pośrodku, tworzyłyby jedną większą powierzchnię. Tomasz zajmował biurko po lewej stronie, miejsce po prawej pozostawało teraz puste.

– Jesteśmy w dupie! – odezwał się Wroński na widok partnera.

Nie powiedział nic odkrywczego. Po wrzuceniu do systemu odcisków palców denata nie pojawiło się żadne trafienie.

– Musimy poczekać na resztę wyników. – Jakub wrócił do rozmowy, którą prowadzili przed jego spotkaniem z szefową. Nie skończyli wówczas omawiać ruchów, jakie mogli wykonać. – Najgorsze jest to, że nie znając tożsamości ofiary, nie mamy punktu zaczepienia, by ustalić, kim może być sprawca. – Przerwał na moment, by napić się zimnej już kawy. – Wiemy natomiast, że denat ma od

czterdziestu do pięćdziesięciu lat i jest rasy kaukaskiej. Mógł mieć około metra siedemdziesięciu wzrostu i chorował na hiper... – urwał, próbując przypomnieć sobie długą nazwę.

– Hipercholesterolemię – wspomógł go Wroński, posiłkując się notatkami. Wymówił nazwę powoli, sylabizując.

Jakub przytaknął i oparł się o ścianę. Może nazwy nie zapamiętał, ale tego samego nie mógł powiedzieć o związanej z nią żółtej treści zatykającej żyły. Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

– Nie znajdziemy sprawcy, opierając się tylko na tym, co mamy – dodał Tomek, odrzucając notes na stół.

Miał rację. Udało im się zdobyć tylko szczątkowe informacje i żadna z nich nie była na tyle ważna, by pchnąć śledztwo w jakimś kierunku.

Jakub zastanawiał się nad możliwościami.

– Będziemy musieli pokopać głębiej. Zaczniemy od przejrzenia zgłoszeń zaginięć, powiedzmy, z ostatnich trzech miesięcy. Mamy trochę utrudnione zadanie, ale może ktoś będzie odpowiadał wiekiem, wzrostem i sylwetką. A nuż nam się poszczęści.

Wroński miał na ten temat odmienne zdanie. Przeglądanie bazy postrzegał jako stratę czasu.

– Słabo to widzę – wyraził to mniej dobitnie.

– Ja też, ale musimy spróbować. Oprócz tego sprawdzimy także poziom rzek.

– Chcesz zrobić symulację, gdzie ciało mogło zostać wrzucone do wody – domyślił się Wroński. Podstawą ich udanej współpracy było to, że rozumieli się jak niejedno stare małżeństwo.

– Znając w przybliżeniu miejsce, będziemy mogli przepytąć okolicznych mieszkańców, czy nie widzieli kogoś podejrzanego, obcej osoby kręcącej się w pobliżu. Często ludzie nie wiedzą, że są w posiadaniu cennych informacji, dopóki się do nich nie trafi. Przy odrobinie szczęścia może przy brzegu Wisły natkniemy się na coś, co należało do mordercy. Do tego będziemy potrzebowali informacji o opadach deszczu, dajmy na to z ostatnich dziesięciu dni.

– Sprawdzę jeszcze, czy na stopniu wodnym nie było zrzutów – zaproponował Tomek. – To także miałoby wpływ na podniesienie się poziomu Wisły.

– Dobry pomysł!

Jakub dopił ostatnie krople kawy. Odstawił kubek na biurko i sięgnął po piłeczkę antystresową, z którą jego partner nie rozstawał się w ostatnim czasie. Do tej pory nie rozumiał, na czym polegał jej fenomen.

– A przeczesywanie rzeki? – Tomek próbował dalej, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Kuby. – Mamy ciało pozbawione głowy, więc jest szansa, że

uda się ją odnaleźć. Mała, ale jest.

Jakub nie był przekonany do tego pomysłu. Nie tyle nawet do samej idei, ile do tego, co się z tym wiązało. Ostatecznie wszystko koncentrowało się wokół pieniędzy.

– Może tak, może nie. Zbliża się koniec roku i teraz Kobza na pewno się na to nie zgodzi. Zbyt duży koszt, a wynik niepewny – wyjaśnił. – Ale możemy zrobić co innego.

Tomek odchylił się na krześle i czekał.

– Spróbujmy skontaktować się jeszcze z komisariatem wodnym – kontynuował po chwili Zagórski – i podpytać, czy w ostatnim czasie nie wpłynęły do nich nietypowe zgłoszenia. Możliwe, że ktoś zauważył coś niepokojącego.

Wroński pokiwał głową.

– Mam tam kumpla. Przedzwonię do niego i popytam. To może być dobry trop, szczególnie jeśli uda się nam określić orientacyjne miejsce zrzutu ciała.

Przerwał im odgłos przychodzącej wiadomości. Jakub zerknął na komórkę i kiedy przeczytał maila, skrzywił się.

– Co jest?

– Tadziu chce się z nami spotkać – odpowiedział. A potem przebiegłszy wzrokiem po wiadomości, streścił jej zawartość: – Zamierza omówić dalsze etapy śledztwa i zorientować się, jak wygląda obecna sytuacja.

Tomek prychnął. Wystarczyła tylko wzmianka o prokuratorze, by podniosło mu się ciśnienie.

– Dobre sobie. Innymi słowy chce rozłożyć nad sobą dupochron – podsumował, pochylając się nad biurkiem. – Na wypadek, gdyby całe to gówno zaczęło spływać na nas. Już widzę, jak ten goguś będzie nas uczył, jak mamy wykonywać swoją robotę. Szkoda, że nie uważał na zajęciach, kiedy była mowa o jego zakresie obowiązków.

Jakub zastanawiał się, jak głęboko będą mogli wsadzić kij w mrowisko i jak bardzo nim poruszać, by zatrzymać swoje stołki.

– Zbierajmy się – rzucił. – Lepiej mieć to z głowy.

Tomasz energicznie odepchnął się od biurka. Kółka jego fotela nieprzyjemnie zachrootały po wytartej posadzce.

Kiedy Wroński sięgnął po komórkę i portfel, które położył wcześniej obok komputera, do pokoju wszedł Stanisław Baran; skierował się do swojego biurka. Było widać, gdzie spędził ostatnią godzinę. Na przyciasnej koszuli, która z coraz większym trudem mieściła wylewający się znad spodni brzuch, miał tłustą plamę, a w dłoni kubek przypominający raczej niewielki garnek. Z naczynia rozchodził się słodki zapach malinowej herbaty.

– Ej, Zagórski! – odezwał się, siadając ciężko na fotelu. Dźwięk towarzyszący temu ruchowi brzmiał jak puszczenie bąka. Niestety,

prawdopodobnie nie był to omam słuchowy. – Zapomniałem ci powiedzieć, że w zeszłym tygodniu szukała cię pewna cizia.

Jakub pominął milczeniem tę próbę zwrócenia na siebie uwagi. Nie zdarzało się za często, by od pierwszego spotkania czuł do kogoś niechęć, ale tak było w przypadku Barana. Gość był upierdliwy, a przy tym ciekawski, prymitywny i wszędzie wciskał swoje ciągle tłuste palce, dlatego nie interesowało go, co policjant miał do powiedzenia. Zagórski podejrzewał, że większość plotek krążących po komendzie miała źródło w jego osobie. Zastanawiał się także, jak Wroński wytrzymuje z nim w jednym pokoju. Gdyby chodziło o niego, byłoby tylko kwestią czasu, aż któryś z nich by wyleciał.

– Niezła cizia – powtórzył Baran, przeciągając sylaby, gdy wcześniejsza próba nie przyniosła żadnej reakcji.

Zagórski w dalszym ciągu nie miał zamiaru dać się wciągnąć w rozmowę; zrobił to za niego Tomek.

– Jaka cizia? – spytał, ściągając kurtkę z fotela.

– Blondyna, cycuszki jak – mówiąc, Baran zademonstrował ich wielkość – jabłuszka. Dorodne. Byłeś na sekcji, jak przysła.

– To pewnie Zamojska. Spotkaliśmy ją przy windzie.

Jakub zastanawiał się, czy przez Tomka przemawia dedukcja, czy dopiero opis wypowiedział mu, o kogo chodzi. Baran przytaknął, zadowolony, że w końcu ktoś go słucha.

– Jakoś tak! – odparł i podmuchał na herbatę.

Zagórski miał już dość tej wymiany zdań.

– Skończyłeś? – spytał Wrońskiego. Stał w drzwiach i zaczynał się niecierpliwie. Nieświadomie też coraz mocniej zaciskał palce na miękkiej piłeczce.

Baran odchylił się na krześle i spojrzał na komisarza. To o niego chodziło mu od samego początku.

– Jak nie jesteś zainteresowany, to chętnie się nią zajmę. Widziałem, jak na mnie patrzyła – dodał i mrugnął znacząco.

Jakub już w liceum mógł pochwalić się lepszą zwinnością i celnością niż koledzy. Te zdolności wyróżniały go także później, kiedy wstąpił do wojska. Dlatego nie musiał szczególnie celować, by piłeczką trafić w kubek, akurat w momencie, kiedy Baran podnosił go do ust.

Zdażył jeszcze wyjść na korytarz, kiedy rozległ się wrzask wypełniony przekleństwami. Niektóre z nich słyszał pierwszy raz. Jak się okazało, jednak mógł się czegoś nauczyć od Barana.

Wroński dołączył do niego, zatraskując za sobą drzwi.

– Kurwa, wielkie dzięki! Teraz to dopiero będę miał przesrane.

Jakub nie mógł powstrzymać śmiechu. Szczeniacka zagrywka sprawiła mu tyle radości, że przyszło mu nawet przez myśl, by to powtórzyć.

– Sorry, ale nie mogłem się opanować – odparł jedynie. Niewielka cena za chwilę satysfakcji.

Wroński pokręcił głową.

– Teraz jak będę przesiadywał więcej u ciebie, to tylko dzięki tobie – mruknął i ruszył za partnerem.

Zagórski nie przejął się tym. Nie chciał tego mówić, ale przywykł już do częstych odwiedzin.

W drodze do wyjścia zatrzymali się jeszcze w jego gabinecie po płaszcz, a potem zjechali na parter. Gdy wyszli przed budynek, Tomek przystanął i wyciągnął papierosa.

– Myślałem, że już rzuciłeś.

– Ja też – odparł.

Wyszperał w kieszeni zapalniczkę i zapalił. Po chwili zaciągnął się głęboko.

– Jedziemy samochodem? – spytał, wypuszczając dym nad ich głowami.

Jakub zerknął w niebo. Było pochmurnie, ale nie wyglądało na to, że będzie padać.

– Nie, przejdźmy się. Będzie szybciej. Zwłaszcza że teraz jest jakieś zwięzienie na wysokości Cystersów.

Prokuratura Rejonowa Kraków-Śródmieście znajdowała się na ulicy Mosiężniczej, w bliskim sąsiedztwie sądu. Od samej komendy w prostej linii dzielił ją jakiś kilometr z nadstatkiem. Pokonanie tej trasy samochodem zajmowało czasami dwa razy więcej czasu niż spacer tam.

Mężczyźni minęli szlaban blokujący wjazd na teren komendy i skręcili w Mogilską, kierując się w stronę ronda. Szli szybciej niż zwykle. Kiedy po niespełna dziesięciu minutach dotarli na miejsce, z czteropiętrowego budynku wychodziło właśnie kilka osób, trzech mężczyzn i dwie kobiety. Na podstawie tego, jak ze sobą rozmawiali, można było stwierdzić, że nie byli przypadkowymi nieznanymi, którzy spotkali się przy wyjściu.

Wśród nich znalazła się prokurator Trzaskalska, z którą Jakub i Tomasz kiedyś współpracowali. Kompetentna, zdecydowana, zaangażowana w sprawę. A co najważniejsze, wiedziała, że współpraca z policjantami jest znacznie korzystniejsza dla wszystkich, a zwłaszcza dla samego dochodzenia, niż próba komenderowania nimi i mówienia, jak mają wykonywać swoją robotę.

Tadeusz Węgrowski mógłby się od niej wiele nauczyć.

Na widok policjantów prokurator odłączyła się od grupy i skierowała w ich stronę.

– Co was tu sprowadza? – odezwała się pierwsza, zatrzymując się przed mężczyznami. W jednej ręce trzymała czarną tokę z czerwoną lamówką, w drugiej skórzaną aktówkę.

– Tadeusz Węgrowski – odpowiedział Zagórski, wkładając dłonie do

kieszeni. – Pracujemy razem nad sprawą nurka – dodał jedynie. Nie miał zamiaru wchodzić w szczegóły, na czym polega ta ich współpraca. A raczej jej brak.

– O, to współczuję – rzuciła Trzaskalska z krzywym uśmiechem.

Wyglądało na to, że także w prokuraturze nie pałano sympatią do Węgrowskiego. Nepotyzm nigdzie nie był lubiany. Szczególnie że gdyby nie ojciec, młody na pewno nie utrzymałby się na swoim stołku, robiąc to, co do tej pory. Czyli niewiele.

– Ustaliliście coś? – Nawiązała do sprawy.

Jakub wzruszył ramionami.

– Tyle co nic. Teraz będziemy szukać dalej – odpowiedział i wskazał głową budynek. – Zobaczymy też, co wymyśli Węgrowski.

– Z całą pewnością będzie się starał. – Trzaskalska zaciskała usta, jakby zjadła coś kwaśnego. Tak przynajmniej myślał Tomasz, lecz kiedy usłyszał resztę, zorientował się, że z trudem hamowała śmiech. – Słyszałam, że stary dał mu dzisiaj nieźle w dupę.

– To tłumaczy, dlaczego ściągnął nas akurat teraz – podsumował Wroński. Jeśli prokurator czuł przed kimś respekt, to wyłącznie przed własnym ojcem.

Zdawszy sobie sprawę, na co się zanosi, wykorzystał jeszcze moment, zanim wejdą do środka, i odpalił kolejnego papierosa. Tym razem miało go to uspokoić przed rozmową z Tadzkiem. Podczas ostatniego spotkania, trwającego zaledwie parę minut, zagotowało się w nim. A teraz czekała ich dłuższa przeprawa, która nie będzie miała łagodnego przebiegu.

– Stary miał już chyba dość synalka, którego nazywają długopisem – dodała jeszcze Trzaskalska, ściszej głoś.

– Długopis? – podłapał Wroński. Interesowało go wszystko, co działało na niekorzyść Węgrowskiego.

Prokurator pokiwała głową i przełożyła aktówkę do drugiej ręki.

– Tak. Nie prowadzi śledztw, tylko się podpisuje pod aktami sprawy – wyjaśniła i odsunawszy mankiet marynarki, zerknęła na zegarek. – Dobra, chłopaki. Zbieram się. Mam rozprawę za dziesięć minut, a jeszcze muszę podejść do samochodu po komórkę. Jakbyście czegoś potrzebowali, wiecie, gdzie mnie znaleźć.

– Dzięki – rzucił Zagórski.

Trzaskalska obróciła się na pięcie i po chwili zniknęła za budynkiem.

– Jaka szkoda, że zamiast niej mamy Węgrowskiego – mruknął Tomek, zerkając na Kubę.

Ten skinął głową.

– No, ale nic z tym nie zrobimy – skomentował i palcem wskazał na papierosa. Był wypalony dopiero w połowie. – Kończysz już? Zgłodniałem i chciałbym mieć to za sobą.

– Jasne. – Tomasz zaciągnął się. Już chciał wyrzucić peta na ziemię, ale zmienił zdanie, widząc spojrzenie Zagórskiego. – No dobra, dobra – powiedział dla spokoju. Temat rzucania niedopałków mieli już za sobą.

Odwrócił się i poszukał wzrokiem popielniczki. Dojrzał ją dopiero przy rogu budynku. Kolejne zmiany. Wcześniej znajdowały się one zaraz przy głównym wejściu, tuż przy koszach na śmieci, ale odkąd kładziono nacisk na poprawę zdrowia Polaków i starano się zmniejszyć liczbę palaczy, przesunięto je tam, gdzie nikomu nie przeszkadzały. W ten sposób wchodzący i wychodzący z budynku nie przedzierali się za każdym razem przez chmurę dymu.

Tomek ruszył w tamtą stronę. Gdy zbliżał się do winkla, jego wzrok zatrzymał się na czarnym Suzuki. Nie tyle marka przykuła jego uwagę, choć auto było niezawodne i godne polecenia, ile mocne wgniecenie na zderzaku. Z czerwonymi śladami lakieru. Widział je już całkiem niedawno, pod domem Zagórskiego.

Zaciągnął się jeszcze raz, prawie parząc sobie palce, i zrobił kilka kroków, by przyjrzeć się pojazdowi z bliska. Nie zdążył, bo drzwi się otworzyły i z pojazdu wysunęła się damska noga, a potem cała sylwetka. Prokurator Dagmara Trzaskalska.

– Mam! – odezwała się na widok Tomka i pokazała komórkę. – Wiedziałam, że gdzieś ją zostawiłam.

Wroński uśmiechnął się i pokiwał głową. Tylko na tyle było go teraz stać. Każda inna reakcja mogła zdradzić, co właśnie odkrył. Trzaskalska mieszkała po drugiej stronie Krakowa. Wiedział o tym, gdyż kiedyś podrzucił jej do domu dokumenty. Ostatnio nie pracowali jednak nad żadną wspólną sprawą, która tłumaczyłaby spotkanie w godzinach porannych, więc wyjaśnienie, dlaczego parkowała pod domem Zagórskiego, musiało być inne. A jak dodało się do tego te ciągle zajęte wieczory komisarza, odpowiedź nasuwała się sama.

Kuba przez cały czas utrzymywał ten związek w tajemnicy. Owszem, Tomek miał pewne podejrzenia, że kolega z kimś się spotyka. Zaczął się już nawet zastanawiać, czy partner nie widywał się aby z Zamojską po jej powrocie do Krakowa. Żeby sprawdzić swoją teorię, celowo podpytał go o Lenę, lecz po jego reakcji zorientował się, że to musiał być ktoś inny. Spotkanie w windzie rozwiało resztki wątpliwości. Ale prokurator Trzaskalska? Tego akurat nigdy by się nie domyślił.

A teraz jeszcze ta gadka o sprawie. Podejrzewał, że Trzaskalska była na bieżąco z ich dochodzeniem, a scenka przed budynkiem prokuratury została odegrana głównie dla niego. Zirytował się, ale po części rozumiał, dlaczego Jakub trzymał to w tajemnicy. W przyszłości mogli przecież współpracować przy kolejnych dochodzeniach, a góra nigdy nie patrzyła życzliwie na związki w pracy. Zazwyczaj łączenie życia zawodowego z prywatnym nikomu nie wychodziło na

dobrze.

Wroński podejrzewał, że i na taką ewentualność istniały jakieś regulacje. Sam spotykał się kiedyś z policjantką pochodzącą ze świeżego narybku, ale trwało to jakieś dwa tygodnie i żadne z nich nie myślało o tym na poważnie. Liczyła się chwila i fakt, że obojgu było miło.

Ujawnienie takiej informacji szefostwu było równe z posłaniem jej prosto w świat, a Jakub nigdy nie należał do osób afiszujących się ze swoim życiem prywatnym. Tym bardziej teraz. Wroński już sobie wyobrażał, jakie Kobza miałyby używanie. Pewnie nie tylko ona. Po dzisiejszej scysji z Baranem był pewny, że kolega z pokoju pierwszy wykorzystałby słaby punkt Jakuba.

– Tomek! – zawołał Zagórski. – Pomóc ci zrobić te kilka kroków czy sam dowleciesz tu swój tyłek?

– Idę, idę!

Postanowił na razie nie zdradzać, że odkrył jego tajemnicę. Zostawi to dla siebie. Sekret Kuby był bezpieczny.

ROZDZIAŁ 14

DOCHODZIŁO POŁUDNIE, kiedy Lena wypakowała ostatnie pudło i upchnęła jego zawartość pod łóżkiem. W końcu mieszkanie przestało przypominać magazyn i teraz wyglądało już jak odpowiednie miejsce do życia. W ramach postanowienia zadbania o siebie przygotowała prosty posiłek. Spaghetti z pomidorami z puszki nie należało co prawda do potraw najwyższych lotów, ale obiad był smaczny i przynajmniej domowy.

Choć od spotkania z Ašką minęło kilka dni, wciąż nie mogła o nim zapomnieć. I to nie dlatego, że kobieta kojarzyła jej się z pasożytem żerującym na cudzym nieszczęściu. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, podała jej niemal same ogólniki. Ale przynosząca efekty terapia była już istotna. Lenie szczególnie utkwiły w pamięci słowa o poprawie stanu Marszałkowskiej i zdjęcie, na którym Weronika wyglądała jak zupełnie inna osoba.

Zastanawiało ją, dlaczego lekarz prowadzący terapię i będący równocześnie tym samym, który wypowiadał się na temat Marszałkowskiej po jej śmierci, nie wspomniał o tym. Może była to jedynie krótka poprawa po długiej historii leczenia zakończonego samobójstwem, w dodatku niezbyt istotna? Tak podejrzewała. Wszystko wskazywało na to, że kobieta miała już dość brata, który ją ograniczał, i ich relacji, której z całą pewnością nie można było określić wzorową. Lenie przychodziły do głowy inne określenia: wypaczona, zboczona, chora. Zastanawiała się, czy tak było od samego początku. Czy może jednak starszy brat dopiero później zafiksował się na jej punkcie?

Zamojska nie była specjalistką w tym zakresie, ale podejrzewała, że takie zwyrodnienie nie należało do częstych i miało podłoże w ich przeszłości.

Kolejną niewiadomą stanowił zawód Marszałkowskiej. Pewnie w tych

momentach, w których nie mogła pracować z powodu depresji, była na zasiłku, w pozostałych okresach musiała się jednak z czegoś utrzymywać. Ale z czego? Enigmatyczna odpowiedź Aśki, że Marszałkowska pracowała na zlecenie, nie zdradzała zbyt dużo. Rzekoma przyjaciółka nie była aż tak zainteresowana jej sytuacją.

To wszystko sprawiało, że Lena w dalszym ciągu nie potrafiła przestać o tym wszystkim myśleć, dlatego gdy zaspokoila pierwszy głód, przyniosła z sypialni laptopa i położyła go na stole. Czekając, aż się uruchomi, przesuwała widelcem po resztkach na talerzu, małymi łykami popijając gorącą herbatę.

Otworzyła przeglądarkę i wpisała: Weronika Marszałkowska.

Internet był skarbnicą, miejscem wręcz stworzonym do prowadzenia poszukiwań, ponieważ raz wrzucone zdjęcie, informacja, nigdy już nie znikaly. To było na swój sposób przerażające.

Lena założyła sobie konto na jednym z portali społecznościowych. Korzystała z niego dla podtrzymywania kontaktów, zwykle kiedy bezpośrednia rozmowa nie była możliwa. Głównie tyczyło się to jej znajomych z poprzedniej pracy. W ostatnim czasie przełamała się jednak i podczas zakładania witryny internetowej dla swojej nowej działalności założyła także firmowe konto na Facebooku.

Marszałkowska raczej nie miała własnego profilu, a przynajmniej nie pozostał po nim żaden ślad, o czym Lena przekonała się chwilę później. Kliknęła więc w Google na zakładkę „Grafika” i przyjrzała się pierwszym zdjęciom dopasowanym do wprowadzonego wyszukiwania. Nie było tego za wiele. Zaledwie trzy strony trafień; przejrzanie wszystkich wyników nie zajęło jej dużo czasu. Niestety, nie dowiedziała się niczego poza tym, że Marszałkowska dbała o swoją prywatność i nie istniała w sieci.

Wyjrzała przez okno, bębniąc palcami o blat. Po chwili, ponownie spojrzawszy na ekran laptopa, postanowiła, że tak tego nie zostawi. Chciała poznać resztę odpowiedzi. Nie miała zamiaru szukać po omacku, dlatego zdecydowała się skontaktować z kimś, kto faktycznie będzie mógł jej pomóc.

Wyciągnęła akta z torebki, rozłożyła przed sobą teczkę i wyjęła z niej opinię psychiatryczną Weroniki. Nie zamierzała tego czytać po raz kolejny. Jej wzrok zatrzymał się na pieczętce i podpisie lekarza.

Otworzyła nowe okienko i w pasek wyszukiwarki wpisała jego imię i nazwisko. Był bardzo popularny – lista trafień liczyła kilkadziesiąt stron.

Wybrała pierwszą pozycję i weszła na jego stronę. Stanisław Kaletnik miał tyle stopni i tytułów, że razem wzięte były dłuższe niż imię i nazwisko. Jak to możliwe, pomyślała Lena, że kładąc tak duży nacisk na swoją karierę, lekarz miał jeszcze czas na prowadzenie terapii?

Następnie otworzyła zakładkę „O mnie” i przebiegła wzrokiem po

zamieszczonym po prawej stronie spisie chorób, jakimi się zajmował. Na pierwszym miejscu znajdowała się depresja, a następnie zaburzenia lękowe i bezsenność. Jednak lista na tym się nie kończyła.

Kliknęła na drugą zakładkę, „Kontakt”, a potem sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Była niemal dwunasta trzydzieści, kiedy po niespełna trzech sygnałach ktoś odebrał.

– Karolina Michalec – przedstawiła się nieznajoma. Miała miły głos.

– Dzień dobry! Nazywam się Lena Zamojska – zaczęła, zastanawiając się, czy będzie mieć szczęście i od razu uda jej się porozmawiać z lekarzem – i chciałabym się skontaktować z profesorem Kaletnikiem.

Głos po drugiej stronie pozostał uprzejmy.

– Profesor nie udziela telefonicznych konsultacji.

Lena zaklęła w myślach.

– Nie chodzi o terapię – odparła, czując na plecach twarde oparcie krzesła. – Czy mogłaby mi pani podać jego numer?

Głos sekretarki przestał być miły.

– Niestety, nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji. – Kobieta wyrecytowała wyuczoną na pamięć formułkę.

Lena przygryzła wargi. Zastanawiała się, co dalej.

– No dobrze – odpowiedziała, rozumiejąc, że w ten sposób nic nie wskóra. – Jeśli tylko tak mogę się spotkać z profesorem, to chciałabym się umówić na wizytę. – Teraz wołała nie myśleć, ile będzie ją to kosztowało. Mogło się okazać, że to najdroższe piętnaście minut jej życia. – Zależy mi na czasie – dodała na koniec.

Westchnienie po drugiej stronie świadczyło, że z takimi telefonami kobieta musiała radzić sobie przynajmniej kilka razy w ciągu dnia.

– Niestety, profesor dzisiaj wyjeżdża i wróci do Krakowa dopiero za dwa tygodnie. Natomiast jeśli chodzi o wizytę, mogę zaproponować...

– Dzisiaj? – upewniła się Lena. Odkąd dowiedziała się czegoś więcej o Weronice, tylko ta sprawa zajmowała jej myśli. Nie chciała czekać kolejnych tygodni.

– Tak, prosto z wykładu jedzie na lotnisko.

Lena skinęła głową, choć kobieta nie mogła tego zobaczyć.

– Dobrze, dziękuję – powiedziała i nie czekając na odpowiedź, przerwała połączenie.

Nie spodziewała się, by recepcjonistka z chęcią podzieliła się szczegółami o wykładzie, zwłaszcza że już na samym początku zdradziła powód, dla którego dzwoni. Dlatego wołała sama dokopać się do informacji, nie tracąc czasu na słowne przepychanki.

Znalezienie lekarza nie było trudne. Wykład: „Różne oblicza depresji” był zapowiadany już od miesiąca na portalach poświęconych zdrowiu psychicznemu.

Odbywał się w Audytorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lena zanotowała sobie numer sali i zamknęła laptopa. Wykład już trwał i musiała się pospieszyć, jeśli chciała złapać psychiatrę, zanim ten uda się na lotnisko.

TAKSÓWKARZ ZAHAMOWAŁ Z PISKIEM OPON, kiedy światło zmieniło się na żółte.

Lena stłumiła przekleństwo. Ona docisnęłaby pedał gazu, ale kierowca, w przeciwieństwie do niej, nigdzie się nie spieszył, a licznik bił.

Zerknęła na zegarek, powstrzymując rosnącą irytację. Nie było jeszcze tak źle. Znajdowali się już niedaleko, a wykład według planu miał zakończyć się za dwadzieścia minut.

Kiedy po chwili ruszyli, skręcili w Reymonta. Po prawej stronie minęli park Jordana, który teraz kojarzył się Lenie jedynie z jedną z ofiar Kamfory. I gdy wydawało się, że już nic więcej nie stanie im na drodze, na alejach utknęli w korku, tracąc kolejne dziesięć minut, zanim nawrócili na przełęczce.

W pobliżu Krupniczej taksówkarz ponownie zahamował na żółtym. Cierpliwość Leny się wyczerpała. Rzuciła pieniądze na siedzenie i zanim gość skończył mówić, że teraz nie może wysiąść, trzasnęła drzwiami.

Ponownie zerknęła na zegarek i przyspieszyła, kierując się w stronę Audytorium Maximum, centrum konferencyjno-dydaktycznego z kilkoma salami wykładowymi, z czego największa mogła pomieścić do tysiąca dwustu osób. Budynek robił wrażenie nie tylko z powodu pięknego wykończenia wnętrza; już jego elewacja z ciemnych cegieł przyciągała spojrzenie. Od frontu przez prawie całą szerokość centrum przechodziły szyby.

Weszła do środka. Przejrzysty sufit i podwieszane niżej drewniane konstrukcje przykuwały wzrok, lecz tym razem nie miała czasu, by napawać się tym widokiem.

Ruszyła schodami na górę. Po paru minutach dotarła przed salę wykładową. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i z jej wnętrza zaczęli wychodzić uczestnicy konferencji. Wykład dobiegł końca.

Lena podeszła do otwartych drzwi i wykorzystując moment przestoju, zajrzała do środka. Wzrokiem szukała profesora. Dzięki zamieszczonemu na stronie zdjęciu wiedziała, jak on wygląda. Szpakowaty mężczyzna o zaokrąglonej sylwetce, charakterystycznej dla ludzi mających niewielki kontakt z jakimkolwiek wysiłkiem fizycznym, a za to lubujących się w dobrym jedzeniu.

Zdążyła na czas. Kaletnik zbierał swoje materiały, równocześnie rozmawiając z kilkoma osobami.

Lena wycofała się na korytarz i czekała.

– Panie profesorze?! – Podeszła do niego, gdy tylko wyszedł z sali.

Zdjęcie musiało być zrobione co najmniej kilka lat temu – czas i dobrobyt zmieniły mężczyznę. Szpakowate włosy zrobiły się całkiem siwe i porastały jego potylicę kępkami, a sylwetka stała się jeszcze bardziej okrągła.

Stanisław Kaletnik odwrócił się. Jego wzrok zatrzymał się na jej twarzy. Mrużąc mocno oczy, najwyraźniej próbował sobie przypomnieć, czy gdzieś już się nie widzieli.

– Przepraszam, czy my się znamy? – zapytał w końcu.

Zamojska pokręciła głową i zrobiła jeszcze jeden krok. Mężczyzna był od niej niższy, więc cały czas patrzyła na niego z góry.

– Nazywam się Lena Zamojska. Czy mógłby mi pan poświęcić parę minut? – Ponieważ odpowiedź miał wypisaną na twarzy, szybko dodała: – Wiem, że spieszysz się pan na lotnisko. Proszę tylko o pięć minut.

Mężczyzna sapnął.

– O co chodzi?

– Chciałam zapytać o jedną z pańskich pacjentek – odezwała się, ścisząc głos. Na korytarzu wciąż tłoczyło się sporo osób, ale taka okazja mogła się już nie powtórzyć. – Chodzi mi o Weronikę Marszałkowską. Może ją pan pamięta?

Kaletnik przytaknął, a jego potrójny podbródek zafalował.

– Oczywiście, że tak – odparł ostro. – Nieczęsto zdarza się, że któryś z moich pacjentów popełnia samobójstwo. Jest pani dziennikarką? – spytał, przęcając się przed nią w taki sposób, by wydawać się wyższym. Efekty były marne.

– Nie – odpowiedziała szybko. Inaczej niż podczas spotkania z Aśką, tym razem postanowiła powiedzieć prawdę. Jeszcze bardziej ściszyła głos i wyjaśniła: – Interesuję się Weroniką Marszałkowską ze względów osobistych. Byłam ostatnią osobą, jaką Kamfora porwał, by wypełnić lukę po stracie siostry.

Lena spodziewała się różnych reakcji: szoku, współczucia, a nawet litości. Nie przewidziała natomiast tego, co nastąpiło. Kiedy lekarz usłyszał, że nie jest z prasy, zniknęło chwilowe zainteresowanie. Poniewczasie zorientowała się, że źle to rozegrała.

– Jest pani ostatnią ofiarą Kamfory – podsumował.

Zamojska opanowała chęć opuszczenia wzroku. Nie lubiła myśleć o sobie w kategorii ofiary. Samo określenie sprawiało, że źle się z tym czuła. Woląca postrzegać się jako tę, która przeżyła.

– Przykro mi to słyszeć.

Od lat miał styczność z różnymi ludzkimi tragediami i słowa te wypowiedział niemal automatycznie. Z czasem stawały się pustym frazesem, w którym nie było nawet odrobiny współczucia. Jako lekarz, który na co dzień zajmował się leczeniem dusz pacjentów, nie zrobił na Zamojskiej dobrego wrażenia. Brak empatii był czymś, co dyskwalifikowało go w jej oczach.

Lena przysunęła się bliżej.

– Więc zapewne zrozumie pan, że po tym, co mnie spotkało, chciałabym się dowiedzieć o Weronice czegoś więcej. A także o jej bracie, ich relacjach...

– Droga pani – wszedł jej w słowo. – Na pewno jest pani zaznajomiona z takim pojęciem jak tajemnica lekarska. – Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawił, że Lena poczuła do niego jeszcze większą antypatię.

Mimo to mówiła dalej:

– Nie proszę pana o to! Owszem, znam ten termin i nie oczekuję, że ją pan złamie. Chciałam tylko poznać tyle informacji, ile to możliwe, przy poszanowaniu pańskich zobowiązań. Nie chcę wchodzić w intymne szczegóły.

Mężczyzna pokręcił głową. Kończył się czas, który chciał jej poświęcić.

– Przykro mi – powiedział drugi raz, a potem pomachał ręką przechodzącemu obok mężczyźnie. – Muszę już iść.

Nie czekając, odwrócił się i ruszył wąskim korytarzem w stronę wyjścia. Lena zacisnęła pięści. A jednak przyznanie się i podanie prawdziwego powodu nie było dobrym rozwiązaniem. Mogła powtórzyć bajeczkę o książce. Kaletnik najwyraźniej lubił błyszczeć. Nie tylko w przenośni, jeśli oceniać po jego garniturze. Te wszystkie wyćwiczone ruchy przypominały aktora na scenie, grającego z pamięci swoją rolę. Wieżyczka z palców, uniesiony podbródek, by dodać sobie kilka centymetrów wzrostu. Wszystko miało na celu pokazać go w lepszym świetle.

Po krótkim wahaniu Lena ruszyła za nim.

– Wiem, że Weronika miała poprawę, nim zginęła – podjęła, łapiąc go przy windzie. Nawyk korzystania z dźwigu, gdy alternatywą było pokonanie kilkudziesięciu schodów, po części tłumaczył jego wygląd.

Mężczyzna przystanął, a kiedy odwrócił się w jej stronę, Lena dostrzegła na jego twarzy zainteresowanie.

– O czym pani mówi?

– Wiem od znajomej pani Marszałkowskiej, że kilka miesięcy przed wypadkiem jej terapia przyniosła znaczącą poprawę.

Kaletnik zmarszczył czoło.

– Kiedy to było?

– W dwa tysiące dwunastym roku – odpowiedziała, szybko przypominając sobie daty.

Mężczyzna ponownie pokręcił głową.

– Nie pomogę pani – odparł krótko z godnym pozazdroszczenia zaparciem.

– Ale... – Lena próbowała dalej. Nie tylko ona zachowywała się jak zdarta płyta.

– Niestety, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. – Były to pierwsze szczerze słowa profesora. – A raczej nie mam wystarczającej wiedzy na ten temat.

Zamojska zawahała się. Była skołowana słowami lekarza.

– Jak to? Przecież chodziła do pana na terapię.
– Owszem, chodziła, ale nie w dwa tysiące dwunastym. Wtedy przebywałem w Kanadzie.

Zamojska milczała, analizując jego słowa.

– Czyli nie wie pan, co się u niej działo przez ten czas? – spytała w końcu.

– Niestety, nie. Miesiąc po moim powrocie do Krakowa otrzymałem informację, że nie żyje. Niedługo po tym śledczy poprosił mnie o opinię.

– Ale dlaczego pana, a nie jej ostatniego terapeutę?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Na to pytanie też nie umiem odpowiedzieć. – Kaletnik się zamyślił. – Może kierowali się czasem trwania terapii? Pani Marszałkowska chodziła do mnie przez wiele lat i myślę, że mogę powiedzieć, że naprawdę znałem jej problemy.

– W takim razie, czy zaskoczyła pana ta informacja? O jej śmierci? – doprecyzowała.

Profesor przyglądał się Lenie, jakby zastanawiał się, co może jej zdradzić.

– Wie pani – odezwał się w końcu, ważąc słowa – pani Marszałkowska miała już w swoim życiu kilka prób samobójczych.

Zamojska nie zrobiła żadnego ruchu, którym mogłaby się zdradzić, że jest zaznajomiona z tą informacją.

– Oczywiście, na jej zachowanie miało wpływ wiele czynników – mówił dalej – lecz musi pani wiedzieć, że jej okresy depresyjne miały gwałtowny przebieg i trwały długo. – Zamilkł na moment. – Odpowiadając na pani pytanie: nie, nie zaskoczyła mnie ta informacja, jedynie zasmuciła.

Przełożył walizkę do drugiej ręki.

– Czy mogę w końcu iść? – Jego głos przybrał na powrót wcześniejsze brzmienie, był przepełniony irytacją.

Lena udawała, że nie dostrzega jego zniecierpliwienia.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – dorzuciła szybko. – Czy w życiu Marszałkowskiej zdarzały się takie sytuacje, kiedy była szczęśliwa? No wie pan, zadowolona z życia? – podpowiadała.

Kaletnik nie musiał się zastanawiać. Od razu zaprzeczył.

– Droga pani... – Zwrócił się do niej w ten sposób już drugi raz, a Lena miała ochotę zgrzytnąć zębami. – Pani Marszałkowska miała ciężką postać depresji. Owszem, bywały okresy poprawy, ale nie nazwałbym tego szczęściem.

Tym razem nie czekał na reakcję Zamojskiej i kolejne pytanie, tylko odwrócił się i odszedł.

Lena jeszcze przez pewien czas stała na korytarzu, próbując spojrzeć na to wszystko z szerszej perspektywy. Słowa lekarza pasowały do tego, co znajdowało się w aktach. Ale było też coś, co – nieważne jak mocno starała się to dopasować – po prostu odstawało od reszty jak element puzzli pochodzący z innego pudełka.

Dzięki niemu Lena wiedziała, że Kaletnik się mylił.

Kiedy wyszła przed budynek, wyciągnęła komórkę i przeszukała historię połączeń. Gdyby nie upór kobiety, której nazwiska nawet nie znała, nie miałyby jak do niej zadzwonić. Wcześniej zakładała, że do poprawy doprowadził terapeuta, którego nazwisko widniało w aktach. Teraz, gdy okazało się, że to ktoś inny, musiała dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Być może uda jej się dzięki temu uzyskać odpowiedzi. Chciałaby wyjaśnić raz na zawsze, jaki naprawdę był stan emocjonalny Marszałkowskiej tuż przed wypadkiem. Do tej pory Zamojska dysponowała tylko rozbieżnymi informacjami, a terapeuta był jedyną osobą mogącą pomóc w rozstrzygnięciu, która z nich jest prawdziwa.

W ostatnim czasie wykonywała sporo połączeń i większości numerów nie miała dodanych do kontaktów. Dlatego porównała jeden z nieznanych z popołudniową porą piątkowego spotkania. To by się zgadzało, pomyślała i przesunęła palcem po zielonej słuchawce. Niestety, abonent znajdował się poza zasięgiem.

Westchnęła i po sygnale zostawiła krótką wiadomość. Wyglądało na to, że na rozmowę będzie musiała jeszcze poczekać.

ROZDZIAŁ 15

DWA CIOSY PROSTE, uderzenie łokciem, wykop kolanem i prawy sierpowy. Lena powtarzała te słowa niczym mantrę.

W każde uderzenie wkładała dużo siły, jakby zamiast kawałka materaca miała przed sobą agresora. Jeśli oceniać po tym, z jakim trudem utrzymywała się na nogach jej przeciwniczka, szło jej całkiem nieźle.

– Cholera! Ale walisz! – krzyknęła Anka Długajska pomiędzy seriami.

Lena przystanęła. Kiedy pot spłynął jej do oczu, otarła czoło nadgarstkiem. Na niewiele się to zdało – oczy nadal piekły jak po zanurzeniu w morskiej wodzie.

– Za mocno? – Pomruwała, starając się wyostrzyć wzrok.

Kobieta skinęła niepewnie głową.

– Dam radę – odparła wymijająco i podniosła materac. Długi na siedemdziesiąt centymetrów, szeroki na czterdzieści, stanowił element ćwiczeń, na którym można było się wyładować.

Długajska przyciągnęła materac do biodra, by zasłonić górną część ciała.

– Chyba miałaś dziś ciężki dzień w pracy – dodała, nim rozpoczęły kolejną serię.

Lena przytaknęła i nie dając się wciągnąć w rozmowę, zajęła odpowiednią pozycję. Po chwili zbliżyła się do kobiety. Mruczając pod nosem swoją mantrę, kontynuowała ćwiczenie.

Piętnaście minut później, po kolejnej serii powtórzeń, Lena podniosła głowę i rozejrzała się po sali. Co poniektórzy jeszcze ćwiczyli.

– Chwila przerwy – powiedziała do partnerki.

Jej propozycję tamta przyjęła z wyraźną ulgą. Długajska była już wykończona, a zajęcia jeszcze nawet nie zbliżały się do końca.

Zamojska podeszła do ławki pod oknem i wyciągnęła z torby butelkę wody mineralnej. Napila się tak łapczywie, jakby był to jej jedyny napój w ciągu dnia. Nie przejmowała się, że płyn ścieka jej po brodzie. W tym miejscu było jej obojętne, jak wygląda. Na koniec przetarła twarz i kark ręcznikiem. Chowając rzeczy do torby, dostrzegła, że Anka nadal masuje palce prawej dłoni.

– Boli?

– Bolała wcześniej, teraz tylko zdrętwiała – odparła tamta ze słabym uśmiechem. – Zaraz przejdzie.

Lena zacisnęła usta. Skoncentrowana na ćwiczeniu, nie zwracała zbyt dużej uwagi na to, co działo się dookoła. Postanowiła, że następnym razem nie będzie uderzać z pełną siłą. Choć pod względem umiejętności były z Długajską na podobnym poziomie, to fizycznie Anka była od niej słabsza i Lena często o tym zapominała.

– No dobrze, po takiej rozgrzewce zajmiemy się czymś nowym – rozległ się głos prowadzącego.

Odwróciły się i szybko podeszły na środek sali.

– Teraz będziemy ćwiczyć odpowiednią reakcję, gdy do ataku dochodzi z zaskoczenia, od tyłu i co za tym idzie, gdy nie widzimy przeciwnika – dodał, a potem zwrócił się do faceta stojącego obok. – Michał, podejdź na moment, pokażę, o co mi chodzi.

Kantor wybrał do demonstracji potężnego mężczyznę, górującego nad nim wielkością masy mięśniowej. Lena podejrzewała, że chciał tym samym zademonstrować, że przy odpowiedniej technice wielkość agresora przestaje mieć znaczenie. W innej sytuacji, gdyby mężczyźni stanęli naprzeciw siebie na przykład podczas zapasów, wygrana zapewne byłaby po stronie potężniejszego. Ale tutaj obowiązywały inne zasady.

Lena obserwowała, jak Michał podchodzi do Kantora i zatrzymuje się metr za jego plecami.

– Musicie wiedzieć – odezwał się trener – że atak od tyłu jest jednym z gorszych, jaki może was spotkać, i niestety także jednym z częstszych. A to dlatego, że wykorzystuje się nieświadomość ofiary i związaną z tym opóźnioną reakcję. Agresor działa z zaskoczenia, zdobywając przewagę już na samym starcie. Kiedy dochodzi do ataku, pamiętajcie, że podstawową i zarazem najtrudniejszą zasadą jest zachowanie spokoju i koncentracja. Nie ma czasu na powtórki czy złe ruchy. Musicie działać szybko i celnie. Odwrócił głowę i zerknął przez ramię. – Michał, chwyć mnie teraz obiema dłońmi za szyję. Trochę mocniej – dodał po chwili, kiedy mężczyzna wykonał polecenie. – Musicie działać w taki sposób – powiedział, a potem zareagował.

Lena z fascynacją przyglądała się tej scenie. Trener, robiąc tylko kilka ruchów, przechylił szalę zwycięstwa na swoją stronę i rozłożył atakującego na

łopatki. Podał mu dłoń i pomógł wstać.

– W porządku? – zapytał, gdy Michał znów znalazł się naprzeciw niego. – To teraz zrobimy to wolniej.

Michał zajął wcześniejszą pozycję i otoczywszy rękami szyję prowadzącego, zacisnął na niej palce. Było widać, że teraz, wiedząc, czego się może spodziewać, na pewno nie ułatwi mu zadania.

– Zwróćcie uwagę – Kantor mówił do wszystkich – że kiedy agresor atakuje w taki sposób, używa obu dłoni, więc podstawową sprawą jest zablokowanie jednej z nich podczas kontrataku. Dzięki temu nie będzie mógł się bronić.

Złapał Michała za nadgarstek.

– Musicie zrobić dwie rzeczy: chwycić atakującego tak, jak właśnie pokazałem, zrobić krok w lewo, by odsłonić jego sylwetkę, a drugą dłonią uderzyć go prosto w krocze. – Po takim ciosie, mimo ochraniaczy, Michał automatycznie odsunął się, jednocześnie pochylając przód ciała w stronę trenera. Wyglądało to tak, jakby chciał uciec przed kolejnym ciosem. – Wtedy – kontynuował Kantor, nadal przytrzymując go za nadgarstek – wykorzystujecie jego postawę, podnosicie prawą dłoń i łokciem uderzacie go od dołu w brodę. Następnie kopiecie w kolano i wykręcając mu dłoń, przyciskacie delikwenta do ziemi.

Choć Michał mógł teraz przewidzieć ruchy trenera, próba utrudnienia Kantorowi obrony nie była nawet zauważalna. Nie minęła sekunda, nim ponownie znalazł się na podłodze.

Lena pokiwała głową. Wszystko wydawało się dużo prostsze rozłożone na kilka kroków. Wiedziała, że teraz należało wyćwiczyć każdy z nich, a potem połączyć w całość tak, by metoda była skuteczna.

Obróciła się do Anki, gotowa sprawdzić, czy dobrze zapamiętała poszczególne etapy, lecz nie zdążyła zrobić nawet kroku, gdy Kantor odezwał się ponownie.

– Teraz się trochę powymieniamy. Nie należy przecież przyzwyczajać się do partnera.

Ta decyzja nikogo nie zaskoczyła. Do tej pory zawsze podczas ćwiczeń dochodziło do przynajmniej dwóch rozsad.

– Agnieszka i Tomek – wymieniał, wskazując palcem kolejne osoby. – Dwie Gośki razem, Wera i Kaśka. Paweł z Przemkiem.

Gdy Lena została na końcu z Michałem, spojrzała z niedowierzaniem na trenera. Różnica pod względem siłowym była wręcz rażąca.

– Dawałaś dzisiaj wycisk Ance – wyjaśnił swój wybór – więc przyda ci się silniejszy partner do ćwiczeń.

Mimo zdumienia Zamojska pokiwała głową i przeszła na drugą stronę sali, zatrzymując się przed Michałem. Różnica wzrostu może nie była taka wielka, jej głowa zmieściłaby się tuż pod jego podbródkiem, ale to postura mężczyzny robiła

największe wrażenie. Prawie kwadratowa sylwetka i bary tak szerokie, że pewnie ledwo mieścił się w drzwiach.

Lena dopatrzyła się w tej sytuacji tylko jednej zalety – kiedy nauczy się walczyć z takim facetem, nie będzie miała problemu z innymi. Nigdy nie było wiadomo, kim będzie napastnik: drobnym mężczyzną, wielkim gościem czy potężną kobietą.

– No dobra – zaczął trener, obserwując kolejne pary. – Robicie po dziesięć powtórzeń i zmiana. Tylko pamiętajcie: nie chodzi o łaskotanie po szyi czy masaż, lecz o element zaskoczenia. Palce zaciskacie zdecydowanie i z odpowiednią siłą. Ale też nie podduszacie!

Podczas pierwszej rundy to Lena miała być agresorem. Nie było ustalonego momentu, w którym powinna rozpocząć atak. Czując podmuch powietrza na karku, poruszyła ramionami i podeszła bliżej, dłońmi chwytając przeciwnika za szyję. Palce ślizgały się po spoconej skórze.

Wzmocniła uścisk. Nie zdążyła zrobić nic więcej, bo po chwili wylądowała na plecach. Partner włożył w obronę całą swoją siłę i Lena boleśnie stłukła sobie prawy łokieć. Obiła kość ogonową. Przy krav madze takie stłuczenia stanowiły nieodłączny element ćwiczeń. Pod powiekami poczuła łyzy bólu, przygryzła więc wnętrze policzka, koncentrując się na oddychaniu. Upadając, opróżniła całe płuca.

Michał wyciągnął dłoń w jej stronę.

– W porządku?

Lena poderwała się na nogi. Zdołała już zatęsknić za swoją wcześniejszą partnerką. Teraz wiedziała, jak Anka musiała się czuć w starciu z nią.

– Tak – odpowiedziała. – Tylko mógłbyś jednak być odrobinę delikatniejszy.

Gdy ponownie za nim stanęła, była zdecydowana dać z siebie wszystko. Pewnie na jej twarzy malowała się taka sama determinacja, jaką widziała u niego wcześniej, podczas demonstracji. Zajęła bardziej stabilną pozycję, lecz po chwili znów wylądowała na ziemi. Z perspektywy podłogi wydawało się jej, że szybciej upada, niż jest w stanie się podnieść.

Scenariusz powtarzał się przy kolejnych seriach. Dopiero podczas ostatnich dwóch ćwiczeń w końcu opanowała łagodne opadanie na plecy. W miejscach, gdzie obtarła skórę, czuła nieprzyjemne pieczenie.

Dziesięć powtórzeń, a miała wrażenie, jakby wykonali ich dwa razy tyle.

– No dobra, teraz ty – powiedział Michał, kiedy po raz kolejny podniosła się z podłogi.

Kiwnęła głową. Zaczęła obracać się do niego plecami i wtedy jego łapska, wielkie jak bochny chleba, objęły jej szyję.

Uniosła ręce, chcąc zastosować równocześnie dwa chwyt, lecz nie była w stanie. Dawne wspomnienie sprawiło, że nagle sparaliżował ją strach. Dłonie Michała nie zaciskały się na jej szyi bardzo mocno, ale panika nie pozwalała jej

zaczerpnąć tchu.

Szarpała się, niezdolna wykorzystać niczego, czego nauczyła się do tej pory. Była bezbronna.

Michał dopiero po chwili zorientował się, że coś jest nie tak, i w końcu ją puścił. Lena przytknęła dłonie do szyi i łapczywie chwyciła powietrze, jak tonący po wynurzeniu się z wody. Po chwili zerwała się i pobiegła w stronę wyjścia.

– Lena! Poczekaj! – Trener zauważył, co się stało.

Ale ona nie słuchała. Zgarnęła jedynie torbę, nie zwracając uwagi, że z potrąconej butelki, której nie dokręciła, wylała się woda. Liczyło się jedno: chciała stamtąd uciec. Musiała dotrzeć do drzwi. Ściany napierały na nią, nie mogła oddychać, jakby coś blokowało jej krtań. Im szybciej się ruszała, tym bardziej jej się zdawało, że zwalnia.

Przecisnęła się obok ostatniej pary i kiedy otwierała drzwi, usłyszała fragment rozmowy.

– Co jej zrobiłeś? – warknął Kantor.

– Ale... ja nic! Przysięgam – tłumaczył się Michał. – Ćwiczyliśmy i nagle...

Nie słyszała nic więcej. Wypadła na korytarz. Serce nadal tłukło jej się w piersi. Skręciła w prawo i wybiegła z budynku, omal nie spadając ze schodów. Nie zatrzymała się, tylko skręciła za róg i dopiero kiedy znalazła się poza terenem szkoły, pozwoliła sobie na złapanie oddechu.

Plecami oparła się o siatkę, czując, jak metal chłodzi jej plecy. Po chwili zgięła się w pół i położyła dłonie na udach. Musiała wyglądać fatalnie, bo zwróciła uwagę kobiety przechodzącej obok z psem.

Nieznamoma zawahała się, lecz po chwili podeszła bliżej.

– Proszę pani, czy wszystko w porządku? – spytała, a jej pupil polizał Lenę po twarzy.

Nic, kurwa, nie jest w porządku, odpowiedziała sobie w myślach. A na głos rzuciła:

– Muszę tylko odetchnąć. Trochę mi słabo.

Nie kłamała. Kręciło jej się w głowie i miała wrażenie, że nie panuje nad swoim ciałem, a drżące nogi należą do kogoś innego. Odległość, jaka dzieliła ją od spotkania z twardym podłożem, była niewielka, i w każdym momencie mogła się zmniejszyć.

– Zadzwoń po karetkę?

Lena pokręciła głową. Tego by jeszcze brakowało. Jej stan nie był wynikiem niedyspozycji fizycznej, tylko psychicznej, a tłumaczenie komuś, że właśnie miała atak paniki, było ponad jej siły.

– Nie trzeba.

Siłą woli zmusiła się do oderwania dłoni od ud i podniesienia głowy. Liczyła na to, że w słabym świetle pobliskiej latarni nie będzie widać, jak źle wygląda. Bo

jeśli wygląd odpowiadał gównianemu samopoczuciu, to równie dobrze kobieta mogła od razu zadzwonić do kostnicy.

– Na pewno? – dopytywała nieznajoma. Widocznie zapewnienia Leny jej nie przekonały. – Nie wygląda pani najlepiej.

Zamojska jeszcze raz pokręciła głową i zrobiła głęboki wdech. Kiedy była pewna, że panuje nad głosem, oznajmiła:

– Już jest w porządku, naprawdę. Ale gdyby mogła pani zadzwonić po taksówkę, będę wdzięczna.

W tym momencie nie przejmowała się ani stanem swoich finansów, ani tym, że powinna rzadziej decydować się na taki sposób podróżowania. Pocieszyła się, że tak krótka przejażdżka do domu nie nadwyręży mocno jej portfela.

– Oczywiście.

Nieznajoma była zadowolona, że w końcu będzie mogła pomóc w jakiś sposób. Z jednej strony chciała wrócić już do domu, wyszła tylko na szybki spacer z psem, a kolacja czekała na stole, ale z drugiej nie mogła tak zostawić tej biednej kobiety.

Kiedy wybierała numer z listy kontaktów, do Leny powoli zaczynały docierać bodźce zewnątrz. Zrobiło jej się zimno i zadrzała. Wybiegając z zajęć, zapomniała wziąć kurtkę, ale teraz za nic by po nią nie wróciła.

Wyjęła z torby bluzę, której używała czasami podczas ćwiczeń, i wciągnęła ją przez głowę. Dreszcze jednak nie minęły.

– Będzie za trzy minuty – odezwała się po chwili kobieta. – Czerwona octavia – dodała, jakby ta informacja była niezbędna.

– Dziękuję – wydukała Lena.

Nieznajoma przywołała do siebie psiaka i obie w milczeniu czekały na przyjazd taksówki.

Zamojska zastanawiała się, jak mało trzeba było, by ponownie poczuła się słaba, uwięziona w pułapce zbudowanej z lęków. W tym wszystkim najgorsza była bezradność. Nie mogła się ruszyć, zrobić czegokolwiek.

Czuła, że właśnie coś straciła. Z trudem rozbudzoną odrobinę pewności siebie, a także miejsce, które uwalniało ją od wszelkich myśli. Treningi wymagały od niej całej uwagi, nie było tam miejsca na myślenie i analizowanie. Wszystko zawężało się do pewnych ruchów tworzących układ. Ale teraz to się skończyło.

Podniosła dłoń do szyi. W miejscu, w którym Michał zacisnął palce, czuła palący ból. Wiedziała, że to tylko złudzenie, mimo to nie mogła pozbyć się tego wrażenia.

– Taksówka już jest – odezwała się kobieta, gdy samochód wychylił się zza zakrętu.

Lena podskoczyła nerwowo na dźwięk jej głosu. Szybko się pozbierała i zarzuciwszy sobie torbę na ramię, podeszła do octavii. Musiała się pilnować, żeby

iść prosto. Jeden krok za drugim. Jednak na ugiętych nogach nie było to takie łatwe. Kiedy w końcu otworzyła drzwi, była wyczerpana. Podała adres i padła na siedzenie, nie próbując nawet zapinać pasów.

Nie pamiętała, jak minęła jej podróż. Czas nagle się zakrzywił. Choć oddychała już normalnie, nadal miała przyspieszone tętno.

Po dotarciu do domu zafundowała sobie gorący prysznic. Pół godziny zajęło jej rozgrzanie się, a drugie pół spędziła w kabinie dla samego rozluźnienia.

Wychodząc z łazienki, czuła się na tyle dobrze, że wcześniejsze zdarzenie wydało jej się nierealne. Włożyła szlafrok i ruszyła do sypialni. Już miała wsunąć się pod kołdrę, gdy zadzwoniła jej komórka.

Zawahała się. Dopiero po chwili podeszła do torby zostawionej w przedpokoju i wyciągnęła z niej urządzenie. Numer nieznany. Mając w pamięci poranne głuche telefony, odrzuciła połączenie. Nie chciała się denerwować. Nie teraz, kiedy uzyskała relatywny spokój. Zanim odłożyła komórkę, zobaczyła, że nieodebranych połączeń było siedem.

Przejrzała historię. Oprócz ostatniego wszystkie pochodziły od Kantora. Wysłał także wiadomość z prośbą o telefon. Przez chwilę nie wiedziała, skąd ma jej numer, ale potem przypomniała sobie, że podała go, zapisując się na zajęcia.

Nie odpisała ani nie oddzwoniła. Ruszyła za to do kuchni i włączyła czajnik. Mając do wyboru herbatę i wino, zdecydowała się na herbatę. Wolą nie ryzykować z alkoholem, kiedy nawet na trzeźwo nie umiała sobie poradzić ze sobą. Nie zdążyła jeszcze napełnić kubka wodą, gdy ponownie rozległ się dzwonek.

Szybko zerknęła na wyświetlacz. Znowu nieznany numer. Miała już tego serdecznie dosyć.

– Halo! – warknęła do słuchawki.

Na linii panowała cisza jak za każdym poprzednim razem, ale kiedy miała się już rozłączyć, usłyszała w słuchawce ostrożne pytanie.

– Lena Zamojska?

Zmarszczyła czoło. Kojarzyła głos, jednak nie mogła sobie przypomnieć skąd. Było to szczególnie utrudnione z powodu szumu w uszach.

Odchrząknęła. Ktokolwiek dzwonił, nie chciał pozostać anonimowy.

– Tak, kto mówi?

– Aśka.

Lena przez chwilę nadal nie wiedziała, kim jest rozmówczyni. Na szczęście jednak w jej głowie odpowiednia zapadka wskoczyła na swoje miejsce i w końcu przypomniała sobie kobietę.

– Dopiero teraz odsłuchałam nagranie. Oddzwoniłabym wcześniej, ale Szymek schował mi komórkę.

Lena usiadła na kanapie. Czuła napięcie w każdym mięśniu. Siłą woli rozluźniła pięść i rozprostowała palce.

– Dobry wieczór! – rzuciła, starając się zapanować nad głosem. Jak na razie był szorstki i ostry jak żwir. – Dziękuję, że oddzwoniasz. Chciałam zapytać o terapeutę Weroniki Marszałkowskiej. Dowiedziałam się, że przed wypadkiem chodziła do kogoś nowego. Nie do profesora Kaletnika. – Na wszelki wypadek podała nazwisko poprzedniego terapeuty.

– Tak. Nika zmieniła lekarza. Stary traktował ją jak dojną krowę i tylko zdzierał z niej kasę.

Lena pokiwała głową. Już drugi raz zgadzała się z Aśką, ale nie czuła z tego powodu satysfakcji. Po tym, jak poznała profesora, doszła do podobnych wniosków. Kaletnik nie wyglądał, jakby dobro pacjenta stawiał nad swoim.

Odchrząknęła ponownie.

– A może kojarzysz nazwisko tego lekarza?

Cisza, jaka zapadła, dobitnie jej uświadomiła, jak niedorzeczne było to pytanie.

– Jakoś tak śmiesznie – odezwała się po chwili Aśka. Mówiła trochę niewyraźnie, jakby zaciskała usta.

Lena mogła się założyć, że właśnie odpalała papierosa.

– To znaczy? – spytała, gdy usłyszała trzask zapalniczki.

– Tak inaczej niż zwykle się mówi i związane z zawodem.

Lena opuściła ramiona. Spodziewała się jakichś konkretów, a usłyszała dotąd same enigmatyczne odpowiedzi.

– Nie rozumiem. Jak inaczej? – Przytknęła palce do oczu, licząc na to, że pulsowanie w głowie zaraz zniknie. – Chodzi o wymowę? Pisownię?

– Wymowę – odparła tamta, wydmuchując dym. – Doktor – rzuciła głośniejszym głosem na koniec.

Lena ściągnęła brwi.

– Doktor? – powtórzyła powoli. Jeśli było coś wyjątkowego w tym nazwisku, to ona tego nie widziała.

– Nie, Doktor! – poprawiła zniecierpliwionym głosem kobieta, kładąc nacisk na ostatnią sylabę.

Za pierwszym razem Lena wzięła ten sposób artykulacji za jedną z naleciałości językowych, ale teraz nie było mowy o pomyłce.

– Doktor – powiedziała już do siebie. A potem, słysząc po drugiej stronie ciężki oddech palacza, dodała: – Bardzo ci dziękuję za pomoc.

– Pamiętaj o mnie podczas pisania. Mogę się jeszcze przydać.

– Oczywiście. Pozostajemy w kontakcie. – Lena nie czekała na komentarz Aśki. Spodziewała się, co może usłyszeć.

Szybko się rozłączyła i podeszła do okna. W pokoju było ciemno i mogła zobaczyć kawałek nieba, jedyny fragment niezastłonięty przez sąsiednie bloki. Rozmowa z przyjaciółką Weroniki, a raczej to, czego się od niej dowiedziała,

poprawiło końcówkę tego dnia.

Lena już zaplanowała, od czego zacznie ten jutrzejszy.

Wtorek, 22 września

ROZDZIAŁ 16

OBUDZIŁA SIĘ O ÓSMEJ. Nie wiedziałyby o tym, gdyby nie zapowiedzi najnowszych wiadomości z radia, które zapomniała wyłączyć przed pójściem spać. Leżała na brzuchu, z jedną dłonią wciśniętą pod poduszkę, drugą nad głową – niczym pływaczka gotowa popłynąć kraulem – i wsłuchiwała się w kolejną porcję tragedii, wypadków i zmian w rządzie. Wtorek zaczął się jak każdy inny dzień: do dupy.

Do tej pory Lena usiłowała przyzwyczać się do rytmu, w jakim funkcjonował jej organizm. Choć słowo „przyzwyczać” raczej nie do końca korelowało z jej nastawieniem. Bardziej była to próba akceptacji tego, z czym nie mogła sobie poradzić. Koszmary pojawiały się przeważnie koło drugiej, trzeciej nad ranem, gdy normalny człowiek zazwyczaj przewracał się na drugi bok. Ale były też wyjątki, tak jak tej nocy, kiedy zły sen postawił ją w stan gotowości o czwartej siedemnaście.

Jedyną pozytywną stroną jej problemów ze snem było to, że nie mogła narzekać na brak czasu. Nad ranem skończyła kolejną powieść, tym razem był to najnowszy kryminał Jo Nesbø. Dzięki skomplikowanej akcji choć na trochę była w stanie skupić się na czymś innym niż własne kłopoty i w końcu zasnęła.

Poranek przeleciał jej przez palce, podobnie pierwsze godziny przedpołudniowe. Lena próbowała skoncentrować się na bieżących sprawach i domykaniu ostatnich zleceń związanych z otwarciem firmy, lecz nie dała rady. Jej myśli uparcie krążyły wokół jednego wątku – Marszałkowskiej. Czekala do

jedenastej, by zadzwonić do Doktora, lekarza, o którym wspomniała Aśka. Po wieczornej rozmowie z kobietą od razu usiadła do komputera i wyszukała kilka informacji na jego temat. Dzięki temu знаła godziny, w jakich przyjmował.

Doktor był psychiatrą, ale zajmował się także psychoterapią. Specjalizował się w leczeniu podobnych zaburzeń i chorób jak wcześniejszy terapeuta Weroniki, tyle tylko, że jego nazwiska nie zdobiły tak liczne tytuły. Nie miał także swojej strony; Zamojska znalazła go na portalu gromadzącym lekarzy wszystkich specjalizacji.

Wybrała numer. Hamując zniecierpliwienie rosnące z każdą chwilą, gdy nikt nie odbierał, oparła czoło na rękę. Tym większe było zaskoczenie, kiedy po drugiej stronie wreszcie usłyszała męski głos. W pierwszej chwili myślała, że to pomyłka.

Odsunęła telefon od ucha i sprawdziła numer. Był poprawny.

– Halo? – powtórzył mężczyzna. Jeszcze chwila i zakończy rozmowę.

– Dzień dobry – odezwała się szybko. – Chciałam się umówić na wizytę do doktora... – zawahała się przez sekundę: – Doktora. – Zabrzmiało to tak idiotycznie, jak się spodziewała.

– Dzień dobry – odpowiedział grzecznie mężczyzna. Najwyraźniej na nim nie zrobiło to takiego wrażenia. – Pani nazwisko?

Odchrząknęła.

– Lena Zamojska.

– Nie kojarzę – odparł po krótkiej ciszy przerywanej jedynie szelestem kartkowanego notesu. – To będzie pierwsza wizyta? – raczej stwierdził, niż zapytał. Jeśli oceniać po głosie, mógł mieć koło pięćdziesiątki.

– Zgadza się. – Początkowe podejrzenia, że ma do czynienia z samym Doktorem, właśnie się potwierdziły.

– W takim razie proszę mi powiedzieć o powodzie tej wizyty.

Lena wyprostowała się na krześle. Nie spodziewała się, że rozmowa może przybrać taki obrót. Chciała tylko umówić się na spotkanie. Nie była przygotowana, by z miejsca grać potencjalną pacjentkę.

– Teraz? – upewniła się i mocniej pociągnęła za wystającą z bluzki nitkę. Nie udało się jej oderwać, szew poparł się dalej. – Tak przez telefon?

– Tak. W zależności od tego, co pani dolega, dobiore odpowiednie termin wizyty. Gdyby wspomniała mi pani o myślach samobójczych czy innych sprawach niecierpiących zwłoki, przyjąłbym panią jeszcze dzisiaj, po ostatnim pacjencie. Natomiast jeśli jest to coś, co może poczekać dwa, trzy dni, dopasujemy dogodną dla pani późniejszą datę.

Lena przełknęła ślinę. Improwizacja ostatnio nie należała do jej mocnych stron.

– Aż tak źle to nie jest – odparła, mając na myśli wspomniane myśli samobójcze. Postanowiła opowiedzieć o tym, czego doświadczyła w ostatnim

czasie. – Mam problemy ze snem, odczuwam ciągły niepokój, a z drugiej strony mam duży problem z pohamowaniem wybuchów, jakby coś mnie rozregulowało. – Nagle zdała sobie sprawę, że doskonale podsumowała swój stan. Było właśnie tak: jakby ktoś poprzestawiał w niej pewne funkcje i teraz sama nie mogła dojść do siebie. Niby to samo ciało, ale teraz wszystko zdawało się inne. – Do tego doszły jeszcze napady paniki. Podejrzewam u siebie PTSD.

Podawała tylko kilka z objawów, które doskwierały jej w ostatnim czasie. Nie starała się być przekonująca, ale wiedziała, że tak wyszło. Sam fakt, że mówiła szczerze, dokonał reszty, uwierzytelniając powód, który stał za planowaną wizytą.

– Rozumiem. – Mężczyzna powiedział to takim tonem, jakby faktycznie rozumiał.

Lena mocno w to wątpiła, a jej rozbuchany w ostatnim czasie sceptycyzm przeskoczył na kolejny poziom. Mówienie komuś obcemu o swoich problemach wywoływało w niej podobne reakcje jak rozmowa z księdzem w konfesjonale. Ani jedno, ani drugie nie kojarzyło się z niczym przyjemnym.

– Czy odpowiada pani czwartek, trzynasta?

– Jak najbardziej. – Zapisała termin i dokładny adres gabinetu na odwrocie paragonu.

– W takim razie do czwartku.

– Do widzenia – odpowiedziała i zakończyła połączenie.

Zerknęła jeszcze raz na świstek papieru i przeniosła się do sypialni. Musiała się zbierać, jeśli nie chciała się spóźnić na spotkanie z Magdą. Umówiły się na Karmelickiej. Przyjaciółka miała jej pomóc w urządzeniu nowego lokum.

Lena najchętniej wyszłaby w tym, co miała na sobie. Szare spodnie dresowe i bluzka jaśniejsza tylko o kilka odcieni były wygodne i w sam raz do chodzenia po domu lub na szybkie zakupy przy bloku. Jednak jej samopoczucie nie było jeszcze tak złe, by całkiem zaniedbać tę sferę, dlatego przebrała się w jeansy i prostą koszulkę w stylu wojskowym, której materiał nie wymagał prasowania.

Narzuciła na siebie gruby sweter i szybko zebrała się do wyjścia. Na Karmelicką mogła się dostać na kilka sposobów. Ołowiane chmury rozrzedziły się na tyle, by przepuścić nieśmiałe promienie słońca i Lena zdecydowała, że dystans trochę ponad dwóch kilometrów pokona pieszo. Nie wiadomo, jak długo utrzyma się taka pogoda, poza tym był to najszybszy i z jej punktu widzenia obecnie najwygodniejszy sposób transportu.

Na miejsce dotarła przed czasem. Celowo wyruszyła wcześniej, by raz jeszcze na spokojnie pooglądać wnętrze, pomyśleć o efekcie, jaki chciałaby uzyskać, zanim przyjaciółka zaprezentuje swoją wizję. Przy okazji planowała zamienić kilka słów z fachowcem i sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Pchnęła ciężkie drzwi do kamienicy, weszła do przestronnego wnętrza

i przystanąła. Przez chwilę miała problem, by przyzwyczać wzrok do ciemności. Zamrugła i odzyskawszy ostrość widzenia, skierowała się do swojego lokalu.

Była na wysokości pierwszego piętra, gdy najpierw usłyszała czyjeś kroki, a po niespełna kilku sekundach dostrzegła mężczyznę, który nadchodził z przeciwka. Widziała go już kiedyś na klatce schodowej; wydedukowała wówczas, że jest jej sąsiadem.

Odsunęła się na bok, robiąc więcej miejsca na schodach, lecz nieznajomy nie skorzystał z okazji, tylko zatrzymał się na półpiętrze.

– Dzień dobry – odezwał się pierwszy. Miał niski głos z charakterystyczną chrypką, która nie znika bez względu na porę dnia. – Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać. – Zrobił krok w jej stronę i wyciągnął dłoń. – Dariusz Kawalec. Sąsiad z 6B.

– Lena Zamojska – odparła mile zaskoczona. – Sąsiadka z 6A.

Dopiero teraz mogła się lepiej przyjrzeć mężczyźnie. Poprzednio zwróciła większą uwagę na jego ubiór i lokal, do którego zmierzał. Podobnie jak wcześniej, miał na sobie elegancki garnitur, lecz Lena podejrzewała, że Kawalec zaliczał się do tego typu mężczyzn, którzy bez względu na strój prezentowali się po prostu dobrze. Brązowe włosy nosił przycięte krótko, co podkreślało jego regularne rysy. Uzupełnieniem wyglądu była zadbana broda i nawet lekka nadwaga nie rzucała się w oczy, zapewne z powodu słusznego wzrostu.

– A raczej przyszła sąsiadka – poprawiła się z uśmiechem.

– Sądząc po postępie prac, już niedługo. Kiedy zaczynasz?

– W październiku. Mam nadzieję, że hałas nie jest zbyt uciążliwy? – Prosiła Fabiasza, żeby głośniejsze czynności wykonywał w późniejszych godzinach, by jak najmniej przeszkadzać sąsiadom, ale teraz nie była pewna, czy jej posłuchał.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie jest, niedawno sam odświeżałem gabinet, więc tym bardziej rozumiem. Na szczęście dzielą nas grube ściany i tylko czasami docierają do mnie jakieś dźwięki. – Dyskretnie zerknął na zegarek. – Przepraszam, ale muszę już iść – rzucił, podnosząc wzrok na Lenę. – Mam spotkanie na rynku.

– Oczywiście, miło było poznać!

– Wzajemnie. Do następnego razu! – rzucił i ruszył do wyjścia.

Lena przez chwilę obserwowała jego sylwetkę, zanim nie zniknął na niższym piętrze. Zależało jej na utrzymaniu dobrych relacji z sąsiadami, a zwłaszcza z tym, który rezydował najbliżej.

To dobry początek, pomyślała i ruszyła dalej. W przybliżeniu czegoś, czego nie czuła od dłuższego czasu, zdecydowała, że następnym razem przed wyjściem z domu poświęci więcej uwagi temu, jak wygląda.

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ Lena i Magda miały już wszystkie niezbędne wymiary pomieszczeń, by móc rozpocząć poszukiwania odpowiednich mebli. Prad już w trakcie chodzenia po lokalu z łatwością wizualizowała sobie wystrój. Na szczęście były mniej więcej zgodne.

Magda zakończyła połączenie i schowała komórkę do torebki. Zaraz po wyjściu z budynku zadzwonił do niej klient, a nowe zlecenie poprawiło jej humor. Początek jesieni zawsze oznaczał więcej pracy, ale nie mogła narzekać.

Szybko podeszła do Leny, która od dłuższej chwili czekała na nią na dziedzińcu.

– Widziałaś tego faceta? – odezwała się z uznaniem w głosie. Dopiero wtedy zauważyła, że przyjaciółka z kimś rozmawia. Był to Zagórski. Stał lekko z boku, zasłonięty murkiem. Wyglądało na to, że przerwała im rozmowę. Było jednak za późno, by się wycofać. – Dzień dobry, panie komisarzu! – dodała, lecz Jakub nie zwrócił na nią uwagi. Zerknął na oddalającego się mężczyznę, nim ten zniknął we wnętrzu klatki, mijając się w drzwiach z robotnikiem ubranym w ogrodniczeki malarskie.

Lena podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, rozpoznając swojego fachowca, a także Kawalca, który najwidoczniej wrócił właśnie ze spotkania. Nie poświęciła im jednak większej uwagi, skupiona na Zagórskim, na którego natknęła się kilka minut temu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? – dociekała z pięściami wspartymi na biodrach. Najwyraźniej pytała o to kolejny raz, jeśli oceniać po nacisku, jaki kładła na początek zdania.

Jakub odchrząknął.

– Pomyślałem, że cię odwiedzę – odparł wymijająco. – Zobaczę, jak się urządziłaś.

Zamojska zmrużyła oczy i pokręciła z niedowierzaniem głową. Nie wiedziała, co ją bardziej zirytowało, próba wciśnięcia jej jakiegoś naciąganego wyjaśnienia czy liczenie na to, że nie dostrzeże kłamstwa.

Jakub zrozumiał, że źle to rozegrał. Schował dłonie do kieszeni i zerknął na Prad, szukając u niej pomocy. Bezskutecznie; ona również milczała, z zainteresowaniem przetrząsając zawartość swojej torebki.

Lena próbowała się zorientować, o co chodzi. Wystarczyło jej szybkie spojrzenie na twarz przyjaciółki, by dostrzec malujące się na niej poczucie winy.

– Och!

Myśl, że uknuli to wspólnie, była nieprzyjemna i irytująca. Nigdy nie lubiła, gdy ktoś działał za jej plecami, zwłaszcza w taki sposób.

Czuła, jak ogarnia ją gniew. Z miejsca chciała im wygarnąć, co o tym sądzi, ale w ostatnim momencie się opanowała. Co nieco już wiedziała o PTSD, dlatego odwróciła się na pięcie i odeszła, zanim wymsknęłoby jej się coś, czego później

mogłaby żałować.

Sadząc długie kroki, udawała, że nie słyszy za sobą wołania Zagórskiego ani stukotu obcasów przyjaciółki.

ROZDZIAŁ 17

NIESTETY, NASTĘPNE DZIESIĘĆ MINUT nie wystarczyło Lenie do odzyskania równowagi. Zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu tak mocno, że wręcz poczuła, jak Magda zazgrzytała zębami; jej cudeńko mogło uciepć. Zamojska nie zwracała na to uwagi. Zamiast tego odwróciła się do przyjaciółki, czując, jak na czole pulsuje jej żyłka.

– Jak mogłaś do niego zadzwonić?!

Magda szarpnęła za pas bezpieczeństwa i dopiero za drugim razem zdołała go zapiąć.

– Powinnaś raczej pytać, dlaczego zrobiłam to tak późno – mruknęła, uruchamiając samochód.

Lena wytrzeszczyła oczy.

– Co?! O czym ty mówisz?

Magda zacisnęła dłonie na kierownicy. Ponieważ ostatni odcinek Karmelickiej był jednokierunkowy, musiała skrócić w ulicę Grabowskiego.

– Lena – zaczęła – najwyraźniej nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale potrzebujesz pomocy. – Starła się mówić spokojnie, jednak drżenie głosu zdradzało emocje.

– Wiesz, czego potrzebuję? – Sama udzieliła sobie odpowiedzi: – Byś dała mi wreszcie spokój i nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

Magda zaniemówiła. Szybko się jednak opanowała i rozluźniła palce. Na kierownicy pozostały ślady jej paznokci.

– No właśnie o tym mówię – podsumowała, jakby zdobyła ostatni potrzebny dowód. – Wróciłaś do Krakowa, a ja mam czasami wrażenie, że zachowujesz się jak ktoś zupełnie mi obcy.

Lena przesunęła dłonią po włosach, odsuwając te, które wymknęły się z upięcia. Zrobiła to zbyt mocno, lecz nawet nie zwróciła uwagi na ukłucia bólu.

– Co ty pieprzysz? Jaki obcy?

Co innego myśleć tak o sobie, a co innego, gdy ktoś rzucał jej to prosto w twarz. Zaprzeczenie było czymś, co doszlifowywała w ostatnim czasie do perfekcji.

– Sama mówiłaś, że wróciły koszmary...

Zamojska pokręciła ze złością głową.

– Niepotrzebnie ci o tym wspomniałam.

– Jesteś drażliwa. – Przyjaciółka mówiła dalej, nie zważając na to, że jak na razie tylko pogarsza sytuację. – Prawie każdą rzecz muszę z ciebie wyciągać. A i tak wiem, że o pewnych sprawach mi nie mówisz.

Lena klepnęła się po kolanach. Czowała, jak wypełnia ją złość, jakby ktoś wlewał ją wprost do jej ust.

– O czym ci nie mówię?

Nie zdążyła nawet pożałować tego pytania.

– A ta ściana z karteczkami w twojej sypialni to co? W co się wplątałaś tym razem?

Ładunek emocjonalny, jaki towarzyszył tym słowom, wyszał na chwilę powietrze z samochodu. Lena uchyliła okno i spojrzała przez przednią szybę. Jeden zero dla Magdy.

– Byłaś w mojej sypialni – stwierdziła. To musiało być w sobotę, kiedy chodziła po całym domu, rozmawiając z klientem.

Kiwnięcie głowy było jedyną odpowiedzią.

– To wygląda przerażająco i nie dziwię się, że masz te koszmary – dodała Magda. – Sama bym miała.

Lena wypuściła powietrze. Najgorsze powoli mijało i zaczynała nad sobą panować.

– Nie mówiłam ci o tym, bo wiedziałam, jak zareagujesz – odpowiedziała jedynie.

Magda parsknęła śmiechem, który przypominał czkawkę.

– No i tu się nie myliłaś. Mówisz, że chcesz o tym zapomnieć, a pchasz się w coś, co powinnaś zostawić za sobą. Co ty masz z tym Kamforą?! Dlaczego nie potrafisz odpuścić?

Lena zacisnęła usta, czując, jak każde z pytań przyjaciółki powiela jej własne.

– Nie wiedziałam, co zrobić – mówiła dalej Magda. – Dlatego zadzwoniłam do Zagórskiego, choć nie było to łatwe, bo nadal jestem na niego wściekła. Ale pracowaliście razem, więc liczyłam, że będzie wiedział, jak ci pomóc. Że może jego posłuchasz, skoro mnie nie chcesz.

Lena odwróciła głowę od drogi i spojrzała na Magdę. Początkowo myślała, że przyjaciółka tylko poprosiła Jakuba, by przyjechał z nią pogadać. Nie sądziła, że posunie się do tego, by omawiać z nim jej stan.

– Rozmawialiście o mnie?! – Zacisnęła pięści.

– Tylko dlatego, że się martwię!

Zamojska ze złością pokręciła głową.

– Wysadź mnie tutaj!

– Lena...

– Po prostu zatrzymaj samochód!

Magda zwolniła, wrzuciła kierunkowskaz, i zaraz za skrzyżowaniem Piastowskiej z Lea wjechała na chodnik. Żadna z kobiet nie zwróciła uwagi na znak zakazu postoju.

Lena nawet nie czekała, aż samochód się zatrzyma, i otworzyła drzwi.

– Lena! Proszę cię, nie zachowuj się tak!

Zamojska wiedziała, że teraz bliżej jej do nadąsanej dziewięciolatki niż do dorosłej kobiety, ale nic nie mogła na to poradzić. Wołała się nie odzywać, bo nie ręczyła za siebie. Wiedziała, że jej złość jest nieproporcjonalna do powodu. Rzeczywiście stała się zakładnikiem własnego ciała, własnych emocji, które nie dość, że ją wykańczały, miały także wpływ na osoby pozostające z nią w relacjach. Bez słowa zamknęła za sobą drzwi, a potem jeszcze przez chwilę stała, obserwując, jak Magda wraca na Piastowską. Jeśli wnioskować po pisku opon, też nieźle wkurwiona.

Wciągnęła do płuc chłodne powietrze i szybko zdążyła tego pożałować, gdy tylko poczuła smród spalin. Ruszyła wzdłuż Lea. Gdy dotarła pod blok, zdecydowała, że od razu podejdzie po kurtkę, którą zostawiła w szkole ubiegłego wieczoru. Dochodziła piętnasta, więc lekcje powoli się kończyły, a do rozpoczęcia zajęć krav magi brakowało jeszcze kilku godzin.

Po tym, co się stało, nie planowała wracać na zajęcia. Przynajmniej nie teraz. Bała się, że atak mógłby się powtórzyć, a nie chciała przechodzić czegoś takiego przy świadkach.

PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ DOTARŁA PRZED SZKOŁĘ. Kiedyś słyszała, że hałas na szkolnym korytarzu zaliczany jest do tych bardziej uciążliwych. O tej porze było już dość cicho, wokół budynku kręciło się niewiele osób, a nauczyciele wychodzili z pracy.

Obeszła placówkę, szybkim krokiem pokonała ostatnie metry i weszła do części, gdzie mieściła się sala gimnastyczna. Stamtąd skierowała się do pomieszczenia służącego za przebieralnię. Prawdopodobieństwo, że jej kurtka nadal tam będzie, było niewielkie. Kiedy to Lena chodziła do szkoły, pozostawione rzeczy nigdy nie czekały zbyt długo na nowego właściciela.

Czasy się zmieniają, pomyślała, gdy dostrzegła swoją własność.

Przełożyła sobie kurtkę przez ramię i odwróciła się do wyjścia. Przechodząc obok sali, nie mogła stłumić w sobie chęci, by po raz ostatni spojrzeć na wnętrze, i weszła do środka. Najwyraźniej lekcje dopiero co się skończyły. Wszędzie leżały piłki lekarskie, stopy skakanek piętrzyły się w różnych miejscach.

Stała na środku pomieszczenia. Nagle usłyszała za sobą męski głos.

– Lena?

Zamarła. Ostatnio miała wrażenie, że jej imię z charakterystyczną intonacją pytającą pada tylko z ust mężczyzn.

Nie musiała się odwracać, by rozpoznać przybysza. Ale kiedy to zrobiła, z zaskoczeniem spostrzegła, że trener stoi tuż za nią. Nie słyszała, że podszedł tak blisko.

Zrobił jeszcze jeden krok. Miał na sobie spodnie dresowe i intensywnie pomarańczową bluzę.

– Cieszę się, że cię widzę. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale... – Nie dokończył. Lena też nie wyglądała, jakby chciała kontynuować ten temat.

– Co tu robisz? – spytał, patrząc na zegarek. – Do zajęć zostało jeszcze kilka godzin.

Podniosła rękę z kurtką, która nagle zaczęła jej ciążyć.

– Zapomniałam ją wziąć ostatnim razem.

Nie zapytała, co on tutaj robi, choć pytanie cisnęło jej się na usta.

– Uczę samoobrony szóste klasy – wyjaśnił, jakby faktycznie je wypowiedziała.

– Aha. Skoro już rozmawiamy, chciałam zgłosić, że rezygnuję z zajęć. Nie będę więcej przychodzić.

Skinęła głową na pożegnanie i skierowała się do wyjścia, gdy poczuła na ramieniu jego dłoń. Uścisk nie był bolesny, miał jedynie zatrzymać ją w miejscu.

– Poczekaj, porozmawiajmy!

Lena odwróciła się.

– Nie ma o czym.

– Pozwól sobie pomóc.

Potrząsnęła głową. Zrobiła to tak intensywnie, że zaszumiało jej w uszach.

– Nie dasz rady.

Kantor nie odpuszczał. Przysunął się bliżej, naruszając jej przestrzeń osobistą. Z doświadczenia wiedział, że z osobami takimi jak Zamojska spraw nie załatwia się samą rozmową. A nie miał zamiaru tak tego zostawić.

Było dokładnie tak, jak podejrzewał. Lena wzdrygnęła się, ale nie zrobiła kroku w tył. Zadowolony pokiwał głową, obserwując jej reakcje. Kiedy szturchnął ją w ramię, była bardziej zdziwiona niespodziewanym kontaktem niż bólem, który rozszedł się po mięśniach. Kurtka spadła na podłogę. Nie podniosła jej, tylko

przytknęła dłoń do ramienia. Otworzyła usta. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć – nagle poczuła uderzenie w biodro. Zapiękło. A zaraz potem kolejne, w drugie ramię. Przypominało to ćwiczenie, które wykonywali w parach na początku każdych zajęć. Jedna osoba atakowała drugą, klepiąc ją w różne części ciała, a tamta musiała się bronić. Tylko tym razem Kantor uderzał mocniej.

– Co jest, do cholery?!

Lena nie potrzebowała dalszej zachęty. Przyjęła właściwą postawę: stanęła w rozkroku, z jedną nogą wysuniętą do przodu, ciężar ciała utrzymując pośrodku. Lewą rękę zgięła w łokciu i przysunęła blisko twarzy – miała chronić ją podczas ataku. To samo zrobiła z prawą, ale ułożyła ją trochę niżej – osłaniała nią ciało. Łokcie przyciągnęła blisko siebie. Obniżyła też lekko brodę, chroniąc szyję i twarz, jednocześnie wystawiając na ewentualny atak najtwardszą część czaszki, jaką było czoło.

Jak wielokrotnie powtarzał Kantor, a przed nim trenerka Leny, najważniejsze w krav madze było wyrobienie sobie automatycznego odruchu. Dzisiaj zareagowała właśnie tak – instynktownie, bo gdy padł kolejny raz, była już gotowa i zrewanżowała się trenerowi ciosem w nos.

Ćwiczyła z nim tylko podczas demonstracji sposobu obrony. Podobnie jak wczoraj, chodziło wówczas jedynie o pokazanie sekwencji ruchów; te były złagodzone, o mniejszej niż normalnie sile. Nie walczyli na serio. Teraz padające ciosy były prawdziwe. A wymierzone celnie, bolały jak cholera. To była walka, nie ćwiczenia.

Lena sparowała kolejne uderzenie i dołożyła swoje. Jej ruchy były bardziej gwałtowne, mniej precyzyjne, ale z powodu motywacji okazywały się równie skuteczne.

– Dobrze!

Kantor uchylił się w ostatnim momencie, kiedy obiema dłońmi zamachnęła się, by ogłuszyć go trafieniem w uszy. Za nogą poszła ręka, potem druga, mierzyła w jego podbródek od dołu. Nie zauważyła, kiedy zamienili się miejscami i Lena z obrony przeszła do ataku. Nie walczyła teraz z trenerem, tylko ze swoimi ograniczeniami. Ze swoim lękiem, który obezwładnił ją i wczoraj, i ponad pół roku temu. Wszystko zawęziło się do ruchów. Ciosy wymierzała tak, by sprawić ból, nie czuła, że sama przy tym rani sobie dłonie.

Szybko podniosła nogę, mierząc kolanem w jego krocze. Nie zdążyła zrobić nic więcej, bo Kantor ją podciął, przez co gruchnęła na plecy. Nagły ból sprawił, że wypuściła całe powietrze z płuc i potrzebowała chwili, by napęlić je ponownie.

Trener pochylił się nad nią i oparł dłonie na jej ramionach, zatrzymując Zamojską w miejscu. Wiedział, że gdyby nie to, znów by go zaatakowała.

– Nadal masz to w sobie!

Lena patrzyła na jego usta, ale nie wiedziała, o czym mówi. Kolejne mięśnie

wysyłały sygnał do mózgu i bała się zrobić jakikolwiek ruch, by nie jęknąć. Lecz kiedy trener podał jej dłoń i pomógł wstać, duma zwyciężyła. Syknęła z bólu, ale zdołała się wyprostować bez ciśnięcia wiązką przekleństw.

– Cokolwiek cię spotkało, możesz sobie z tym poradzić – mówił dalej, jakby dopiero co skończyli uprzejmą konwersację o pogodzie.

Lena parsknęła. Oddychała z trudem, jak po długim biegu.

– Gówno prawda! – rzuciła i rozmasowała miejsce, w którym widniał czerwony ślad zostawiony przez jego palce. – Wczoraj nie byłam w stanie zrobić nawet kroku. Spanikowałam.

– A dzisiaj to co?

– To co innego – odparła. – Działałam automatycznie.

Trener pokiwał głową, zadowolony jak nauczyciel z ucznia, który wywołany do tablicy, udzielił właściwej odpowiedzi.

– I to jest to! Masz dwa problemy – mówił dalej, skupiając jej uwagę. – O ile z pierwszym jestem w stanie ci pomóc, nauczyć cię działać, to z drugim musisz sobie poradzić sama.

Lena ściągnęła brwi.

– Musisz pokonać swój lęk – wyjaśnił. – Uwierzyć, że sama dasz sobie radę. – Podniósł rękę i palcem dotknął jej czoła. To akurat zrobił delikatnie.

Nie wiedziała, co powiedzieć, dlatego tylko pochyliła głowę i podniosła kurtkę z podłogi. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że trener odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę wyjścia.

– Przyjdź dzisiaj po zajęciach. Będziemy ćwiczyć tylko we dwójkę – rzucił przez ramię, nie sprawdzając nawet, czy jest zainteresowana.

Nie musiał. Choć milczała, to oboje doskonale wiedzieli, że się zjawi. Odprowadzała go wzrokiem, z zaskoczeniem przyglądając się swojemu dziełu. Nie tylko ona zebrała dzisiaj cięgi. Na karku trenera dostrzegła kilka zadrapań i zakrzepłych kropel krwi, a na koszulce dziurę wielkości kciuka. Strzęp materiału odchylił się jak skórka od banana. Kątem oka zauważyła też, że Kantor, schylając się po swoją torbę, przytrzymał się drabinki, odciążając prawą nogę. Widocznie cios, który wymierzyła w jego udo, był celny. Lena była zdesperowana – i tak też walczyła.

Założyła kurtkę i szybko przecięła korytarz, wybierając tę samą drogę, którą przyszła. Na zewnątrz było jeszcze jasno, lecz powoli zaczęła się fala powrotów do domu. Skierowała się niespiesznie w stronę swojego bloku.

Sparing dostarczył jej czegoś, czego dawno nie czuła. Zadowolona z siebie. Poprawa samopoczucia sprawiła, że na chwilę straciła czujność. Wrażenie, że jest obserwowana, powróciło, kiedy przeszła już połowę drogi. Mimowolnie przyspieszyła, powtarzając sobie, że to tylko jej wyobraźnia i efekt traumy, ale ciało nie słuchało i zachowywało się jak w trakcie zagrożenia. Tętno wzrosło.

Jeszcze przez moment starała się iść normalnie.

Wytrzymała dwie minuty. Po chwili zrezygnowała i puściła się biegiem.

Środa, 23 września – czwartek, 24 września

ROZDZIAŁ 18

KIEDY W ŚRODĘ WIECZÓR Bayern Monachium – drużyna, której kibicował – dostała po dupie, przegrywając z Arsenalem dwa do zera, Zagórski wyłączył telewizor i odłożył pilota.

Ruszył do kuchni, do lodówki, którą zapełnił piwem specjalnie na tę okazję. Tylko wynik miał być inny. Zwykle przegrana wywołałaby w nim więcej emocji, ale nie dzisiaj. Mimo iż wrócił do domu dwie godziny temu, jego myśli nadal zajmowała sprawa, i nawet mecz ulubionej drużyny nie potrafił go rozluźnić.

A ta, niestety, wyglądała tak samo parszywie jak wcześniej. Czego by z Wrońskim nie zrobili, pod który kamień nie zajrzeli – dochodzenie utknęło na dobre. Jakub wiązał szczególnie duże nadzieje z symulacją. Takie rozwiązania były dopiero nowością, ale zwykle dostarczały sporo informacji i nowych śladów, które należało sprawdzić. Tym razem tyle samo osiągnęliby, gdyby w ogóle pominęli ten etap. Przy okazji nie traciliby czasu i nie wkurwili po drodze kilku osób.

Symulacja pomogła wyłącznie w ustaleniu miejsca, gdzie ciało zostało wrzucone do wody; było wręcz stworzone do podejrzanych działań – odosobnione, pozbawione jakichkolwiek zabudowań w promieniu najbliższych kilku kilometrów, a więc i potencjalnych świadków. Bujnie rosnące przez lata krzaki teraz stanowiły doskonałą zasłonę. Jedynym dźwiękiem przebijającym się w ciszy był szum samochodów dochodzący z pobliskiej autostrady. Ale ta znajdowała się znowu w takim oddaleniu, że nie było możliwości, by ktokolwiek nią przejeżdżający dostrzegł cokolwiek podejrzanego.

Druga podjęta przez nich próba także nie przyniosła żadnych efektów. Do policji z komisariatu wodnego nie wpłynęły bowiem żadne zgłoszenia, które mogłyby wskazywać na to, że w okolicy działo się coś niezwykłego.

Kończą nam się opcje, pomyślał Zagórski i pociągnął długi łyk piwa. Węgrowski nie popisał się żadną inicjatywą, tylko zaakceptował pomysły policjantów. Jego reakcja jednoznacznie dała im do zrozumienia, że sami zaproponowali i tak więcej, niż się spodziewał.

Do kuchni wszedł Saburi, trzymając w pysku smycz.

– No wiem, wiem – mruknął Jakub. – Idziemy na spacer.

Ubrał ciepły polar i włożył wygodne buty. Planował podejść z pupilem na teren Skalek Twardowskiego. Ostatnio trochę zaniedbał Saburiego, nie dostarczając mu odpowiedniej dziennej dawki ruchu. Podstawą ich dobrej relacji było to, że zwierzę było wybiegane. Zmęczony rhodesian oznaczał szczęśliwego i spokojnego właściciela. Wiedział o tym każdy, kto przyjął te piękne stworzenia pod swój dach.

Dochodziła dwudziesta druga, kiedy Saburi miał wreszcie dość.

– Chodź do domu, kolego – powiedział Jakub i pociągnął za smycz. Delikatnie, ale na tyle stanowczo, by pies spojrzął na swojego pana.

Zagórski nieraz się zastanawiał, czy Saburi wszystko rozumie, czy tylko sprawia takie wrażenie.

Wszedł do klatki, odpiął smycz i puścił psa przodem.

– Cześć! – odezwał się pierwszy, kiedy po przekroczeniu progu mieszkania zauważył płaszcz Dagmary.

Kobieta wychyliła się z kuchni.

– W samą porę! Kolacja czeka. Już miałam dzwonić. – Podeszła bliżej i pocałowała go w usta, a potem, zanim zdążył ją zatrzymać, wycofała się do kuchni.

Jakub w pierwszej kolejności wytarł psa i dopiero po chwili ściągnął ubłocone buty i wilgotną kurtkę. Odkąd zaczął spotykać się z Dagmarą, coraz częściej zauważał w swoim mieszkaniu należące do niej rzeczy, które zostawiała w różnych miejscach. Dzisiaj były to wysokie szpilki, wepchnięte do szafki, jakby była domownikiem. Pomyślał, że kiedyś będzie mogło mu to przeszkadzać, ale na razie ten czas jeszcze nie nadszedł.

Wszedł do kuchni i poczuł, że jest naprawdę głodny. Od piętnastej, kiedy to kupił kanapki pod halą targową, nie miał niczego w ustach.

– Weź tę tacę. – W ręce włożyła mu ułożone na desce naczynie do zapiekania, które widział u siebie pierwszy raz.

Pochylił głowę i przyjrzał się daniu. Żeberka w jakiejś marynacie.

– Wygląda wspaniale – skomentował, przełykając głośno ślinę. Stojący obok niego Saburi oblizwał się, czekając na swoją kolej.

Dagmara nie należała do kobiet, które lubiły gotować. Tak naprawdę momenty, kiedy przygotowywała dla nich wspólny posiłek, można było policzyć na palcach obu rąk, uwzględniając także ten. Ale do tej pory żaden z nich nie pachniał i nie wyglądał tak dobrze. Zanim Jakub zdążył ugryźć się w język, zapytał podejrzliwie:

– Sama to zrobiłaś?

Trzaskalska uśmiechnęła się. Pomalowane na ciemny kolor wargi odsłoniły białe zęby.

– Bardzo śmieszne! – prychnęła i wypchnęła go z kuchni.

Jakiś czas później, po dokładce, Jakub odsunął od siebie talerz i zadowolony rozparł się na krześle. Posiłek i wino sprawiły, że zrobił się lekko senny.

– Co to za okazja? – zapytał. Przez pewien czas zastanawiał się, czy przypadkiem nie zapomniał o jakiejś ważnej dacie, lecz nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków. To był zwykły dzień, przynajmniej dla niego.

Dagmara pochyliła się w jego stronę. Wcześniej ściągnęła marynarkę, a dwa guziki białej koszuli rozpięły się, odsłaniając fragment ciemnej koronki.

Zagórski zatrzymał tam wzrok.

– Dostałam awans – powiedziała po chwili.

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Czemu dopiero teraz o tym mówisz? To świetna wiadomość. Gratuluję! – Pocałował ją w usta. – Ciężko na to pracowałaś.

– Owszem, pracowałam.

Dagmara była jedną z kilku znanych mu kobiet, które bez skrępowania potrafiły przyznać się do swojej wartości. Wiedziała, na co było ją stać, i kiedy osiągała cel, mówiła o tym otwarcie, nie umniejszając swoich zasług.

Jakub spodziewał się tego awansu. Zwłaszcza odkąd pojawiła się informacja, że prokurator Jarłowicz zwalnia stołek i idzie na emeryturę. Daga starała się o jego posadę – w teorii dalej robiła swoje, a w praktyce wypruwała sobie żyły.

– Będiesz teraz szefem w rejonówce – stwierdził, przypatrując się kobiecie. – To nie lada wyczyn.

Dagmara podniosła kieliszek i dopiła resztkę wina.

Wiadomość wieczoru wymagała odpowiedniego toastu, dlatego podniósł się i podszedł do szafki. Choć sam musiał już przystopować, ona mogła sobie pozwolić na więcej. Szybko przejrzał zawartość. Jakub nie był wielkim fanem wina, ale odkąd zaczęli się spotykać, miał schowane kilka butelek.

– Nie wiedziałem, że Jarłowicz ustalił już datę swojego odejścia – mruknął, decydując się na czerwone.

– Nie mogłeś, bo jeszcze tego nie zrobił.

Zmarszczył czoło i odwrócił się przez ramię.

– Co się w takim razie stało? Wkurzył starego Węgrowskiego?

Wzruszenie ramion tylko spotęgowało jego ciekawość.

– Nie wiem i mało mnie to już interesuje – odpowiedziała, a potem na jednym wydechu dodała: – Otrzymałam przeniesienie do Warszawy. Do prokuratury okręgowej.

W pokoju zapadła cisza. Zagórski przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Zaskoczyła go ta wiadomość.

– To dopiero awans, gratuluję – odparł w końcu, siadając naprzeciw niej.

Dagmara sięgnęła przez stół i dotknęła jego dłoni.

– To dla mnie bardzo wiele znaczy. Przejście z rejonówki do okręgowej to milowy krok. Wiesz, jak trudno było mi tam dotrzeć.

Nie musiała tego tłumaczyć Zagórskiemu. Walka o równouprawnienie była wszędzie taka sama. W policji istniał podobny mechanizm: większość kobiet każdego dnia w mniejszym czy większym stopniu musiała udowadniać swoją wartość, to, że nadają się do pracy tak samo jak mężczyźni. Oficjalnie wszystko przedstawiało się inaczej, ale prawda była taka, że na każdym szczeblu istniało ostre współzawodnictwo.

W przypadku Dagmary chodziło o coś jeszcze. Zaraz po studiach wyszła za mąż i przez pewien czas odkładała myśl o dziecku. Odsuwała tę decyzję z roku na rok, cały czas mając z tyłu głowy, że kiedy choć na chwilę skończy się wyścig szczurów, będzie mogła powiększyć rodzinę. Nie wzięła jedynie pod uwagę, że gdy kończył się jeden, zaraz zaczynał się kolejny. Lata mijały i kiedy w końcu zdecydowała się zostać matką, okazało się, że jej czas minął. Okienko się zamknęło, dla Dagmary było już za późno. Myślała o adopcji, ale mąż nie podzielał jej entuzjazmu. Rozstali się. On znalazł sobie młodszą i mniej ambitną kobietę, a Dagmara skupiła się na pracy, wciąż podnosząc sobie poprzeczkę. To właśnie praca stała się substytutem rodziny. Teraz, kiedy w wieku czterdziestu czterech lat wspominała, z jakim trudem dotarła do tego miejsca, ile wyrzeczeń kosztowało ją osiągnięcie obecnej pozycji, była przekonana, że ma pełne prawo do dumy.

Dlatego Zagórski nie roztrząsał tego, lecz skupił się na szczegółach.

– Kiedy zaczynasz?

Trzaskalska zawahała się, czując pierwsze ukłucie niepewności. To był najtrudniejszy moment rozmowy, do którego przygotowywała się, odkąd przyjęła awans.

– Nie mam za dużo czasu – zaczęła wymijająco, ale pod jego baczny spojrzeniem dodała: – Od października.

Milczenie Zagórskiego wywołało u niej słowotok. Chciała zapełnić ciszę, która zapadła w pokoju.

– Nawet nie myślałam o Warszawie, ale skoro pojawiła się taka okazja, głupotą byłoby z niej nie skorzystać. Zwłaszcza że miałam już dość duchoty w rejonówce. Wiem, że to dużo i wszystko dzieje się za szybko. – W mieszkaniu

byli sami, mimo to mówiła cicho, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. – Jeszcze parę dni temu rozmawialiśmy o wspólnym mieszkaniu, a teraz... – Przerwała, by zaczerpnąć tchu. – Co byś powiedział na przeniesienie się tam ze mną?

Już bardziej nie była w stanie go zaskoczyć.

– Ja, do Warszawy? – zapytał, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

Dagmara starała się nie zwracać uwagi na niedowierzanie malujące się na jego twarzy.

– Wspominałeś ostatnio, że chciałbyś coś zmienić.

Kuba przesunął dłonią po szczęce.

– Jasne, ale wspominałem też, że myślę o powrocie do służby, a nie o zamianie dużego miasta na jeszcze większe.

– Ale czemu nie Warszawa? – To było pytanie retoryczne. – Nadal mógłbyś być na bieżąco ze swoim prywatnym śledztwem, sprawdzać, czy nie pojawił się jakiś ślad w sprawie porwania twojej siostrzenicy, a gdyby tak było, to szukać dalej. W wojsku nie będziesz miał takich możliwości, jak pracując w firmie.

Zacisnął pięści. Sama wzmianka sprawiła, że odżył nawarstwiający się przez lata gniew. Na to, co spotkało jego rodzinę, na służby, a także na siebie.

– Nie musisz mi tego mówić. W końcu dlatego wstąpiłem do policji. Tyle że wtedy myślałem, że w przeciwieństwie do innych uda mi się natrafić na jakiś ślad. Cokolwiek, co doprowadzi mnie do porywaczy. Minęło już tyle lat i nadal wszystko tkwi w martwym punkcie.

– Ale chyba się nie poddajesz? – Dagmara ostrożnie dobierała słowa. – Owszem, minęło już trochę czasu, ale nadal istnieje szansa, że coś w końcu wypłynie.

Jakub spojrzał jej w oczy.

– Wierzysz w to?

– Tak – odpowiedziała bez wahania i ścisnęła jego dłoń. Będą do tego wracać jeszcze nie raz, teraz musieli postanowić coś w innej kwestii. Tej, która wiązała się z nimi i ich życiem. – A jeśli chodzi o przenosiny – ciągnęła – proszę, zastanów się. W piątek jadę do Warszawy rozejrzeć się za mieszkaniem i chciałabym, byś pojechał tam ze mną. A jak nie dasz rady, to dołącz do mnie w sobotę. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. W końcu Warszawę i Kraków dzieli tylko dwie i pół godziny pociągiem.

Zagórski westchnął głęboko.

– Dobra – zgodził się w końcu. – I tak nie miałem planów na weekend, ale co... – Nie dokończył.

Dagmara nachyliła się nad stołem i położyła mu palec na ustach. Nie chciała, by podjął pochopną decyzję. Zamiast odmowy wołała wahanie, gdyż wtedy zawsze istniał cień szansy, że Jakub weźmie to rozwiązanie pod uwagę. W tym momencie nie oczekiwała niczego więcej. Było im dobrze ze sobą, nie chciała tego kończyć

z powodu zmiany miejsca zamieszkania. Nie z takimi problemami ludzie sobie radzili.

Wstała od stołu i podeszła do niego, a potem, nie spuszczać z Jakuba wzroku, zaczęła rozpinać kolejne guziki koszuli. Nie spieszyła się.

Gdy pochyliła się, miał doskonały widok na jej pełne piersi i sterczące sutki, odznaczające się pod koronką. Dłonią dotknęła jego kolana i powoli przesunęła nią do góry. Poczuł, że jest gotowy, zanim jeszcze sięgnęła do jego rozporoka.

Przyciągnął ją do siebie, dłońmi chwytając jej pośladki. Wciągnął powietrze, gdy usiadła na nim, ocierając się krocem o wybrzuszony fragment spodni.

– Nic jeszcze nie mów – odezwała się, całując go wzdłuż linii szczęki, a potem wsunęła mu do ucha końcówkę języka. Równocześnie odpięła ostatni guzik i zrzuciła z siebie koszulę. – Spędzimy razem weekend i zobaczymy, co dalej – zdołała jeszcze wyszeptać, a potem nie była w stanie już mówić, bo Jakub przesunął dłoń z pończochy na gładkie udo i po chwili wsunął palce w jej wilgotne wnętrze.

Jęknęła.

ROZDZIAŁ 19

TO NIE MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ DOBRZE, pomyślał Kacper Miłkowski, kiedy stanął przed drucianą siatką wysoką na jakieś cztery metry. Pokonał pierwszy, ale z kolejnym nie poszło mu już tak łatwo. O ile szczupłe palce bez problemu wczepiały się w otwory nie większe niż dwa centymetry, o tyle zahaczenie o drut zimowymi butami nie było już takie proste. Gruba jak słonina podeszwa zsuwała się za każdym razem, gdy chciał pokonać ogrodzenie.

Spróbował podciągać się na rękach, ale nie miał na to wystarczającej siły. Koledzy w klasie mieli więcej szczęścia. Jego wychudzone ciało przypominało słabszą wersję Włóczykija, którego oglądał jeszcze jako dzieciak, a zapadnięta klatka piersiowa sprawiała, że wisiały na nim nawet koszulki w rozmiarze XS.

Liczył, że mięśnie, o których wspominała mu matka, rozwiną się do września przyszłego roku, kiedy to skończy czternaście lat. Teraz jednak nie mógł tyle czekać. Musiał znaleźć sposób, by przejść za ogrodzenie.

Ściągnął buty, związał je sznurówkami i zawiesił sobie na szyi. Zgarbił się pod ich ciężarem. W ostatnim czasie urosły mu jedynie stopy, osiągając rozmiar czterdzieści sześć, co przy jego niskim wzroście wyglądało komicznie.

Szybko poczuł, jak chłód przenika przez przemoczone w kilka sekund skarpetki. Dzień wcześniej padało i podłoże było wilgotne jak świeżo zwilżona gąbka. Podniósł jedną nogę i zaczepiwszy się palcami o kratki, zaczął znów piąć się do góry.

Że nie będzie łatwo, wiedział od chwili, gdy wziął udział w tym durnym zakładzie. Miał zakraść się na teren budowy, choć jeszcze nikomu się to nie udało. On, chudy okularnik, na którego nikt nie zwracał większej uwagi, z wyjątkiem momentów, kiedy przychodziło do odpisania zadań domowych. Chciał

zaimponować nowej dziewczynie, która na początku miesiąca dołączyła do klasy. Wtedy na chwilę był w samym centrum zainteresowania. Przyjemność trwała jednak krótko, a to, co musiał za to zrobić, przewyższało minusami korzyści.

Z pokoju wymknął się czterdzieści minut temu, zaraz po północy, kiedy matka położyła się spać. Zwykle robiła to wcześniej, by następnego dnia wstać o czwartej trzydzieści do szwalni, ale tej nocy krążyła po domu, jakby szóstym zmysłem wyczuwała, na co się zanosi.

Matka go zabije. To była druga myśl, która pojawiła się w jego głowie, gdy nogawką spodni zahaczył o wystający drut i poharatał sobie udo. Zabołało. Poczł, jak po nodze płynie mu strużka krwi. O tej porze powinien już spać, przygotowany do sprawdzianu z fizyki, a nie włóczyć się nocą po opuszczonej budowie. Na dodatek z powodu całej tej sytuacji był tak zdenerwowany, że nie potrafił się uczyć. Rano pierwszy raz w życiu mógł dostać pałę.

Ostatnie metry, które dzieliły go od ziemi po drugiej stronie ogrodzenia, pokonał skokiem. Wylądował ciężko, aż ugięły się pod nim kolana. Rana na udzie zapiekła. Miał nadzieję, że w gratisie nie dostanie tężca, o którym ostatnio mówili na biologii. Tego by jeszcze brakowało. Nie wiedział, jak wytłumaczy matce zniszczenie nowych spodni, ale tym będzie się martwić później. Teraz musiał się dostać na plac.

Gdyby nie to, że jego zmagania obserwowało dwóch kolegów, mających poświadczyć o jego sukcesie lub przegranej, to byłby moment, w którym by zrezygnował. Do działania nie popychała go już chęć zaimponowania Oliwii, lecz duma i pewność, że o jego porażce dowiedzą się wszyscy. Kacper potrzebował udowodnić samemu sobie, że jest w stanie to zrobić. Dlatego szybko włożył buty, nawet ich nie zawiązując. Czekala go jeszcze droga powrotna.

Wyjął z kieszeni latarkę i nacisnął guzik. Światło omiotło tylko kilka najbliższych metrów. Nie było tego za dużo, jedynie tyle, by nie wpadł na nic po drodze. Oprócz tego w kieszeni miał kilka kawałków kiełbasy, w razie gdyby budowy strzegł jakiś pies. Jeśliby się jednak okazało, że na miejscu jest ochroniarz, musiałyby mu wystarczyć szybkie nogi i salwowanie się ucieczką.

Według Patryka, twórcy tego pomysłu i jednego z chłopaków, którzy stali niedaleko, to miejsce było w nocy opuszczone. Kacper nie do końca mu ufał; przekonał się już wiele razy, że Patryk jest dupkiem. Jego ostatni żart sprawił, że matka poszła do szkoły i zrobiła aferę. Od tamtej pory Patryk dał mu spokój, pozwalając sobie jedynie na słowne zaczepki. Tak jak wczoraj. Tylko że wczoraj w Kacprze coś pękło.

Szelest z prawej strony sprawił, że chłopak przystanął i omiotł latarką najbliższą okolicę. Ręka nerwowo zadrżała i dopiero po chwili odnalazł źródło hałasu. Była to zgnieciona puszką przesuwająca się po ziemi pod wpływem wiatru.

Odetchnął głęboko. Powietrze było chłodne, ale nie odczuwał zimna. Wręcz

przeciwnie. Było mu gorąco i czuł spływające po ciele strużki potu.

Odetchnął jeszcze raz. Jeśli miało mu się udać, musiał się uspokoić. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Jeszcze tylko parę minut i zaraz wróci do domu, licząc na to, że jego nieobecność pozostanie niezauważona.

Ruszył w stronę dźwigu, który zlokalizował po jaśniejszym zarysie. Maszynę pomalowano farbą w odcieniu kanarkowej żółci, dzięki czemu nawet w ciemnościach można było ją dostrzec. Kacpra czekało teraz wspinanie się po ramieniu koparki na pierwszą kondygnację.

Pracownicy korzystali z drewnianego podejścia, ale to byłoby zbyt proste. Początkowo Miłkowskiemu szło nieźle. Z latarką trzymaną między zębami i z dłońmi przyciśniętymi do zimnego metalu piął się do góry.

Pierwszy błąd popełnił, gdy będąc w połowie drogi, spojrzał niżej. Latarka oświetliła głęboki dół, którego nie dostrzegł wcześniej, a lęk wysokości ożył i chłopak poczuł zawroty głowy. Drugi błąd popełnił kilka sekund później, kiedy zamiast ruszyć do góry sposobem, który miał już opracowany, obrócił się szybko, chcąc wrócić na ziemię. Zrobił to zbyt gwałtownie i zleciał wprost do dołu. Uderzył barkiem o ziemię, a latarka wypadła mu z ust. Zsuwał się wraz ze żwirem, próbując się czegoś chwycić, ale bez powodzenia. Gdy w końcu się zatrzymał, dłonie i prawy policzek miał poharatane. Żwir przecinał je jak żyłka.

Jednak to nie ból był najgorszy. Najgorsza była ciemność, która nie miała nic wspólnego z ciemnością, jaka pojawia się w pokoju po zgaszeniu światła. Ta tutaj była jak smoła, która pochłaniała wszystko wokół. Zniknęły nawet wcześniejsze zarysy przedmiotów i wszystko zlało się w jedną całość.

Zagłębił dłonie w żwirze, szukając latarki. Po omacku przeczesywał miejsce obok miejsca, starając się nie panikować. Gdy po chwili natrafił na coś, w pierwszym momencie myślał, że to fragment jakiegoś plastiku – zimne i twarde, nie przypominało niczego, co do tej pory znał.

Od samego początku wiedział, że to nie może się skończyć dobrze. Pewność zyskał kilka sekund później, kiedy po kształcie rozpoznał, co trzyma w dłoni.

ROZDZIAŁ 20

BYŁA TRZECIA CZTERDZIEŚCI TRZY, gdy komórka leżąca na stoliku obok łóżka ożyła.

Zagórski obrócił się na bok i podparł na łokciu, drugą ręką sięgając po telefon. Wszystko to zrobił automatycznie. Wyuczona umiejętność przechodzenia ze stanu spoczynku w stan gotowości pozostała mu po służbie wojskowej i nadal przydawała się w niektórych sytuacjach. Choćby takich jak ta.

– Zagórski – mruknął, nawet nie spojrzawszy na wyświetlacz. Mówił ściszym głosem, by nie obudzić śpiącej obok Dagmary. Oplotła go ramieniem, przyciskając piersi do jego pleców.

– Kto go znalazł? Gdzie? – Kolejne zdanie wypowiedział już normalnym głosem. – Będę za jakieś dwadzieścia minut.

Rozłączył się i usiadł na łóżku, opuszczając stopy na podłogę. W pokoju było chłodno, więc z zimna podkurczył palce.

Zapalił niewielką lampkę, sprawdzając się lepiej jako dekoracja niż faktyczne źródło światła, i zadzwonił do Wrońskiego, z którym umówił się, że spotkają się na miejscu. Sięgał po zegarek, gdy za sobą usłyszał szelest pościeli, a potem niewyraźny głos.

– Która godzina?

– Dochodzi czwarta. – Odwrócił się i spojrzał na Dagmarę. – Wracaj do spania.

– Mhm – wymruczała, obracając się na drugi bok. – Będę grzać łóżko.

Jakub podniósł się i podszedł do komody. Wyciągnął z niej czyste bokserki, jasną koszulę w kratkę, a z szafy pasujący do tego garnitur. Jego ruchy były oszczędne i szybkie.

– Nie wiem, ile mi zejdzie.

– Jakaś grubsza sprawa?

Pościel, którą się opatuliła, działała równie skutecznie jak tłumik i tylko dzięki intonacji i ostatniemu słowu w ogóle zrozumiał, o co jej chodzi.

– Okaże się na miejscu. – Sięgnął po komórkę i schował ją do kieszeni. – Ostatnio dowiaduję się wszystkiego jako ostatni.

Tym razem nie było odpowiedzi. Dagmara zasnęła.

Jakub zgasił światło i po omacku wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Na wczesne śniadanie nie miał czasu, a nawet gdyby było inaczej, z doświadczenia wiedział, że zjedzenie czegokolwiek przed oględzinami zwłok w miejscu ich ujawnienia nie było dobrym rozwiązaniem.

Nalał sobie kawy do kubka termicznego i po siedmiu minutach, które upłynęły od rozmowy, wsiadał do samochodu. Ostatnio miał problem z akumulatorem, ale dzisiaj odpalił bez problemu za pierwszym razem. Równocześnie uruchomiło się radio. Stacja muzyczna nadawała właśnie piosenkę z jednej ze starszych płyt Nicka Cave'a, *People ain't no good*.

Coś w tym jest, pomyślał, wrzucając kierunkowskaz. Zupełnie niepotrzebnie, bo o tej porze na ulicy nie było nikogo.

Dotarcie na miejsce zajęło mu niespełna kwadrans. Gdy zatrzymywał się przy niewielkim placu służącym za tymczasowy parking, nie dostrzegł jeszcze volkswagena Wrońskiego. Za to było jasno od migających kogutów.

Wysiadł z samochodu i ledwo zdążył zamknąć drzwi, poczuł, jak w jego plecy uderza wiatr. Postawił kołnierz i rozejrzał się wokoło. Budowa wyglądała tak, jakby krótka przerwa zarządzona przez majstra właśnie dobiegła końca i pracownicy powrócili do swoich obowiązków – tyle że ludzie tłoczący się na niewielkim terenie zamiast strojów roboczych mieli na sobie mundury.

Na tylnym siedzeniu samochodu oddalonego od niego o kilkanaście metrów dostrzegł trzy sylwetki. Gdy podszedł bliżej, przekonał się, że to dwóch wyrostków ściskających między sobą trzeciego, mniejszego.

Zagórski wiedział do tej pory tylko tyle, że ciało odnalazł jakiś dzieciak, który zamiast siedzieć w domu, kręcił się po budowie. Na telefoniczne omawianie szczegółów nie było czasu, zwłaszcza że lepiej dowiadywać się wszystkiego na miejscu. Przyjmując wezwanie, zwykle nie miał zbyt wielu informacji, poza najważniejszą.

W pobliżu samochodu kręcił się młody policjant. Jakub zobaczył go dopiero teraz, choć musiał tam być od dłuższego czasu. Pilnował zatrzymanych. Funkcjonariusz sprawiał wrażenie, że orientuje się w sytuacji. Jakub zakładał, że to on otrzymał zgłoszenie i jako pierwszy pojawił się na miejscu.

Ruszył w jego stronę. Wiedział, że podpytywanie kogoś, kto dopiero wspinał się po drabinie awansu, zazwyczaj przynosiło korzyści. Taka osoba była jeszcze

świeża, ale też skłonna do większego wysiłku niż ktoś, kto wykonywał ten zawód przez połowę swojego życia.

Jakub podszedł do policjanta.

– Komisarz Jakub Zagórski – powiedział, zatrzymując się metr przed mężczyzną.

Tak jak się spodziewał, był on świeżym narybkiem. Mundurowy wyprostował się i schował dłonie za plecami, przyjmując postawę, jaką Jakub wielokrotnie ćwiczył podczas służby w wojsku. Aż chciał mu powiedzieć: spocznij. Najwidoczniej młody poczuł się wyróżniony zainteresowaniem detektywa.

– Dostałem wezwanie – dodał Jakub.

– Starszy posterunkowy Robert Słowik – przedstawił się tamten, pomiędzy każdym słowem robiąc krótką przerwę.

Zagórski kiwnął głową w stronę samochodu. Przyglądał się chłopakowi znajdującemu się najbliżej. W przeciwieństwie do innych, siedzących z pochylonymi głowami, ten miał harde spojrzenie oraz butny wyraz twarzy. I obserwował ich przez szybę. Jakub wiedział, że tacy lubili sprawiać kłopoty.

– Stawiali się?

Słowik podążył za jego wzrokiem.

– Dwóch nie, są posrani. Tylko jeden, ale szybko mu przeszło.

Zagórski zrozumiał, co Słowik miał na myśli. Ten zwrot był niedopowiedzeniem, niemalże eufemizmem. W praktyce brało się takiego chłopaczka na stronę, a potem ładowało mu się z liścia w twarz, by nie zostawić śladów. Z tak naprostowanym gówniarzem wracało się do ludzi i wtedy już rozmowa układała się inaczej. Po minie wyrostka Zagórski ocenił, że metoda najwyraźniej się nie sprawdziła. Ale wiedział, że i na takich były sposoby.

– Wiesz, co się stało?

Słowik przytaknął.

– Półtorej godziny temu otrzymaliśmy wezwanie. Jakieś dzieciaki zadzwoniły pod sto dwanaście. Mówiły tak chaotycznie, że początkowo myśleliśmy, że gówniarze są pod wpływem dopalaczy czy czegoś innego i robią sobie jaja. Kiedy pół godziny później podjechaliśmy to sprawdzić, nie spodziewałem się, że coś znajdziemy. Najstarszy z nich ma czternaście lat, najmłodszy dopiero skończył trzynaście. I to on odnalazł ciało. Założył się z kolegami, że zakradnie się na budowę i nabazgrze coś sprejem na nowo powstałej kondygnacji.

Jakub pokręcił głową. Ambicja w takim wieku popychała do różnych głupich zachowań. Niektórzy szybko z tego wyrastali, innym zostawało do końca życia.

– Zrobił to? – spytał po chwili.

– Nie zdążył. Wspinając się po maszynie, stracił równowagę i wpadł do dołu.

To tam znajdowało się ciało.

– No dobra, trzeba ich wrzucić na bęben! – zarządził Jakub, ponownie zerkając na tylne siedzenie. – Może ci z sekcji do spraw nieletnich mieli już z nimi do czynienia. Albo choć z jednym z nich. Musimy sprawdzić, czy gówniarze mogli mieć z tym coś wspólnego.

Zagórski wołał już na samym początku wykluczyć ich udział w zdarzeniu. Nie byłoby to niezwykle, gdyby jednak okazali się winni. Nieraz po załatwieniu kogoś, gdy emocje w końcu opadły, co poniektórzy główkowali, w jaki sposób się ze wszystkiego wykaraskać, a pierwszym rozwiązaniem było odsunięcie od siebie podejrzeń poprzez zgłoszenie się na policję, niby w charakterze świadka.

Miał już do czynienia z takimi przypadkami i wiek nie grał dużej roli. Ścieżki takich osób często już wcześniej krzyżowały się z policyjnymi.

Słowik wyprężył się jeszcze bardziej.

– Już to zrobiłem. – Nie do końca udało mu się ukryć zadowolenie z wykonanej roboty. – Są czyści.

– Więc na razie traktujemy ich jak świadków. – Jakub podniósł wzrok i spojrzał ponad głowę policjanta. – Dotarł już prokurator? – dopytał, kiedy nie zauważył nikogo, kto mógłby pełnić tę funkcję.

– Wezwany i w drodze.

Po co w ogóle pytam, pomyślał Zagórski. Takiej odpowiedzi mógł udzielić sobie sam. Tyle razy słyszał ten tekst w kontekście prokuratorów i medyków, że stracił rachubę.

Odpuścił pytanie dotyczące denata. Nie miało sensu. Z odpowiedziami będzie się gimnastykował patolog, kiedy przyjedzie.

– Medyk też w drodze? – spytał dla dopełnienia formalności i napił się kawy. Słowik pokręcił głową. Robił to dziwnie, jakby rozglądał się na boki.

– Nie, już jest.

Jakub zmarszczył czoło i powoli odsunął kubek od ust. To go zaskoczyło. Niezwykle rzadko zdarzało się, by patolog zjawiał się na miejscu przed prokuratorem i detektywami. Zwykle to na niego czekało się najdłużej. No, chyba że miało się wątpliwą przyjemność pracy z prokuratorem Węgrowskim, który pojawiał się na samym końcu.

– Kto?

– Kreuz.

Choć pokryło się to z jego przypuszczeniami, nie skomentował. Patolog z jednej strony mu imponował, z drugiej wzbudzał w nim pewne obawy. Ten gość chyba w ogóle nie ma prywatnego życia, pomyślał, ale po raz kolejny zostawił tę uwagę dla siebie.

– I to on kazał was wezwać – dodał na koniec Słowik.

Jeśli wcześniejsza informacja zaskoczyła Jakuba, to ta sprawiła, że zastygł.

Od kiedy to medyk wybierał sobie, z kim chce pracować? Nigdy dotąd nie słyszał o takim przypadku. Owszem, zdarzało się to prokuratorom, którzy mieli już na swoim koncie wiele rozwiązanych spraw i dobre wejścia, ale nie patologom. Chyba że coś się zmieniło w ostatnim czasie, a Zagórski o tym nie wiedział.

– Odwieź ich do izby dziecka – zwrócił się do Słowika. – I powiadom rodziców. Powinni się w końcu dowiedzieć, co gówniarze robili w środku nocy.

Już miał się udać na poszukiwanie Kreuza, kiedy z oddali usłyszał samochód Wrońskiego. Popsuty tłumik sprawdzał się lepiej niż syrena.

Obserwował, jak ten parkuje obok sedana i partner po trzaśnięciu drzwiami rusza w jego stronę. Gdy podszedł bliżej, Zagórski zauważył, że Tomek jeszcze nie pozbył się senności. Na twarzy miał odcisnięty ślad pościeli, która zostawiła wzór przebiegający przez cały prawy policzek i kawałek czoła.

– Gotowy? – Palcem wskazał na jego koszulę. Połowa tkwiła w spodniach, natomiast reszta wysunęła się na zewnątrz, co wyglądało po prostu niechlujnie.

Tomasz kilkoma ruchami doprowadził się do porządku. Kiedyś takie zwrócenie uwagi traktował jak reprimendę, teraz obchodziło go tyle co zeszłoroczny śnieg. W końcu nie pracował z Jakubem od wczoraj, chociaż czasami wciąż drażniło go podejście kolegi do tematu prezencji. Akurat co jak co, ale na trupach nie musieli robić dobrego wrażenia.

Zlustrował wzrokiem Zagórskiego, który wyglądał, jakby na przygotowaniach do wyjścia spędził godzinę. Pokręcił głową. Nie miał pojęcia, jak on to robił.

– Wiesz, kto go znalazł? – zapytał, kiedy ruszyli w stronę grupki stojącej w pobliżu fundamentów.

Jakub szybko wprowadził go w szczegóły.

– Sam już nie wiem, czy trzeba mieć popierdolone szczęście czy pierdolonego pecha – skomentował Wroński, jak zawsze pełen empatii. W jego głosie nie było złości, po prostu stwierdzał fakt.

Jakub westchnął przeciągle. Akurat w tym zgadzał się z Tomkiem. Chłopak urwał się z domu i wydawałoby się, że najgorsze, co może go spotkać, to docinki i kilka dni hańby, gdyby stchórzył i zrezygnował z wykonania zadania. Trwałoby to do momentu, w którym coś odwróciłoby od niego uwagę. Coś lub ktoś, jakiś kolega, koleżanka, przy których jego wybryk poszedłby w niepamięć.

Chłopaka mogła spotkać także kara, gdyby rodzice przyłapali go na pobycie poza domem późno w nocy. Teraz Zagórski wiedział, że była jeszcze jedna opcja. Młody będzie miał traumę na całe życie.

– Na dodatek spędził z ciałem ponad pół godziny – dorzucił jeszcze. – Zanim udało się go wyciągnąć, tak spanikował, że nie był w stanie wyjść stamtąd o własnych siłach. Trwałoby to dłużej, gdyby nie kumple, którzy usłyszeli jego krzyk za ogrodzeniem. Dobrze, że mieli na tyle przyzwoitości, by nas zawiadomić.

Tym razem Wroński nie skomentował. Doskonale wiedział, że może być po chłopaku. Albo to udźwignie, albo nie.

Ominęli największe kałuże powstałe po obfitym polewaniu wylewki, by nie popękała, i podeszli do miejsca oświetlonego kilkoma reflektorami.

– Jeszcze jedno. – Jakub spojrział na Tomka. – Wyobraź sobie, że na miejscu jest Kreuz, i to on nas wezwał. Ciekawe dlaczego?

Na odpowiedź musieli poczekać, lecz Wroński miał już pewne podejrzenia. Na razie zostawił je dla siebie.

– Czekałem na was. – Medyk odezwał się pierwszy. Właśnie podniósł się z klęczek i otrzepał kolana. W dłoni miał termometr, który wyciągnął z odbytu ofiary.

Strój patologa sprawiał osobliwe wrażenie. Mężczyzna miał na sobie dopasowane spodnie do joggingu i zasuwaną na zamek bluzę z kapturem – dosłownie jakby ściągnęli go z trasy.

Wroński stłumił śmiech, przytykając do ust zaciśniętą pięść. Kreuz nie zwrócił na to uwagi, zajęty chowaniem termometru do szarego etui i zapisywaniem wyniku.

– Musiałem wyciągnąć ciało na równy grunt. Tam na dole nie dało się w ogóle pracować – wyjaśnił.

I zanim Wroński czy Zagórski zdążyli zapytać o cokolwiek, dorzucił:

– Specjalnie o was prosiłem. Uważam, że ta sprawa wiąże się z denatem znad Wisły.

Jakub przesunął spojrzeniem po ciele mężczyzny, szukając zbieżności. Dostrzegł zmasakrowaną głowę, ręce, nogi – wszystko przytwierdzone do ciała. Na ubraniu, a także we włosach było jeszcze dużo żwiru.

– Ale w jaki sposób? – zapytał, kiedy nie znalazł żadnego oczywistego powiązania.

Kreuz nie spojrział na niego, tylko pochylił się nad ciałem i spróbował je obrócić. Udało mu się to dopiero za drugim razem. Kiedy podciągnął fragment koszulki, palcem wskazał coś, co znajdowało się na plecach denata.

Jakub przykucnął. Ze swojego miejsca widział uszkodzenie skóry wyglądające jak krwiak. Gdyby ofiara leżała na plecach, odróżnienie tego od plam opadowych byłoby niemożliwe.

Patolog spojrział na śledczych.

– Pamiętajcie – zaczął – że wasza ofiara miała siniak na plecach i pękniętą łopatkę? – Detektywi potraktowali to pytanie jako retoryczne. – Tutaj mamy podobny ślad. Co do pęknięcia upewnię się dopiero po prześwietleniu, ale podejrzewam, że to kolejna ofiara waszego mordercy. – Opuścił ostrożnie ciało i skoncentrował się na Zagórskim. – Oczywiście więcej będę mógł powiedzieć po autopsji – dodał swoją standardową formułę. Nie było policjanta, który nie zgrzytał

na nią zębami.

Jakub opanował się, żeby nie pokazać zniecierpliwienia. Zbliżył się do krawędzi dołu i zajrzał do środka. Wyrwa była głęboka na dwa metry, lecz dosyć stroma, a wszędzie wokół leżał żwir. W innych okolicznościach chłopak, który tam wpadł, miałby większe szanse, by wydostać się z niego o własnych siłach.

Cofnął się i zwrócił się do Kreuza.

– Czy denat miał w ustach żwir?

Medyk pokręcił głową.

– Nie, nie żył już, kiedy trafił do dołu. Wokół nie dostrzegłem też śladów krwi, więc ofiara zginęła w innym miejscu i została tu przeniesiona dopiero po śmierci.

– A co z czasem zgonu, wiadomo już coś? – Zagórskiego zawsze interesowała odpowiedź na to pytanie. Sam ocenił, że zwłoki były w dobrym stanie. Choć procesy rozkładu zaczynały się zaraz po śmierci, to tutaj nie były jeszcze widoczne ani wyczuwalne. – Wygląda na to, że ofiara zginęła całkiem niedawno.

W świetle reflektorów ustawionych po obu stronach skarpy dostrzegł, że Kreuz przytaknął.

– Owszem – odparł i palcem wskazującym nacisnął skórę w miejscu, gdzie znajdowały się plamy opadowe. Ciemne zabarwienie zrobiło się jaśniejsze pod wpływem dotyku, a po odsunięciu palca wybarwienie powróciło. – Najwyraźniej mamy szczęście. Zwłoki są na tyle świeże, że być może uda się nawet zawęzić czas zgonu. Co ciekawe, bazując na samej temperaturze zmarłego, czas jego śmierci oceniłbym na więcej niż piętnaście godzin temu. Ale po tej zmianie widać z kolei – wciąż nawiązywał do plam opadowych – że minęło jednak mniej niż dwanaście. Gdyby było inaczej, nie pojawiłoby się jaśniejsze wybarwienie pod wpływem dotyku.

– To już coś – zgodził się z nim Zagórski. Wyjął notes i zapisał sobie tę informację. – A skąd ta rozbieżność?

Kreuz podrapał się po głowie.

– Na to ma wpływ wiele czynników. Ofiara jest szczupła, leżała wyciągnięta, więc wychłodzenie postępowoło szybciej niż w przypadku osoby z większą ilością tkanki tłuszczowej lub gdyby leżała w pozycji zbliżonej do embrionalnej.

Jakub przytaknął. Chciał jeszcze dopytać o inną kwestię, lecz nie zdążył. Kreuz przykucnął i po znalezieniu stabilnego oparcia dla nóg wyciągnął ręce i chwycił denata za ramię, jedną dłoń kładąc powyżej stawu łokciowego, drugą poniżej. Jego dłonie dzieliła odległość kilkunastu centymetrów.

– Zrobimy test – wyjaśnił, podnosząc na chwilę głowę. A potem wykręcił rękę ofiary, jakby to było skrzydełko kurczaka, a nie męskie ramię. Temu ruchowi towarzyszył nieprzyjemny dźwięk.

– Kurwa! – wyrwało się Tomkowi, który z niedowierzaniem obserwował całe zajście. Zastanawiał się, czy to nie miał być jakiś chory żart, którego nie załapał. Jego wątpliwości się pogłębiły, gdy zauważył, że z twarzy medyka nie schodzi uśmiech.

Jakub był już świadkiem takiego badania i teraz nie zrobiło na nim wrażenia. Z nieprzeniknioną miną obserwował, jak Kreuz opuszcza ramię zmarłego na ziemię i prostuje się. Po kroplach na czole było widać, że ów popis kosztował go sporo wysiłku.

– To, co zrobiłem – powiedział po chwili, obrzucając mężczyznę szybkim spojrzeniem i czerpiąc satysfakcję z konsternacji Wrońskiego – nazywa się przełamywaniem zwłok w stawie łokciowym. – Rozbawienie minęło prawie tak szybko, jak się pojawiło, i resztę wypowiedział już poważnym głosem: – Zapewne wiecie, że ciało zaraz po śmierci jest wiotkie. *Rigor mortis* powstaje już trzy, cztery godziny później i utrzymuje się przez dwie doby. Zaczyna się od najmniejszych mięśni powiek, twarzy, kierując się w stronę szyi, i postępuje ku dołowi, do palców u stóp, zajmując coraz to większe partie mięśni. Siedem godzin, tyle potrzeba na pełne stężenie pośmiertne. Po mniej więcej dobie proces zaczyna się odwracać. Dochodzi do powolnego rozluźniania mięśni i stężenie znika w tej samej kolejności. Rozpoczyna się od najmniejszych mięśni i postępuje ku największym. – Odetchnął głęboko, a potem podsumował: – To badanie może pomóc nam w ustaleniu dokładniejszego czasu śmierci. Jeśli minęło mniej niż siedem godzin od zgonu, stężenie powróci.

W końcu mieli jakiś punkt zaczepienia.

– Zajmiesz się tym priorytetowo? – spytał Jakub.

Kreuz zgodził się kiwnięciem głowy. Zdawał sobie sprawę, że kiedy odnajdywała się kolejna ofiara tego samego mordercy, należało jak najszybciej zrobić wszystko, by go dopaść. Pojawienie się następnego ciała było wysoce prawdopodobne.

– Oczywiście, ale żeby znać wynik testu, musimy dać ciału czas na ewentualne powtórne stężenie. – Zerknął na zegarek i ponownie spojrzał na komisarza. – Umówmy się na sekcję na piętnastą. Wtedy powinienem wiedzieć więcej.

– Czy w drodze wyjątku – zaczął ostrożnie Jakub, znając stanowisko Kreuzu w tej sprawie – moglibyśmy pobrać odciski już teraz? Wrzucimy je do systemu i możliwe, że dowiemy się czegoś do czasu autopsji. Nawet informacja, że gość nigdy nie był notowany, będzie istotna.

Kreuz skrzywił się. Początkowo chciał odmówić, ale liczył się czas. A sekcję rozpocznie dopiero za kilkanaście godzin.

– Zgadza się, ale ja to zrobię.

Tomasz wrócił się do samochodu po sprzęt i po chwili wręczył go

medykowi. Ten nawet nie spojrział na detektywa, tylko pochylił się nad ciałem.

– Czy na teraz to koniec? – spytał Jakub, obserwując, jak patolog sprawnie pobiera odciski.

– Tak. – Lekarz zwrócił mu łyżkę. – Zabieram ciało do zakładu i tam poczeka na sekcję.

Poruszenie z lewej strony przerwało rozmowę. Jakub odwrócił się i dostrzegł, że w ich stronę zmierza prokurator Węgrowski, który wyglądał, jakby spał w garniturze.

– Ten to ma wyczucie! – wymruczał Wroński. Zrobił to na tyle cicho, że usłyszał go tylko Kuba.

Zagórski skinął głową. Jemu także nie uśmiechała się współpraca z tym młodym zarozumialcem, ale sprawy łączyły się ze sobą i musieli działać wspólnie.

Jeszcze dwie godziny spędzili na terenie budowy. Tym razem Tadiusz Węgrowski zaskoczył detektywów swoją obecnością, która nie ograniczała się jedynie do pokazania na miejscu swojej facjaty. Prokurator faktycznie nadzorował pracę policjantów, choć w jego wykonaniu polegało to na staniu obok nich.

O szóstej trzydzieści nastał świt. Wszędzie panowała jeszcze specyficzna szarówka wypełniona wilgotnym powietrzem i chłodem.

Zaczynał się nowy dzień.

ROZDZIAŁ 21

ZBLIŻAŁA SIĘ TRZYNASTA, kiedy Lena wysiadła z dziesiątki. Poczekala, aż tramwaj ruszy, i przeszła na drugą stronę ulicy. Każdy krok dostarczał jej nowej porcji bólu, a zmęczenie spowodowane brakiem snu było silniejsze niż wcześniej. Czuła się, jakby w ogóle nie spała w nocy. Co nie było do końca prawdą, bo gdyby odliczyć przerwy, zbierałyby się może ze dwie godziny.

Wczoraj po powrocie z zajęć była tak zmęczona, że zamiast jedzenia połknęła dwie tabletki aspiryny. Zdążyła jeszcze wziąć gorący prysznic, zanim padła na łóżko.

Artur Kantor obrał sobie za punkt honoru pomóc Lenie przezwyciężyć strach. Zajęcia były intensywne – sama rozgrzewka wystarczyłaby za tygodniową porcję ruchu, a to był dopiero początek i zapowiedź reszty. Potem następowały różne ćwiczenia koncentrujące się głównie na obronie. Trener wychodził z założenia, że lepiej zacząć od tego, co stanowiło dla niej największą trudność, a dopiero potem skupić się na innych sekwencjach.

Z tego powodu ostatnie dwa wieczory spędzała, próbując wyzwolić się, kiedy Kantor usiłował przyduszać ją na różne sposoby. Początkowo Lena odpowiadała lękiem, ale trener miał rację. Z czasem coraz mniej zwracała uwagę na swoje myśli, a coraz więcej na reakcje. Walczyła.

Myliła się jeszcze w jednej kwestii. Wcześniej liczyła na to, że zmęczenie będzie najskuteczniejszym lekarstwem na problemy ze snem i koszmary. Było jednak na odwrót. Nasilenie się ich w ostatnim czasie sprawiło, że do dziewiątej wahała się, czy nie odwołać dzisiejszego spotkania z lekarzem. Im dłużej zagłębiała się w historię Marszałkowskiej, tym bardziej czuła, że traci nić łączącą ją samą ze światem. Bała się, że jeszcze trochę i ta się zerwie. Obawa, że może

tracić rozum, nawiedzała ją coraz częściej.

Lena dotarła do takiego momentu, że do czego by się nie wzięła, miało to dla niej katastrofalne skutki. Jej życie przypominało górską kolejkę, z której nie mogła się wydostać. Jak kiedyś, kiedy była dzieckiem i rodzice zabrali ją do wesołego miasteczka, będącego dla niej wesołym jedynie z nazwy. Na zawsze zapamiętała tamte dziesięć minut na rollercoasterze i towarzyszące im przerażenie. Tym razem to uczucie było znacznie silniejsze, a każda jej decyzja zamiast pomóc, sprawiała, że pogrążała się coraz bardziej.

Postanowiła jednak za wszelką cenę dotrzeć na spotkanie z Doktorem. Zdecydowała o tym obowiązkowość i pewnego rodzaju sumiennosc tkwiąca w niej głęboko, odkąd jeszcze była dzieckiem. Mąż niejednokrotnie wyciągał tę jej cechę podczas kłótni, które zdarzały się co pewien czas, potrzebne w związku tak samo jak burza do oczyszczenia powietrza. Nazywał ją perfekcjonistką, ale w taki sposób, który nie napawał Leny dumą. Jego słowa brzmiały jak obelga. Jakby to była skaza na charakterze, z którą powinna coś zrobić.

Otrząsnęła się z myśli, zatrzymując się na rogu alei Jana Pawła II z ulicą Klasztorną, i rozejrzała się wokół, starając się zdobyć większe rozeznanie w terenie. Chociaż mieszkała w Krakowie przez większość swojego życia, tutaj była po raz pierwszy. Nieczęsto pojawiała się w Nowej Hucie.

Po przejściu mniej więcej czterystu metrów dotarła na miejsce, a jej wzrok zatrzymał się na czteropiętrowym bloku. Już teraz było widać, że po oddaniu budynku do użytku nikt nie zatroszczył się o drewno pokrywające całą boczną ścianę i elementy balkonów. Mimo wyblakłego koloru nadal prezentował się atrakcyjnie, z dwóch stron otoczony wysokimi rzędami drzew.

Lena schowała dłonie do kieszeni płaszcza i ruszyła do gabinetu. Przygotowując się do tego spotkania, wzięła pod uwagę różne scenariusze. Zdradzenie, dlaczego interesuje się sprawą Marszałkowskiej – jak już wiedziała z doświadczenia – nie było najlepszym pomysłem. Dlatego zdecydowała, że na początku będzie kontynuowała wspomnianą przez telefon historię do czasu, aż zorientuje się, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Dzięki bezpośredniej rozmowie mogła też obserwować zachowanie lekarza, by po przejściu do wątku Weroniki ocenić jego mowę niewerbalną. Potem zacznie improwizować.

Pokonała kilka schodów, otworzyła drzwi i weszła do środka. Mimo że przez kilka lat mieszkała w Stanach, gdzie pomoc psychologiczna jest bardziej popularna niż wizyty u internisty i prawie każdy korzysta albo kiedyś korzystał z usług terapeuty, sama nigdy nie była u psychologa ani tym bardziej u psychiatry. Nie wiedziała, czego się spodziewać.

Pomieszczenie było niewielkie, szerokie na pięć metrów i niewiele dłuższe. O tej porze było puste. Może wszystko zostało zorganizowane tak, by pacjenci mieli poczucie prywatności, a dzięki pilnowaniu czasu spotkań nikt nie czekał

w poczekalni. Przy ścianie stały trzy krzesła ułożone w kształt litery L. Przed nimi znajdował się okrągły stolik, zasypany licznymi kolorowymi broszurami.

Pomieszczenie przypominało Lenie poczekalnię u dentysty – z tą różnicą, że tam na stolikach leżał przekrój czasopism motywacyjnych, dzienników i poradników kobiecych. Tutaj znajdowały się tylko takie o zdrowiu psychicznym, a także wykaz miejsc, gdzie organizowano spotkania dla osób dotkniętych depresją i innymi zaburzeniami psychicznymi. Na jednym z krzeseł dojrzała egzemplarz jednego z bardziej znanych brukowców. Podejrzewała, że zostawił go jakiś pacjent.

Rozpięła płaszcz i zdążyła go jedynie powiesić na stojącym w rogu wieszaku, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich lekarz. Przystojny w nietypowy sposób, koło pięćdziesiątki. Z krótką, w niektórych miejscach mocniej już siwiejącą brodą i w eleganckim garniturze wyglądał profesjonalnie. Jak człowiek, któremu można powierzyć swoje lęki, mroczne sekrety i inne wynaturzenia, by zrobił z nimi porządek.

– Pani Zamojska?

Lena kiwnęła głową i ruszyła w jego stronę.

– Dzień dobry. – Uścisnęła mu dłoń.

Doktor cofnął się i zaprosił ją gestem do środka.

Gdy przekroczyła próg, znalazła się w gabinecie, który w niczym nie przypominał wnętrza, jakie widziała w niektórych filmach czy namiętnie oglądanych serialach. Nie było leżanki, tylko dwa duże, potężne fotele pokryte czarną skórą, zajmujące środkową część pomieszczenia. Ustawione naprzeciwko i oddalone od siebie o metr, sprawiały wrażenie wygodnych.

Po drugiej stronie pokoju stało biurko. Wpasowane w wystrój, nie rzucało się w oczy, natomiast ściana za nim już tak. Regał z książkami zajmował całą szerokość pomieszczenia, sięgając pod sam sufit. Dostrzegła tam różne pozycje, jednak większość tytułów brzmiała dla niej obco.

Mężczyzna poczekał, aż Lena usiądzie, i dopiero wtedy zajął swoje miejsce.

– Podczas rozmowy wspominała pani o PTSD – powiedział, łącząc dłonie w piramidkę. Nie tracił czasu na zbędny wstęp.

Lena przeniosła spojrzenie na jego twarz.

– Tak.

– Czy ktoś już panią diagnozował?

– Sama to zrobiłam – odparła z powagą, odchylając się na fotelu.

Po tym, jak Zagórski zasugerował, że może cierpieć na zespół stresu pourazowego, poszukała więcej informacji na ten temat. Jak się okazało, problem był szeroko omawiany, na tyle, że w Polsce istniały placówki specjalizujące się w jego leczeniu. Nie chciała jednak zaczynać rozmowy od przytoczenia innej, dlatego od razu przeszła do dalszego etapu:

– Znalazłam w sieci test, który miał określić, czy mogę cierpieć na to

zaburzenie.

Lekarz powstrzymał uśmiech. W sumie się nie dziwiła. Wiedziała, jak to brzmiało. Podejrzewała, że przy obecnym dostępie do informacji sytuacje, w których pacjent sam stawia sobie diagnozę, nie należały do rzadkich.

– Wykorzystała pani test do autodiagnozy – podsumował. – Pamięta pani wynik?

Lena zawahała się, czując napięcie w ramionach. Samo mówienie o tym nie było łatwe.

– Dziewiętnaście punktów na dwadzieścia dwa. – Widząc, że mężczyzna jedynie kiwnął głową, zapytała podejrzliwie: – Nie zapisze pan tego?

Doktor uśmiechnął się lekko, rozbawiony pytaniem. Lena czuła, że powoli ogarnia ją irytacja; w ciągu kilku minut najwidoczniej dostarczyła mu sporo rozrywki.

– Taki mam system pracy – odpowiedział już z powagą. – Dopiero po wizycie sporządzam sobie krótkie podsumowanie spotkania. Nie potrzebuję streszczenia, gdyż zapamiętuję większość rozmów, a notuję głównie hasła. Notatki w trakcie sesji mogłyby zaś panią po prostu rozkojarzyć – wyjaśnił. – Wróćmy do tematu.

Lena odetchnęła, przypominając sobie prawdziwy cel wizyty.

– Parę miesięcy temu miało miejsce pewne wydarzenie – podjęła przerwany wątek.

Lekarz pokiwał głową, zachęcając ją do mówienia.

– Uczestniczyłam w wypadku samochodowym, w którym ktoś zginął. I od tego czasu coś jest ze mną nie tak. Jestem lękliwa, cały czas podminowana. Nie mogę spać, dręczą mnie koszmary.

– Jak długo to trwa?

– Już pół roku, zaczęło się tuż po wypadku. Z początku pojawiło się ogólne napięcie, podenerwowanie, problemy ze snem. Byłam w błędzie, myśląc, że wróciłam do równowagi i poradziłam sobie z tą traumą. Na jakiś czas koszmary minęły, lecz ogólne podenerwowanie i inne objawy, z których dopiero teraz zdaję sobie sprawę, utrzymywały się na stałym poziomie. Wcześniej były jedynie niewielkim utrapieniem, ale obecnie...

– A koszmary? Kiedy znów zaczęła je pani mieć? – Doktor skupił się na wcześniejszej informacji.

Lena wsunęła dłonie pomiędzy uda, jakby musiała je rozgrzać.

– Całkiem niedawno. Na początku września wróciłam do Krakowa, z którego wyjechałam po tym wszystkim, i myślę, że odżyły niedługo potem. W koszmarze w zasadzie przeżywam na nowo wypadek, tylko zakończenie jest inne – odpowiedziała, wracając pamięcią do uśmiechającego się z brzegu Marszałkowskiego.

Wzdrygnęła się.

– O tym jeszcze porozmawiamy. – Głos lekarza przywrócił ją do teraźniejszości. – A jak ze snem tak w ogóle? Pomijając te koszmary, czy może pani spać?

Lena przesunęła dłonią po czole. Poczowała pod palcami wilgotną, nieprzyjemną w dotyku skórę.

– Niewiele. – Akurat w tym temacie nie było się co rozdrabniać.

– I?

Zamojska podniosła wzrok na lekarza.

– Doszłam do takiego etapu, kiedy boję się zasnąć, w obawie, że pojawi się koszmar. Wiem, że się zapętlam. Dlatego zamiast spać, wynajduję sobie inne zajęcia.

– A jak z alkoholem?

Zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, do czego zmierza terapeuta.

– Niestety, często zdarza się, że ludzie z PTSD sięgają po alkohol, by uwolnić umysł od wspomnień – wyjaśnił. – Ale nie tędy droga. Problemu nie rozwiąże też zatracanie się w pracy – dodał, nawiązując do jej wcześniejszej wypowiedzi.

Lena wiedziała, jak ukierunkowała swój umysł. To sprawa Marszałkowskiej miała być remedium na jej kłopoty.

– Nie piję dużo, a na pewno nie więcej niż zwykle.

Doktor przytaknął, zadowolony z odpowiedzi, a Lena odetchnęła głęboko. Już kilka razy musiała przypominać sobie, po co tu naprawdę przyszła. Nie było to łatwe, zwłaszcza że mężczyzna miał dar słuchania, który wykorzystywał podczas wywiadu lekarskiego. Celnie dotykał problemu, jakby chciał go obejrzeć z każdej strony. Zamojska rzadko spotykała się z takimi osobami. Może wynikało to z przeszkolenia i doświadczenia? Albo wyższego poziomu empatii, który sprawiał, że był dobry w tym, co robił? Choć zwykle ostrożna i mocno zachowawcza, jeśli chodziło o zdradzanie informacji ze swojego życia, zauważyła, że teraz nie miała problemu z otwarciem się przy lekarzu.

– Czy po tym wypadku prowadziła pani samochód?

Lena zacisnęła usta. Ten temat był dla niej szczególnie drażliwy. Jak nigdy potrzebowała teraz samochodu, ale nie była w stanie nim kierować. Frustracja z tego powodu towarzyszyła jej przez cały czas. Była zła na siebie i na to, co ją spotkało.

– Próbowałam, ale nie dałam rady. Mogę jeździć, ale jedynie jako pasażer.

Lekarz ponownie pokiwał głową. Jego pewność powoli zaczynała działać Lenie na nerwy. To także było pokłosie wypadku. Stała się drażliwa i nie potrzebowała wiele, by wybuchnąć. Wcześniej nie miała problemu z kontrolą, a teraz czuła się, jakby balansowała na cienkiej linii.

– A teraz jak się pani czuje? W skali od jednego do dziesięciu.

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Gdyby miała określić swój stan przed wejściem do gabinetu, oceniłaby go na pięć, natomiast w ciągu kilku minut jej nastrój wyraźnie się pogorszył.

– Trzy – odparła w końcu.

Doktor pochylił się w jej stronę i złączył przed sobą dłonie.

– Zwykle po takim wywiadzie wykorzystuję test SCID-I, służący do diagnozy PTSD i weryfikacji tego, co powiedział pacjent. Jednak w tym przypadku nie będzie to konieczne. Najwyraźniej postawiła sobie pani trafną diagnozę. Cierpi pani na zespół stresu pourazowego. – Lena w milczeniu słuchała lekarza. – To zaburzenie pojawiające się po przeżytej traumie. Niektórzy po czymś takim wracają do normalnego funkcjonowania, jak to sprzed sytuacji, która wywołała u nich uraz psychiczny. Jednak u innych zdarza się, że reakcje stresowe nie znikają, a wręcz dochodzi do ich eskalacji. Różnica pomiędzy PTSD a zwykłą traumą to czas jej trwania. Reakcja na traumę wiąże się z tymi samymi symptomami, ale znikają one mniej więcej w ciągu kilku tygodni. Przy PTSD utrzymują się znacznie dłużej i narastają. Dokładnie tak, jak ma to miejsce w pani przypadku.

Lena nadal się nie odezwała, więc mówił dalej:

– Jak zapewne sama pani zauważyła, rozpoznając u siebie niektóre z objawów, istnieją tak naprawdę różne symptomy, które można zakwalifikować do czterech grup. Pierwsza związana jest z niechcianym wspomnieniem albo flashbackiem połączonym z omamem wzrokowym. W ich wyniku osoba przeżywa na nowo tamtą sytuację. Wystarczy, że coś usłyszy, zobaczy, a nawet poczuje, a uruchomią się wspomnienia. Koszmary stają się nocnym towarzyszem.

Pomyślała o swoim niechcianym kompanie. Nigdy nie sądziła, że złe sny mogą tak utrudniać życie. Wpadła w błędne koło i w konsekwencji dobijało ją teraz zmęczenie.

– Druga związana jest z unikaniem sytuacji, pewnych miejsc, które przypominają o traumie. U pani objawia się to niemożnością prowadzenia auta: eliminuje pani w swoim życiu stresogenne sytuacje. Taki unik daje tylko pozorny spokój.

Lena nerwowo kiwała nogą w powietrzu. Kiedy Doktor zwrócił uwagę na jej postawę, oparła dłoń na kolanie, siłą utrzymując ją w miejscu.

– Kolejnym symptomem jest ogólna nadpobudliwość – kontynuował, jakby w odpowiedzi na stan Leny. – Wiąże się z wybuchami gniewu, utrzymującą się irytacją. Poczuciem niebezpieczeństwa, przez co organizm przez większość czasu znajduje się w fazie pobudzenia.

Przypatrywał się jej z uwagą, jakby była eksponatem muzealnym, robaczkiem przyszpilonym do papieru. Ostatni raz czuła się tak podczas rozmowy z wcześniejszym terapeutą Marszałkowskiej, profesorem Kaletnikiem.

– Podniesione ciśnienie krwi, szybsze tętno...

– Wiem – warknęła, przerywając lekarzowi, ale szybko się zreflektowała: –

Przepraszam.

Coraz częściej łapała się na tym, że w kontaktach z ludźmi musi się hamować, by jakiś drobiazg nie wywołał nieadekwatnej reakcji. Kosztowało ją to bardzo dużo wysiłku.

O przyjęciu przeprosin świadczyło lekkie kiwnięcie głową. Lekarz nie dał po sobie poznać, czy jej wybuch zrobił na nim wrażenie, i po chwili mówił dalej:

– Czwarta grupa jest powiązana z wcześniejszymi. Pewne ograniczenia, które pojawiają się przy PTSD, koszmary, nadmierna pobudliwość, wszystko to sprawia, że osoba cierpiąca na to zaburzenie czuje się w jakiś sposób gorsza. W konsekwencji sama się alienuje, ogranicza kontakty z innymi.

Wypisz wymaluj ja, pomyślała Lena. W każdej z tych grup znalazła coś, co ją charakteryzowało, jakby lekarz mówił tylko o niej. Podejrzewała, że mniej więcej na tym polegała złożoność tego zaburzenia.

– Jest i dobra wiadomość. – Zarówno słowa, jak i sposób, w jaki wypowiedział je Doktor, zwróciły jej uwagę.

Oderwała wzrok od swoich dłoni i spojrzała na terapeutę.

– Jaka? – Z wrażenia wychyliła się w jego stronę. Naiwnie wierzyła, że nagle dowie się, że istnieje lekarstwo, które w szybki sposób rozwiąże jej problem.

– Zrobiła pani pierwszy krok w kierunku poprawy.

Lena skrzywiła się i z westchnieniem zagłębiła się w fotelu. Akurat z tym nie mogła się zgodzić, szczególnie że powodem wizyty było coś innego.

– W leczeniu wykorzystuję terapię ekspozycyjną, która jest jedną z form terapii poznawczo-behawioralnej, często wspartą farmakologią. Jeśli zdecyduje się pani na terapię, to, ujmując to w dużym skrócie, pomogę pani zrozumieć i zmienić postrzeganie traumy oraz związanych z nią reperkusji.

– Usunie pan to wspomnienie? – zapytała ironicznie.

– Niestety, to niemożliwe. – Lekarz potraktował jej słowa poważnie. – Wszystkie osoby, które trafiają do mnie z PTSD, chciałyby to zrobić. Musi się pani pogodzić z faktem, że traumatyczne wydarzenie zostanie z panią do końca życia, ale po terapii będzie jednym z wielu wspomnień, przeżytych sytuacji, i co najważniejsze, sama wzmianka o nim w żaden sposób nie sprawi, że będzie je pani przeżywać w terażniejszości. Z czasem zaczniesz sobie pani radzić ze strachem, lękiem. A dzięki wielokrotnemu opowiadaniu o traumie nauczy się pani kontrolować swoje myśli i emocje.

– Tylko to można zrobić?

– Jest coś jeszcze – dodał po krótkim wahaniu. – Ostatnie badania pokazują, że duży wpływ na poprawę leczenia mogą mieć alternatywne metody, takie jak dogoterapia.

Lena kojarzyła, że istnieją w Polsce miejsca, gdzie odbywają się zajęcia z hipoterapii, sprawdzające się zwłaszcza przy dzieciach, ale o dogoterapii nie słyszała. Był taki czas, kiedy myślała o kupnie psa. Wyrosła otoczona zwierzakami, ale kiedy już jako dorosła chciała wprowadzić ten plan w życie, okazało się, że jej mąż ma uczulenie. Teraz pierwszy raz od rozvodu pomyślała, że obecnie nic nie stoi na przeszkodzie.

– Psy przechodzą w tym celu specjalne szkolenia?

– Tak. Trwa zwykle trzy lata, ale przynosi efekty. Taki zwierzak jest doskonałym kompanem, słucha, nie krytykuje, wyczuwa spadek nastroju człowieka, a nawet nadchodzący atak paniki.

– I co wtedy robi?

– Odwraca uwagę, skupiając ją na sobie. Dlatego ubolewam, że w Polsce dogoterapia nie jest tak popularna, jak na przykład w Stanach czy w Holandii. – Widząc, jak Zamojska zareagowała na jego ostatnie słowa, dodał: – Ale moim zdaniem posiadanie jakiegokolwiek zwierzaka jest bardzo korzystne. Nie musi być rasowy. Osoba cierpiąca na PTSD wycofuje się powoli, lecz systematycznie, z życia publicznego, a zwierzak w pewien sposób zmusza do kontaktów. Oprócz tego pomaga uwolnić nagromadzone emocje.

Lena zastanawiała się nad słowami lekarza.

– Wydaje się to takie proste – rzuciła, gdy nie dostrzegła w nich fałszu.

Doktor pochylił się w jej stronę, opierając łokcie na kolanach.

– Ale nie jest, niestety – powiedział szczerze. – I skłamałbym, gdybym twierdził inaczej, lecz im szybciej rozpocznie pani terapię, tym łatwiej poradzi sobie pani z tym problemem. Tak jak już wspomniałem, dobra jest sama pani obecność w moim gabinecie i chęć podjęcia leczenia.

Przez minutę siedzieli w ciszy, którą w końcu przerwał Doktor:

– Czy ma pani jakieś pytania?

Lena zastanawiała się nad tym, co dotychczas usłyszała. W końcu skupiła na nim wzrok, a potem powoli pokręciła głową.

– Nie w tym momencie.

– Mamy jeszcze trochę czasu – powiedział, spojrzawszy dyskretnie na zegarek. – Dlatego chciałbym, żeby opowiedziała mi pani coś więcej o tym traumatycznym wydarzeniu. – Usiadł wygodniej w fotelu, kładąc dłonie na podłokietnikach. Jego postawa zdradzała, że czuje się swobodnie.

Przeciwnie niż Lena, która sprawiała wrażenie załęcznionej. Zwróciła uwagę na to, jaką pozycję przyjęło jej ciało podczas rozmowy. Komunikat był jasny nawet dla niewprawnego obserwatora, a tym bardziej dla osoby zajmującej się leczeniem zaburzeń psychicznych.

– Parę miesięcy temu miałam wypadek samochodowy – zaczęła, starając się mówić spokojnie, jakby streszczała komuś historię niczym świadek, a nie

uczestnik. – To ja prowadziłam.

Doktor nie zaczął jeszcze zgłębiać tematu, lecz Lenie tyle wystarczyło, by poczucie dyskomfortu się nasiliło. Objęła się dłońmi tak mocno, że czuła uderzenia serca. Właśnie rozumiała, że przeliczyła się, myśląc, że to, co zaczęli podczas rozmowy telefonicznej, będzie w stanie kontynuować w trakcie spotkania. Nie uwzględniła tego, że z powodu poruszonego wątku stanie się słaba, odsłonięta. Miała nadzieję, że na czas spotkania będzie w stanie odsunąć od siebie emocje. Teraz dotarło do niej, że nie jest w stanie porozmawiać z lekarzem o sprawie Weroniki. Jak mogła poruszyć tę kwestię, kiedy nie potrafiła opowiedzieć o własnym problemie? Postanowiła, że do końca będzie grać rolę pacjentki.

– Wspominała pani, że ktoś zginął. Czy był to ktoś bliski? – dopytywał Doktor. – Przyjaciel, ktoś z rodziny?

Za odpowiedź posłużyło energiczne pokręcenie głową.

– Gdzie do tego doszło?

– Za Krakowem – podjęła wątek. – Była zima. Wpadłam w poślizg i wylądowałam na jeziorze. Na szczęście wtedy było one skute lodem.

Lekarz ściągnął okulary i przetarł je ściereczką wyciągniętą z etui. Czyszcząc szkła, spojrzał na Lenę. Musiał mocno mrużyć oczy, by ją widzieć.

– Dobrze – powiedział bardziej do siebie. – Mówiła pani o koszmarach. Proszę je opisać.

Lena odchrząknęła. Tym razem nie potrzebowała kolejnej zachęty. Dotarła do takiego punktu, że musiała to z siebie wyrzucić.

– Tak jak już wspomniałam, zaczyna się w ten sam sposób, znowu przeżywam zdarzenia sprzed sześciu miesięcy. Tylko że wtedy miałam szczęście i zdążyłam się wydostać, zanim samochód poszedł na dno. A w koszmarze na końcu... tonę. I tak jest za każdym razem. Próbuję się wydostać, lecz nie jestem w stanie. – Ponownie odchrząknęła, lecz z jej gardła dobiegł jedynie chrapliwy dźwięk. Nawet teraz wystarczyło, by tylko o tym wspomniała, a czuła, jak napinają się mięśnie przełyku. Brakowało jej tchu.

Doktor wpatrywał się w jej twarz z mieszaniną niepokoju i czegoś jeszcze.

– To było pół roku temu? – upewnił się.

– Tak. – Lena nienawidziła tego, co się z nią działo. Nienawidziła tej przeklętej słabości i ciała, które równie dobrze mogłoby należeć do kogoś innego, tak bardzo było jej obce.

Mężczyzna podniósł się z fotela i podszedł do swojego biurka. Lena wykorzystwała ten moment i wyjęła z torebki butelkę wody mineralnej. Opróżniła ją niemal do połowy. Po chwili, kiedy poczuła, że lepiej panuje nad sobą, mogła mówić dalej.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to...

– Wiedziałem, że skądś znam tę historię! – Doktor wszedł jej w słowo.

W dłoniach trzymał rozłożoną gazetę, w taki sposób, że Lena dostrzegła to, co znajdowało się na pierwszej stronie. Wiedziała, jaką datą opatrzone jest to wydanie. Artykuł pojawił się następnego dnia po całym zajściu, a wielkie litery nagłówka informowały o tragicznym wypadku na jeziorze, a także o jej udziale w całej sprawie. Nazwano ją piątą ofiarą i tego określenia używano wymiennie z jej nazwiskiem.

Gdy mężczyzna zatrzymał się przed nią, spojrzała mu prosto w oczy. Dzisiaj pierwszy raz przekonała się, jak wygląda terapia, a teraz miała się także dowiedzieć, co to znaczy wkurwić psychiatrę.

– Co tu tak naprawdę robisz?!

ROZDZIAŁ 22

KIEDY ZAMOJSKA NIE ODPOWIEDZIAŁA, doktor podsunął jej gazetę przed twarz.

Nie musiała spoglądać na treść. Doskonale pamiętała zamieszczoną w dzienniku relację. Nie było tam nic odnoszącego się do terroru i przerażenia, jakie się z tym wiązały, jedynie suche fakty. Tuż poniżej obszernego materiału wstawiono czarno-białe zdjęcie. Ukazywało jezioro rozświetlone reflektorami, przypominające boisko tuż przed wejściem zawodników, a także policjantów i nurków kręcących się na poboczu. Jeśli ktoś się dobrze przypatrzył, to pomiędzy nimi mógł rozpoznać kobietę sylwetką stojącą prawie nad samym brzegiem jeziora, owiniętą kocem niczym kokonem. Twarze były nie do rozróżnienia, gdyż zdjęcie zrobiono z dużej odległości; jakość była kiepska, a sama fotografia ziarnista.

– Co tu tak naprawdę robisz?! Jesteś dziennikarką? – Doktor powtórzył pytanie kolejny raz. Ostatnie słowo wypłynęło z niesmakiem, jakby świadomość przebywania w jednym pomieszczeniu z przedstawicielem czwartej władzy była gorsza niż choroba weneryczna.

Lena nie doceniła lekarza. Przez to, że sama starała się wyrzucić z pamięci tamte chwile, straciła kontrolę. Odsloniła się zbyt mocno.

– Nie współpracuję z żadną gazetą – odezwała się, patrząc mu prosto w oczy.
– Powiedziałam prawdę, jeśli chodzi o moją traumę. To mnie porwał Kamfora. Wzmianka w gazecie, którą pan trzyma w dłoni, jest właśnie o mnie. Może pan sprawdzić nazwisko. – Po jej słowach zapadła cisza.

– I mam niby uwierzyć, że przyszła pani na terapię akurat do mnie? – zapytał. Ton jego głosu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, co o tym myśli.

Lena wytrzymała jego spojrzenie. Kiedy w końcu się odezwała, zdecydowała się powiedzieć prawdę. To było najlepsze rozwiązanie.

– Tak naprawdę przyszedłam, bo chciałam porozmawiać na temat pańskiej pacjentki, Weroniki Marszałkowskiej. Wiem, że chodziła do pana.

Mężczyzna obruszył się.

– Nie zdradzę pani szczegółów terapii! – zaprotestował. – Obowiązuje mnie tajemnica lekarska!

Lena zacisnęła palce na podłokietnikach. Bała się, że ich rozmowa będzie miała podobny przebieg, co wcześniejsza z Kaletnikiem.

– Nie chodzi mi o szczegóły – powiedziała szybko, licząc na to, że przekona lekarza. – I nie proszę, by złamał pan tajemnicę lekarską. Brałam udział w znalezieniu Kamfory, dosłownie byłam przynętą, i do tej pory nie mam pewnych informacji, dzięki którym mogłabym zrozumieć, o co tak naprawdę chodziło. – Milczenie z jego strony potraktowała jak zgodę, by mówić dalej. – Wiem, że po śmierci siostry Marszałkowski szukał jej substytutu w innych kobietach, a te, które się nie sprawdziły, zabijał. Po powrocie do Krakowa, gdy ponownie zaczęłam mieć koszmary, pomyślałam, że jeśli dowiem się czegoś więcej o Weronice, dowiem się także czegoś na temat jej brata, ich zaburzonych relacji, i może dzięki temu sama uporam się z przeszłością.

Mężczyzna zagłębił się w fotelu. Na jego twarzy uwidoczniły się bruzdy, których jeszcze parę minut temu nie było. Wciąż milczał, ale Lena widziała jego wahanie. Najwyraźniej zastanawiał się, co może powiedzieć, nie naruszając zaufania, jakim obdarzyła go nieżyjąca już pacjentka.

– Wiem, że jej śmierć była iskrą, siłą napędową jego szaleństwa – podkreśliła.

Mężczyzna pokręcił głową. Złożył gazetę na pół i potem jeszcze raz, aż uzyskał niewielki prostokąt wielkości notesu.

– Myli się pani.

Lena zmarszczyła czoło i przesunęła się na koniec fotela, by zmniejszyć dystans. Nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech, dopóki się nie odezwała.

– W czym dokładnie?

– To nie jej śmierć była spiralą, lecz ona sama.

Lena otworzyła usta i ponownie je zamknęła.

– Przyznam, że trudno mi to zrozumieć – odparła w końcu.

– Nie tylko pani. – Westchnął. – Żeby móc w ogóle dociekać, próbować to rozgryźć, musi pani wiedzieć, że pomiędzy rodzeństwem istniała dziwna relacja. Miało to związek z okresem adolescencji. Marszałkowska miała pięć lat, a jej brat osiem, kiedy zmarła im matka i ich wychowaniem zajął się ojciec. Zmiana była ogromna, szczególnie że ojciec był dla nich prawie obcą osobą. Częściej na

wyjazdach niż w domu. Były wojskowy, z apodyktycznym zacięciem, dla którego przemoc fizyczna i wymyślne kary były tak samo oczywiste, jak dla innego rodzica pogłaskanie dziecka po głowie. Do tego dochodziły przeróżne szkolenia sprawnościowe.

– Zawsze taki był?

Minęło kilka długich sekund, nim Doktor odpowiedział:

– Ponoć zmienił się po śmierci żony. Ale osobiście uważam, że jako wojskowy przez cały czas mógł mieć to w sobie, tylko że wcześniej skłonność do dyscypliny się nie ujawniała, bo dziećmi zajmowała się głównie matka i to na niej spoczywał ciężar ich wychowania. – Skrzyżował ramiona na piersi. – A kiedy jej zabrakło, ojciec szkolił ich najlepiej, jak umiał. Twardą ręką, która była bardziej odpowiednia dla żołnierzy niż dzieci.

Lena milczała. Wiedziała, jak delikatna jest nić porozumienia z lekarzem, i nie chciała jej przerywać. Pierwszy raz słyszała te informacje.

– Początkowo uwaga ojca skoncentrowała się głównie na synu, ale z czasem, kiedy Marszałkowska miała siedem lat, ojciec zaczął szkolić również ją. A to z kolei kończyło się karami i przemocą, gdy nie była wystarczająco dobra. I myślę, że ten moment był kluczowy dla dalszej relacji między rodzeństwem, bo wtedy Marszałkowski zaczął brać jej kary na siebie. Sam fakt, że siostra była słabsza, młodsza... Do tego doszła jeszcze obietnica, że o nią zadba. W umyśle młodego chłopaka zobowiązanie złożone umierającej matce stało się czymś najważniejszym. Ostatnim wspomnieniem. Czuł się odpowiedzialny za siostrę, a ojcu było wszystko jedno, kogo karze, byle ktoś przyjął rany.

Doktor zamilkł, jakby sam potrzebował chwili na głębszy wdech. Złożył przed sobą dłonie i dopiero wtedy dodał:

– Piotr Marszałkowski nie umiał inaczej jej chronić. Coś za coś.

Lena pokręciła głową. Zupełnie tego nie pojmowała.

– Nikt tego nie widział? – spytała. – Przecież bicie zostawia ślady.

– Wszystko zależy od sposobu. Można uderzać tak, by nie zostawić śladów na skórze. Można się znęcać i blizny pozostaną jedynie na psychice, niewidoczne. Wiem, że czasami ojciec przestawał nad sobą panować, ponosiło go. Marszałkowską najgorsze ominęło, ale jej brat wielokrotnie dostawał paskiem po plecach i zostały mu po tym liczne blizny. Niektóre z nich były na tyle głębokie, że zachowały nawet kształt sprzączki od paska.

Lena się wzdrygnęła. Wbrew sobie zaczęła współczuć Kamforze. Nie chcąc, by obraz okaleczonego chłopaka został jej w głowie, wróciła do głównego tematu. Nie mogła zapomnieć, czego dopuścił się Marszałkowski. On także wymierzał ból i przez niego cierpiały inne osoby.

– To z tego powodu zaczął mieć jakieś zaburzenia? – Rozluźniła się odrobinę. Wyglądało na to, że lekarz nie zamierzał się jej pozbyć.

– Tak, to był początek. Piotr przyjmował jej razy, by ją chronić. Z czasem, by lepiej sobie z tym radzić, wyrobił sobie inny obraz Weroniki. Idealizował ją. W końcu musiała być wyjątkowa, bo to dla niej cierpiał. A jego cierpienie coraz mocniej łączyło go z siostrą. Stała się jego obsesją, która, paradoksalnie, pomagała mu znosić znęcanie się nad nim. A potem pojawił się popęd seksualny.

Lena szerzej otworzyła oczy.

– Molestował ją? – zapytała, zanim zdała sobie sprawę, że wkracza na grząski grunt. Co innego mówić o zabójcy, a co innego poruszać newralgiczne szczegóły z życia pacjentki.

– Nie, na szczęście do tego nie doszło.

Lena powoli wypuściła powietrze.

– Ale... – zawiesił na moment głos – była w sferze jego pragnień. Podejrzewam, że w całym jego życiu Marszałkowska była jedyną kobietą, względem której odczuwał takie emocje. Jego zachowanie było doskonałym przykładem sublimacji popędu seksualnego na siostrę.

Lena ściągnęła brwi. Pojęcie sublimacji kojarzyła z fizyki. Wiązało się z przejściem ze stanu stałego w gazowy.

– To znaczy? – spytała. Chciała mieć pewność, że dobrze wszystko zrozumie.

– Popęd do innych kobiet zamienił w jeden i skierował na siostrę. Uwielbienie z pożądaniem... Bardzo niebezpieczna mieszanka.

Lena nie spodziewała się takich informacji.

– Czy kiedyś próbował go pan zdiagnozować?

– Nie w bezpośredni sposób – odparł Doktor. – Do tego potrzebowałbym kilku sesji, szczególnie że jego przypadek był bardzo skomplikowany. Ale przyznam, że z zawodowej ciekawości zastanawiałem się nad naturą jego problemu. – Lena najchętniej by go pospieszyła, ale czekała, aż lekarz sam zacznie mówić. – Psychiatrią zajmuję się prawie od trzydziestu lat i nadal nie odnalazłem właściwej jednostki chorobowej, która tłumaczyłaby takie zachowanie, stanowiła pewnego rodzaju wyjaśnienie tego, czego się dopuścił.

– Może pan powiedzieć coś więcej?

– Marszałkowski cierpiał na poważne zaburzenia osobowości na tle emocjonalnym. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że miał cechy narcystyczne oraz stalkera z rysem psychopatycznym.

Lena mniej więcej orientowała się, co oznaczają te terminy. Skupienie tego typu cech u jednej osoby mogło prowadzić do katastrofy – o czym kilka miesięcy temu przekonała się na własnej skórze. Wiedziała, że Kamfora nie był psychopatą w pełnym znaczeniu tego słowa, choć pewne rzeczy mogły na to wskazywać. W przeciwnym razie nie byłaby w stanie interpretować mowy jego ciała.

Doktor kontynuował wątek:

– Co ciekawe, te cechy psychopatyczne pożądane są u osób na stanowiskach, na których szczególnie istotne jest zachowanie zimnej krwi. Na przykład u chirurgów lub pilotów. U Marszałkowskiego pojawiły się właśnie w okresie adolescencji – wyjaśnił. – Zwykle czynnikiem powodującym zaburzenia osobowości jest doznana w dzieciństwie przemoc. Z tego też względu wykształcił się u niego wyższy próg wrażliwości na bodźce, emocje.

– Wyższy? – upewniła się. – A nie niższy?

– Nie, w takim przypadku mówimy o wyższym progu. Paradoksalnie wyższy próg oznacza obniżoną wrażliwość emocjonalną. Marszałkowski wytworzył w sobie pewnego rodzaju pancerz.

– I to, co u Marszałkowskiego spowodowało chęć ochrony, w późniejszym czasie przekształciło się w potrzebę kontroli – wydedukowała Lena.

Doktor przytaknął.

– Zna pani to powiedzenie, że im bardziej się kogoś odpycha, tym mocniej ta osoba napiera?

– Tak. – Lena wiedziała, że był to jeden z częstszych powodów kryzysu w związkach, w których relacje nie należały do zdrowych.

– I tak było w ich przypadku. Marszałkowski przez cały czas chciał być obecny w życiu siostry, a jakkolwiek próbę odcięcia odbierał jako afront. Nawet gdy Weronika osiągnęła pełnoletniość i ojciec jej już nie zagrażał, brat cały czas chciał ją ochraniać. – Przy ostatnim słowie lekarz zrobił znak cudzysłowu. – Przed kim? Nie wiem. Pewnie przed całym światem. W każdym razie ciągle kręcił się wokół niej. Był zaborczy. Uroił sobie, że do siebie należą, i nic nie mogło odwieść go od tego przekonania. Weronika stała się sensem jego życia.

Lekarz zamilkł, a Lena nagle nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wcześniej odczuwała niedosyt, gdyż prawie nic nie wiedziała o przeszłości Marszałkowskiego ani o tym, co doprowadziło do tego, że stał się mordercą. Teraz zaś, gdy poznała szczegóły z jego życia, czuła się przytłoczona ich nadmiarem.

– Proszę sobie wyobrazić – kontynuował Doktor, uważnie obserwując Zamojską – że próbuje pani ułożyć sobie życie, ale cały czas ktoś czai się obok. Obserwuje.

Lena wzdrygnęła się. Wyobrażenie sobie takiej sytuacji akurat nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Nawiedzały ją złe sny, ale to było z pewnością nic w porównaniu z tym, co przechodziła Weronika. Najwyraźniej życie tamtej kobiety było jednym wielkim koszmarem, z którego nie mogła się wybudzić.

– Czyli Marszałkowski nie miał nikogo bliskiego poza siostrą?

– Nie. Całe jego życie kręciło się wokół Weroniki.

– I gdy potem jej zabrakło, nie mógł poradzić sobie ze stratą – dopowiedziała Lena. – Ale żeby od razu porywać kobiety podobne do zmarłej siostry i zabijać, kiedy okażą się nieodpowiednie?

Czuła, jak budzą się w niej stare emocje. Nawarstwiały się przez ostatnie miesiące i teraz przypominały wodę napierającą na tamę. Ciągle kotłowały się w jej wnętrzu.

– Proszę pamiętać o jego dzieciństwie. – Powrócił do wcześniejszego tematu. – Matka zmarła w okresie, w którym potrzebował jej najbardziej, i było to dla niego traumatyczne przeżycie. A potem, trzydzieści lat później, ponownie stracił najważniejszą osobę w jego życiu. Podejrzewam, że wywołało to w nim gniew; kolejny raz spotkała go niesprawiedliwość. Dlatego szukał odpowiedniej kobiety, by zapełniła tę lukę, bo jemu się należało. – Ostatnie słowo wypowiedział wyraźniej. – Marszałkowski sam dał sobie prawo, w ten sposób usprawiedliwiał swoje czyny. Zwłaszcza w tym postępowaniu są widoczne cechy narcystyczne. Przewrażliwiony na swoim punkcie, z niską samooceną będącą pamiątką z okresu dojrzewania, uważał, że po tym wszystkim, czego doznał w życiu, miał prawo wymagać. To, co robił, miało potwierdzać jego pewnego rodzaju wyjątkowość. A w połączeniu z cechami stalkera, czyli lękiem przed stratą i niezdrowym przywiązaniem do siostry, dało to taki wynik.

Wszystko, co do tej pory usłyszała Zamojska, wreszcie nakreśliło szerszy obraz, na którym tak jej zależało. Nadal potrzebowała jednak kilku wyjaśnień.

– No dobrze. Marszałkowski cierpiał w dzieciństwie i poznał na własnej skórze różne oblicza przemocy. Więc dlaczego zabijał te kobiety w brutalny sposób, kiedy okazywało się, że żadna z nich nie jest tą, której szukał? Można by pomyśleć, że znając to z autopsji – Lena posłużyła się wytartym frazesem – postąpi inaczej.

Doktór wyciągnął ściereczkę z kieszeni, zdjął okulary i ponownie zaczął je przecierać. Nie był obojętny na wspomnienie starej sprawy. Lena mogła się założyć, że na szklach nie było żadnego pyłku ani plamki. Chodziło tylko o zajęcie czymś rąk.

– Istnieje bardzo proste wyjaśnienie – odpowiedział. – I przedstawię to pani na innym przykładzie. – Nałożył okulary na nos. – Dziecko pochodzące z domu, gdzie alkohol stoi na stole przez większość dnia i gdzie ojciec bije matkę, dorastając, żyje w przekonaniu, że nigdy nie zachowa się tak jak on. Nie będzie biło słabszych, będzie uważało z alkoholem. Z takiego dziecka wyrasta dorosły z bagażem przeżyć. I gdy taka osoba znajdzie się w stresowej sytuacji i jest pod wpływem alkoholu, może się zdarzyć, że sięgnie po przemoc i uderzy swoją żonę, dziecko. Bliską osobę, której obiecywała, że nigdy jej nie zrani.

– Ale dlaczego tak się dzieje?

– Nazywa się to modelowaniem zachowania. Zarówno osoba pochodząca z rodziny alkoholików, jak i ktoś taki jak Marszałkowski sięgną po znany im wzorzec. W przypadku Marszałkowskiego taką stresową sytuacją był fakt, że poszukiwania siostry w innych kobietach kończyły się fiaskiem. Wtedy też

zastosował jedyny znany mu wzorzec, podpatrzony w rodzinie. Powielił to, co robił jego ojciec.

Lena jeszcze przez chwilę siedziała w ciszy. Aż strach było pomyśleć, jak niewłaściwe wychowanie odbijało się na dzieciach.

Wiedziała, że często zachodziła sprzeczność pomiędzy tym, co rodzice mówią, a tym, co robią. Jaki stosunek mają do siebie. Dorośli zwykle zapominają, że dzieci są doskonałymi obserwatorami, lepszymi niż oni sami. Czujne i wrażliwe na bodźce niewerbalne, gdyż same jeszcze niedawno porozumiewały się z otoczeniem w taki sposób, bez użycia słów, z łatwością dostrzegają fałsz czy rozbieżności w mowie i zachowaniu. Widzą to, co rodzice chcą ukryć.

W przypadku Marszałkowskiego na zaburzenia rozwoju nałożyły się kolejne problemy. Uzależnienie od siostry było tak silne, że pchnęło go do czegoś, co dla większości ludzi jest niewyobrażalne, a dla niego było pewnie jedynym wyjściem. Lena nie starała się go usprawiedliwić. Z całą pewnością Marszałkowski był świadomy swoich czynów. Znając pewne szczegóły z jego życia, widziała punkty, które doprowadziły do trwałych zmian w jego psychice.

– Wiem, że Weronika cierpiała na depresję. – Temat Kamfory był wyczerpany. – I miała za sobą dwie nieudane próby samobójcze. Czy ta relacja z bratem i obciążania z przeszłości przyczyniły się do tego?

Doktor szybko pokiwał głową. Na to pytanie od dawna znał odpowiedź.

– Na pewno, ciężko jednak określić dokładnie, w jakim stopniu. Śmierć matki, brutalny ojciec i zaborczy brat – wymieniał. – To bardziej złożony problem i nie będziemy się w niego zagłębiać.

Lena przytaknęła. To lekarz wyznaczał granice rozmowy. Chciała o coś jeszcze zapytać, ale ją ubiegł.

– Przykro mi – odezwał się, ucinając wątek. – Nic więcej nie mogę pani zdradzić.

Lena nie naciskała. Doktor i tak powiedział jej więcej, niż się spodziewała. Weronika miała szczęście, że pod koniec życia trafiła na dobrego terapeutę.

– Oczywiście – rzuciła jedynie.

Podniosła się z fotela i sięgnęła do torebki po portfel. Spotkanie przeciągnęło się prawie o godzinę i chciała zapłacić za cały ten czas.

Doktor podniósł rękę.

– Nie trzeba. Mam nadzieję, że pani pomogłem.

Zastanowiła się, czy faktycznie tak było.

– Dziękuję. Sądzę, że tak. – To była szczerza odpowiedź.

– Ale proszę pamiętać, że to nie zastąpi pani terapii. Z PTSD sama nie da sobie pani rady.

Lena skinęła głową. Zagórski mówił to samo.

– Powoli zaczynam to rozumieć.

Schowała portfel, założyła torebkę na ramię i ruszyła do wyjścia. Gdy była w połowie drogi, zatrzymała się i odwróciła w stronę mężczyzny.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedziała, przyglądając się jego twarzy. – Kiedy w mojej opowieści rozpoznał pan historię sprzed pół roku, pana reakcja była dość... gwałtowna. Dlaczego?

Zakłopotany psychiatra pokręcił głową i schował ręce do kieszeni.

– Przepraszam! Faktycznie zareagowałem nieodpowiednio. Ostatnio w mediach pojawiła się informacja o książce na temat Kamfory. Takie historie widocznie dobrze się sprzedają i myślałem, że przyszła pani do mnie w tej sprawie. To pewnie tylko kwestia czasu, nim ktoś dotrze do akt sprawy i się tu zjawi.

Lena zawahała się. Coś się nie zgadzało. Doktor mówił z przekonaniem, a przecież gdyby nie Aśka, nigdy by tu nie trafiła.

– Wie pan co – zaczęła powoli, obserwując jego twarz. – Miałam wgląd w papiery dotyczące samobójstwa i nie natknęłam się na pana nazwisko. O pana istnieniu dowiedziałam się przez przypadek.

Mężczyzna zdziwił się. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami wyglądała jak głęboki rów.

– To niemożliwe! – powiedział bardziej do siebie.

– Dlaczego?

– Po wypadku pani Marszałkowskiej poszedłem na policję i rozmawiałem z osobą zajmującą się jej sprawą. Ktoś nawet spisał moje zeznania. – Widząc zaskoczoną minę Leny, dodał: – Myślałem, że pani wie...

– Wiem co? – spytała, czując, że coś jej umyka.

Doktor podszedł bliżej.

– Weronika Marszałkowska nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana!

ROZDZIAŁ 23

JAKUB OBSERWOWAŁ, jak ostatni rodzice zbierają się do wyjścia i puszczając przodem syna, wychodzą z pokoju przesłuchań. Okazało się, że główniazeria nie miała nic wspólnego z zabójstwem, chłopcy po prostu znaleźli się w złym miejscu i o złym czasie. Najedli się strachu, ale rodzicom też się dostało, że nie pilnują dzieciaków. Jedyna dobra rzecz, jaka wynikła z tej sytuacji, pomyślał i podniósł się z krzesła. Teraz poświęcą im więcej uwagi. Przynajmniej przez jakiś czas.

Największy problem mieli rodzice najstarszego z paczki. Zagórski już od samego początku zwrócił na niego uwagę, a po przeszukaniu znaleziono przy nim trawkę. Dla dwóch pozostałych skończyło się jedynie na ostrzeżeniu. Jeśli oceniać po tym, jak wyglądali, wychodząc z sali przesłuchań, zapamiętają tę lekcję do końca życia.

Jakub zamknął za sobą drzwi i wyszedł na korytarz, a potem ruszył w stronę wyjścia. Dochodziła szesnasta i autopsja zapewne już trwała. Miał nadzieję, że rozpoczęte o dziesiątej przesłuchanie skończą do czternastej. Przedłużało się, dlatego Wroński pojechał na Grzegórzecką.

Kiedy Zagórski przekraczał próg prosektorium, wskazówki zegara umieszczonego na ścianie wskazywały szesnastą dwanaście.

– Przepraszam za spóźnienie.

Kreuz nie podniósł głowy. Z dłońmi zagłębionymi w brzuchu denata wyglądał, jakby przesiewał kruszec przez sito w poszukiwaniu złota. Tym razem pracował sam. Asystent pewnie poszedł już do domu. Patolog też pracował zwykle do czternastej i najwyraźniej został po godzinach, by przeprowadzić sekcję.

Położył żołądek na stole i dopiero wtedy odwrócił się i spojrzął na

Zagórskiego.

– Miło, że się w ogóle pojawiłeś. – Wyrzutu w jego głosie nie można było pomylić z niczym innym. – Z tego tutaj – skalpelem pokazał za siebie – w ogóle nie ma pożytku.

Jakub spojrział na zgarbione plecy Wrońskiego, którego wiele kosztowała walka z własnymi ograniczeniami. Nawet jeśli słyszał zaczepki lekarza, nie zwracał na nie uwagi.

Zagórski nie skomentował stanu kolegi, tylko zamknął za sobą drzwi. Dopiero wtedy dostrzegł trzecią osobę, zaraz po prawej stronie. Prokurator Węgrowski z założonymi rękami przyglądał się wyjętym organom, opierając się o szafki. O dziwo, radził sobie lepiej, niż Zagórski mógł podejrzewać. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin prokurator zaskoczył go już dwa razy. A dzień się jeszcze nie kończył.

W pomieszczeniu panowała specyficzna atmosfera, pewien rodzaj napięcia mogący równie dobrze pochodzić od zebranych, jak i wiązać się z wykonywaną pracą. Nie było to nic niezwykłego, ale Jakub nadal nie mógł się do tego przyzwyczaić.

Skinął głową Węgrowskiemu i w milczeniu podszedł do stołu sekcyjnego. Po stopniu zaawansowania prac wywnioskował, że autopsja zaczęła się punktualnie. Organy już zważono i opisano, a ciało wyglądało jak pusta skorupa ze skórą przypominającą woskową świeczkę.

Ciało denata zmieniło się, odkąd widział je podczas pierwszych oględzin kilkanaście godzin temu. Po wymyciu zwłok ujawniły się niewielkie, liczne nacięcia, zwłaszcza w tych miejscach, które były wystawione na kontakt z budowlanym żwirem. Na prawej nodze Zagórski zauważył tatuaż zaczynający się w okolicy kolana, kończący się tuż nad kostką.

Po chwili przesunął wzrokiem po reszcie ciała. Najgorzej wyglądała głowa mężczyzny, a raczej to, co z niej zostało. Uszkodzenia były tak ogromne, że komisarz już teraz wiedział, że nie będzie możliwe zrobienie portretu, a tym samym próba identyfikacji po rysach twarzy.

Silne uderzenie sprawiło, że nos zagłębił się w czaszce. Kolejne musiało paść z boku, łamiąc i przemieszczając kości policzkowe. Kreuz także dołożył coś od siebie, zapewne zaczynając badanie właśnie od tej części ciała.

Gdy pominąć powyższe, należało uznać, że ciało znajdowało się w dość dobrym stanie.

Jakub otworzył notes.

– Co do tej pory udało się ustalić?

Kreuz odłożył skalpel, ściągnął rękawiczki, a potem obszedł stół i zatrzymał się przy wadze. Obok niej stał wysłużony kubek; od częstego mycia porcelana wyglądała gorzej niż męski kibel na komendzie. Popękana, z naciekami

niewiadomego pochodzenia.

Zagórski odwrócił wzrok, gdy medyk podniósł naczynie do ust.

– Nie za wiele – odparł Kreuz, upijając łyk kawy. – Nie mam wątpliwości, że sprawcą jest ta sama osoba, która zabiła twoją ofiarę. Prześwietlenie pokazało identyczne uszkodzenie na łopatce, z jednym wyjątkiem. – Zawiesił na moment głos. – Ten chłopak się bronił.

Jakub podszedł do stolika znajdującego się obok stołu sekcyjnego i z kartonowego opakowania wyciągnął parę lateksowych rękawiczek. Następnie zbliżył się do ciała i podniósł dłoń zmarłego, zwracając szczególną uwagę na wygląd jego palców i stan paznokci.

Kreuz ponownie zajął miejsce przy stole.

– Tam nic nie znalazłem – rzucił po chwili, obserwując komisarza. – Ale spójrz na siniaki na ramionach.

Palcem wskazał ciemne wybroczyny zbliżone wyglądem do koloru plam opadowych.

– Sprawca nie docenił siły tego młodego człowieka – kontynuował patolog – albo przecenił swoje. W każdym razie nie poszło mu tak sprawnie, jak wcześniej.

Zagórski pokiwał głową. Kiedy na stole sekcyjnym miało się do czynienia z ofiarą morderstwa, taka informacja przynosiła satysfakcję. Niewielką, ale zawsze.

– Zginął od ciosu w głowę? – Spojrzał na medyka.

– Na to wskazują uszkodzenia mózgu. Na szczęście dla niego śmierć nastąpiła natychmiast.

– A jakieś inne rany?

– Obejrzałem każdy centymetr jego ciała i oprócz tych dwóch uderzeń w okolicę łopatki i głowę niczego nie znalazłem, reszta to tylko skaleczenia powstałe już po śmierci.

– A co z czasem zgonu? – Z powodu spóźnienia Jakub nie słyszał wcześniejszych wniosków i teraz musiał wszystko nadrabiać.

– Mogę stwierdzić, że minęło więcej niż siedem godzin do momentu znalezienia ciała. Stężenie w przełamanym łokciu nie powróciło. Ale po badaniu plam opadowych wiem też – patolog mówił dalej jak ktoś, kto trzyma jeszcze coś w zanadrzu – że nie żył mniej niż dwanaście godzin.

– Więcej niż siedem i mniej niż dwanaście – powtórzył Zagórski i zapisał tę informację. – Trzydziestolatek? – Na tyle określił wiek mężczyzny.

– Młodszy. Tylko wygląda na starszego. Mogłem to ustalić dzięki stopniowi zrośnięcia szwów czaszkowych. – Widząc spojrzenie, jakim obrzucił go komisarz, wyjaśnił: – Istnieją trzy szwy, które dzielą czaszkę na cztery części, i każdy z nich zrasta się w różnym wieku. – Podszedł do tablicy, narysował rzut czaszki z góry i zaznaczył na nim szwy.

Zagórski podszedł bliżej. To samo zrobił Węgrowski. Obaj mężczyźni

przyglądali się rysunkowi. Największe łukowato wygięte linie przypominały kształtem odwrócone litery C, skierowane do siebie tyłem. Znajdowały się na końcach czaszki, a łączył je przebiegający między nimi szew zbliżony kształtem do odcinka prostej.

Patolog postukał pisakiem w środkowy szew.

– Stopień obliteracji przedostatniego odcinka szwu strzałkowego, który w tym przypadku wyniósł mniej niż pięćdziesiąt procent, wskazuje, że denat miał dwadzieścia do dwudziestu czterech lat.

– A gdyby był starszy? – Prokuratora zainteresował ten wątek.

– Wtedy ten szew byłby zrosnięty w większym stopniu niż teraz. Na pewno ponad połowę. Obliteracja tego odcinka postępuje z wiekiem.

Zagórski przytaknął. To tłumaczyło także, dlaczego głowa wyglądała gorzej niż wcześniej. Wnętrze było zasłonięte nawisem skóry idącym od czoła, wyglądającym jak przykrótka zasłonka.

Patolog podszedł do stołu i założył nowe rękawiczki.

– Chłopak był zdrowy. – Kreuz powrócił do głównego wątku. – Odżywiony.

– Czyli nie mieszkał na ulicy – stwierdził Jakub.

– Organy także w bardzo dobrym stanie. Jeśli oceniać po wyglądzie wątroby, nie nadużywał alkoholu. Nie dostrzegłem żadnych zmian, zbliznowaceń. Ładny narząd i szkoda, że się zmarnował.

Węgrowski parsknął.

– Przecież to młody gość! – odezwał się. Komentarz lekarza zabrzmiał niedorzecznie.

Patolog spojrział na niego. Pierwszy raz, odkąd Jakub wszedł do prosektorium, Kreuz zwrócił się bezpośrednio do prokuratora:

– Zdziwiłby się pan. Na moim stole widywałem już młodszych wyniszczonych zbyt szybkim tempem życia i używkami. Ten z całą pewnością nie chwycił się takich rzeczy.

Zagórski przesunął się na koniec stołu, a potem pochylił nad nogą z tatuażem. Przedstawiał on węża z szeroko rozdziawioną paszczą, jakby gotowego do ataku.

– Możesz powiedzieć coś o tatuażu? – spytał, nie podnosząc głowy.

– Dosyć stary i spartolony. Na pewno nie wykonał go specjalista. Widać nierówne brzegi, niedokładne wypełnienie. Jakość tuszu też była kiepska.

– Pewnie robił to po kosztach. – Tomasz miał w tym temacie największe doświadczenie. Dwa tatuaże na ramionach i jeden na plecach w tym pomieszczeniu robiły z niego specjalistę. – Może ktoś wziął mniej, bo się dopiero uprawiał. Dużo jest takich punktów, przeważnie u kogoś w domu. Jak ktoś nie ma kasy, a chce dziarę, to pójdzie w takie miejsce.

Jakub wyjął telefon, a potem zrobił zdjęcie.

– Więc pewnie nie ma co sprawdzać salonów tatuażu?

Wroński skrzywił się. Skupiony na rozmowie, podszedł bliżej stołu. Nadal dzieliły go od niego bezpieczne dwa metry, ale teraz nie musieli podnosić głosów, by do siebie mówić.

– Wątpię – odpowiedział po krótkim wahaniu. – Nawet jeśli zrobił to w salonie, to na pewno u kogoś, kto się dopiero uczył. Taka osoba tym bardziej nie przyzna się, że spierdoliła robotę.

Jakub wyprostował się i powrócił do przepytывania patologa.

– Jakies blizny?

Kreuz przysunął się bliżej i podniósł dłoń denata, ukazując szramę długą na co najmniej osiem centymetrów, zaczynając się od nasady kciuka i biegnącą w kierunku palców.

– Nic oprócz tego oparzenia na lewej dłoni. Chłopak był w doskonałej formie. Młody, zdrowy. Wielka szkoda, że spotkał go taki koniec – podsumował.

Zagórski odsunął się, by nie przeszkadzać patologowi podczas pracy. Zastanawiał się, co może łączyć te dwie ofiary. Przypadek czy plan? Jak na razie wszystko przemawiało za pierwszą hipotezą.

Przekartkował notes i znalazł fragment, którego szukał. Zapiski z pierwszej autopsji.

– Nasz wcześniejszy gość nie miał niczego w żołądku – przypomniał.

– Zaraz się przekonamy, co mamy tutaj.

Jakub obserwował, jak patolog rozcina organ przypominający z wyglądu surowe mięso. Smród był potworny. Odór częściowo strawionego jedzenia wymieszał się z gazami gnilnymi.

Na Kreuza to nie działało.

– Ulala! – zawołał po chwili z dziecięcym entuzjazmem.

Nawet znajdujący się pod stołem sekcyjnym pochłaniacz nie nadążał z oczyszczaniem powietrza. Przez pewien czas w pomieszczeniu dało się słyszeć tylko dyszenie Wrońskiego, który oddychał przez usta, byle tylko wytrwać do końca sekcji. Teraz liczyła się jedynie duma.

– Młody lubił sobie pojeść – dodał Kreuz, jakby nieświadomy smrodu.

Odwrócił się przez ramię i spojrzął na Tomasza.

– A tobie, Tomaszku, dopisuje już apetyt? – Kiedy jego zaczepka nie wywołała żadnej reakcji, wrócił do tematu: – Co my tu mamy? – mruzczał, grzebiąc w żołądku czymś, co przypominało sporej wielkości pęsetę.

Wroński wybrał sobie akurat ten moment, by spojrzeć w stronę medyka, i jeszcze zanim jego wzrok na dobre spoczął na ciemnej zawartości, zdążył tego pożałować. Mocne pieczenie w przelyku odżyło, gdy kwas podszedł mu do ust.

Kreuz wyczuł u Tomka chwilę słabości i rzucił mu wyzywające spojrzenie. Przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem, jakby przez ubranie próbowali

ocenić, który z nich ma większe jaja.

Zagórski miał już dość tego pokazu. Kreuz, zwykle zdystansowany, dzisiaj pozwalał sobie na personalne wycieczki, a słabość okazywana przez policjanta sprawiała mu niezdrową przyjemność.

– Wróćmy do pracy. – Smród trochę zelżał, ale Jakub także nie mógł się doczekać wyjścia na zewnątrz.

Jego głos przywrócił kruchą równowagę. Patolog zacisnął usta i spojrzał wymownie na Wrońskiego, jakby chcąc coś dodać. Ostatecznie zrezygnował, chociaż przyszło mu to z trudem.

Jakub przysunął się bliżej. Jego partner był bardziej zielony niż wcześniej, ale trzymał się prosto. Zresztą Węgrowski nie wyglądał dużo lepiej.

– O! A tutaj mamy coś ciekawego! Proszę spojrzeć – zachęcił medyk.

Tylko Zagórski posłuchał i tłumiąc niechęć, pochylił się nad treścią żołądka. Oczy zaczęły mu łzawić i nagle pomyślał, że ten smród może stać się ostatnim, jaki w ogóle będzie czuł. Przez chwilę nawet rozważał, czy nie jest za późno, by wysmarować sobie wewnątrz nosa jakąś maścią, o której wspominał kiedyś Kreuz. Zaraz jednak w ogóle zapomniał o tym pomysle. Zamrugał. Jeśli nie miał halucynacji, lekarz właśnie zrobił najbardziej odrażającą rzecz, jaką komisarz widział w swoim całym życiu.

Kreuz zgarnął odrobinę treści żołądka na niewielkie narzędzie przypominające z wyglądu łopatkę i podniósł ją do góry, zatrzymując na wysokości twarzy. A następnie przysunął ją pod nos i... powąchał.

Zagórski zacisnął zęby i starał się nie pokazać po sobie, ile kosztowało go oglądanie tego przedstawienia. Po chwili sam już nie wiedział, co było gorsze: patolog z węchem jak u psa czy też uśmiech Kreuza, gdy ten zwrócił się w jego stronę.

– Już wiem, co pomoże wam ustalić jego tożsamość – rzucił, a potem ponownie uniósł łopatkę.

Wyglądał, jakby miał zamiar zaraz wsadzić ją sobie do ust. Po ostatnich demonstracjach Jakub podejrzewał, że medyk był zdolny do różnych rzeczy.

– Niechże pan tego nie robi! – wrzasnął Węgrowski.

Kreuz uśmiechnął się. Momenty, podczas których robił największe wrażenie na zgromadzonych, najbardziej mu się podobały. Wykonując taką robotę, musiał sam sobie dostarczać rozrywki.

– Po czym dokładnie? – Zagórski wrócił do interesującego go wątku. Obserwował, jak medyk odkłada próbkę na stół i ściąga rękawiczki. Autopsja dobiegła końca.

– Po pierogach.

Jakub zmarszczył brwi i już miał się odezwać, ale ubiegł go Tomasz.

– Pierogach?

Patolog zachowywał się, jakby nie usłyszał pytania.

– Jak to może nam pomóc w identyfikacji, skoro większość krakowskich knajp ma w swojej ofercie pierogi?

Kreuz pokręcił głową.

– To nie są jakieś tam pierogi – zaprotestował – tylko z kaszą gryczaną, białym serem, skórką z cytryny i jeszcze jednym tajemniczym dodatkiem sprawiającym, że danie jest wyjątkowe. Bez znajomości przepisu? Nie do podrobienia!

Jakub spojrział na Tomka i Węgrowskiego, próbując ocenić, czy jedynie on ma problem ze zrozumieniem, czy lekarz majaczy. Wroński najwyraźniej też się pogubił. Tylko prokurator sprawiał wrażenie, że ma jakieś pojęcie, o co chodzi.

– Wiem, co mówię, sam próbowałem zrobić podobne – mówił dalej Kreuz. – I co najważniejsze, w całym Krakowie takie pierogi można zjeść tylko w jednym miejscu.

PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ mężczyźni wyszli z budynku i zatrzymali się przy bramie. Było po osiemnastej.

– Wiek by się zgadzał, to może być jakiś student, ale rok akademicki dopiero się rozpocznie, więc raczej nie ma co go szukać na uczelni – rzucił Węgrowski.

Wroński przytaknął. Po wyjściu z prosektorium odzyskał pewność siebie.

– I tak pewnie nic by to nie dało – odezwał się Jakub, sprawdzając coś na komórce. – Gość nie żyje od niespełna dwóch dni. Mało prawdopodobne, by po tak krótkim czasie ktoś się zorientował, że coś jest nie tak. Zwykle potrzeba tygodnia, by co bystrzejsi zaczęli się zastanawiać nad czyjąś nieobecnością. Poza tym nie mamy pewności, że to student. Najlepiej będzie podjechać do tego baru i popytać. Może tam ktoś go widział. Ten tatuaż jest na tyle duży i charakterystyczny, że zwraca uwagę. Ale zrobimy to dopiero jutro – dorzucił, podnosząc wzrok. – Sprawdziłem godziny, w jakich bar jest czynny, dzisiaj już nic nie załatwimy. Zamknęli o siedemnastej trzydzieści.

– A jutro? – zapytał Węgrowski.

– Od dziewiątej. Podjedziemy tam rano i popytamy.

Prokurator zastanawiał się przez chwilę i w końcu przytaknął, jakby to do niego należała decyzja. Taką manierę widzieli u niego nie pierwszy raz. Wcześniej nie interesował się sprawą, a teraz przypominał Zagórskiemu nadgorliwego ucznia.

– Dajcie mi znać, co ustaliliście – poprosił. Zabrzmiało to jak rozkaz. Potem odwrócił się i przeszedł przez bramę, kierując się w stronę Hali Targowej.

Jakub westchnął. Nie miał ochoty zawracać sobie nim głowy. Był zmęczony i jedyne, na co miał teraz ochotę, to zimne piwo. Wroński wyglądał, jakby i jemu się przydało.

– Chodźmy do baru – rzucił, klepnąwszy partnera w ramię. – Ja stawiam.

ROZDZIAŁ 24

LENA ZROBIŁA KROK W TYŁ i oceniła swoją pracę. Wykorzystała jedną ze ścian w sypialni jako substytut tablicy i przykleiła ostanie karteczki taśmą malarską.

Zaczęła to robić zaraz po pierwszej rozmowie z Aśką. Potem dokładała kolejne informacje w formie haseł, jakie do tej pory udało jej się zebrać, i teraz – zaczynając od lewej strony – można było prześledzić cały przebieg jej dochodzenia. Początkowo wszystkie szczegóły pasowały do samobójstwa: przeszłość Weroniki z jej nieudanymi próbami odebrania sobie życia, rekonstrukcja wypadku, brak śladów hamowania, zeznanie psychiatry. No i nagranie, które Weronika zostawiła bratu, będące chyba najważniejszym dowodem. Ale do niego Lena nie miała dostępu.

Czerwoną karteczką oznaczyła moment, kiedy pojawiły się pierwsze wątpliwości i zaczęła dostrzegać pewne niedociągnięcia w prowadzonym śledztwie, a także nowe informacje. Kluczowym wydarzeniem była rozmowa z Aśką, lecz to spotkanie z Doktorem zmieniło wszystko.

Lena usiadła na łóżku i pociągnęła łyk wina. Spojrzenie przesuwiała z jednej karteczki na drugą, próbując w tym wszystkim znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Bezskutecznie.

Weronika Marszałkowska przestała być jedynie nazwiskiem czy długim numerem sprawy. Dla niej była człowiekiem z własną historią, przeszłością – smutną, wręcz tragiczną. I nieważne, ile czasu Lena spędziłaby, wpatrując się w swoje zapiski, efekt byłby ciągle taki sam. Dosłownie stała pod ścianą, nie mogła zrobić kroku naprzód.

Od spotkania z terapeutą minęło kilka godzin, ale nadal pamiętała jego

słowa, jakby właśnie wypowiedział je prosto do jej ucha: Weronika nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

Spodziewała się, że spotkanie z lekarzem będzie miało zupełnie inny przebieg. Uzupełni pewne informacje z okresu dojrzewania Marszałkowskiej, może nawet Doktor wspomni coś o relacjach, jakie istniały pomiędzy rodzeństwem. Tymczasem jedno zdanie doprowadziło do przełomu. W życiu Weroniki pojawił się mężczyzna, z którym chciała ułożyć sobie życie. W innym miejscu, na tyle daleko, by zerwać kontakt z bratem.

Czy w takiej sytuacji planowałyby samobójstwo? Lenie trudno było w to uwierzyć, szczególnie że życie Marszałkowskiej zaczęło się w końcu układać. Doktor był podobnego zdania i uważał, że zabił ją brat, kiedy zorientował się, że siostra chce zerwać z nim kontakt. Marszałkowski nigdy nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Wolał jej śmierć niż przyzwolenie na życie z dala od niego, z kimś innym.

Spróbowała wyobrazić sobie możliwy scenariusz. Marszałkowski nie mógł się pogodzić z tym, że Weronika chciała być w normalnym związku. W jego umyśle siostra była mu winna swoją obecność. W końcu tyle wycierpiał przez wzgląd na nią. Jej postępowanie odebrał jako zdradę. Od dawna decydował o jej życiu – teraz zrobił to po raz ostatni.

Zamojska nie mogła jednak wykluczyć, że Weronika mogła mieć po prostu dość. Dość nieustannej walki z bratem. Z chorobą, która co jakiś czas pozwalała jej wieść normalne życie, by niedługo potem powrócić jak cholerny bumerang. Gdy więc jej stan psychiczny uległ poprawie, mogła zrozumieć, że próba odcięcia się od Piotra jest po prostu niemożliwa. Mając już dość tej nierównej walki, zdecydowała się zakończyć życie w wybranym momencie, kiedy nie była pod wpływem leków.

Depresja to podstępna suka, pomyślała Lena. Sporo przeczytała na temat tej choroby i wiedziała, jak trudna jest zarówno dla chorego, jak i otoczenia.

Po spotkaniu zastanawiała się też nad zachowaniem lekarza. Doktor, sugerując morderstwo, mógł próbować odwrócić uwagę od siebie, od swoich wyrzutów sumienia i ewentualnych zaniedbań, że nie zauważył nadchodzącego załamania. I dlatego doszukiwał się udziału osób trzecich.

Lena podejrzewała, że choć winił brata Marszałkowskiej, sam też musiał zarzucać sobie to i owo. W końcu Weronika była jego pacjentką, na pewno po jej śmierci wielokrotnie analizował ich sesje, po fackie starając się dostrzec coś, co mogło być zapowiedzią nadchodzącej tragedii.

Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy. Lena знаła osobę, którą dotknęło takie nieszczęście: śmierć kogoś bliskiego wywarła wpływ na jej dalsze życie. Tą osobą był jej pracodawca i mentor – Paul Ekman, który większość swojego życia poświęcił analizie komunikacji niewerbalnej i mikroekspresji. Gdy Ekman miał czternaście lat, u jego matki zdiagnozowano szereg zaburzeń psychicznych, które

doprowadziły ją do samobójstwa. To wydarzenie miało istotny wpływ na wybór jego ścieżki kariery.

Im częściej Lena o tym myślała, tym większe dręczyły ją wątpliwości. Choć miała przed sobą twarde dowody, nie mogła zapomnieć słów lekarza. O mężczyźnie, związku i próbie rozpoczęcia nowego etapu, gdzieś daleko. Z dala od brata. Pamiętała też zdjęcie i szczerą radość osoby, która w momencie, gdy je zrobiono, była w dobrym stanie psychicznym.

Kamfora był nieobliczalny i chory, co tworzyło bardzo niebezpieczną mieszankę. Dlatego to, że upozorował samobójstwo, było równie prawdopodobne jak inne możliwości.

Lena odetchnęła głęboko, wypuszczając przez usta powietrze tak energicznie, aż nadęły jej się policzki. Dobijała ją myśl, że może nigdy się nie dowiedzieć, jak było naprawdę. A przecież dotarła tak daleko! Wznowienie śledztwa było niemożliwe. Nikt o zdrowych zmysłach nie otworzyłby powtórnie sprawy, opierając się na jej wątpliwościach. Szczególnie że Lena nie posiadała żadnych dowodów, a te, którymi dysponowała policja, były niepodważalne i jednoznacznie wskazywały na samobójstwo.

Dopiła wino, a potem pozbierała dokumenty i ułożyła je w zgrabny stos. Schowała papiery do teczki i przeszła do salonu. W tej samej chwili rozległo się głośne pukanie.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Magda, to była pierwsza myśl. Ale to nie mogła być przyjaciółka, bo na ten wieczór miała już plany. Odłożyła na ławę pusty kieliszek i teczkę, a potem ruszyła do drzwi wejściowych.

Gdy zerknęła przez wizjer, na początku dostrzegła jedynie kępkę jasnych włosów, których zagęszczenie malało, by na czubku głowy odsłonić gołą skórę. Nie musiała spoglądać w twarz stojącego po drugiej stronie mężczyzny, by wiedzieć, kto ją odwiedził.

Szybko otworzyła dwa masywne zamki oraz dodatkową zasuwę i nacisnęła klamkę.

– Tato, co tu robisz?! – zapytała sekundę później, całując przybysza w gładki, pachnący wodą kolońską policzek.

– Cześć, mała! Wiesz, że dzwonek ci nie działa?

– A... tak. Muszę kupić nowy – wyjaśniła. Odpięła go od zasilania przed paroma dniami i zupełnie o nim zapomniała. – Byliśmy umówieni?

Sędzia Zamojski pokręcił głową i się uśmiechnął.

– To spontaniczne odwiedziny. – Wszedł do środka. – Byłem w okolicy i postanowiłem, że wpadnę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie, jestem sama. Zapraszam.

Lena wyciągnęła dłonie, by ściągnąć płaszcz z jego ramion. Ojciec zawsze dbał o swój wygląd. Dobrze pamiętała, że nawet wtedy, kiedy po ciężkim dniu

wracał do domu tak zmęczony, że nie miał siły mówić, wyglądał nienagannie. Tak samo było i dzisiaj. Miał na sobie ciepły wełniany płaszcz, wokół szyi zawiązał szalik. W zasadzie raczej tylko go zarzucił, tak luźno, że na pewno nie spełniał swojego podstawowego zadania.

Elegancja była elementem wychowania, które wpoił mu jego ojciec, a potem on przekazał to samo córce. Obecnie te nauki nie przydawały jej się w życiu.

Lena wiedziała, że te niby spontaniczne odwiedziny były jedynie pretekstem. Nie musiała czytać z jego twarzy, by wiedzieć, że powód był zupełnie inny. Odkąd wróciła do Krakowa, ojciec roztaczał nad nią parasol ochronny. Sama jeszcze nie potrafiła określić, czy taka relacja jej przeszkadza, czy wręcz przeciwnie. Na razie tylko ją bawiła – faktem było, że dzięki temu czuła się znacznie młodsza.

Kiedy przeszli do salonu, ojciec zatrzymał się pośrodku pokoju, z ciekawością rozglądając się po wnętrzu. Lena ruszyła do kuchni.

– Czego się napijesz? Kawy, herbaty? – Wyciągnęła z szafki dwa kubki.

Zza jej pleców dobiegło fuknięcie.

– Matki ze mną nie ma – rzucił ojciec konspiracyjnie, gdy spojrzała na niego.

– I nie wzgardzę szklaneczką czegoś mocniejszego. Taki ziąb na dworze – dodał usprawiedliwiająco.

Lena otworzyła kolejną szafkę i sprawdziła jej zawartość. Najchętniej podałaby mu bourbona, którego tak lubił. Niestety, jej barek, podobnie zresztą jak wyposażenie kuchni, nie był jeszcze gotowy na podejmowanie gości.

– A wino może być? – rzuciła przez ramię. – Mam jeszcze nalewkę porzeczkową od Magdy.

– Nie kłopotz się. Wino będzie w sam raz.

Lena wróciła do salonu i wręczyła ojcu kieliszek. Sędzia Zamojski stał przy regale, patrząc na grzbiety książek.

– Widzę, że już poradziłaś sobie z najgorszym.

– Tak, z pomocą Magdy poszło nawet sprawnie.

Mężczyzna spojrzał na córkę uważnie.

– Pamiętaj o mnie, gdybyś na przyszłość potrzebowała dodatkowej pary rąk.

– Naprawdę? – upewniła się. Odkąd pamiętała, takimi sprawami zajmowała się jej matka, ojciec wołał bardziej praktyczne zajęcia.

Zamojski napił się wina i przytaknął.

– Oczywiście. Nie miałeś okazji tego zobaczyć, ale w sądzie zrewolucjonizowałem sposób archiwizacji!

Pokręciła głową, rozbawiona tonem tego zapewnienia.

– Nie trzeba, dam sobie radę. Zresztą, kiedy w ogóle znalazłbyś czas?

Pytanie było czysto retoryczne i nie spodziewała się odpowiedzi. Tym bardziej zaskoczyły ją kolejne słowa:

– Niedługo nie będzie z tym problemu...

– Coś się stało? – zapytała z niepokojem, obserwując, jak siada na kanapie. Swego czasu żartowali, że ojciec da się pochować w todze, bo będzie pracował do końca swoich dni.

Zamojski uśmiechnął się smutno.

– Starość się stała.

Otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale ojciec ją ubiegł.

– Postanowiłem pracować do końca października, a potem zwolnię stołek dla kogoś młodszego. Przechodzę w stan spoczynku. Prawda, że ładna nazwa? Dość już się napracowałem i pora w końcu odpocząć.

– Teraz to naprawdę zaczynasz mnie martwić. – Lena odstawiła kieliszek i usiadła obok niego. – Jesteś chory? Mama jest chora? O czym mi nie mówisz?

Sędzia położył dłoń na kolanie córki. Na jego skórze odznaczało się kilka starczych plam w odcieniu wypłowiałej rdzy.

– Wszystko jest w porządku – odpowiedział spokojnie. Nie spodziewał się, że kiedyś tak będzie, ale w końcu dojrzał do tej decyzji. Bez wyrzutów sumienia, rozdrapywania i żalu. – Po prostu dotarło do mnie, że już czas. Choć nie wyglądam, to mam już swoje lata – dodał z rozbrajającym uśmiechem.

W tej kwestii Lena się z nim zgadzała. Ojciec zbliżał się do siedemdziesiątki, mimo że wyglądał na znacznie młodszego. Regularna aktywność fizyczna i zdrowy tryb życia procentowały właśnie teraz. Sylwetki mogli mu pozazdrościć nawet trzydziestolatkowie.

Jeszcze raz pokręciła z niedowierzaniem głową. Wyglądało na to, że nie tylko w jej życiu nadchodziły zmiany. Odkąd pamiętała, ojciec kojarzył się jej ze stanowiskiem, które zajmował. Zawód był dla niego niczym etykieta i nie mogła uwierzyć, że sam podjął decyzję o rezygnacji.

Zamojski wypił wino i sięgnął po butelkę, którą Lena postawiła na ławie. Jego wzrok zatrzymał się na szarej teczce z zielonym paskiem przebiegającym przez całą okładkę. Charakterystyczne oznaczenie, niepodobne do niczego innego. Sprawa cywilna. Czerwony pasek zarezerwowany był dla karnych.

– Pracujesz już nad nowym zleceniem? – Dotknął okładki opuszkami palców.

Lena zawahała się. Ostatnie dni poświęciła niemal wyłącznie badaniu życia Weroniki i przez chwilę rozważała nawet, czy nie wykręcić się od odpowiedzi. Poza tym do tej pory pamiętała reakcję Magdy na wiadomość, nad czym pracuje. Od ich sprzeczki minęły dwa dni, ale do tej pory nie miały ze sobą kontaktu.

– Nie do końca – odparła po krótkim wahaniu.

– Mogę?

Gdy Lena skinęła głową, sędzia sięgnął po teczkę i usiadł wygodniej, zapadając się w granatową sofę. Papiery rozłożył na kolanach.

Spodziewała się, że zapoznanie się z dokumentacją zajmie ojcu trochę czasu,

lecz nie minęła nawet minuta, kiedy zamknął teczkę. Miała wątpliwości, czy wertując kartki, w ogóle był w stanie przeczytać coś więcej poza samymi nagłówkami.

– Już? – zapytała z niedowierzaniem.

Zamojski odłożył teczkę na stół i sięgnął po wino.

– Nie musiałem tego czytać. Znam tę sprawę.

Lena pochyliła się w stronę ojca, a zmarszczka pomiędzy jej brwiami pogłębiła się.

– Nie rozumiem... Skąd?

Zamojski przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

– Po tym, co ci się przytrafiło – zaczął z głośnym westchnieniem – chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o Kamforze i jego rodzinie. Prześledziłem historię na tyle, na ile pozwalały mi moje dojścia. Dzięki temu mogłem zapoznać się ze śledztwem dotyczącym wypadku Marszałkowskiej.

Lena nadal wpatrywała się w ojca.

– Nie wiedziałam – odpowiedziała w końcu. – Nic nie mówiłeś.

Zamojski wzruszył ramionami.

– Tak to już jest, że ojcowie chcą chronić swoje dzieci. Wiek nie gra roli. Po tym, co cię spotkało, to było dla mnie dość naturalne. Nie wspominałem ci o niczym, bo wtedy miałaś własne sprawy na głowie – wyjaśnił. – Byłaś we Włoszech i nie widziałem powodu, dla którego miałem burzyć twój spokój. Ale teraz wiem – postukał palcem w okładkę – że z jakiegoś powodu ciągnie cię do tej sprawy. I najwyraźniej ktoś nadstawił karku, przekazując ci te dokumenty.

Choć w zasadzie ojciec wygłosił stwierdzenie, Lena była świadoma wiszącego w powietrzu pytania. To był jeden z powodów tego, że był tak dobrym sędzią – potrafił dostrzec coś więcej, rzeczy, które nie były dla wszystkich widoczne, wykorzystując do tego intuicję i doświadczenie.

– Po tym wypadku na jeziorze – zaczęła cichym głosem – nie radziłam sobie najlepiej. Dlatego skontaktowałam się z Kobzą i poprosiłam ją o przysługę.

Brwi sędziego powędrowały do góry w wyrazie niedowierzania.

– Czyżby zastępczyni komendanta wojewódzkiego z wiekiem traciła pazur? Wydawało mi się, że słowo „przysługa” nie istnieje w jej słowniku.

Lena uśmiechnęła się słabo. Przypomniała sobie niełatwą przeprawę. Kobza nie zaliczała się do rozmówców, z którymi przyjemnie jest dyskutować. Głośna, pewna siebie, nie przebierała w słowach, dążąc do osiągnięcia swoich celów.

– Początkowo była niechętna – odparła wymijająco. – Ale miała wyrzuty sumienia z powodu całej tamtej sytuacji, i w sumie tylko dzięki temu przekazała mi te akta.

Zamojski parsknął.

– Myślałem, że prędzej piekło zamarznie, niż ona dowie się, czym są

wyrzuty sumienia. – Spojrzał na córkę. – I co? Pomogły ci?

– Sama nie wiem. Nadal nie znam wszystkich odpowiedzi.

– Chodzi o to dochodzenie?

– Tak.

Ojciec zawahał się.

– Nie rozumiem – odparł w końcu. – O ile dobrze pamiętam, śledztwo dowiodło, że to było samobójstwo.

– Zgadza się. – Lena przytaknęła i podniosła się z kanapy. – Chodź, chcę ci coś pokazać.

Gdy przeszli do sypialni, wskazała dłonią swoje dzieło. Skrzyżowała ramiona, gotowa wysłuchać, że w pewnym momencie posunęła się za daleko, próbując odkryć prawdę. Ponieważ nic takiego nie padło, zaczęła mówić:

– Początkowo też tak myślałam, lecz natrafiłam na coś, co sprawiło, że zaczynam w to wątpić. – Opowiedziała ojcu o tym, czego dowiedziała się w ostatnim czasie, kończąc na rozmowie z Doktorem.

Po jej słowach zapadła pełna oczekiwania cisza. Ojciec odwrócił głowę od karteczek na ścianie.

– I ten psychiatra uważa, że zabił ją jej brat?

– Tak, w tamtym okresie była w lepszej formie psychicznej, poza tym planowała wyjechać z Krakowa i ułożyć sobie życie z partnerem.

Sędzia Zamojski nie skomentował od razu, ale jego mina świadczyła, że analizuje wszystkie informacje. Wrócił do wpatrywania się w zapiski Leny.

– Nie dziwiłbym się – odparł cicho.

Nagle zrozumiała, że ojciec nie zdradził jej wszystkiego, co wiedział o Marszałkowskich. Zapewne po jej wypadku dotarł do innych informacji niż te z teczki.

– Co jeszcze znalazłeś?

Zamojski skrzyżował ramiona.

– Niezbyt wiele. Trochę pokopałem – odparł wymijająco. – Mnie również ktoś wyświadczył przysługę i dzięki temu mam jakieś pojęcie o jego zazdrości o siostrę. Chorobliwym przywiązaniu, które przyjmowało różne oblicza obsesji, w zależności od tego, czy Weronika była pod jego wpływem, czy nie. Dlatego mogę sobie wyobrazić, czego mógł się dopuścić, gdy dowiedział się, że siostra planuje usunąć go ze swojego życia.

Lena skinęła głową.

– To wiem. Weronika była spiralą jego szaleństwa – powtórzyła słowa Doktora.

– Zgadza się. – Zamojski zwrócił uwagę na to, że Lena przeważnie posługuje się imieniem kobiety. Nie tak jak on: nazwiskiem. Jakby przestała postrzegać tę sprawę z odpowiedniego dystansu. – Wszystko wiązało się z ich przeszłością.

A dokładnie z ojcem, który był klasycznym przykładem rodzica sięgającego po przemoc.

Lena wiedziała o tym, jednak nie przerywała ojcu. W każdej chwili mógł powiedzieć coś nowego.

– W dzisiejszych czasach – kontynuował powoli – nie byłoby to możliwe, ale wtedy... wtedy po prostu uchodziło mu to na sucho. Stosował wobec nich jakieś wymyślne kary przeniesione z wojska.

O tym także wiedziała.

– I co się z nim stało?

– Zginął w pożarze. Zaprószenie ognia.

Lena zmarszczyła brwi.

– Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to to, że to podejrzone.

– Bo takie było. – Myśli Zamojskiego podążały tym samym torem co myśli córki. – Ostatecznie sprawę zakwalifikowano jako nieumyślne spowodowanie śmierci. Wiem, że brano jeszcze pod uwagę spowodowanie katastrofy zagrażającej zdrowiu lub życiu wielu osób, ale nie doszukali się śladów.

Lena pokręciła z niedowierzaniem głową. Nie zdziwiłoby ją, gdyby to Marszałkowski pomógł ojcu przenieść się na tamten świat. W końcu był jedyną osobą w jego życiu, przed którą czuł strach lub respekt, w zależności od sytuacji. Nawet wtedy, gdy Kamfora stał się mężczyzną, wciąż pozostawał w nim lęk. To by tłumaczyło, dlaczego po tych wszystkich latach cierpienia nie był w stanie poradzić sobie z ojcem w bezpośrednim starciu, chociaż na pewno był od niego dużo silniejszy. Ale to nie siła, lecz przewaga psychiczna grała tam kluczową rolę. Lena podejrzewała, że Marszałkowski zdecydował się załatwić to w inny sposób.

Spoglądała na zapiski, czując, jak na nowo budzi się w niej frustracja.

– Sam widzisz, że utknęłam. Z jednej strony mam dowody, że Weronika popełniła samobójstwo, a z drugiej ogromne wątpliwości, czy nie pomógł jej w tym jej brat, który dowiedział się o jej planach.

Sędzia skupił spojrzenie na córce. Kieliszek w jego dłoni był pusty, lecz nie zwrócił na to uwagi.

– A co ci mówi przecucie?

Lena zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Podpowiada mi – odparła po minucie – że za jej śmiercią kryje się coś więcej niż to, co do tej pory stwierdzono. Ale co z tego?! Przecież i tak po takim czasie nie dowiem się, jak było naprawdę.

Pochylił się w jej stronę, uśmiechając się przebiegle. Nagle powiedział coś cicho, a Lena nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Czy dobrze rozumiem, że możemy to wyjaśnić?

Zamojski przytaknął.

– Tak. Jest sposób, by doprowadzić twoje dochodzenie do końca.

Lena otworzyła usta i szybko je zamknęła.

– Ale... jaki? – wydusiła w końcu.

– Trzeba przeprowadzić powtórny rekonstrukcję wypadku.

– To nadal możliwe?! – Nie zwróciła uwagi, że podczas gwałtownego ruchu kilka kropel wina wylało jej się na rękę. – Przecież minęło tyle czasu. Prawie trzy lata! Jak badanie miało być teraz wiarygodne?

– Masz rację, zwykle takie badania przeprowadza się jak najszybciej. Lecz ponowna rekonstrukcja jest możliwa, bo podczas czynności śledczych robione są zdjęcia wszystkich śladów, dowodów, a nawet uszkodzeń samochodu. Taka drobiazgowość jest niezbędna na wypadek, gdyby na przykład nagle pojawił się nowy świadek. Wówczas technik przygotowuje ekspertyzę, opierając się na dowodach, a nie na wcześniejszej opinii innego eksperta. Nieraz zlecałem wykonanie powtórnej ekspertyzy.

– I wnoszą coś nowego?

Sędzia pokręcił lekko głową.

– Zwykle potwierdzały wcześniejszą wersję, ale zdarzały się i takie, które rzucały nowe światło.

Lena czuła podskórne napięcie. Przez ostatnie godziny myślała, że to już koniec, a teraz, gdy pojawiła się możliwość wyjaśnienia sprawy Weroniki Marszałkowskiej raz na zawsze, najchętniej wzięłaby się do tego od razu.

– Czyli muszę kogoś wynająć – powiedziała, planując swój następny krok.

– To nie będzie konieczne. Pomogę ci w tym – odparł, zanim Lena otrząsnęła się z zaskoczenia. – Mam znajomego, który wisi mi przysługę. Jest doświadczony, więc jeśli coś w tej sprawie śmierdzi, na pewno to wyłapie. A poza tym... zaciekałaś mnie i sam chciałbym się dowiedzieć, jak to było z tą Marszałkowską.

Spojrzał na zegarek.

– Jak wrócę do domu, spróbuję się z nim skontaktować. Gość jest na emeryturze, więc nie powinien mieć problemu ze znalezieniem czasu.

Lena splotła przed sobą dłonie. Od środy, odkąd włączyli ogrzewanie, w mieszkaniu było ciepło, mimo to czuła, że jej skóra jest chłodna.

– Niech twój znajomy wybierze dzień i godzinę, a ja się już dostosuję.

Zaangażowanie w głosie córki było wręcz namacalne. I wcale go nie dziwiło.

– Będę się już zbierał. Matka pewnie czeka z kolacją i pomstuje.

Wyszedł z sypialni, założył płaszcz i luźno okręcił szalik wokół szyi. Gdy sięgnął do klamki, odwrócił się jeszcze w stronę córki i rzucił:

– Zadzwoń, jak będę coś wiedział.

– Dziękuję. – Lena cmoknęła ojca w policzek.

Zamknęła za nim drzwi i jeszcze przez chwilę stała w miejscu, wsłuchując się w jego kroki na klatce schodowej.

Piątek, 25 września

ROZDZIAŁ 25

JAKUB ROZPOCZAŁ PORANEK od szybkiego spaceru z Saburim i równie szybkich zakupów. Na śniadanie zjadł kilka drożdżówek z osiedlowej piekarni, całość popijając czarną kawą.

Wczoraj, gdy po jednym piwie wrócił do domu, padł na łóżko. Albo dała o sobie znać zarwana noc, albo to on coraz mocniej odczuwał uroczy okres zwany starzeniem się. Niepozorne słówko, które dotykało każdego.

Już nie mógł się doczekać soboty, kiedy jego śniadanie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Jajecznica na cebuli, do tego świeże pieczywo i czarna kawa. Po chwili przypomniał sobie, że z tym śniadaniem będzie musiał poczekać do kolejnego weekendu, bo postanowił pojechać z Dagmarą do Warszawy. Jeśli chodziło o przenosiny do stolicy, to nie podjął jeszcze decyzji. Może zmiana miejsca zamieszkania wyszłaby mu na dobre? Sam nie wiedział.

Przed wyjściem z domu zdążył jeszcze nakarmić Saburiego. Umówił się z Tomkiem, że tym razem to on podjedzie po niego. Wroński nie nocował dzisiaj u siebie, a mieszkanie jego dziewczyny i tak znajdowało się po drodze.

Monika Socha mieszkała przy Huculskiej. Gdy Jakub zatrzymał się pod blokiem, Wroński już na niego czekał.

– Ale zimno! – odezwał się, zamykając za sobą drzwi. Zapiął pasy i potarł dłońmi uda.

Miał na sobie cienki sweter i skórzaną kurtkę. W ciągu dnia będzie mu ciepło, ale teraz, gdy zegarek wskazywał ósmą czterdzieści, temperatura na

zewnątrz dopiero zaczynała rosnać.

– Na tylnym siedzeniu jest torba z drożdżówkami. Kupiłem też dla ciebie – powiedział Jakub, wyjeżdżając na Zakopiańską.

– Dzięki. Nie zdążyłem zjeść śniadania. – Wroński sięgnął po torbę, jego wzrok zatrzymał się na logo cukierni. – Jeszcze z mojej ulubionej!

Jakub uśmiechnął się, a potem pogłośnił radio, by nie słyszeć mlaskania. Gdy zatrzymali się na światłach przy rondzie Matecznego, wrzucił na luz i zerknął na kolegę, który wkładał do ust ostatni kawałek drożdżówki.

– Właśnie, jeszcze wczoraj miałem zapytać, o co poszło tobie i Kreuzowi?

Tomasz zakrztusił się. Światła zmieniły się na zielone, więc Jakub wrzucił jedynekę i ruszył.

– A co jest pomiędzy tobą a Trzaskalską? – odbił pytanie.

– Skąd wiesz? – Nie było sensu zaprzeczać.

Wroński wzruszył ramionami, przyglądając się mijanemu po prawej stronie Forum.

– Zorientowałem się przez przypadek. Nie martw się, zatrzymałem to dla siebie.

– I niech tak zostanie.

– Wiem, nie musisz mi o tym mówić. A jeśli chodzi o patologa... W końcu mu przejdzie.

Zagórski miał na ten temat odmienne zdanie.

– No nie wiem. Nie wyglądało to na przejściową chimerę, która po prostu minie. Kreuz czepiał się bardziej niż zwykle.

– Minie mu, jak przestanie się wkurwiać i przyzwyczai do myśli, że spotykam się z jego córką – rzucił Tomek, siląc się na lekki ton.

Jakub roześmiał się. Najwyraźniej na medyku mało kto mógł zrobić dobre wrażenie, zwłaszcza osoba mająca problem z wytrwaniem do końca sekcji. Pewnie to stawiało Wrońskiego w złym świetle. Tomasz jednak się mylił. Na tyle, na ile komisarz znał Kreuza, stary był pamiętliwy.

– Gdybym wiedział, że dostarczę ci takiej rozrywki, powiedziałbym o tym wcześniej. – Wroński czuł się urażony zachowaniem kolegi. – Mógłbyś coś powiedzieć, dać jakąś radę. Zawsze jakieś masz, niezależnie od tego, czy ich chcę, czy nie.

Jakub pokręcił głową. Starał się opanować, lecz wychodziło mu to z trudem.

– O w mordę! – odezwał się bardziej do siebie, a potem zwrócił się do partnera. – Nie miałaś gdzie szukać? Nie wiedziałaś, jaki jest Kreuz?

Tomasz z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Myślisz, że straciłem rozum? – obruszył się. Nie potrzebował Jakuba, by się zorientować, w jakie bagno wdepnął. – O to właśnie chodzi, że nie wiedziałem! Monika nosi nazwisko panięńskie matki.

– I nigdy nawet się nie zająknęła, czym zajmuje się jej ojciec?

– Wiesz... Jakoś wcześniej mieliśmy inne rzeczy do roboty niż śledzenie jej drzewa genealogicznego. Teraz wiem, że nie mówiła dużo o starym, słusznie podejrzewając, że nasze ścieżki mogły się kiedyś przeciąć. Po prostu przemilczała ten drobny szczegół.

– Poznałeś ich podczas kolacji, o której ostatnio wspominałeś – wydedukował Jakub.

– Tak. – Na samo wspomnienie Tomasz zacisnął zęby. – Nawet przez myśl mi nie przeszło, w co się pakuję.

Zagórski potarł brodę, starając się zasłonić uśmiech. Wiedział, że kolega oczekiwał innej reakcji.

– Jakby tego było mało – kontynuował Wroński, tak wzburzony, że przestało mu przeszkadzać rozbawienie Kuby – na kolację podali wątróbkę z jabłkami. – Nadal pamiętał jej wygląd i zapach. Na samo wspomnienie śniadanie podeszło mu do gardła. – I przez cały czas nie mogłem przestać patrzeć na talerz Kreuza. I na to, w jaki sposób ją kroił, a potem wsadzał do ust. – Wypuścił powietrze. – Człowieku! Już nigdy nie zjem wątróbki! A może i w ogóle jakiegokolwiek mięsa, jeśli tych spotkań będzie więcej!

Przez chwilę jechali w milczeniu.

Z Piłsudskiego skręcili w Czapskich, a po chwili w Loretańską. Bar mieścił się przy Kapucyńskiej, niedaleko Podwała. W sam raz, by w przerwie pomiędzy zajęciami wyskoczyć coś zjeść, ale miejsce cieszyło się dobrą opinią także wśród okolicznych mieszkańców.

O tej porze ulica była w większości zapełniona.

Jakub wyłączył silnik i odwrócił się do kolegi.

– Zawsze możesz to zakończyć. Często najprostszym rozwiązaniem problemu jest jego usunięcie.

Tomek był zdziwiony, że coś takiego w ogóle przyszło Zagórskiemu do głowy.

– Nie ma takiej opcji.

A więc związek z Moniką był poważniejszy, niż Jakub podejrzewał.

– Nie ma takiej opcji – powtórzył Wroński i otworzył drzwi. Wsiadł z samochodu, poczekał, aż jego towarzysz zrobi to samo, i dopiero potem dodał: – Nie zrobię tego przez Kreuza!

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli w stronę baru. Zagórski nie powstrzymał się, by nie podsumować:

– W takim razie krzyż na drogę.

Tomka nie rozbawiła gra słów. Nawet nie silił się na odpowiedź, a przynajmniej nie słowną. Wyprzedził partnera, podniósł rękę i zaprezentował dość wymowny gest.

Zagórski uśmiechnął się pod nosem, lecz rozbawienie szybko mu przeszło, kiedy zatrzymał się obok Wrońskiego tuż przed wejściem do lokalu. Pozwolili sobie na chwilę rozluźnienia, lecz teraz musieli skoncentrować się na pracy.

Budynek wyglądał niepozornie, tak jak inne krakowskie bary mleczne. Od Kreuza wiedzieli, że to miejsce istnieje od dwudziestu kilku lat i zapewne tylko dzięki temu, że właściciel miał lokal na własność, mógł prowadzić bar w centrum Krakowa.

Na przeszklonych drzwiach widniała zwięzła, odręczna informacja o godzinach otwarcia, a w środku na cienkim sznurku wisiał stary dzwonek. Zagórski widział identyczny dobre dwadzieścia lat temu w jednym z domów zastępczych, w którym spędził prawie dwa miesiące. Tyle że tamten znajdował się w kuchni i służył do zwoływania dzieciaków na posiłek.

Wszedł do środka. Było siedem po dziewiątej, gdy nad ich głowami ów dzwonek zadźwięczał. Bar otwarto kilka minut temu, a już połowa z ośmiu stolików była zajęta. Wewnątrz było cicho, jeśli nie liczyć systematycznych okrzyków mężczyzny za podłużną ladą, kiedy oznajmiał, że danie jest gotowe. Od intensywnego zapachu jajecznicy Jakubowi ślina napłynęła do ust.

Klepnął w ramię Tomka, który walczył z tym samym odruchem, i palcem wskazał mu miejsce po lewej stronie. Na ścianie znajdowała się lista wszystkich potraw, podzielona na pory dnia – od śniadania, poprzez dania główne, aż po dodatki. Jakub szybko znalazł interesujący go zapis.

– Wygląda na to, że patolog miał rację.

Wroński najchętniej ponarzekałby na Kreuza z czystej przekory, ale nie mógł zaprzeczyć, że ten był doskonałym specjalistą. Na pewno lepszym niż człowiekiem.

Komisarz podszedł do kasy i poczekał, aż mężczyzna za barem skończy przyjmować zamówienie. Był wysoki, z grubymi żyłami na rękach wyglądającymi jak stado wijących się pod skórą robaków. Wrażenie przybierało na sile podczas ruchu, kiedy przenosił talerze z okienka łączącego salę jadalną z kuchnią i kładł je na końcu blatu.

– Co dla was, panowie? – odezwał się, podnosząc na nich wzrok.

– Nie przyszliśmy tu jeść – powiedział Jakub. – Chciałem pana o coś zapytać. Czy pracował pan tutaj w zeszłym tygodniu?

Mężczyzna się zawahał; najwyraźniej nie spodziewał się takiej reakcji. Zwykle o tej porze pytano go o zupełnie inne rzeczy: nabiał, brak nabiału, gluten czy inne alergen.

W końcu przytaknął.

– Owszem. Jestem właścicielem, Franciszek Mauer. – Wyprostował się, by wyglądać stosownie do zajmowanej pozycji. – O co chodzi, panowie?

Zagórski wyjął legitymację i szybko przedstawił siebie oraz Wrońskiego,

a potem przeszedł do sprawy, która sprowadziła ich do tego baru.

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie możemy spokojnie porozmawiać? – zaczął, rozglądając się na boki. – Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Mówił cicho, by nie zwrócić uwagi siedzących przy stolikach klientów. Jednak było tylko kwestią czasu, aż ktoś zacznie się przysłuchiwać. Takie wiadomości były lepsze niż prasówka o poranku.

Mauer nie wyglądał na skłonnego do współpracy.

– A długo to zajmie? – Zarzucił sobie ścierkę na ramię. – Wkrótce pojawi się więcej ludzi.

– Wszystko zależy od pana. – Do rozmowy włączył się Wroński. – Mamy tylko kilka pytań. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej wróci pan do pracy. Nie zajmiemy więcej czasu, niż to będzie konieczne.

Mauer w końcu się zgodził, bardziej z powodu respektu, jaki czuł do policji, niż chęci rozmowy.

– Chwileczkę, poproszę tylko żonę. – Odwrócił się i podszedł do okienka, z którego wcześniej podawano mu potrawy. – Patrycja, chodźże mnie zastąp! – rzucił w głąb kuchni.

Nie było odpowiedzi, lecz po kilku sekundach otworzyły się drzwi i stanęła w nich postawna kobieta. Raczej nie była szczęśliwa, że pokazuje się komuś w mało wyjściowym stroju. Miała na sobie poplamiony fartuch, a bujne blond włosy schowane pod siateczkowym czepkiem z daleka wyglądały jak ptasie gniazdo.

Obrzuciła mężczyzn uważnym spojrzeniem i podeszła do kasy.

– Tylko szybko – powiedziała do Mauera, jakby najwidoczniej trzeba mu było o tym przypominać.

Kiedy otworzyły się drzwi i rozległ się dzwonek obwieszczający nowego klienta, Jakub zerknął przez ramię. Do baru weszło dwóch młodych mężczyzn, wyglądających, jakby dopiero co skończyli imprezować.

– Chodźmy na zaplecze – zaproponował właściciel i wskazał kierunek. Nie chciał tracić czasu. Szybko otworzył drzwi ukryte za jasną zasłoną i puścił mężczyzn przodem. Po przejściu krótkiego korytarza dotarli do niewielkiego pomieszczenia.

– To mój gabinet.

Zagórski obdarzyłby pokój raczej mianem spiżarni. W kącie stało niewielkie biurko, a segregatory wyglądały, jakby były z właścicielem od samego początku, gdy dopiero stawiał pierwsze kroki w tym biznesie. Odrapane przez kota, któremu zapewne przez jakiś czas służyły do ostrzenia pazurów, leżały na podłodze, bo na półkach nie było już miejsca. Na blacie dostrzegł kilka faktur.

Resztę przestrzeni wypełniały słoiki, słoiczki, konserwy, a na dolnych półkach wielkie worki mąki. Pokój nie miał okna i wszystkie zapachy przenikające

z kuchni zostawały tu na dłużej.

Komisarz przyjrzał się Mauerowi.

– Wspomniał pan – zaczął, krzyżując ramiona – że był pan w barze w zeszłym tygodniu. – Mężczyzna przytaknął. – Czy w środę panował tutaj duży ruch? Taki jak teraz?

Mauer uśmiechnął się, odsłaniając zachodzące na siebie jedynki.

– Teraz to jest jeszcze spokojnie, młyn zaczyna się koło południa. Ale to i tak nic. Gdy rozpocznie się rok akademicki, ruch mamy o każdej porze dnia. Środa była taka sama jak pozostałe dni w tygodniu. Nie narzekaliśmy.

– A czy tego dnia coś zwróciło pana uwagę? Może jakieś zajście czy czyjeś zachowanie? – zapytał Tomasz, nie spuszczać z niego wzroku.

Mauer złożył dłonie na wysokim oparciu fotela. Za duża koszula nadęła się podczas tego ruchu, jakby podwiał ją wiatr.

– Nie kojarzę. Ale o co chodzi?

– Interesuje nas, czy tego dnia pojawił się w barze młody człowiek, dwadzieścia kilka lat. Z metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły... – wymieniał dalej Jakub.

Już w trakcie wypowiedzi upewniał się, że ich zadanie niewiele różniło się od szukania igły w stogu siana. Mogło się wydawać, że tym razem identyfikacja będzie łatwiejsza, ale z powodu licznych uszkodzeń kości twarzy denata miałyby z tym problem nawet jego matka. Oprócz cech takich jak wzrost, postura, które nie były bardzo przydatne, nie mieli żadnego innego punktu zaczepienia.

– Niestety, ale nie jestem w stanie pomóc. Właśnie opisał pan większość młodych mężczyzn, którzy przewijają się przez mój bar. Otworzyłem to miejsce prawie trzydzieści lat temu i do tej pory niewiele zmieniłem w jadłospisie. A przez to, że jest tanio, smacznie i podajemy domowe potrawy, nie możemy narzekać na brak zainteresowania. – W jego głosie słychać było dumę.

– Na łydce miał sporej wielkości tatuaż – dodał jeszcze Zagórski.

Mauer zaczął się irytować.

– Panie, nie mam czasu gapić się na klientów! – Ściągnął z ramienia ściereczkę i miętosił ją w dłoniach. – Jeśli nie macie konkretnych pytań, to wracam do pracy. Mam dużo roboty. Zwłaszcza teraz.

Jakub zacisnął zęby.

– Przecież wspomniał pan, że ruch zaczyna się dopiero koło południa – wytknął mu Tomasz. Także był rozdrażniony, ale na to akurat miała wpływ celna uwaga Mauera. Błądzili po omacku.

Mężczyzna skinął głową.

– Owszem, tak mówiłem, ale odkąd chłopak, który pomagał nam w kuchni, zrezygnował, razem z żoną dwoimy się i troimy.

Jakub spojrział uważniej na właściciela baru. Luźno rzucony komentarz

wzbudził jego czujność.

– Co ma pan na myśli?

Mauer zawahał się.

– Wie pan, jak to jest... – podjął ostrożnie po chwili. – Za moich czasów było inne podejście do pracy, a teraz młodzi nie mają już takiego poszanowania. Jak nie tu, to tam. Potrafią zrezygnować z dnia na dzień – dodał na koniec, a potem odwrócił się i poszedł do biurka. Otworzył szufladę i wyjął kartkę, na której znajdowała się odręcznie sporządzona notatka o poszukiwaniu pracownika. Pismo było takie samo, jak na informacji o godzinach otwarcia baru.

Pokazał ją Zagórskiemu. Słowo: „pilne” było podkreślone dwa razy i zakończone wykrzyknikiem.

– Nie zdążyłem jej jeszcze powiesić na drzwiach, bo cały czas coś się dzieje, więc panowie wybaczą...

– Czyli ten chłopak złożył wypowiedzenie?

– A gdzie tam! – Mauer machnął ręką. – Nawet tego nie zrobił. Dobry był, pracowity, i ciężko mi o nim źle myśleć, mimo że wystawił mnie do wiatru. Mam tylko nadzieję, że miał dobry powód.

Zagórski pomyślał, że jeśli okaże się drugą ofiarą, jego nieobecność będzie usprawiedliwiona.

– Pamięta pan, kiedy był ostatnio w pracy? – Najwyraźniej Wroński poszedł tym samym tropem.

– A dlaczego pan pyta? – Nagle w głosie Mauera pojawiła się podejrzliwość, która objawiła się w całej jego postawie, jakby w końcu dotarło do niego, że takie indagacje nie są zapowiedzią niczego dobrego.

Komisarz wymownie milczał. Lepiej było nie dopuszczać do sytuacji, w której przepytwana osoba zamieniała się miejscami z przepytującym. Usłyszawszy kolejne słowa, zmienił zdanie.

– Nie odpowiem na więcej pytań, jeśli zaraz nie powiecie mi dokładnie, o co tutaj chodzi!

Zagórski nie wątpił, że mężczyzna mówił poważnie.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa – zdecydował się zdradzić tylko tyle, ile było potrzebne. – Wiemy, że przed śmiercią ofiara jadła jedno z pańskich dań.

We właścicielu nagle zaszła zmiana. Zgarbił się i zwiesił nisko głowę. Stracił właśnie całą swoją hardość. Usiadł, a raczej osunął się na krzesło, które wcześniej służyło mu za podparcie, jakby jego nogi nagle nie mogły utrzymać ciężaru ciała.

Dłonie ze ściereczką zwiślały luźno pomiędzy kolanami.

– Dobry Boże! – wyszeptał. – Jesteście tego pewni?

– Pierogi Mauera. Z kaszą gryczaną, białym serem... – Tomasz wymieniał składniki, jakie rozpoznał Kreuz.

Mężczyzna z niedowierzaniem pokręcił głową. Nigdy nie podejrzewał, że pierogi, powód jego dumy, posłużą kiedyś policji w dochodzeniu.

– Pamięta pan, kiedy ten chłopak był ostatni raz w pracy? – Jakub powtórzył pytanie.

– W środę. – Mauer zerknął na kalendarz i mrużąc oczy, odczytał datę. – To było dwudziestego trzeciego. Od czwartku byliśmy już z żoną sami.

– Dlaczego od początku pan o tym nie wspomniał? Jak pytaliśmy o chłopaka?

– Przecież pytaliście panowie o środę – odezwał się skołowany. – A on nie pojawił się w pracy od czwartku! Skąd mogłem wiedzieć... – dodał na swoją obronę, a potem przeskakując wzrokiem z jednego mężczyzny na drugiego, spytał: – Myślicie, że to może być Paweł?

– Trudno jeszcze powiedzieć – odparł powoli Jakub. – Badamy różne ślady, ale jak na razie zgadzałyby się to z czasem zgonu naszej ofiary.

– Ale...

– Czy ma pan jakieś jego zdjęcie?

– Nie.

– A kojarzy pan, czy miał jakiś znak szczególny?

– A na co panu znak szczególny? – obruszył się mężczyzna. – Opiszę jego wygląd.

Tomasz pokręcił głową.

– To nam nie pomoże – wymruczał pod nosem, ale zrobił to na tyle głośno, że Mauer usłyszał i odwrócił głowę w jego stronę.

Jakub spiorunował kolegę wzrokiem. Wypowiedzianych słów nie było jak cofnąć.

– Chyba nie twierdzi pan, że... – zająknął się Mauer, gdy pojawiła się zbieżność z tym, o czym ostatnio trąbili w wiadomościach. – Że to Paweł może być tym zmarłym z budowy? Mówili, że miał zmasakrowaną głowę!

Zagórski zazgrzytał zębami. Irytacja na Wrońskiego była niczym w porównaniu z tym, co czuł wobec osoby, która przekazała news prasie. Był pewny, że za ten przeciek odpowiadał najstarszy z zatrzymanych główniarzy, który miał dupę zamiast głowy.

– Jeszcze nic nie sędzę. – Starał się zachować spokój. – Kojarzy pan, czy chłopak miał jakiś znak, znamię, coś charakterystycznego?

Mauer poderwał się z krzesła.

– Na dłoni. Ślad po oparzeniu, którego nabawił się pierwszego dnia pracy. Jakies dziesięć centymetrów. Myślałem, że będę musiał szukać kogoś nowego, ale potem chłopak radził sobie coraz lepiej. I został.

Po jego słowach zapadła cisza.

– To on, prawda? – zapytał Mauer, spoglądając na komisarza.

Zagórski podszedł bliżej.

– Przykro mi. Wszystko wskazuje na to, że to pański pracownik. Ofiara miała na ręce ślad po oparzeniu.

Mauer pokiwał głową, a o tym, ile kosztowało go zachowanie spokoju, świadczyła jedynie unosząca się co chwilę grdyka.

Tylko tego brakuje, by gość się całkiem rozsypał, pomyślał Zagórski. Już dotychczasowe rewelacje wystarczyły, by opadł z sił. Niedługo do niczego im się nie przyda.

Policjanci wymienili spojrzenia. Tomasz sięgnął po notes.

– Czyli ostatni raz widział pan chłopaka w środę – powtórzył to, co już wiedzieli. – To było wieczorem? Rano?

– Po południu, chyba przed zamknięciem, gdzieś po piątej.

Wroński zanotował tę informację.

– Gdy nie pojawił się następnego dnia – kontynuował Mauer – pomyślałem, że chodzi o podwyżkę, którą miał obiecaną dopiero od października. Stawki nie są tutaj może wysokie, ale zawsze dbałem o moich pracowników. Z tego też względu każdy mógł jeść, co chciał i ile chciał. Nigdy nikomu nie żałowałem, nawet Pawłowi, który jadł za dwóch.

Przez chwilę wyglądał, jak gdyby chciał coś dodać, ale zmienił zdanie i zamilkł. Najwyraźniej przypomniał sobie, że to właśnie jedna z jego potraw doprowadziła śledczych do tego miejsca. Wzdrygnął się, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Jak się nazywa? – Jakub czekał na resztę informacji.

– Paweł Samczuk.

– Może mi pan powiedzieć o nim coś więcej?

– Studiuje na UJ... – zaczął, ale nagle przerwał i przytknął dłoń do czoła. Po chwili poprawił się: – Studiował. Niestety, nie pamiętam teraz nazwy kierunku. Coś z językiem.

Powoli posuwali się do przodu.

– Orientuje się pan, gdzie mieszkał?

To pytanie nastroczyło mężczyźnię już pewnych trudności.

– Nie kojarzę. Wiem, że wynajmował pokój. Chyba na Bronowicach.

– Na umowie będzie adres – odpowiedział Tomek.

Zagórski zgodził się z nim kiwnięciem głowy. Wszystko zaczynało się jakoś układać. Mieli już nazwisko, za chwilę dostaną adres i jeśli dobrze pójdzie, nim minie kilka godzin, dowiedzą się o chłopaku czegoś więcej.

Spojrzeli na Mauera. Jego smutek i troska minęły.

– Potrzebuję trochę czasu, by ją znaleźć, to nie takie proste – rzucił tonem usprawiedliwienia, wyprzedzając ich prośbę. – Do poniedziałku na pewno się wyrobię.

Zagórskiemu się to nie spodobało. Zrobił jeszcze jeden krok w jego stronę.

– Potrzebujemy jej teraz, więc lepiej niech pan zacznie szukać od razu.

Grdyka Mauera kilka razy podskoczyła nerwowo w górę, a on gorączkowo starał się coś wymyślić.

– Niestety, z tym będzie problem – powiedział w końcu, krzyżując ramiona w obronnym geście. – Nie spisałem z nim żadnej umowy. Samczuk dostawał pieniądze do ręki.

– Innymi słowy, na czarno – dopowiedział Jakub, a gdy właściciel przytaknął, wypuścił głośno powietrze. Doświadczenie powinno go było nauczyć, że rzadko kiedy wszystko układa się tak, jak powinno.

– W takim razie – zwrócił się do Mauera – lepiej, jeśli przekaże pan żonie, że zajmujemy panu więcej czasu.

Piątek, 25 września

ROZDZIAŁ 26

SĘDZIA ZAMOJSKI ZWYKLE DOTRZYMYWAŁ SŁOWA, szczególnie danego własnej córce. Zadzwoił do niej jeszcze tego samego wieczoru. Udało mu się skontaktować ze znajomym, który zgodził się przeprowadzić powtórny ekspertyzę.

Lena była pod wrażeniem, że w tak krótkim czasie udało się wszystko zorganizować. Przejęła od ojca pałeczkę i po skończeniu rozmowy wybrała numer Antoniego Dziembały, eksperta od rekonstrukcji wypadków, by umówić się na następny dzień. Miejsce, w które musieli się udać, było oddalone od Krakowa o jakieś sto dwadzieścia kilometrów.

Wyruszyli po południu.

Lena wyciągnęła z torebki komórkę i napisała Magdzie esemesa. Ostatnie wydarzenia potoczyły się tak szybko, że zupełnie zapomniała, że tego wieczoru miały się spotkać. Po ostatnim swoim wybuchu czuła się winna, że tak potraktowała przyjaciółkę, i planowała z nią porozmawiać. Opowiedzieć o wszystkim, co się z nią dzieje, i oczyścić atmosferę.

Odkąd zajęła się sprawą Weroniki, wszystko inne zeszło na dalszy plan. Dobrze, że prace w lokalu dobiegały końca i nie musiała stać nad fachowcem. Jeszcze kilka dni i na drzwiach do biura powiesi plakietkę ze swoim nazwiskiem, a wraz z tym rozpocznie nowy rozdział w życiu. Zanim będzie mogła to zrobić, musiała doprowadzić swoje prywatne śledztwo do końca. Zaszła za daleko, by tak to zostawić, szczególnie teraz, kiedy każde z rozwiązań było w równym stopniu

prawdopodobne.

Schowała telefon, zasunęła zamek torebki i rzuciła ją na tylne siedzenie.

Byli w drodze już od półgodziny. Włączone głośniej radio zwalniało z prowadzenia rozmowy.

Kiedy kolejny raz spod maski wydobyło się głośne burknięcie, Lena przesunęła dłonią po pasach bezpieczeństwa, sprawdzając, czy na pewno są zapięte. Zrobiła to już drugi raz, odkąd wyjechali. Samochód nie był pierwszej nowości, nawet nie drugiej – zbyt często wydawał niepokojące dźwięki.

Po chwili spojrzała na mężczyznę. Był chyba w wieku jej ojca, a przynajmniej tak sądziła na początku. Im dłużej mu się przyglądała, tym głębszego nabierała przekonania, że jest jednak młodszy, ale w gorszej kondycji. Pobrużdżona, lekko żółtawa skóra przypominała fakturę ciasto drożdżowe. Dłonie pokrywały liczne brunatne plamy.

Dziembała oderwał wzrok od drogi i zerknął na Lenę, przyłapując ją na gapieniu się.

– Przepraszam! – rzuciła z zażenowaniem.

Uśmiechnął się samym kącikiem ust.

– Jedynie mi to schlebia.

Zamojska nie należała do osób, które czują się źle w ciszy, ale akurat dziś milczenie stawało się powoli uciążliwe. Zwłaszcza że Dziembała nie przypominał wyglądem żadnego ze znajomych ojca, z którymi ten spędzał swój wolny czas. Duży brzuch napierający na kierownicę zdradzał, że na pewno nie poznali się podczas gry w golfa. Podejrzewała, że w ogóle nie utrzymywali ze sobą kontaktu, aż do wczoraj. Gdyby było inaczej, prędzej czy później jego nazwisko wypłynęłoby podczas rozmowy.

– Skąd pan zna mojego ojca?

Mężczyzna ściszył radio.

– Kilka lat temu mój chłopak wpadł w złe towarzystwo. – Rzucił Lenie szybkie spojrzenie i z powrotem skupił się na drodze. – Głupi wiek, a ja wtedy ciągle byłem w robocie. Zorientowałam się, kiedy było już za późno.

Lena pokiwała głową. Standardowy scenariusz. Złe towarzystwo i dojrzewanie – nie trzeba było długo czekać, aż z takiej mieszanki powstanie coś, co nastreczy problemów.

– Co zrobił? – Poprawiła się na siedzeniu. Przestała ukrywać ciekawość.

– Włamanie z kradzieżą – odpowiedział mężczyzna. Jego ton sugerował, że tę historię opowiadał już niejedną raz. – Zrobił to, żeby popisać się przed towarzystwem, tyle że tamtym chłopakom udało się uciec, a mojego syna zatrzymali. Skończył siedemnaście lat, więc mógł odpowiadać jak dorosły. Groziło mu od roku do dziesięciu lat i gdy dowiedziałem się, że sprawą zajmie się sędzia Zamojski, spanikowałem.

Lena wiedziała, że jej ojca nazywano „Żyletą”. Jeśli chodziło o wymierzanie kary, bywał surowy, ale zawsze sprawiedliwy.

– Poprosiłem znajomego w policji, by załatwił mi spotkanie.

– Udało się? – O ile wiedziała, nie było to takie proste, a podejrzewała, że może i nie do końca legalne.

Dziembała przytaknęła.

– Tak. Przez lata pracowałem w policji i wyrobiłem sobie sieć kontaktów – wyjaśnił. – Gdy spotkałem się z pani ojcem, zawarliśmy męską umowę. – Nie odrywając wzroku od drogi, lewą dłonią pocierał brodę. – Miałem wyciągnąć syna z tego towarzystwa i zająć się nim, a gdyby ponownie coś zmalował, trafiłby do więzienia i dostał pełny wymiar kary. W tamtym przypadku skończyło się na nauce i pracach społecznych. Dobrze mu to zrobiło. Zmienił się.

Lena dostrzegła na jego twarzy uśmiech.

– Kilka miesięcy temu skończył architekturę, ożenił się, a teraz spodziewa się dziecka – dodał zadowolony. Chłopakowi się poszczęściło, Dziembała dobrze o tym wiedział. – Pani ojciec wyświadczył mi ogromną przysługę i nic nie spłaci tego długu.

Lena w milczeniu pokiwała głową i wyjrzała przez okno. Akurat minęli Koninki. Przed wyjazdem przeanalizowała mapę i teraz wiedziała, że są już za połową drogi. Według nawigacji powinni dotrzeć na miejsce w ciągu godziny.

Kiedy na przednią szybę spadły pierwsze krople, nie zdziwiła się. Na deszcz zanosilo się już od rana, jednak liczyła na to, że pogoda utrzyma się jeszcze przez kilka godzin.

– Słyszałem, co panią spotkało. – Dziembała uruchomił wycieraczki. – Rozpoznałem pani nazwisko w prasie. Nieciekawa historia. Przyznaję, że śledziłem tamtą sprawę z zawodowym zainteresowaniem.

Lena znieruchomiała, zastanawiając się, ile z tego, co ją spotkało, będzie musiała zdradzić, ale mężczyzna już zmienił temat:

– Przez telefon wspominała pani, że sprawę zakwalifikowano jako samobójstwo.

Odchrząknęła.

– Zgadza się. Samochód wypadł z drogi z dużą prędkością i uderzył w drzewo. Badanie techniczne wykluczyło usterkę, która mogłaby wytłumaczyć brak śladów hamowania. Oprócz tego w aucie nie znaleziono żadnych dowodów sugerujących, że z Marszałkowską podróżował ktoś jeszcze. Jedno pęknięcie w szybie po stronie kierowcy, powstałe od uderzenia głową. Świadców brak.

– Czyli nie stwierdzono żadnych usterek, które mogłyby być przyczyną wypadku. – To nie było pytanie, raczej analiza pod kątem przyszłej rekonstrukcji.

– Kobieta nie znajdowała się pod wpływem alkoholu ani narkotyków.

– Jak dojedziemy na miejsce, zapoznam się z ekspertyzą.

Lena zawahała się.

– Czy dobrze tak już na samym początku nastawiać się... – zaczęła ostrożnie.

– Broń Boże! – wszedł jej w słowo i roześmiał się głośno, a jego brzuch zatrząsł się jak galareta. – Potrzebuję pewnych informacji, które wykorzystam do ekspertyzy. Proszę się nie martwić, będę się opierał wyłącznie na dowodach. Chciała pani przeprowadzić jeszcze jedną ekspertyzę i tak to zrobimy. Porządnie, czyli od początku do końca.

Kiedy godzinę później zatrzymali się na poboczu, w miejscu, w którym wąski pasek drogi przechodził w zatoczkę autobusową, wyciągnęła z torebki teczkę z aktami i wręczyła ją mężczyźnie. Dziembała nie tracił czasu i od razu pochylił głowę, zagłębiając się w lekturze.

Lena nie miała zamiaru siedzieć i czekać, aż skończy. Z kubkiem termicznym w dłoni, który przygotowała sobie na podróż, wysiadła z samochodu i z ciekawością rozejrzała się po okolicy, porównując swoje wyobrażenia z rzeczywistym obrazem. Wokół panowała wczesna szaruga – typowy jesienny krajobraz, który doskonale współgrał z deszczem. Widok nie zaliczał się do wyjątkowych. Typowy krajobraz południa Polski.

Nasunęła kaptur na głowę i postawiła kołnierz dla ochrony przed wiatrem. Bezskutecznie. Piżdzi gorzej niż w Kieleckiem, przypomniała sobie powiedzenie, które często słyszała podczas wakacji u dziadków.

Deszcz nie był intensywny, ale bez nieprzemakalnej kurtki zmokłaby w ciągu kilku minut.

Po chwili ruszyła wzdłuż drogi. Z całą pewnością okolica nie należała do gęsto zaludnionych. W oddali majaczyło kilka zabudowań, ale tylko przy jednym z nich zauważyła typowo wiejski dodatek w postaci stodoły. I to byłoby na tyle.

Od zakrętu, na którym Weronika zjechała z drogi, dzieliło ją sto, może sto pięćdziesiąt metrów. Przyspieszyła kroku. Kiedy tam dotarła, zwróciła uwagę na wolnostojący dom po swojej lewej stronie, pozbawiony jakiegokolwiek ogrodzenia. Wyglądał na stary, zwłaszcza z powodu ciemnego koloru elewacji, która nawet pierwszego dnia musiała przedstawiać się nieciekawie. Minęła go, powielając trasę, jaką pokonało auto.

Drzewo, w które wbił się samochód, stało osamotnione na polu, oddalone od drogi o dokładnie dwadzieścia siedem metrów – wiedziała o tym z dokumentacji. Był to potężny kasztanowiec z szerokim pniem. Na gałęziach pozostała jeszcze większość liści, które niebawem zaczną opadać.

Podeszła bliżej i przesunęła dłonią po korze, szukając jakichś wgłębień. Jednak czas zrobił swoje; nie pozostał już żaden znak, że w tym miejscu ktoś zginął.

Przy polskich drogach często można było zauważyć krzyże i zapalone znicze

zostawione przez bliskich. O miejsce, w którym zginęła Marszałkowska, nie miał kto zadbać. Nie było krzyża, kwiatów, nie wspominając o prostym zniczu. Cała jej rodzina nie żyła.

Lena nie zwróciła uwagi na upływ czasu, dopóki nie usłyszała trzaśnięcia drzwi dobiegającego z oddali. Odkąd opuściła samochód, mogło minąć równie dobrze pół godziny, jak i kilka razy tyle. Niebo ciemniało, zagarniając coraz więcej szarości, do zachodu nie brakowało dużo czasu.

Odwróciła się i obserwowała, jak Dziembała wyciąga coś z bagażnika. Zarzucił to na siebie, a potem skierował się w jej stronę. Jak na mężczyznę takiej postury, poruszał się o dziwo lekko i szybko.

– I co teraz? – zapytała, kiedy znalazł się w zasięgu głosu. Miał na sobie starą wiatrówkę, z którą, sądząc po stopniu zużycia, był zżyty od bardzo długiego czasu.

– Jeszcze się porozglądam. W aktach znalazłem informacje o drodze, jej nachyleniu, rodzaju nawierzchni, zdjęcia z wypadku, ale teraz potrzebuję uzupełnić tę wiedzę o szczegóły, które mogą mi się przydać – wyjaśnił. – Jestem człowiekiem starej daty i zawsze osobiście oglądam miejsce, nie posiłkując się jedynie liczbami. Za chwilę wrzucę wszystkie dane do programu i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Myśli pan, że uda się... – Nie wiedziała, w jaki sposób poruszyć temat rozbieżności między pierwszą rekonstrukcją a jej dotychczasowymi ustaleniami.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Rekonstrukcja ma udzielić odpowiedzi na podstawowe pytania. Co było przyczyną wypadku? Czy kierowca mógł go uniknąć? Z jaką prędkością poruszał się samochód? Może również pomóc w ustaleniu, czy zaistniały jeszcze jakieś dodatkowe okoliczności.

Obszedł drzewo, a potem skierował się z powrotem w stronę drogi. Lena podążyła za nim.

– Po obejrzeniu zdjęć – kontynuował, słysząc za sobą jej kroki – już teraz mogę powiedzieć, że zgadzam się z technikiem w kwestii prędkości. Kobieta miała na liczniku jakieś siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy wbiła się w to drzewo.

Lena zdziwiła się.

– W jaki sposób się to oblicza? – odezwała się do jego pleców.

– Coraz popularniejsze stają się czarne skrzynki – odpowiedział, gdy myślała, że nie usłyszał jej pytania i miała je właśnie powtórzyć.

– Takie jak w samolotach?

Mężczyzna przytaknął, a potem rozejrzał się na boki, sprawdzając, czy nic nie jedzie, i wyszedł na drogę. Przykucnął i palcami przesunął po nawierzchni. Jeśli wcześniej zainteresowanie ze strony Leny mu pochlebiało, to teraz powinien być wniebowzięty, bo nie spuszczała go z oka, z zainteresowaniem obserwując każdy

jego ruch.

– Dokładnie. – Wyprostował się i wrócił na pobocze. – Takie skrzynki rejestrują między innymi prędkość, siłę hamowania i chociażby to, czy kierowca miał zapięte pasy. Niestety, w Polsce nadal stanowią nowość i dopiero wchodzą na rynek, zresztą tylko w autach niektórych marek. Marszałkowska miała dziesięcioletnią hondę. Kiedy nie dysponuje się czarną skrzynką, prędkość ustala się w oparciu o wygląd samochodu, czyli zdjęcia. Istnieje specjalna książka – rozwinął wążek – w której można zobaczyć różnice, jakie pojawiają się podczas uderzenia w zależności od prędkości samochodu. Ale doświadczenie też jest tutaj nieocenione. Po kilku latach w zawodzie nabiera się takiej wprawy, że sięga się po książkę tylko dla weryfikacji szacunków, i to nie zawsze. W życiu naoglądałem się tyle wypadków, że mam w głowie własny album.

Jeszcze raz spojrzął w kierunku domu przy zakręcie, a potem jego wzrok zatrzymał się na Lenie.

– Pójdę teraz do samochodu i wprowadzę dane do analizatora. Niedługo dowiemy się, jak było naprawdę.

Lena poszła za nim. Była zmarznięta i miała już dość deszczu, który przybrał na sile w ostatnich minutach, przemieniając się w ulewę.

Kiedy wsiedli do auta, Dziembała uruchomił laptopa i w milczeniu zabrał się do pracy. Lena początkowo wsłuchiwała się w ciszę i deszcz bębniący o dach, ale wystarczył kwadrans, by miała dość. Postanowiła się czymś zająć. Wyciągnęła z torebki notes i długopis, otworzyła na czystej stronie i zrobiła prosty rysunek terenu. Zaczęła od odwzorowania kształtu drogi: najpierw prosty odcinek, skręcający później w lewo, dom stojący przy zakręcie, a także drzewo. Starła się zachować proporcje odległości dzielących poszczególne punkty.

Spojrzała na swoje dzieło i lekko się skrzywiła. Jej zdolności plastyczne były mocno ograniczone, ale nie zdążyła nic poprawić, bo Dziembała zamknął klapę laptopa i spojrzął na swoją towarzyszkę.

– Wrzuciłem wszystkie dane – zaczął powoli. – I... wygląda mi to na samobójstwo.

Wypuściła głośno powietrze. A więc nie było tu czego szukać. Doktor się mylił albo po prostu chciał się wybielić. Prawda o przeoczeniu objawów była trudniejsza do zaakceptowania.

Wcześniej nie mogła odpuścić, ale teraz będzie musiała to zrobić i przyjąć prawdę, jakakolwiek by była.

– To wracamy do Krakowa – odparła i zapięła pas.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Zanim to zrobimy, chciałbym jeszcze przeprowadzić jedno badanie. Określamy to eksperymentem na miejscu zdarzenia – wyjaśnił. – Proszę wysiąść.

Nie zabrzmiało to jak prośba.

Lena zerknęła na niego, pewna, że teraz to już na pewno żartuje. Krople deszczu dosłownie grzmociły w dach, brzmiąc przy tym jak kulki wysypywane na drewnianą podłogę. W takich warunkach nawet zwierząt nie wygania się na dwór.

– Bez przesady! – zaprotestowała. – Jadę z panem. Nie wiem, po co robić z tego taki sekret. Nic nie zdradzę z tych tajemnych sztuk.

Dziembała wcisnęła sprzęgło i wrzuciła jedynkę.

– Nie o to chodzi. Eksperyment przeprowadza się w warunkach zbliżonych do tych, jakie panowały podczas wypadku, a teraz są więcej niż odpowiednie.

– No i?

– Nie będę pani narażał – odparł stanowczo. – Pokonam tę trasę z taką samą prędkością co Marszałkowska. A jest ciemno, kiepska widoczność, duża prędkość – wymieniał. – Pół kilometra wcześniej widziałem jakieś zadaszenie przy drodze. Wyglądało na przystanek. – I nim Lena zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: – Podrzucę tam panią.

Zamojska dopiero teraz dostrzegła w nim starego policjanta. Sposób mówienia, ton. Wiedziała, że nie miała wyboru, i skinęła głową. Bycie odstawioną na boczny tor nagle nabrało dla niej nowego znaczenia.

Parę minut później wysiadła z auta. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, Dziembała od razu wcisnęła pedał gazu. Obserwowała, jak zawraca na czymś podjeździe, a potem rusza w stronę, z której właśnie przyjechali. Nie spuszczała pojazdu z oczu, dopóki nie zniknął za zakrętem, i schowała się w środku. Kilka minut później z lewej strony wyłoniły się światła samochodu. Wyszła na pobocze, czekając, aż auto zwolni. Zorientowawszy się, że to nie Dziembała, z powrotem schroniła się pod wiatą.

Była zmęczona. Głównie z powodu napięcia, które towarzyszyło jej przez ostatnie tygodnie. Czowała, że się zagalopowała w poszukiwaniu... czego właściwie? A wszystko to na własne życzenie.

Kiedy zza zakrętu wyłonił się kolejny samochód, tym razem czekała, dopóki nie upewniła się, że to były funkcjonariusz. Pojazd zatrzymał się jednak obok niej, więc szybko wsiadła do środka z mocnym postanowieniem zostawienia tego wszystkiego za sobą.

– No to mamy jasność. – Usłyszała, gdy sięgnęła po pasy.

Mógł to już sobie odpuścić, pomyślała, lecz tylko zacisnęła usta.

– To było samobójstwo. – Postanowiła, że najlepiej będzie, jak sama wypowie te słowa na głos.

Kiedy mężczyzna nie odpowiedział, odwróciła głowę, zdziwiona przedłużającym się milczeniem. Jedynym źródłem światła były wskaźniki na desce rozdzielczej. Nie wystarczały, by mogła zobaczyć jego twarz.

Odsunęła włosy, które opadły jej na policzek i gdy miała się odezwać, mężczyzna powiedział:

– Miała pani rację! – Jego głos zdradzał podniecenie. – To wcale nie było samobójstwo!

ROZDZIAŁ 27

KOLEJNE GODZINY, jakie minęły od spotkania z Mauerem, Jakub i Tomek spędzili na przepychankach. To z systemem, to z ludźmi, którzy nie chcieli współpracować. Tyczyło się to zwłaszcza właściciela baru, który z chwilą, gdy zapytano go o umowę Samczuka, przestał być pomocny. Nagle jakby zapomniał języka w gębie, a policjanci nie mieli go nawet jak zmusić, bo nie miał informacji, na których im zależało. Musieli sobie radzić w inny sposób.

Dopóki nie mieli pewności, że chłopak jest drugą ofiarą, nie chcieli zawiadamiać rodziny. Rozdzielili się. Po wyjściu z baru Wroński pojechał na uczelnię, by znaleźć wydział, na którym Paweł studiował, a potem w dziekanacie sprawdzić jego dane, adres zameldowania i, jeśli szczęście by im dopisywało, także ten do korespondencji, pod którym najprawdopodobniej mieszkał. Niestety, rok akademicki jeszcze się nie rozpoczął, a odpowiedni dziekanat w tym dniu był nieczynny. Wroński miał jeszcze sprawdzić konta Samczuka na portalach społecznościowych. Znajomi i zamieszczone tam zdjęcia mogły pomóc w ustaleniu adresu ofiary, ale największym problemem takiej formy poszukiwań był czas. Kiedyś słowo „znajomi” oznaczało coś więcej, teraz dominowały powierzchowne relacje. Wystarczyło jednorazowe spotkanie, poznanie kogoś w sklepie w kolejce po mleko, by grono cyfrowych znajomych się powiększyło. Przekopanie się przez liczne profile, odsianie tych, którzy mało co wiedzieli na temat konkretnej osoby, było niezwykle żmudnym zajęciem. Dlatego jeśliby do tego doszło, Tomasz miał wziąć do pomocy Kaperę – policyjną informatyczkę, z którą pracowali przy okazji innych spraw. Dysponowała większymi pokładami cierpliwości niż on.

Zagórski podszedł do problemu z ustaleniem adresu ofiary od innej strony. W tym celu musiał się skontaktować z prokuratorem.

Większość studentów, wynajmując mieszkania, podpisywała umowy z dostawcą Internetu. Gdyby Samczuk takową podpisał, mieliby z górki. Jedynym, ale za to dość konkretnym problemem było zdobycie nakazu prokuratorskiego, który zwalniał operatorów z zachowania tajemnicy. I to na załatwianiu formalności zeszło Zagórskiemu najwięcej czasu.

Gdy Wroński i Kapera kończyli odfajkowywać pierwszą połowę znajomych z konta Samczuka w serwisie społecznościowym, Jakub opuszczał właśnie budynek prokuratury.

W Krakowie istniało tak naprawdę tylko dwóch liczących się na rynku dostawców i to właśnie od nich chciał zacząć. Wizyta u pierwszego okazała się tylko stratą czasu, w oddziale drugiej firmy dopisało mu jednak szczęście. Samczuk zawarł umowę niecały miesiąc temu i tylko dlatego udało się ustalić jego adres. Zapewne wcześniej umowa była spisana na innego lokatora.

Zbliżała się siedemnasta, kiedy Zagórski zgarnął Tomka z komendy.

– Co za dzień – westchnął Wroński, wsiadając do auta. – Gdybym wiedział, że będę woził tyłek autobusem po całym mieście, wziąłbym samochód. Dwie godziny spędziłem na samych dojazdach.

– Najważniejsze, że znamy adres.

Wręczył koledze kopię umowy, którą otrzymał od dostawcy Internetu, i włączył silnik.

Musieli podjechać w jeszcze jedno miejsce, dlatego przed przyjazdem na komendę Jakub zadzwonił do Dagmary poinformować, że do stolicy dotrze później, być może nawet nazajutrz. Wszystko zależało od tego, jak sprawnie pójdzie im w mieszkaniu Samczuka.

Gdy wyjechali na Mogiłską, Tomek szybko przebiegł wzrokiem po umowie. Adresy zamieszkania i zameldowania były różne. Samczuk przyjechał do Krakowa na studia, a wcześniej mieszkał w Żyrardowie, miejscowości oddalonej od Warszawy o jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

Dochodziła piąta i zaraz po serwisie informacyjnym usłyszeli zapowiedź następnego utworu. Pierwsze takty *London Calling* zespołu The Clash popłynęły na skrzyżowaniu alei Mickiewicza z Czarnowiejską.

Mauer się nie mylił, pomyślał Jakub, wracając do sprawy. Samczuk faktycznie mieszkał na Bronowicach. Zagórski przynajmniej raz w miesiącu bywał w tej okolicy, gdy odwiedzał ojca poległego przyjaciela z wojska, i orientował się w topografii na tyle, by wiedzieć, gdzie znajduje się ulica Olkuska.

Niespełna parę minut później skręcili na skrzyżowaniu w lewo, mijając żółty budynek straży pożarnej. Po chwili dotarli na miejsce i zatrzymali się na parkingu pod blokiem. Wysiedli i skierowali się do właściwej klatki schodowej. Numery mieszkań wypisano na domofonie.

Jakub wcisnął odpowiedni guzik i czekał. Jedynym znakiem, że coś się

dzieje, był cichy dźwięk połączenia. Gdy nikt nie odebrał, zadzwonił jeszcze raz. Bez skutku.

Zrobił kilka kroków w tył, podniósł głowę i spojrzał na okna na czwartym piętrze. Do zachodu słońca brakowało jeszcze około godziny, ale tego dnia niebo było pochmurne i ciemne, dzięki czemu nie miał problemu ze sprawdzeniem, czy ktoś jest w domu. Światła były pozapalane już od drugiego piętra.

– Ktoś na pewno jest. – Tomek doszedł do tych samych wniosków.

– Na to wygląda.

Zagórski ponownie podszedł do domofonu i wybrał pierwszy z brzegu numer. W końcu ktoś musiał im otworzyć. Powtórzył to samo z następnym mieszkaniem.

– Halo? – Głos po drugiej stronie brzmiał, jakby jego właściciel dopiero zwłóknął się z łóżka.

– Policja – rzucił Jakub. – Proszę otworzyć drzwi.

– Jasne... – Zanim Zagórski zdążył coś dopowiedzieć, mężczyzna trzasnął słuchawką.

Jakub zerknął na Tomka.

– Dasz wiarę? – zapytał, gotów jeszcze raz wybrać ten sam numer i naprostować faceta.

– Poczekaj! Mam lepszy pomysł.

Teraz to Tomek wybrał numer mieszkania. Ku irytacji Zagórskiego, tym razem już po drugim sygnale odezwał się miły kobiecy głos.

– Dzień dobry, kurier – odezwał się Wroński, głupekowato uśmiechając się do kolegi. – Mam dla pani przesyłkę.

Dźwięk otwieranych drzwi zastąpił odpowiedź.

Jakub w milczeniu pokręcił głową i wszedł za Tomkiem do klatki schodowej. Brak poszanowania instytucji i ogólna degrengolada społeczeństwa sprawiały, że funkcjonariusze musieli uciekać się do różnych sposobów.

Skorzystaliby z windy, by dostać się na czwarte piętro.

Wroński walnął pięścią w drzwi, za nic mając dzwonek na ścianie po lewej stronie.

– Kurwa! – Do ich uszu dotarł męski głos. Po chwili na pustej klatce schodowej rozległy się dźwięk otwieranych zamków i pomstowanie: – Nie jestem twoim pieprzonym portierem i lepiej, żebyś w końcu to...

Chłopak nie dokończył, zastygając z otwartymi ustami. Szczęka opadła jeszcze niżej, jakby nie radziła sobie z grawitacją. Przyjechał do Krakowa trzy lata temu; był to wystarczająco długi okres, by bez problemu rozpoznać psy w cywilnym ubraniu. Zwłaszcza po tyłu serialach kryminalnych, które pochłaniał pomiędzy zajęciami.

– O kurwa! – mruknął raz jeszcze i nerwowym ruchem przesunął dłonią po

tlustych włosach, przyciskając je mocniej do głowy. Zrobił tak kilka razy, a następnie wytarł dłonie o nogawki sztruksów, które mimo sprania prezentowały się o niebo lepiej niż ich właściciel.

Jakub miał tego dość. Po całym dniu użerania się z ludźmi nie miał ochoty na zabawę z chłopaczkiem, którego zasób słów był mocno ograniczony.

– Powtórz to jeszcze raz, a potraktuję to jak osobistą zniewagę – powiedział, gdy tamten chciał coś dodać. – Rzucanie inwektywami w funkcjonariusza policji nie jest mądrym pomysłem.

Ostatnie słowa przyniosły efekt i chłopak równocześnie wykonał dwie czynności. Zamknął rozdziawione usta tak szybko, że zęby stuknęły nieprzyjemnie, a także przymknął lekko drzwi, by w szparze zmieściła się jedynie jego głowa.

Jakub już wcześniej wyczuł słodkawy zapach marihuany, przymknięcie drzwi dużo nie pomogło. Młody chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo wyglądał, jakby sam nie wiedział, co zrobić: biec do toalety i puścić pawia czy też zamknąć gościom drzwi przed nosem. Zdecydował się pozostać w miejscu.

Zagórski pokazał legitymację i przedstawił siebie oraz Wrońskiego. Zaraz potem usłyszał, jak z mieszkania naprzeciw dochodzi szuranie i ktoś majstruje przy drzwiach. Ktokolwiek tam mieszkał, starał się być na bieżąco z wydarzeniami na piętrze.

– Chcielibyśmy porozmawiać z właścicielem lokalu. – Jakub schował legitymację do kieszeni.

Młody przełknął ślinę i jeszcze mocniej zacisnął dłonie na drzwiach.

– Moich starych nie ma. Są za granicą. – Grdyka podskakiwała mu nerwowo. – Mieszkamy tu w kilka osób.

– Możemy wejść?

Pytanie go przeraziło. Myśl, że miałby wpuścić psy do mieszkania, gdzie było szaro od trawki, wystarczyła, by zrobiło mu się słabo. Nie wiedzieć czemu bardziej martwiła go wizja rozczarowanego ojca i ewentualnej awantury, która zapewne doprowadziłaby do zakręcenia kurka z pieniędzmi, niż problemy z policją.

Przestępował z nogi na nogę, gorączkowo rozmyślając.

– Masz dwa wyjścia. – Wroński się uśmiechnął.

Chłopak odwrócił wzrok do gościa, który wyglądał, jakby w tyłku miał schowany kij, i spojrzał na drugiego policjanta, sprawiającego lepsze wrażenie. Odetchnął. Może niepotrzebnie panikował?

– Albo wpuścisz nas do środka – kontynuował tamten tonem miłej pogawędki – i porozmawiamy na temat, który nie ma nic wspólnego z ziołem w twoim domu, albo – podniósł głos – pogadamy tutaj o tym, co palisz. Wszystko zależy od ciebie.

Celowo nie wspomniał o konsekwencjach prawnych, nie chciał od razu

sięgać po najmocniejszy argument. Zależało im na współpracy z chłopakiem, a Tomek z doświadczenia wiedział, że przebiega ona znacznie lepiej, gdy rozmówca nie jest całkiem przyparty do muru.

– Jestem pewien, że sąsiedzi wszystko usłyszą, a rodzice będą na bieżąco! – Zaryzykował, kciukiem wskazując mieszkanie za swoimi plecami. – Zatem...

Nim skończył, chłopak mocno pchnął drzwi, otwierając je na całą szerokość. Wroński wybrał odpowiednią metodę nacisku. Młodzi coraz częściej mieli w dupie autorytety, tym lepiej, że tutaj akurat podziałało i zaoszczędziło im czas.

– Zapraszam – wycedził amator zioła i odsunął się, by zrobić przejście.

Zagórski pierwszy przekroczył próg mieszkania i po chwili zatrzymał się na środku przedpokoju. Zapach był powalający – smród przypalonego starego jedzenia i licznych tenisówek, zalegających wzdłuż jednej ściany w połączeniu z ewidentnym brakiem higieny lokatorów tworzył dużo gorszą mieszankę niż niektóre wyziewy z prosektorium. Z tego wszystkiego opary trawki z całą pewnością można było zaliczyć do najlepszych.

Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy Tomek zamknął drzwi i w małym przedpokoju zapanowała ciasnota. Jakub otworzył usta, mając nadzieję, że wrażliwością na zapachy nie zaraził się od Wrońskiego. Tego by jeszcze brakowało. Na komendzie jechaliby po nich jak po łysej kobyle.

Starł się skupić na sprawie.

– Nazwisko?

– Bartłomiej Nowak.

– Szukamy Pawła Samczuka.

Jakub nie chciał już na początku zdradzić się z informacją, że chłopak najprawdopodobniej nie żyje. Na pewno nie osobie, która od pierwszego wejrzenia wywoływała w nim niechęć. Znał się trochę na ludziach i był niemal pewien, że gdy tylko zamkną się za nimi drzwi, Nowak puści tę informację dalej. Żadni rodzice nie zasługiwali, by o śmierci dziecka dowiadywać się z gazet. A już na pewno nie rodzice Samczuka, którzy będą musieli zmierzyć się z traumą – utratą syna – a także szokiem związanym ze sposobem, w jaki zginął.

Chłopak odetchnął z ulgą.

– To trzeba było tak od razu! – zawołał z uśmiechem. – Cicha woda brzegi rwie – dodał, wyraźnie zadowolony z takiego podsumowania, ale pod miazdzącym spojrzeniem komisarza szybko się opamiętał i na powrót przybrał poważną minę, przynajmniej w jego mniemaniu. – Nie widziałem go od kilku dni.

– Mijaliście się? – spytał Wroński, rozglądając się po przedpokoju.

Nowak wzruszył ramionami, a słodki, duszący smród potu trafił Zagórskiego prosto w twarz. Wstrzymał na chwilę oddech. Trup w zaawansowanym stanie rozkładu nie działał tak na jego zmysły jak ten odór płynący od młodego człowieka.

– Pewnie tak – zgodził się Nowak, nieświadomy szkodliwego wpływu, jaki wywiera na otoczenie. – Paweł dzieli swój czas na studia i pracę w barze. Gdy wraca do domu, zaszywa się w pokoju i nikomu nie przeszkadza.

– Tobie może nie. A innym? Wspominałeś, że mieszkacie tu w kilka osób.

Młody wzruszył ramionami i schował dłonie do kieszeni, tak głęboko, że spodnie zsunęły mu się z bioder kilka centymetrów.

– Nie było żadnych skarg.

– Z nimi także chcielibyśmy porozmawiać – odezwał się Wroński, licząc na to, że kolejne opinie rzucą więcej światła na sprawę.

Nowak szybko zniweczył jego plany.

– Jeszcze nie przyjechali, do rozpoczęcia roku zostało trochę czasu. Przez całe wakacje byliśmy w mieszkaniu tylko we dwóch.

Zamilkł, zrobił krok do tyłu i oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersiach. Zagórski prawie westchnął z ulgi i na powrót zaczął oddychać. Wtedy też doszedł go powiew chłodnego powietrza. W korytarzu nie było żadnego okna, więc musiało się przesączać z któregoś z zamkniętych pokoi, z wąskiego na centymetr przesmyku między drzwiami a podłogą.

– Płaci regularnie. Lepszego współlokatora nie mógłbym znaleźć – dodał Nowak, szczerząc poźółkle zęby.

Zagórski był prawie pewien, że Samczuk nie powiedziałby tego samego o stojącym przed nim facecie.

– Nie masz nic przeciwko, że się rozejrzemy? – zapytał po chwili.

Student ochoczo pokiwał głową, podszedł do pokoju znajdującego się tuż przy wejściu i nacisnął klamkę.

– Rozgoście się.

Jakub pchnął drzwi i mógł w końcu zrobić głęboki wdech. Z powodu otwartego okna w pokoju było zimno. Słupek rtęci na termometrze zawieszonym na prostym gwoźdźniku wbitym w futrynę zatrzymał się na piętnastu stopniach. Najwyraźniej Samczuk zostawił otwarte okno parę dni temu, nie przeczuwając, że już nigdy nie wróci.

– Już wiem, dlaczego tyle buliliśmy za ogrzewanie w zeszłym roku. – Nowak rzucił się przed mężczyzn i zamknął okno. – Ciągle tylko wietrzy, a opłaty idą w górę.

Zagórski był przekonany, że zacytował wypowiedź swoich rodziców. Słowa zupełnie do niego nie pasowały.

– Rozglądajcie się, ile chcecie, ale moim zdaniem nie ma tu nic ciekawego.

To powiedziawszy, usiadł na fotelu na kółkach, a potem, odepchnąwszy się, przejechał na nim przez środek pokoju.

– Co Samczuk zrobił? – zapytał, zatrzymując się tuż przy kaloryferze.

Ani Jakub, ani Tomek nie zadali sobie trudu, by odpowiedzieć,

skoncentrowani na pracy. Pomieszczenie było średniej wielkości – miało jakieś dwanaście metrów kwadratowych – i stosunkowo przestronne. Niestety, całość wyglądała jak z garażowej wyprzedaży sprzed dwudziestu lat. Mimo że spora szafa zajmowała prawie całą szerokość jednej ze ścian, większość ubrań leżała na zewnątrz, pokrywając każdą wolną przestrzeń.

Rozglądali się po reszcie pokoju, próbując znaleźć coś, co mogłoby wytłumaczyć śmierć studenta. Jakiś znak, informację, która wiązałaby go z mordercą. Gdzieś kryła się odpowiedź, a odnalezienie jej było tylko kwestią czasu.

Uwagę Wrońskiego zwróciły dwa haczyki tuż nad pozbawionym firanki oknem. Na jednym z nich był zawieszony gruby koc. Nie wiedział, do czego mógł służyć. Albo Samczuk miał problemy ze snem i przed pójściem spać przygotowywał sobie odpowiednie warunki, albo chciał wyciszyć hałas dochodzący z ruchliwej ulicy. Innych możliwości Tomasz nie widział.

Jakub też zwrócił uwagę na tę dziwną aranżację przy oknie, jednak na nim, jako na osobie przywiązanej do porządku, widok ubrań porzrzucanych na podłodze i meblach robił gorsze wrażenie.

Trafił swój na swego, pomyślał, lustrując wzrokiem bałagan, jaki panował w pokoju. Usłyszał dziwny dźwięk, coś jakby fuknięcie, i rozejrzał się wokół, poszukując źródła. Po chwili zmarszczył czoło, gdy przekonał się, że to Tomek.

– Co to za zapach? – Wroński odwrócił się do Kuby, ponownie wykonując wdech i szybki wydech. – Czujesz to?

Jakub odgonił dłonią muszki owocówki, których w pokoju było pełno. Najwyraźniej psujący się gdzieś owoc przyciągnął malutkie i upierdliwe owady.

Zrobił głęboki wdech przez nos.

Faktycznie, Wroński miał rację. W powietrzu unosił się jakiś dziwny zapach. Nieprzyjemny, bardziej chemiczny. Początkowo z powodu otwartego okna był niewyczuwalny, ale kiedy odcięto dostęp świeżego powietrza, stawał się intensywniejszy. Chemikalia połączone z czymś kwaśnym.

Zagórski spojrzał na Nowaka, który nie spuszczał z nich wzroku. Małe ciemne oczka śledziły każdy ich ruch.

– Skąd ten zapach? – zapytał go Jakub.

– Samczuk zrobił sobie tutaj ciemnię. – Bartek podniósł się z fotela i podszedł do szafy. – Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że tu zaglądałem.

Przesunął drzwi. Chciał powiedzieć coś więcej, ale dźwięk telefonu wywabił go z pokoju. Wroński przysunął się bliżej i także zerknął do środka. Zapach środków chemicznych był intensywniejszy niż wcześniej.

– O cholera!

To, co zobaczyli we wnętrzu szafy, wyglądało na doskonale zaplanowane miejsce pracy. Połowę zajmowały półki, a przez drugą przechodził poprzeczny

uchwyt na wieszaki i aż do samej podłogi nie było tam żadnej przegrody; to miejsce wykorzystywano pewnie jako schowek na większe rzeczy.

Samczuk przerobił wnętrze, dostosowując je do swoich potrzeb. W trzech półkach zdemontował boczne ścianki, by stojąc obok, mógł do nich sięgnąć bez wychodzenia z szafy. Na każdej z półek znajdował się pojemnik wyglądem przypominający kuwetę, jakiej używa się podczas malowania ścian wałkiem. Różniły się kolorami i zapewne pełniły inne funkcje.

Zagórski nie znał się zbyt dobrze na wywoływaniu zdjęć, ale kojarzył, że należało użyć trzech substancji: wywoływacza, przerywacza i utrwalacza. Samczuk zastosował do przerywania ocet, co tłumaczyło kwaśny zapach i rój muszek w pokoju. Nagle rozwiązała się także zagadka koca zwisającego przy oknie.

Jakub wykorzystał okazję, że nie ma z nimi Nowaka, i wszedł do szafy. Rozejrzał się po wnętrzu, starając się postawić na miejscu studenta. Chłopak przerobił mebel pod swój wzrost i komisarz musiał się schylać, by się zmieścić, dlatego w pierwszym momencie nie zauważył, co zostało przyklejone do spodniej części półki, tuż nad nim.

Było tam kilka zdjęć.

Zagórski zmrużył oczy, próbując coś na nich zobaczyć.

– To Zamojska? – odezwał się Tomek, wciskając głowę do środka wnęki.

Oderwawszy zdjęcia, Jakub wyszedł z szafy, zapalił światło w pokoju i przyjrzał się im. Choć czarno-białe, nie miał wątpliwości, że naprawdę przedstawiały Zamojską. Stała przy przejściu dla pieszych i rozglądała się. Obok niej znajdowały się także inne osoby, ale sposób, w jaki zrobiono fotografie, nie pozostawiał wątpliwości: to ona stanowiła cel.

– Co Lena tu robi? – Wroński nie wiedział tego, co Zagórski.

– Mówiła mi, że czuje się obserwowana, a ja zbagatelizowałem sprawę...

– Poczekaj! – przystopował go kolega. – Zaczynaj od początku.

Jakub spojrzał na Tomka.

– Parę dni temu przyszła do mnie – powiedział powoli. – Chciała porozmawiać o Kamforze, o poszukiwaniach, które wznowiliśmy na wiosnę. Miała obawy, że Marszałkowski mógł przeżyć, bo niedługo po powrocie do Krakowa poczuła się obserwowana, dostawała także głuche telefony.

Jakub pominął wątek PTSD. To była prywatna sprawa Leny i nikomu nie zamierzał o tym mówić. Nawet Wrońskiemu.

– I myślała, że to Kamfora? – upewnił się Tomasz. Jego głos zdradzał niedowierzanie. – Przecież gość od dawna szoruje dupą po mule.

Zagórski skinął głową. Tylko na tyle było go stać. Był tak wkurwiony na siebie, że wołał się teraz nie odzywać. Pochylił się i zerknął do wnętrza szafy, przeszukując pozostałe miejsca. Po chwili znalazł jeszcze inne zdjęcia z Leną w roli głównej.

Skoncentrowany na nowym odkryciu, nie zauważył, że Tomek podważył długopisem pokrywę kartonowego pudła i zajrzał do środka.

– Zobacz tutaj! Wygląda na to, że Samczuk po prostu lubił sobie poobserwować.

Jakub pochylił się i zerknął do środka kartonu wypełnionego stosem zdjęć. Na fotografiach znajdowało się wiele innych kobiet.

– Czyli Lena nie była jedyna.

– Ciekawe, jak ją wyhaczył?

Zagórski westchnął, czując ciężar wyrzutów sumienia. Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować.

– Mieszkali niedaleko. Po powrocie do Krakowa Lena zamieszkała po drugiej stronie Armii Krajowej, na Lea, więc mógł trafić na nią na ulicy.

Skupieni na rozmowie, nie zwrócili uwagi na to, że w sąsiednim pokoju ucichła rozmowa i do pokoju wrócił Nowak. Został policjantów kucających przy szafie. Całe jego rozbawienie zniknęło, a drobiazgowość gości zaczęła mu przeszkadzać. Co innego tylko się rozglądać, a co innego myszkować. Przecież był gospodarzem mieszkania i pod nieobecność Pawła musiał zadbać o jego dobro!

– Co wyprawiacie?

Jakub wyprostował się.

– Przypadkowo trafiliśmy na te zdjęcia i teraz je zatrzymamy. Są istotne dla dalszego przebiegu śledztwa.

Nowak zmarszczył brwi.

– Możecie tak zrobić? – Mając w pamięci wyniesioną z filmów wiedzę, dodał jeszcze: – Nie potrzebujecie jakiegoś nakazu?

– Nie potrzebujemy i nazywa się to zatrzymanie na legitymację.

Nowak w dalszym ciągu nie wyglądał na przekonanego.

– Ale jak wytłumaczę to Pawłowi? Będzie myślał, że to ja mu grzebałem!

A więc o to chodzi, pomyślał Wroński. A już nabierał przekonania, że chłopak zaczął się troszczyć o innych.

– Dasz sobie radę – odparł krótko Kuba. – Spiszemy teraz protokół. Będą tam nasze numery legitymacji, zostawimy ci kopię. Oryginał wraz ze zdjęciami trafi do prokuratury.

Samo wspomnienie o prokuraturze wystarczyło, żeby grdyka chłopaka poszła w ruch. Przypomniawszy sobie, dlaczego ich wpuścił. Ostatnie dziesięć minut spędził na wietrzeniu mieszkania i pozbył się charakterystycznego zapachu, lecz nie mógł mieć pewności, czy policjanci dotrzymają słowa.

– Ale...

– Nie wspomnimy o trawce – rzucił Wroński. – Lecz całkiem możliwe, że będziemy musieli przyjechać ponownie i spisać zeznania.

Nowak skinął głową, szybko dokonując kalkulacji zysków i strat. Podpisze,

co będą chcieli, byle tylko nie miał problemów. W końcu gdyby Samczuk nie złamał prawa, na pewno nie rekwirowałiby jego rzeczy, tłumaczył sobie, obserwując mężczyzn przy pracy.

BYŁO JUŻ CIEMNO, kiedy detektywi wyszli z bloku. Zagórski z przyjemnością powitał pełne zanieczyszczeń krakowskie powietrze i zrobił głęboki wdech.

Tomek wyciągnął paczkę papierosów z tylnej kieszeni spodni.

– Ktoś musi powiadomić rodziców. – Odpalił jednego zapalniczką. Zaciągnął się. – Zadzwoń do dyżurnego z Żyrardowa. Niech to załatwi.

Jakub zerknął na zegarek. Wolał załatwić to w inny sposób.

– Nie trzeba. Jadę dzisiaj do Warszawy, do Dagmary. Spędzimy tam weekend.

Wroński wiedział, że Kuba ma plany, bo ten już w połowie tygodnia poprosił go, by przez dwa dni zajął się Saburim. Teraz w końcu poznał powód.

– Po drodze zatrzymam się w Żyrardowie.

– Będą musieli przyjechać na rozpoznanie. – Tomek zaciągnął się papierosem.

– Wiem. Po tym, co mamy, to tylko formalność, ale masz rację. Któreś z nich będzie musiało się tu pojawić.

– Masz w ogóle pomysł, o co w tym wszystkim chodzi? – Wroński wydmuchał dym nad ich głowami. – Mamy dwa ciała, jednego mordercę i wiemy, że młodszy z gości był stalkerem.

– Może starszy też lubił obserwować kobiety, chodzić za nimi? – zastanawiał się głośno Jakub. – W kartonie znaleźliśmy zdjęcia siedmiu kobiet i każdą z nich będziemy musieli prześwietlić. Myślę, że gdzieś tam kryje się odpowiedź. Coś, co łączy ofiary.

Tomasz potarł brodę.

– Wątków jest sporo. Nie sądzę, żeby któraś z kobiet mogła ich zabić. Przynajmniej nie osobiście. Do przeniesienia ciał potrzeba było sporo siły. Prędzej stawiam na partnera, brata, a nawet ojca. Ktoś mógł zainterweniować, sam wymierzyć sprawiedliwość, gdy zawiodły inne próby ukrócenia sprawy.

Jakub widział jeszcze inne rozwiązanie.

– Kobieta mogła brać w tym udział pośrednio. Trzeba będzie jeszcze sprawdzić ogłoszenia. Może któraś złożyła doniesienie?

Lena to zrobiła, pomyślał, po raz kolejny wytykając sobie, że zbagatelizował jej problemy. Ale do tego jeszcze wróci. Chciał z nią porozmawiać, wyjaśnić, co się stało.

– Będę już jechał. – Właśnie do niego dotarło, że zrobiło się późno. – Po drodze wstąpię do prokuratury i podrzucę dowody oraz protokół. W poniedziałek

wrócimy do pracy.

Tomasz przytaknął. Zaciągnął się ostatni raz, zgasił papierosa i wyrzucił go do kosza. Szkolenie Zagórskiego przynosiło efekty.

– Podrzucić cię na przystanek?

– Nie, pieprzę to. Zamówię taksówkę. – Wroński schował dłonie do kieszeni.

– Jedzenie dla Saburiego zostawiłeś na wierzchu?

– Tak, tylko nie pozwól mu wejść sobie na głowę. Chyba pamiętasz, jak skończyło się ostatnim razem?

Tomasz miał do zwierząt ambiwalentne podejście, co pies Zagórskiego wyczuwał z daleka, podobnie jak i kielbasę. Jak na razie ich relacja koncentrowała się na próbie zdominowania drugiego osobnika.

– Nie bój się. Nie poznasz psa, jak wrócisz.

– Tego się właśnie obawiam – wymamrotał Jakub, ruszając przed siebie.

Po raz drugi tego dnia skierował się na Mosiężniczą. Jak na tę porę przystało, kierowcy kwitli w swoich samochodach w długich korkach, ale tego dnia ruch był wyjątkowo wzmożony. Zagórskiemu dotarcie do prokuratury zajęło ponad godzinę. A wiedział, że czeka go jeszcze przeprawa ze zdaniem materiałów. Kiedyś myślał o sobie, że jest formalistą. Praca w policji szybko uświadomiła mu, że się mylił.

Westchnął. Nie miał wyjścia i musiał przełożyć wyjazd na jutrzejszy poranek. Podejrzewał, że skoro drogi w Krakowie są zakorkowane, na innych nie będzie dużo lepiej. Deszcz zawsze spowalniał ruch. Lecz to nie warunki były powodem zmiany zdania, a przystanek w Żyrardowie.

Kiedy zaparkował przed budynkiem prokuratury, sięgnął po komórkę i wybrał numer Zamojskiej. Stojąc w korku, próbował dodzwonić się już wcześniej, ale kobieta wciąż nie odbierała, dlatego tym razem, gdy pojawił się sygnał nagrania, odezwał się:

– Lena, miałaś rację...

Kiedy skończył mówić, rozłączył się i wyjął zdjęcia, na których była Zamojska. Przyjrzał im się po raz ostatni przed zanieśieniem ich do prokuratury. Pamiętał z wcześniejszego przeglądania, że przedstawiały ją w różnych miejscach. Niektóre były zrobione wieczorem, inne za dnia.

Zmarszczka na czole pogłębiała się, im dłużej przyglądał się fotografiom. Czuł, że coś przeoczył. Wierzył intuicji, zwłaszcza że tyle razy przydała mu się w życiu, i gdy dotarł do ostatniego zdjęcia, po raz kolejny wrócił wzrokiem do lewego górnego rogu.

Po chwili znalazł to, co nie dawało mu spokoju. Tym razem intuicja podpowiadała mu to, czego nie dostrzegły jeszcze oczy. Dlatego zamiast wysiąść z samochodu i zanieść dowody na drugie piętro, przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił wsteczny. Musiał coś sprawdzić.

Wobec zmiany planów i tak nie miał nic lepszego do roboty.

Sobota, 26 września

ROZDZIAŁ 28

W OSTATNIM CZASIE MYŚL, że mogłaby spać do dziesiątej, pozostawała jedynie w sferze jej marzeń. Sam fakt nocy bez koszmarów czy innych problemów zasługiwał na wyróżnienie, a co dopiero, kiedy sen trwał nieprzerwanie blisko osiem godzin.

Gdy rozległ się dźwięk jej komórki, z opóźnieniem dotarło do niej, że to rzeczywistość dopomina się o uwagę. Nie mogąc dłużej udawać, że nie słyszy coraz głośniejszej melodii, w końcu wstała z łóżka i dotarła do przedpokoju.

Wyciągnęła komórkę z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Oprócz Fabiasza, który próbował skontaktować się z nią jako ostatni, miała trzy nieodebrane połączenia, z czego dwa pochodziły od Zagórskiego.

Lena zmarszczyła brwi. Od ostatniego spotkania nie mieli ze sobą kontaktu. Przeszła do salonu i usiadła na kanapie, podciągając nogi pod siebie, a następnie wybrała numer Kuby. Była zaintrygowana tym, co miał jej do powiedzenia, lecz gdy naliczyła dziesiąty sygnał, rozłączyła się. Podejrzewała, że Zagórski mógł mieć różne miłe sposoby na spędzanie sobotniego przedpołudnia. A przynajmniej wiedziała, co sama by robiła, gdyby miała z kim.

Okazało się, że na komórce miała jeszcze dwie wiadomości. Pierwszy esemes informował o wysokości rachunku za telefon, a drugi o nowym nagraniu na poczcie głosowej.

Lena postąpiła zgodnie z instrukcją i po chwili usłyszała głos Zagórskiego. Z charakterystyczną dla niego manierą pominął powitanie, przechodząc do sedna,

jakby dopiero co skończyli rozmawiać.

– Lena! Miałaś rację... – W ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin już dwa razy słyszała tę frazę.

W milczeniu wysłuchiwała całego nagrania. Krótkiego, bo trwającego około pół minuty. Głos Jakuba urywał się w połowie słowa, lecz to jego wcześniejsza wypowiedź wyostrzyła jej zmysły, unieruchamiając ją w podobny sposób jak podczas zagrożenia.

Przez ostatnie dni nieustannie sobie powtarzała, wręcz wmawiała, że nikt jej nie obserwuje, a głuche telefony są czystym przypadkiem. A jednak teraz Jakub skłonny był przyznać, że poprzednio się nie myliła.

Wcisnęła przycisk ponownego wybierania i jeszcze raz odsłuchiwała nagranie.

– Lena! Miałaś rację, że ktoś cię śledzi... – zaczął Jakub. Usłyszała w tle radio i głos redaktora, który brzmiał na tyle niewyraźnie, że można go było wziąć za szum. – Natrafiłem na to przy okazji. Prowadzimy sprawę chłopaka znalezionego na budowie. Nie chcę wnikać teraz w szczegóły, ale dotarliśmy do jego mieszkania i znaleźliśmy tam zdjęcia kilku kobiet, w tym twoje. Zrobione z ukrycia w różnych miejscach. Na ulicy, pod blokiem. Gość cię śledził.

Lena ponownie się wzdrygnęła. Informacja nadal robiła na niej takie samo wrażenie jak za pierwszym razem.

– Może skojarzysz nazwisko – mówił dalej. – Paweł Samczuk. Student UJ. – Jakub zrobił przerwę, jakby zastanawiał się, co powiedzieć, i w końcu dodał: – Gdy się spotkamy, opowiem ci wszystko ze szczegółami, ale teraz już chciałem cię...

Nagranie zostało przerwane, lecz Lena podejrzewała, co Zagórski chciał powiedzieć. Przeprasić. To Jakub sprawił, by uwierzyła, że to wszystko jest wytworem jej wybujałej wyobraźni. Wyciągnął najbardziej prawdopodobne wnioski, a ona je zaakceptowała, bo wołała tę wersję. Myśl, że ktoś za nią chodzi i obserwuje z ukrycia, była dużo gorsza.

Paweł Samczuk. Próbowała sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko. Skojarzyła jedynie, że gdzieś już je słyszała. Było nietypowe. Dopiero po drugim odsłuchaniu wiadomości ją olśniło.

Kilka miesięcy temu prowadziła zajęcia na Jagiellonce. Otwarte dla wszystkich roczników, przyciągnęły sporą liczbę słuchaczy i po wykładzie otrzymała liczne maile z pytaniami o mowę ciała. Wśród nich były te od Samczuka. Dopytywał o książki, które mogłaby mu polecić, i kursy. Lena odpisała na kilka jego maili, nie podejrzewając, że zaciekawienie tematem było wstępem do dalszych badań. Tyle że jej osoby.

Jego zainteresowanie skończyło się krótko po jej wyjeździe z Krakowa, lecz kiedy wróciła, tylko przybrało inną formę. Ponownie wybrała numer Zagórskiego. Chciała poznać odpowiedzi na resztę pytań. Co się stało z tym gościem? Jak zginął? Podejrzany wypadek? Nie śledziła ostatnich doniesień prasowych, więc nie

miała pojęcia, o czym mówił Jakub.

Z tego wszystkiego liczyło się jedno – miała rację. Zresztą nie tylko w tej kwestii, także w sprawie Marszałkowskiej.

Wyglądało jednak na to, że jej pytania będą musiały poczekać. Odłożyła komórkę i sięgnęła po notes zostawiony na stoliku ubiegłego wieczoru. Otworzyła stronę, na której zrobiła szkic drogi, i wróciła pamięcią do rozmowy z Dziembałą. A raczej monologu uzupełnianego jej wtrętami.

– MIAŁA PANI RACJĘ! – powiedział, a jego głos zdradzał podniecenie. – To nie było samobójstwo!

– Ale... – Lena spróbowała poukładać to sobie w głowie. – Jak to możliwe? Przecież jeszcze kilka minut temu mówił pan co innego!

Nie mogła uwierzyć, że zmiana jest możliwa, zwłaszcza w tak krótkim czasie.

– Niesamowite! – Dziembała mówił do siebie, kręcąc głową. Wyglądał, jakby nie usłyszał jej pytania. Odkrycie mocno go poruszyło.

– Powie mi pan w końcu, co się tam stało? – spytała ostrzej, niż planowała.

– Ach tak, przepraszam! – Poprawiwszy się na siedzeniu, odwrócił się w jej stronę. – Nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

Jeśli myślała, że szybko pozna odpowiedź, była w błędzie. Wypuściła powietrze przez nos, powstrzymując zniecierpliwienie, które nakazywało, by siłą wydrzeć mu informacje.

– Żeby eksperyment przeczył analizie... – kontynuował, nieświadomy emocji kotłujących się w Lenie. Odetchnął głęboko i w końcu zaczął zachowywać się jak na profesjonalistę przystało. – Zacznę od tego, że mieliśmy szczęście. – W jego głosie nadal było słycać podniecenie, ale oscyloowało pomiędzy ożywieniem a pobudzeniem. – Eksperyment przeprowadza się w warunkach jak najbardziej zbliżonych do tych, jakie panowały podczas wypadku. Zapewne kojarzy pani z protokołu oględzin zrobionego przez technika policyjnego na miejscu zdarzenia, że tamtego dnia padało. I było już ciemno.

Dziembała przesunął dłonią po kierownicy i wyłączył światła.

– Proszę spojrzeć na nawierzchnię – powiedział, chcąc krok po kroku pokazać Zamojskiej, w jaki sposób doszedł do oryginalnych wniosków. – Co pani widzi?

Lena wyjrzała przez przednią szybę. Jeszcze chwilę temu, w świetle samochodowych reflektorów, droga błyszczała jak nowe lakierki, a teraz pochłonęła wszelkie kolory. Wiedziała, gdzie stoją, i tylko według tego mogła określić szerokość jezdni, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy.

Rozejrzała się, szukając pobocza.

– Nie ma namalowanych linii – odparła w końcu. Bez takich rozgraniczeń

droga przypominała pas startowy.

– Dokładnie. – Mężczyzna ponownie włączył światła.

Lena spozjrzała na Dziembałę. Nadal nie rozumiała, do czego zmierzał. To, że droga tamtego dnia była mokra, wiedzieli od samego początku.

– Do wypadku doprowadziło kilka czynników – zaczął wyjaśniać. – Mokra, pozbawiona pasów droga była pierwszym z nich. – Mężczyzna przekręcił kluczyk w stacyjce i nawrócił, by ruszyć w stronę miejsca wypadku. – Drugim powodem – wymieniał dalej, wrzuciwszy wyższy bieg – było niedostosowanie prędkości do warunków pogodowych.

Właśnie przejechali prosty odcinek. Kolejny zakręt znajdował się jeszcze poza zasięgiem reflektorów.

– Proszę teraz patrzeć – powiedział Dziembała, a gdy przejechali kolejne sto metrów, wskazał palcem przed siebie. – Pamięta pani ten dom na końcu drogi?

Lena jeszcze go nie dostrzegła, ale wiedziała, o który chodzi. Ten przy zakręcie. Przyjrzała mu się, kiedy rozglądała się po okolicy.

– Ale jakie to ma znaczenie? – zapytała zniecierpliwiona.

– Zaraz się pani dowie. – Dziembała uśmiechnął się półgębkiem. – Kolejnym powodem był deszcz. W takich warunkach, kiedy pojawia się światło, krople na powierzchni szyby tworzą coś na kształt soczewek. Właśnie z tego powodu mamy wtedy często do czynienia z iluzją świetlną. Zresztą przed chwilą na własnej skórze mogłem się przekonać, jak było.

Lena zmrużyła oczy.

– Samochód z naprzeciwka – wydedukowała.

Przypomniała sobie, jak czekając na Dziembałę, wzięła inny samochód, który nadjeżdżał z tej strony, za jego mazdę. W takich warunkach łatwo o pomyłkę.

Były policjant skinął głową.

– To był czwarty punkt.

Lena na moment oderwała wzrok od drogi i spojrzała na mężczyznę.

– Oślepiły pana światła nadjeżdżającego samochodu?

– Gorzej. – Gdy do zakrętu brakowało około stu metrów, Dziembała zwolnił i zredukował bieg. – Wyglądało to tak: kiedy Marszałkowska zbliżała się do wirażu, z naprzeciwka nadjeżdżał samochód. Znajdował się w takiej odległości, że jeszcze zanim wszedł w zakręt, jego światła odbiły się w oknach domu położonego na lekkim obniżeniu względem drogi. Budynek ma taki kolor, że w nocy bez dobrego oświetlenia wtapiał się w tło.

Lena wyobraziła sobie tę sytuację.

– Tak więc trudne warunki, jakie panowały tamtego dnia na drodze – kontynuował Dziembała – brak pasów, a także fakt, że tą trasą Marszałkowska musiała jechać pierwszy raz w życiu, to wszystko nałożyło się na siebie i doprowadziło do tego, że...

– Wzięła odbicie świetlne za samochód, który nadjeżdża z naprzeciwka, a nie z za zakrętu – dopowiedziała Lena. – Pojechała prosto, zakładając, że to tam prowadzi droga. – Gdy nagle pojęła, co stało się tamtego dnia, nie miała problemów z wyciągnięciem reszty wniosków. – Dlatego nie było śladów hamowania i dlatego z pełną prędkością uderzyła w drzewo.

W samochodzie zapadła cisza. W końcu Lena zrozumiała, dlaczego te wszystkie czynniki, o których wspomniał Dziembała, były tak istotne. Gdyby nie zaistniał choć jeden z nich, w ogóle nie doszłoby do wypadku.

Marszałkowska nie popełniła samobójstwa, jak ustaliła wcześniej policja. Nie została też zabita przez brata, jak sugerował jej lekarz. Zginęła w nieszczęśliwym wypadku, który mógł się przydarzyć każdemu.

– Nie rozumiem jednego. – Odwróciła się w stronę Dziembały, który nie spuszczał z niej wzroku, odkąd zatrzymali się na poboczu. – Przecież ktoś robił ekspertyzę. Dlaczego to nie wyszło wcześniej?

– Widzi pani... Jestem człowiekiem starej daty i tak jak mnie nauczyle, tak mi zostało – wyjaśnił. – Za każdym razem, gdy sam sporządzałem ekspertyzę wypadku, przeprowadzałem również eksperyment. Nie umiem odpowiedzieć, czy wtedy go zrobili. A nawet jeśli, gdyby nie ten samochód z naprzeciwka, sam trwałbym przy tym, co ustaliłem wcześniej.

LENA POTRZĄSNEŁA GŁOWĄ. Powrót do rzeczywistości wydawał się taki banalny w obliczu wczorajszego odkrycia. Nie miała bladego pojęcia, jak wygląda postępowanie, gdy nagle udaje się odkryć prawdę o pozornie dawno rozwikłanej zagadce. Czy wiąże się to z otwarciem sprawy na nowo? A może ktoś przeprowadzi kolejną rekonstrukcję? To już nie leżało w jej gestii, a zresztą teraz nie było nikogo, dla kogo miałoby to jakiegokolwiek znaczenie.

Koniec końców, Doktor miał rację – to nie depresja pokonała Marszałkowską. Sama wolała myśleć, że to Weronika pokonała chorobę, nawet jeśli było to trochę na wyrost.

Gdy zamknęła notes, sięgnęła po wszystkie kartki zaścielające pozostałą część kanapy i ułożywszy w równy stosik, schowała je do teczki. W końcu czuła, że może zostawić tamto dochodzenie za sobą, tak na dobre. Z tą myślą podeszła do regału i odłożyła teczkę na półkę. Planowała zwrócić ją Kobzie przy najbliższej okazji.

Zamknęła jeden rozdział, drugi czekał na to samo. Nie mogła poświęcać przeszłości więcej swojego czasu, szczególnie teraz, kiedy to teraźniejszość domagała się uwagi.

Sięgnęła po komórkę, lecz tym razem wybrała numer robotnika. Miała nadzieję, że gość nie dzwonił przekazać, że prace nieoczekiwanie się przedłużą. Nie chciała nawet słyszeć o ewentualnych problemach.

Na szczęście Fabiasz miał zupełnie inne wiadomości. Przez ostatnie dwa dni podgonił z pracą i skończył przed terminem. Dla Leny oznaczało to, że teraz może zabrać się do urządzania wnętrza.

Zebrała się szybko do wyjścia. Po drodze wstąpiła jedynie do banku, by wypłacić pieniądze. Na miejsce dotarła po niespełna godzinie. Ruch na Karmelickiej był większy niż zazwyczaj. Pootwierane sklepy kusiły jesiennymi obniżkami, a zapach dochodzący z pobliskiej kawiarni przyciągał aromatem kawy. Przeszła obok, nawet nie zwalniając. Przed wejściem do budynku uniosła głowę i spojrzała na kamienicę, zatrzymując wzrok na oknach swojego lokalu. Uśmiechnęła się, czując nowe pokłady energii.

Po uregulowaniu należności została wreszcie sama i jeszcze raz obeszła pomieszczenia. Wszystko było w porządku, a przyszłe biuro prezentowało się tak, jak powinno. Brakowało jedynie mebli, lecz i to miało się wkrótce zmienić. Kiedy tylko stąd wyjdzie, planowała pojechać do Magdy z dobrą butelką wina albo i dwiema, i zacząć świętować. Oczywiście najpierw zamierzała ją przeprosić.

Na Karmelickiej na dziś została jej jeszcze jedna rzecz. Wyciągnęła z torebki tabliczkę z nazwiskiem, którą zamówiła zaraz po przyjeździe do Krakowa. Wąski, mniej więcej piętnastocentymetrowy kawałek złotej blaszki z czarnymi literami wyglądał dokładnie tak, jak chciała. Estetycznie, ale przede wszystkim profesjonalnie.

Była przygotowana. Miała ze sobą niewielki śrubokręt.

Szybko odkręciła starą tabliczkę i umieściła nową. Zdążyła wkręcić trzy śrubki, gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

Odwróciła się.

– Dzień dobry – odezwała się, zaskoczona obecnością sąsiada. Była sobota i nie spodziewała się towarzystwa. – Myślałam, że nikogo dzisiaj nie ma.

– Przyjechałem na chwilę i niedługo będę się zbierał. – Zrobił krok w jej stronę. – Może pomóc?

Lena pokręciła głową. Była to jedna z tych rzeczy, które chciała zrobić sama, od początku do końca.

– Nie trzeba.

Przykręciła ostatnią śrubkę i spojrzała na mężczyznę. Dalej stał w tym samym miejscu.

– Zaprosiłabym cię na kawę, ale jeszcze nie mam ekspresu – rzuciła przepaszającym tonem, wskazując śrubokrętem drzwi biura.

Uśmiechnął się, odsłaniając ładne zęby.

– W takim razie chodźmy do mnie. Właśnie miałem ją zaparzyć.

Lena nie wahała się. Cofnęła się jedynie po torebkę, zamknęła za sobą drzwi, a potem przeszła do sąsiedniego lokalu.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, było duże mahoniowe biurko

i dopasowany do niego fotel. Dopiero potem mogła się skupić na reszcie wystroju. Pokój był trochę mniejszy w porównaniu z tym mieszczącym się za ścianą. A może tylko potężne regały z rzędami książek w twardej oprawie tworzyły takie wrażenie.

– Jaką kawę pijesz?

– Czarną, bez cukru – odpowiedziała, nie przerywając obserwacji. Tego dnia czuła, że może sobie pozwolić na wypicie jednej filiżanki. Położyła torebkę na stole i podeszła do gablotki.

Stała wciśnięta w kąt, blisko okna. Na czterech poziomach znajdowały się figurki wykonane z drewna, najwyraźniej ręcznie wyrzeźbione. Różniły się między sobą, ale każda z nich była wyjątkowa i piękna.

– Sam to zrobiłeś? – Odwróciła się w stronę mężczyzny.

Kawalec pochylał się nad szafką i cokolwiek odpowiedział, nie dotarło do niej, bo nagle jej cała uwaga skupiła się na jednym miejscu, gdzie podwinęła mu się koszulka, odsłaniając liczne blizny na plecach. Stare, białawe, przechodziły przez całą ich szerokość. Przy niektórych widniały jeszcze inne ślady. Ślady kłamry.

Zachłysnęła się powietrzem, gdy zrozumiała, na co patrzy.

– Przepraszam cię, ale muszę już iść – odezwała się, próbując ukryć drżenie głosu. – Zapomniałam, że mam coś jeszcze załatwić. – Mówiła szybko, z trudem panując nad sobą.

Ruszyła do wyjścia i po chwili sięgnęła po klamkę, pozwalając sobie na głębszy oddech. Lecz gdy tylko otworzyła drzwi, Kawalec zatrzasnął je z powrotem, kładąc na nich dłonie.

– Czym się zdradziłem? – spytał, obrzucając ją uważnym spojrzeniem.

ROZDZIAŁ 29

MARSZAŁKOWSKI POWTÓRZYŁ PYTANIE ze spokojem, od którego po plecach przeszły jej dreszcze. Spodziewała się różnych reakcji, ale nie takiej.

– Czym się zdradziłem? – spytał, jakby chodziło o jakiś drobiazg, a nie fakt, że odkryła jego prawdziwą tożsamość.

Lena nie odpowiedziała, ale jej wzrok uparcie powracał w miejsce, w którym podwinęła mu się koszulka.

– Ach to... – Poprawił ubranie.

– Jak to możliwe? – odezwała się w końcu, podnosząc głowę, by spojrzeć mu w oczy. Miała problemy z oddychaniem.

– Chodzi ci o wypadek? – Najwyraźniej dobrze się bawił. Lena skinęła głową, więc wyjaśnił: – Wydostałem się w ostatnim momencie, kiedy samochód zaczął tonąć. Nie widziałas mnie, bo wtedy byłaś już za blisko brzegu, za to ja miałem dobry widok na ciebie.

Przełknęła ślinę, a przynajmniej próbowała. Gardło miała tak wyschnięte, że samo mówienie przypominało odrywanie plastra od rany.

– Czego chcesz? – Zaczęła się wycofywać.

Marszałkowski uśmiechnął się.

– A jak myślisz? – Od jego głosu cierpła skóra. Teraz, kiedy przestał się pilnować, brzmiał dokładnie jak wtedy, gdy ją porwał. – Początkowo miałem wobec ciebie jasno sprecyzowane plany. – Zrobił krok w jej stronę. Lena odsunęła się, starając się zwiększyć odległość. Trwało to do czasu, aż plecami dotknęła ściany. – Miałaś ogromne szczęście, że przybyła odsiecz.

Mogła się jedynie domyślać, do czego zmierzał. Podejrzewała, że tamte kobiety spotkał lepszy koniec od tego, który planował dla niej. Nie dość, że

wystawiła się jako przynęta, to jeszcze go oszukała.

– Wtedy nie miałem czasu, by odpowiednio się tobą zająć – wyjaśnił, jakby mówił o drobiazgu, a nie o odroczonego wyroku śmierci. – Sam miałem duży problem. Dzięki tobie moja facjata pojawiała się we wszystkich krajowych wiadomościach i musiałem coś z tym zrobić. Na szczęście za granicą można dostać wszystko... za odpowiednie pieniądze. Byłem przygotowany, że w pewnym momencie mój plan może wymagać modyfikacji, i miałem odłożoną gotówkę. – Obrócił głowę, demonstrując prawy profil, a potem lewy. – Podoba się?

Przytaknęła. Nie wiedziała, co robić. Teraz, gdy miała pewność, z kim ma do czynienia, dziwiła się, że nie rozpoznała go po oczach, ale to nie był dobry czas na robienie sobie wyrzutów. Zamiast tego skupiła się na obmyślaniu ucieczki. Stała blisko okna, a Marszałkowski blokował wyjście. Do drzwi było za daleko, nie zdążyłaby nawet dotrzeć do połowy pokoju, zanim by ją złapał.

Dyskretnie zerknęła za siebie, biorąc pod uwagę jeszcze jedną opcję. Okno. Dzięki grawitacji wyskok z trzeciego piętra może i stanowił szybką drogę ucieczki, ale zakończenie mogło być tragiczne. Zdawała sobie sprawę, że ostatecznie to i tak lepsze wyjście niż pozostanie w pokoju z Marszałkowskim.

– Ale potem coś się zmieniło. Przez ten czas, gdy dochodziłem do siebie, zrozumiałem, że jesteś idealna.

Jego słowa przyniosły efekt odwrotny do zamierzonego. Przeraziły ją jeszcze bardziej. Zaciśnęła pięści; nawet nie poczuła, kiedy paznokcie wbiły się w miękkie wnętrze.

– Kiedy wróciłem do Krakowa – mówił dalej – okazało się, że wyjechałaś. Dopisało mi jednak szczęście, bo zanim udało mi się ciebie wyśledzić, pojawiłaś się tu znowu. – Widząc jej niedowierzenie, wyjaśnił: – Zaznaczyłem sobie w Google alert na wszystkie nowe wyniki związane z mową ciała. Dzięki temu dowiedziałem się, że otwierasz firmę.

Lena milczała. Wiedziała już, że ktoś ją obserwował, odkąd wróciła do Krakowa, ale nawet w najczarniejszych scenariuszach nie zakładała, że była śledzona cały ten czas.

Marszałkowskiemu jej milczenie nie przeszkadzało.

– Zrozumiałem już, co chcę zrobić. W tym celu popracowałem nad zmianą sylwetki. Zrezygnowałem z biegania i zmieniłem dietę. Nauczyłem się też mówić inaczej. Dużo ćwiczyłem, by osiągnąć efekt, o jaki mi chodziło. Jednak cały czas największy problem stanowiła twoja nietypowa umiejętność. Planowałem zbliżyć się do ciebie, żebyś mnie lepiej poznała, ale musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie, aby zanim do tego doszło, nie zdradziła mnie moja twarz. Tu przyszedł mi z pomocą botoks. – Ostatnie słowo wymówił głośniej.

Botoks, znany jeszcze pod nazwą jadu kielbasianego, miał zastosowanie głównie w przemyśle kosmetycznym. W małych dawkach skutecznie porażał

mięśnie odpowiadające za mimikę, a co za tym szło, powstawanie zmarszczek. Proces nie był trwały i wymagał powtarzania w odstępach kilku miesięcy.

Lena wiedziała, że stosowali go także mężczyźni szczególnie dbający o swój wygląd. Użycie botoksu skutecznie ograniczało ekspresję i fałszowało przekaz dla osoby wprawionej w interpretacji mowy ciała. Z tego też względu po iniekcję z jadu kielbasianego często sięgali pokerzyści.

MARSZAŁKOWSKI BYŁ CWANY i Lena nie mogła o tym zapominać. Nie mogła mu też odmówić, że się przygotował. Swój pomysł realizował krok po kroku, pomogła też broda, na tyle gęsta, że zasłaniała dolną część twarzy.

Wiedziała, że musi grać na zwłokę. Gdyby tylko uśpiła jego czujność, miałyby szansę dotrzeć do drzwi, zanim zdołałyby zareagować. Najłatwiej było na razie brać udział w spektaklu, który sam reżyserował i z którego najwyraźniej był bardzo dumny. Podejrzewała, że by podszyć się pod innego mężczyznę, posunął się do innych rzeczy. Dlatego mimo obaw, co może usłyszeć, spytała:

– Co zrobiłeś z prawdziwym Kawalcem?

Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu. Lekarz, który robił mu zastrzyki z botoksem, wykonał doskonałą robotę. Twarz Marszałkowskiego wyglądała zdrowo i odpowiednio do swojego wieku. Nie przypominała też maski, która zapewne zwróciłaby uwagę Leny już wcześniej.

– Tapla się w Wiśle – odparł nonszalancko, przyznając się do popełnienia kolejnego morderstwa. – Gdy dowiedziałem się, gdzie wynajęłaś lokal, zacząłem wprowadzać swój plan. To była moja szansa. Poszperałem trochę, początkowo chcąc podszyć się pod fachowca, który zająłby się twoim biurem, ale odrzuciłem ten pomysł, bo był zbyt trudny do realizacji. Szybko znalazłem lepsze rozwiązanie. Kawalec świetnie się do tego nadawał, wprost nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. – Niepytany mówił dalej, jakby chciał się pochwalić. – Pracował sam, nie miał rodziny, która mogłaby się zainteresować brakiem kontaktu z jego strony. Jediną przeszkodą była sama praca, ale i z tym sobie poradziłem. Musiał nagle wyjechać z Krakowa z powodów osobistych i o tym fakcie poinformowałem wszystkich klientów.

Lena walczyła z ciekawością i przerażeniem. Wyglądało na to, że to nie był koniec.

– Niestety, potem pojawiła się inna przeszkoda, ale – zawiesił głos i wzruszył ramionami – z nią również dałem sobie radę.

– Co zrobiłeś? – wydusiła z siebie. Cokolwiek to było, musiała się dowiedzieć.

Marszałkowski nieświadomie odrobinę się cofnął. Lena nie drgnęła, bojąc się, że zdradzą ją nogi. Pozwoliła sobie jedynie na głębszy oddech.

– Powiedzmy, że zająłem się też twoim wielbicielem.

Przymknęła oczy, błyskawicznie łącząc fakty.

– Samczuk – wymówiła powoli nazwisko chłopaka, o którym usłyszała ponownie zaledwie kilka godzin temu.

Marszałkowski przytaknął, zadowolony, że Lena zaczęła się udzielać.

– Gówniarz chodził za tobą krok w krok. I ten aparat... Przeszkadzał mi. Nie pozwalał cię obserwować tak, jak tego chciałem. Z nim nie poszło tak łatwo. Skurczybyk nie wyglądał na tak silnego.

Zamojska nie miała odwagi pytać, w jaki sposób poradził sobie z kolejnymi problemami. Zamiast tego zrobiła krok do przodu. Po chwili kolejny, sukcesywnie zmniejszając dystans między nimi. Musiała dostać się bliżej drzwi.

Zatrzymała się, gdy dzieliła ich odległość mniej więcej dwóch metrów. Doktor powiedział, że Marszałkowski miał zaburzenia psychiczne, ale był świadomy tego, gdzie zaczynała się rzeczywistość, a gdzie wyobrażenie. Chciała wykorzystać to, co o nim wie, obrócić to na swoją korzyść i dotrzeć do niego.

– Nie zastąpię ci siostry – powiedziała stanowczo, wiedząc, do czego zmierzał. Uśmiech zastygł mu na twarzy, przypominając grymas. Choć wyglądało to przerażająco, zmobilizowała się i mówiła dalej: – Nikt nie jest w stanie. Twoja siostra zginęła w wypadku i musisz...

Marszałkowski pokręcił głową.

– Moja siostra popełniła samobójstwo!

Lena się zawahała. Zapomniała o tym, że on nadal nie wie, jak to było naprawdę. Przecież sama odkryła to dopiero zeszłego wieczoru. Najwyraźniej nie śledził jej aż tak dokładnie. Zrobiła jeszcze jeden krok.

– Zleciłam przeprowadzenie ponownej ekspertyzy. – Pomięła informacje, które sprawiły, że dotarła do tego etapu. – To był wypadek spowodowany zbiegiem różnych okoliczności. Nie samobójstwo, jak uważano wcześniej. – Skupiając na sobie całą jego uwagę, streściła to, co powiedział jej Dziembała.

Marszałkowski kręcił głową. Miał problem z przyswojeniem sobie tej informacji. Skulił ramiona i po raz pierwszy, odkąd go poznała, zobaczyła w nim zranionego człowieka. Jego pewność siebie została nadszarpnięta, a w zachowaniu pojawiło się wahanie świadczące o tym, że Lena obrała dobry kierunek. Chciała uspić jego czujność. Gdy tylko pojawi się najlepsza okazja, ucieknie.

– Ale jak to możliwe?!

Obserwowała, jak obraca się i rusza w stronę biurka. Nie usiadł przy nim, tylko oparł się o mebel biodrami.

Zrobiła kolejny krok. Do drzwi było coraz bliżej, brakowało jej jeszcze mniej więcej metra, by wydostać się z tego miejsca, a przynajmniej by podjąć próbę.

Chciała zrobić następny, ale zatrzymała się, kiedy Marszałkowski zaczął mówić:

– Przecież pożegnała się ze mną. Godzinę przed wypadkiem nagrała mi się na pocztę. Powiedziała, że to już koniec, że nie może tak dłużej! Pożegnała się ze mną! – powtórzył.

Przesunęła się jeszcze trochę, tym razem lekko w lewo. Zaczynała wierzyć w to, że jej plan ma szansę powodzenia.

– O tak, to było pożegnanie, ale nie w związku z planowanym samobójstwem – odparła. – Weronika miała zamiar wyjechać i ułożyć sobie życie z partnerem.

Gdy padły ostatnie słowa, zorientowała się, że popełniała poważny błąd. Odrobinę uspokojona wpływem, jaki wywarła na Marszałkowskiego, zdradziła mu wszystko, za późno zdawszy sobie sprawę, że tę informację powinna była zachować dla siebie.

Minęły dwie sekundy, zanim odważyła się zaczerpnąć tchu, licząc na to, że nie usłyszał.

Myliła się.

– Kłamiesz. Weronika nigdy by mnie nie zostawiła – wyszeptał, wpatrując się w swoje dłonie.

Gdy podniósł głowę i zobaczyła jego twarz, zorientowała się, że jej szanse na przeżycie właśnie zmalowały. A kiedy odepchnął się od biurka i ruszył w jej stronę, wręcz spadły do zera.

Rzuciła się do drzwi. Skok adrenaliny sprawił, że poruszała się szybciej i kiedy już tylko kilkanaście centymetrów dzieliło ją od wolności, Marszałkowski ją podciął.

Gruchnęła na podłogę, w ostatnim momencie amortyzując upadek dłonią. Przewróciła się szybko na plecy, chcąc go kopnąć, lecz nie zdążyła. Usiadł na niej okrakiem, a dłońmi otoczył jej szyję.

Panika rozlała się po ciele Leny. Szarpnęła głową na boki, ale jego palce zaciskały się coraz mocniej. Wbiła paznokcie w jego dłonie, próbując odciągnąć je od siebie. Niestety, była bezradna wobec jego agresji.

Zaczęła słabnąć. Wzrok zaszedł mgłą i nawet wykrzywiona złością twarz Marszałkowskiego zrobiła się niewyraźna.

Otworzyła usta, próbując wciągnąć do płuc haust powietrza, gdy wzmocił nacisk. A więc to ten moment, w którym zginę, pomyślała z nagłym spokojem. Nie przydały jej się zajęcia z krav magi. Kantor będzie musiał się pogodzić z tym, że nie mógł jej pomóc. Nikt już nie mógł.

Była o krok od utraty przytomności, gdy w jej głowie rozbrzmiał głos trenera, jakby mówił wprost do jej ucha. Słowa, które powtarzał jej dzień w dzień podczas ćwiczeń: „Działaj automatycznie! Nie myśl! Pozwól, żeby ciało wykorzystało to, czego się nauczyłaś. Gdy zagrożone jest twoje życie, walcz wszystkimi możliwymi sposobami. Skup się na swoich mocnych stronach. Dłonie

i nogi masz wolne. Wykorzystaj to!”

Lena zamrugała, wyostając wzrok. Twarz Marszałkowskiego była zbyt blisko, dlatego zaczęła od zwiększenia dystansu. Wyciągnęła dłonie i wbiła mu w oczy kciuki. Pomogło. Mężczyzna odsunął się, ale nie puścił jej szyi. Jedynie poluzował uścisk.

Zaczerpnęła tchu. „Pamiętaj o blokadzie jego ramienia... i ruchy!” – głos Kantora nie cichł.

Prawą ręką złapała Marszałkowskiego za nadgarstek, natomiast lewą położyła na jego ramieniu, usztywniając mu staw łokciowy. Ten ruch wykonała zdecydowanie, nie miało to nic wspólnego z wcześniejszą próbą. Równocześnie lewą nogą zablokowała jego stopę, by nie mógł się ruszyć.

Reszta potoczyła się szybko. Poderwała głowę, przybliżając brodę do klatki piersiowej, w tym samym momencie pociągnęła go mocno i wypychając prawe biodro, zrobiła dźwignię, a potem obrót przez lewe ramię. Unieruchomiony Marszałkowski nie miał szansy na reakcję i wylądował na podłodze, przyszpilony jak wcześniej Lena. Tylko tym razem to Zamojska siedziała na nim okrakiem.

Głos w jej głowie zamilkł, zresztą teraz już nie potrzebowała podpowiedzi. Ćwiczenie wykonywane tyle razy przyniosło efekty. Mięśnie pamiętały kolejne sekwencje.

Zamiana miejscami była dopiero początkiem. Dobrze o tym wiedziała, dlatego zanim Marszałkowski zdążył zrobić cokolwiek, pierwsza wymierzyła cios, uderzając łokciem w jego szyję. Przez cały czas trzymała głowę nisko, prawie przyciskając twarz do jego koszulki. Gdy mężczyzna zacisnął nogi, którymi oplótł jej biodra, i próbował zrzucić ją z siebie, ponownie uderzyła go łokciem, a potem szybko, tak jak nauczył ją Kantor, odsunęła się, wymierzając kolejne razy. Lewą dłonią celowała w krtani, a potem skupiła się na najbardziej newralgicznych miejscach. Nie czuła już bólu, gdy uderzała w brzuch i genitalia. Skupiła się na walce o życie.

Dopiero kolejny cios sprawił, że Marszałkowski rozluźnił uchwyt i opuścił nogi. Lena tylko na to czekała i chwyciwszy go za łydkę, przerzuciła jego nogę nad swoją głowę, obracając go na bok. A potem poderwała się i na koniec kopnęła go w plecy na wysokości nerek. Poprzednie uderzenia były wymierzone tylko po to, by się uwolnić, ten ostatni dołożyła od siebie. Za to, co ją spotkało z jego strony. Lecz i tego było za mało.

Zamachnęła się ponownie, tym razem celując w głowę, ale zanim jej noga dosięgnęła celu, zrezygnowała. Krav maga miała służyć do obrony, a Marszałkowski w tym momencie nie stanowił już zagrożenia.

Wybiegła na korytarz, przytomnie zabrawszy po drodze torebkę. Nie miała zamiaru czekać, aż Kamfora zbierze siły i szala zwycięstwa przechylił się na jego stronę. Zbiegając po schodach, wybrała numer policji. Dotarła na pierwsze piętro

i zaczęła mówić, lecz przerwała, gdy z ulicy dobiegł ją krzyk. Nie pojedynczy – suma kilku podniesionych głosów.

Zbiegła na parter i kiedy wypadła z budynku, zatrzymała się w miejscu. Z telefonu słyszała głos dyspozytorki. Nie była w stanie dokończyć zgłoszenia; ludzie krzyczeli przerażeni, matki zakrywały dzieciom oczy. Lena nie potrafiła zacisnąć powiek. Wpatrywała się w Marszałkowskiego leżącego na chodniku. Ktoś podszedł do niego, by sprawdzić, czy żyje, ale to było zbyteczne. Z ciałem wygiętym pod dziwnym kątem i rozrzuconymi na bok rękami wyglądał jak szmaciana lalka. Jedynie roztrzaskana głowa i to, co z niej wyciekło, świadczyło o grozie wypadku.

Lena przesunęła wzrokiem po gapiach, a potem podniosła głowę i spojrzała na otwarte okno na trzecim piętrze. Przeciąg wypchnął firankę na zewnątrz.

Marszałkowski wiedział, że nie ma dużych szans na ucieczkę. Gdy zrozumiał, że to koniec, wybrał śmierć. Może wola walki opuściła go, kiedy dowiedział się o planach siostry.

– Proszę pani! – Głos dyspozytorki w końcu dotarł do Leny.

Spojrzała na komórkę w dłoni i podniosła ją do ucha.

Odchrząknęła.

– Chciałam zgłosić wypadek... – odezwała się po chwili.

Gdy skończyła mówić, rozłączyła się, ale nie schowała telefonu. Wybrała numer Jakuba, a ponieważ ten nie odebrał, przesunęła palcem po liście kontaktów i zadzwoniła do Tomka Wrońskiego.

Potrzebowała kogoś, kto wiedział o Marszałkowskim więcej, niż podawano w wiadomościach. Po kilku sygnałach usłyszała głos policjanta. Szybko opowiedziała o tym, co się stało. Zachowywała się trochę jak automat. Jeszcze nie docierały do niej ostatnie wydarzenia. Umysł chronił ją, otulając szokiem niczym watą.

Podniosła głowę, odwracając się w stronę źródła dźwięku. Drugi raz w tym roku poczuła ulgę, kiedy usłyszała z oddali policyjne syreny.

Poniedziałek, 28 września

ROZDZIAŁ 30

PO TYM, CO SIĘ STAŁO, świat nie zatrzymał się nawet na moment. Pędził do przodu i nie było innego wyboru, jak tylko mocno się trzymać.

Zagórski nawet nie oddzwonił i nie potrzebowała jaśniejszego przekazu. Zrozumiała. W sobotę tylko dzięki Wrońskiemu udało jej się dotrzeć do końca dnia, a noc spędziła w towarzystwie Magdy.

Miała wrażenie, że jej życie kolejny raz zatacza koło, jednak tym razem nie miała zamiaru uciekać. Wiedziała, że następna zmiana otoczenia nie pomogłaby w uporaniu się z kłopotami. W końcu też zrozumiała, że ma większy problem, niż początkowo myślała, i zamiast go wypierać, jak to robiła przez ostatnie miesiące, była gotowa rozpocząć terapię.

Cały niedzielny poranek spędziła na szukaniu dla siebie pomocy i zrobiła mały krok ku wyzdrowieniu. Idąc za radą Doktora, zaczęła od znalezienia dla siebie psa. Z wyborem rasy nie miała problemu. Odkąd poznała Saburiego, wiedziała, że kiedy zdecyduje się na pupila, będzie to rhodesian.

Początkowo skupiła się na hodowlach, ale potem, przeglądając portale poświęcone tym zwierzętom, natrafiła na ogłoszenie z centralnej Polski. Młoda kobieta nie mogła sobie poradzić z energicznym czteromiesięcznym szczeniakiem i chciała go oddać w dobre ręce. Umówiły się na dzisiaj, a symboliczna kwota, jaką zapłaciła Zamojska, nawet nie wpłynęła na stan jej portfela.

Odwróciła wzrok od szyby i przesunęła dłonią po złocistej sierści suczki. Nazwała ją Uzuri, co w języku suahili oznaczało „Piękność”. Nie sposób było się

nie zgodzić, że to imię do niej pasowało.

Kiedy Magda zatrzymała się na poboczu, wykorzystwała okazję i wysiadła.

– Poszukam gdzieś miejsca. – Prad pochyliła się nad drążkiem i spojrzała na Lenę. Szalik okręcony wokół jej szyi osunął się, ukazując ślady, które tak starała się ukryć. Siniaki wyglądały jeszcze gorzej niż wcześniej, na obrzeżach pojawił się żółtawy odcień i minie sporo czasu, aż znikną.

Magda wzdrygnęła się. Sam widok przyprawiał ją o dreszcze i nie miała pojęcia, co musi przechodzić przyjaciółka. Dlatego odkąd dowiedziała się, co się stało, dosłownie nie odstępowała jej na krok, gotowa wesprzeć Lenę, gdy tylko będzie trzeba.

– To nie zajmie mi dużo czasu.

Magda jeszcze przez chwilę obserwowała przyjaciółkę. Dopiero gdy ta zniknęła z zasięgu jej wzroku, wrzuciła jedynekę i powoli dodała gazu.

Lena minęła zapelniony parking, pokonała kilka schodów i otworzyła drzwi. Poczekalnia nie zmieniła się od ostatniego razu, opustoszała, ze stertą ulotek rozłożonych na niewielkim stoliku niczym wachlarz.

Nie podejrzewała, że kiedyś pojawi się tutaj po raz kolejny. Myśl, żeby zobaczyć się z Doktorem, pojawiła się, kiedy odebrała Uzuri i ruszyły w drogę powrotną. Do terapeuty zadzwoniła, gdy do Krakowa pozostało półtorej godziny drogi.

Psycholog nie wydawał się zaskoczony jej telefonem. W pierwszej chwili sądził, że Zamojska chce się umówić na terapię. Zdziwił się dopiero, gdy zapytała, czy może do niego podjechać dosłownie na chwilę. Nie zdradziła dokładnie po co, jedynie że dowiedziała się czegoś, co ma związek ze śmiercią Marszałkowskiej. Powód swoich odwiedzin chciała przedstawić podczas bezpośredniego spotkania; Doktor pomógł jej i zasługiwał, by poznać prawdę.

Wzięła głęboki wdech i zapukała do drzwi.

– Proszę! – Męski głos był lekko stłumiony, ale wyraźny.

Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Lekarz siedział na fotelu. Na jej widok poderwał się z miejsca, obszedł biurko i wyciągnął dłoń.

– Dziękuję, że znalazł pan czas na spotkanie.

– Przez telefon brzmiała pani tajemniczo.

– Tak jak już wspomniałam, dowiedziałam się czegoś, o czym myślę, że powinien pan wiedzieć.

– Proszę. – Doktor dłonią wskazał fotel.

Lena usiadła, kładąc torebkę na kolanach.

– Po naszym spotkaniu pańskie słowa nie dawały mi spokoju – odezwała się, gdy mężczyzna zajął miejsce naprzeciw niej. – O tym, że Marszałkowska wyszła z depresji i na nowo próbowała ułożyć sobie życie.

Kiedy mężczyzna powoli pokiwał głową, Lena podjęła:

– Samobójstwo nie pasowało do jej stanu. Wspomniał pan także o swoim podejrzeniu, że to jej brat mógł doprowadzić do jej śmierci.

– I co w związku z tym? – pospieszył ją, zniecierpliwiony przedłużającym się wstępem.

– Znalazłam kogoś, kto zgodził się przeprowadzić powtórny rekonstrukcję wypadku. Okazało się, że Weronika nie popełniła samobójstwa. Nie została także zamordowana. To był nieszczęśliwy wypadek, a wszystkiemu była winna iluzja świetlna.

Po chwili szybko wyjaśniała, w jaki sposób ekspert doszedł do takich wniosków. Przez cały czas obserwowała zmiany zachodzące na twarzy lekarza.

– Jest pani pewna?

Przytaknęła.

– Tak, to był nieszczęśliwy wypadek.

Mężczyzna wychylił się w jej stronę i oparł dłonie na kolanach. Ulga na jego twarzy upewniła Lenę, że psychiatrę dręczyły wyrzuty sumienia. Śmierć pacjentki na pewno w jakiś sposób nadszarpnęła jego pewność siebie.

Dobrze pamiętała swoją sytuację, kiedy zlecenie, nad którym pracowała, będąc jeszcze w Nowym Jorku, zakończyło się tragicznie. Kobieta zginęła, a Lena po tamtym wydarzeniu jeszcze przez długi czas nie mogła się otrząsnąć. Teraz na szczęście pogodziła się z tym, zaakceptowała, że na pewne rzeczy nie ma się wpływu. Wtedy jednak brak wiary we własne siły skłonił ją do złożenia rezygnacji, a mąż mieszkający w Krakowie do powrotu do kraju.

– Dziękuję za podzielenie się tą informacją. Nawet pani nie wie, ile to dla mnie znaczy – szepnął. – Choć byłem przekonany, że za jej śmiercią stoi brat, nie mogłem pozbyć się myśli, że popełniłem błąd. Coś przeoczyłem...

– Jeśli to pana pocieszy, ja także myślałam, że to Marszałkowski odpowiadał za jej śmierć – odparła i podniosła się z fotela.

Mężczyzna po kilku sekundach wahania zrobił to samo i stanął naprzeciw niej.

– Mam nadzieję, że rozwiązanie sprawy przyczyni się do tego, że teraz będzie pani łatwiej.

– Również na to liczę, ale poszłam za pana radą i zdecydowałam się na terapię u Anny Potockiej. Może kojarzy pan nazwisko?

Lekarz skinął głową. Zapewne w tym światku większość osób się znała.

– To dobra specjalistka.

Lena przez chwilę rozważała, czy nie wybrać Doktora. Lekarz zrobił na niej dobre wrażenie, ale ostatecznie zdecydowała się na kobietę specjalizującą się w traumach i pierwszą wizytę miała już za parę dni. Tym, co zaważyło na decyzji, był fakt, że Potocka pracowała głównie z osobami dotkniętymi PTSD.

Podala mu rękę.

– Miło było pana poznać. – Nie był to pusty frazes, naprawdę tak myślała.
– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział Doktor i uściśnił jej dłoń.

Skierowała się do wyjścia, lecz zanim dotarła do drzwi, zatrzymała się. Coś jeszcze nie dawało jej spokoju. A były to... dłonie terapeuty. Kiedy witała się z nim pół godziny temu, były zimne, natomiast teraz cieplejsze niż jej. Za tę zmianę nie odpowiadało wadliwe ogrzewanie w gabinecie, lecz autonomiczny układ nerwowy, zwany inaczej układem wegetatywnym, wchodzący w skład układu nerwowego. W odróżnieniu od somatycznego układu nerwowego pozostawał niezależny od woli człowieka. Kolejna sprawa, nad którą nawet najlepiej zorganizowani nie mogli zapanować.

Odwróciła się powoli i spojrzała na lekarza. Stał w tym samym miejscu, z dłońmi wetkniętymi w kieszenie spodni. Jego spokój był tylko fasadą. Tak naprawdę wyglądał, jakby trzymał się tylko siłą woli.

– Jeszcze coś? – spytał, próbując utrzymać lekki ton.

– To pan! – skonstatowała. W końcu połączyła w całość strzępy informacji.
– To z panem Weronika planowała wyjechać.

Doktor nie musiał nic mówić. Skulił ramiona i cała jego sylwetka stała się mniejsza. Po chwili zrobił kilka kroków do tyłu i opadł na fotel.

– Od dawna pani o tym wie? – zapytał, zadzierając głowę.

– Właśnie do tego doszłam.

Najwyraźniej spodziewał się innej odpowiedzi. Zmarszczył czoło, ale ostatecznie nic nie powiedział.

Lena zatrzymała się przy lekarzu i ponownie zajęła miejsce, które dopiero co zwolniła.

– Zdradziło pana pańskie ciało. Kilka dni temu, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, w trakcie powitania pańskie dłonie były ciepłe. Zwróciłam na to uwagę, bo sama byłam zmarznięta. Dla porównania, jeszcze tego samego dnia, gdy podawał mi pan gazetę, pana dłonie zrobiły się gorące. Tak dzieje się w przypadku gniewu, krew płynie do rąk, przygotowując ciało do walki czy obrony. Natomiast dzisiaj – kontynuowała, przyglądając mu się uważnie – kiedy się witaliśmy, pana dłonie były zimne. Początkowo myślałam, że mógł pan dopiero przyjść do gabinetu, ale przypomniałam sobie, że przez telefon wspominał pan o ciągu spotkań, więc kryło się za tym coś innego. Inny mechanizm.

Doktor nie komentował tego, tylko przypatrywał jej się uważnie.

– Gdy zadzwoniłam do pana, wspominając jedynie, że coś odkryłam, spodziewał się pan, że w jakiś sposób dotarłam do nazwiska partnera Marszałkowskiej.

Przytaknął. W tej sytuacji nie było sensu zaprzeczać.

– Dlatego strach wyzwolił w panu reakcje, nad którymi nie mógł pan

zapanować. Inaczej niż w wypadku agresji, gdy pojawia się lęk, krew kieruje się w stronę nóg i to one stają się ciepłe. Równocześnie dochodzi do ochłodzenia dłoni; ciało przygotowuje się do ucieczki i aktywowana jest ta część, która to umożliwia.

Doktor spojrzał na swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Nie podejrzewał, że przy całej tej staranności w ukrywaniu związku przed światem, podjętych środkach ostrożności, zdradzi go własne ciało. Świetnie znał opisane przez Zamojską symptomy, ale zapomniał, że ma do czynienia ze specjalistką w interpretowaniu mowy ciała.

– Tak było. – Lekarz wstał i podszedł do niskiej szafki wciśniętej pod oknem. Na blacie stało kilka butelek wody mineralnej, lecz to nie one go interesowały. Otworzył drzwiczki i wyciągnął butelkę jakiegoś alkoholu.

Lena widziała, że lekarzowi było to potrzebne. Kwestię, czy można było pić w godzinach pracy, pozostawiała jego decyzji. Nie zjawiała się tu, by go oceniać.

Ze swojego miejsca obserwowała, jak hojnie napełnia swoją szklankę. Mogła sobie tylko wyobrazić, ile musiało go kosztować utrzymanie związku z Weroniką w tajemnicy. Z powodów zawodowych nie mógł się nikomu do tego przyznać, a z każdym rokiem ciężar stawał się coraz większy. To by tłumaczyło ulgę widoczną teraz na jego twarzy. Z tego samego powodu ludzie kierowali się do konfesjonałów, by wyznać swoje grzechy, zrzucić z siebie coś, z czym zmagali się sami.

Doktor zreflektował się, wyciągnął w stronę Leny drugą szklankę, a gdy odmówiła, zakręcił butelkę i odstawił ją na miejsce.

– Prowadziłem terapię Weroniki – zaczął, gdy wrócił na miejsce. Szklankę postawił sobie na kolanie, ale po chwili podniósł ją do ust i pociągnął długi łyk. – Zaczęliśmy się spotykać dopiero po jej zakończeniu. Chcieliśmy zacząć wszystko od nowa, z dala od tego miasta. Jak najdalej od jej brata – dodał, palcami dotykając kącików oczu.

Lena pokiwała zachęcająco głową.

– Jak zapewne sama się pani domyśla – podjął po chwili – relacja lekarz-pacjent, nawet jeśli mowa o byłym terapeutę, nie należy do częstych. Ani tym bardziej dobrze widzianych. Utrzymywaliśmy nasz związek w sekrecie, ale jej brat i tak dowiedział się, że Weronika z kimś się widuje. Stał się jeszcze bardziej zaborczy i wtedy zadecydowaliśmy, że jedynym wyjściem jest opuszczenie kraju. Nowe miejsce dałoby nam start, jakiego chcieliśmy. Ja miałem otworzyć kolejny gabinet, a Weronika mogła pracować z każdego miejsca na świecie. – Widząc pytanie w jej oczach, dodał: – Była grafikiem.

A więc wszystko jasne, pomyślała Lena. Dlatego Marszałkowska pracowała w domu. Zamojska nie musiała pytać, dlaczego informację o ich uczuciu mężczyzna zostawił dla siebie. Po czymś takim jako lekarz byłby skreślony.

Zwłaszcza w zawodzie, gdzie zaufanie było najważniejsze.

Doktor wiedział, jakimi ścieżkami podążają jej myśli.

– Gdyby to wyszło na jaw, nikt by nie pamiętał, czy to się zaczęło podczas terapii, czy dopiero później. Takie szczegóły zwykle nikogo nie interesują. Z czasem zmieniono by część faktów, jeszcze inne dopisano, ale wszystko prowadziło do wniosku, że przekroczyłem granicę.

To była prawda.

Kiedy kilka minut później zamknęły się za nią drzwi, wyszła przed budynek i zatrzymała się na schodach. Rozejrzała się po okolicy. Tak naprawdę dopiero teraz poznała wszystkie elementy układanki. Historia Weroniki była smutna, naznaczona depresją, ale nie aż tak dramatyczna, jak to wyglądało na samym początku. Fakt, że w jej życiu pojawił się ktoś, z kim chciała ułożyć sobie życie, był pocieszeniem. Gdyby nie przewrotny los, ta historia mogłaby mieć szczęśliwy epilog.

Rozwiązanie sprawy śmierci Weroniki miało dla Leny osobiste znaczenie, ale najważniejsza była świadomość, że Marszałkowski już nigdy więcej nikogo nie skrzywdzi. Odetchnęła, czując, jakby wokół niej zrobiło się więcej przestrzeni.

Dochodziła osiemnasta. Rozmowa z psychiatrą trwała dłużej, niż początkowo zakładała.

Pokonała kilka schodów i rozejrzała się za Magdą. Dostrzegła ją dopiero po chwili. Siedziała w samochodzie po drugiej stronie ulicy, do połowy ukryta za drzewem. Z notesem rozłożonym na kierownicy i z komórką przytkniętą do ucha, szybko coś pisała.

Lena poczekała, aż przejadą dwa samochody, i ruszyła w jej stronę. Przyjaciółka już ją dostrzegła, podobnie jak Uzuri, która z łapami na drzwiach próbowała wystawić głowę przez opuszczoną do połowy szybę. Zamojska uśmiechnęła się. Coś się skończyło, ale równocześnie zaczął się nowy etap.

Była niedaleko samochodu, gdy zadzwonił jej telefon. Nie zatrzymując się, wyjęła komórkę i spojrzała na wyświetlacz. Wroński. Podejrzewała, że dzwoni, by kolejny raz upewnić się, jak się czuje, a także by dopełnić formalności. Zdawała sobie sprawę, że będzie musiała ponownie podjechać na komendę, zapewne jutro.

Przełożyła komórkę do drugiej ręki i przycisnęła ją do ucha. Najpierw usłyszała jakieś krzyki, a potem pojedyncze słowa brzmiące jak odpowiedź na czyjeś pytanie. Przystanęła, czując, jak udziela jej się jego zdenerwowanie. Nie wiedziała jeszcze, o co chodzi, ale odkąd usłyszała podniesiony głos, zaczęła mieć złe przeczucia, które przybrały na sile, gdy doszły ją wyraźne słowa:

– Kto to mógł przewidzieć?!

Lena nie mogła tak stać w miejscu, będąc jedynie biernym słuchaczem.

– Halo? Tomasz?

Wroński zamilkł i zanim się ponownie odezwał, odchrząknął.

– Lena, stało się coś złego...

Te słowa wystarczyły, by niepokój rozlał się po jej wnętrzu jak trucizna. Lecz dopiero to, co powiedział później, sprawiło, że ugięły się pod nią nogi. Myślała, że Marszałkowski to już przeszłość.

Mylili się.

Bo choć teraz nie żył, to jeszcze przed śmiercią znalazł sposób, by spieprzyć komuś życie.

OD AUTORKI

Powieść jest fikcją literacką i chociaż historia jest wytworem mojej wyobraźni, podczas pracy nad nią mogłam liczyć na pomoc wielu osób. Miałam szczęście, spotykając je na swojej drodze.

Serdecznie dziękuję:

– ekspertce Ewie Wach z Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, która podzieliła się swoją rozległą wiedzą z zakresu psychologii;

– drowi hab. Tomaszowi Konopce z Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie za poświęcony czas, odpowiedzi na liczne pytania oraz za ciekawostki, które przemyciłam do książki;

– dwóm Ekspertom, którzy woleli zachować anonimowość, za długie rozmowy i podzielenie się swoją pasją, jaką jest rekonstrukcja wypadków drogowych;

– Robertowi Pyli za ciekawe sugestie i cierpliwość, z jaką odpowiadał na pytania dotyczące prowadzenia śledztwa. Zaznaczę, że nie było ich mało...

– Robertowi Mikulskiemu z Krakowskiego Centrum Krav Magi – za pomoc praktyka;

– psychotraumatolożce Katarzynie Podleskiej za interesującą rozmowę o PTSD;

– obsłudze sklepu wędkarskiego „Barwena” za przybliżenie laikowi nieznanego;

– Piotrowi Marszałkowskiemu za użyczenie czarnemu charakterowi swojego imienia i nazwiska. Mam nadzieję, że nie żałujesz!

– mojemu Mężowi – jak zawsze za pierwsze czytanie, wsparcie i zapewnienie mi równowagi podczas pracy nad książką.

Staralam się jak najwierniej przekazać pozyskane informacje. Czasami jednak musiałam coś zmienić, przeinaczyć czy przedstawić w gorszym świetle niż faktycznie jest – wszystko dla dobra fabuły. Winą za jakiegokolwiek błędy proszę obarczać wyłącznie mnie.

Zbieżność wydarzeń czy nazwisk osób występujących w książce z rzeczywistością jest czysto przypadkowa. Większość wspomnianych w niej miejsc ma natomiast swoje odzwierciedlenie, jak chociażby szkoła, w której odbywają się zajęcia krav magi. Wyjątek stanowi bar mleczny, który powstał wyłącznie na potrzeby powieści.

M.

Polecamy również:

Małgorzata Rogala

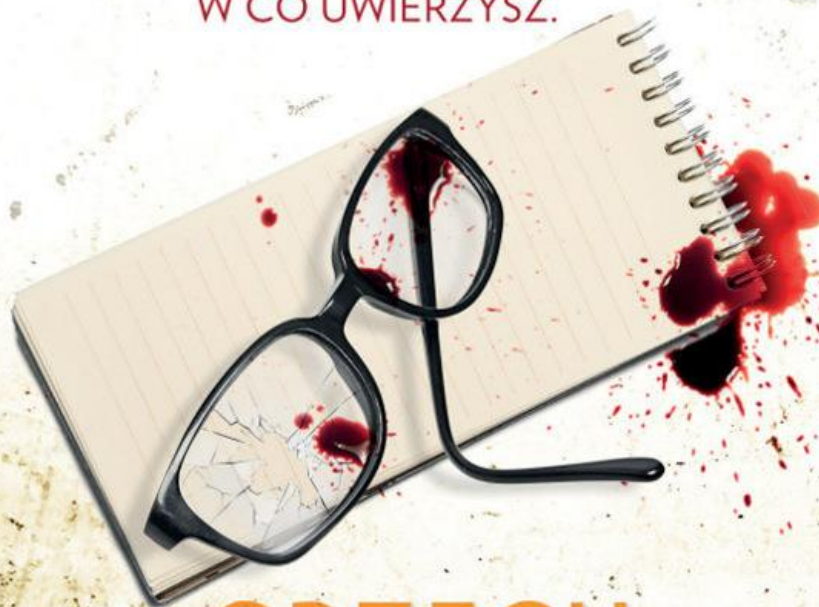
GRZECH ZANIECHANIA

W dalszej części publikacji znajdziecie Państwo fragment książki.

MAŁGORZATA

ROGALA

JESTEŚ CHORY NA TO,
W CO UWIERZYSZ.



GRZECH
ZANIECHANIA



ROZDZIAŁ 1

Maj 2014

Stali naprzeciwko siebie. Doktor Antonina Brzozowska ze spokojem patrzyła na malującą się na twarzy gościa mieszaninę żalu i złości, na ściągnięte brwi i grymas na ustach. Zauważyła błysk łez w zmrużonych oczach, zaciśnięte pięści i szeroko rozstawione nogi. W milczeniu wysłuchiwała zarzutów, kierowanych podniesionym głosem pod jej adresem, i pokiwała głową. Pozwoliła gościowi na krzyk, zaakceptowała niekontrolowany wybuch emocji, zignorowała niewybredne słownictwo. Przekonana o swojej sile i przewadze, wyraziła zrozumienie dla prezentowanego wzburzenia, a później spytała rozmówcę o potrzeby i oczekiwania. Wszystko zgodnie z procedurą i zasadami. Ponownie wysłuchiwała pełnej oskarżeń wypowiedzi, a następnie postarała się o ciepły uśmiech i przedstawiła swoją propozycję rozwiązania problemu.

Gdy uświadomiła sobie, że dokonała złego wyboru, że zlekceważyła sygnały, płynące z mowy ciała intruza, było za późno. Ręce gościa, najpierw skrzyżowane na klatce piersiowej, a później oparte na biodrach, teraz wyciągnęły się w stronę barków Antoniny. Kobieta poczuła, że jej stopy straciły kontakt z podłożem, a ona poszybowała w powietrze. Odruchowo rozłożyła ręce, próbując odzyskać równowagę. Końce jej palców prześlizgnęły się po dłoniach, które ją odepchnęły. Ze wszystkich sił pragnęła zamknąć je w uścisku i wyhamować lot ciała, ale tamte ręce cofnęły się. Brzozowska poczuła, że zaczyna spadać. Podjęła jeszcze jedną rozpaczliwą próbę chwycenia się czegoś, co przynajmniej złagodziłoby nieunikniony upadek, i w tym momencie uderzyła głową w brzeg biurka. Antonina poczuła rozdzierający ból, a przed jej oczami rozbłysły światła. Tysiące migoczących punktów wirowało wokół jej głowy i ciała, zbliżając się i oddalając, a w uszach kobiety zabrzmiała cicha melodia. Próbowała przypomnieć sobie, skąd ją zna, ale dźwięk zaczął się oddalać i stopniowo ustąpił miejsca szumowi. Świeące punkty zbladły. Antonina poczuła, że jej ciało zrobiło się nienaturalnie ciężkie. Tak ciężkie, że nie było w stanie walczyć z siłą grawitacji. Doktor Brzozowska powoli osunęła się na podłogę, a jej otwarte oczy znieruchomiały.

* * *

Starsza aspirant Agata Górską siedziała w pokoju przesłuchań, zapatrzona w przeciwległą ścianę. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek znajdzie się po drugiej stronie barykady i ktoś nakaże jej usiąść na miejscu osoby przesłuchiwanej. Do tej pory to ona wskazywała innym krzesło, na którym teraz siedziała, i zajmowała drugie, znajdujące się naprzeciwko. Pełna niedowierzania, że to, czego doświadcza, dzieje się naprawdę, miała nadzieję, że długo tu nie zabawi. Czekała na rozwój wydarzeń, próbowała zebrać myśli i uporządkować fakty.

Wieczór, który spędzała z Tomczykiem w klubie Casablanca na Chmielnej, zapowiadał się obiecująco. Kilka dni wcześniej zatrzymali sprawcę trzech zabójstw i tego wieczoru świętowali zakończone sukcesem śledztwo. W oczekiwaniu na zamówione dania, tańczyli w rytmie *I'm getting sentimental over you*. Po kolacji planowali obejrzeć film w kinie studyjnym, które mieściło się w podziemiach Casablanki, a później pojechaliby do niej. Albo do Sławka. I kochaliby się do rana. Gdy wracali z parkietu, w drzwiach klubu pojawił się komisarz Szymon Pawelec, kolega z wydziału. Przekazał im wiadomość, że Michał Stępień, były Agaty, został zamordowany, a ona musi jechać na komendę, żeby złożyć zeznania.

Górską wciąż na nowo odtwarzała w myślach tę scenę, a w uszach dźwięczały jej słowa Pawelca: *Został zamordowany... Od ciosu nożem... Wykrwawił się... Porozmawiamy w komendzie... Znasz procedury... Musimy jechać.*

Uświadomiła sobie, że tamta krótka rozmowa podczas zatrzymania odbyła się między Szymonem a Tomczykiem. Ona nie odezwała się ani słowem. Wsiadła do samochodu, a teraz, na polecenie podinspektora Wolskiego, siedziała w pokoju przesłuchań i od czasu do czasu przenosiła wzrok ze ściany na drzwi, zastanawiając się, kiedy wreszcie ktoś jej powie, dlaczego została tu przywieziona.

Czując narastające zniecierpliwienie, Agata zrobiła głęboki wdech i wydech. Poprawiła się na krześle, odgryzła skórę przy paznokciu i kolejny raz prześlizgnęła się wzrokiem po pokoju, w którym siedziała, jakby widziała go po raz pierwszy. Zlustrowała białe ściany, spojrzała na sufit i drzwi, a potem zapatrzyła się w brązowy blat stołu. Jej myśli zaczęły krążyć wokół znajomości ze Stępiem. Przypomniała sobie spotkanie, podczas którego powiedziała Michałowi, że chciałaby skończyć to, co było między nimi. Przyjechał do niej pewnego

wieczoru, bez zapowiedzi. Prowadziła wtedy śledztwo w sprawie zabójstw „dobrych matek”, była zmęczona i zniechęcona. Po kąpieli, w piżamie, szykowała się do snu. Michał chciał wiedzieć, co się dzieje. Z nimi. Z ich znajomością. Czy będzie dalszy ciąg. Powiedziała mu wtedy, że nie nadaje się do związków. Nie potrafiła się zaangażować w stu procentach i zasłaniała nadmiarem obowiązków służbowych, żeby usunąć ze swojego życia kolejnego mężczyznę. Wolała żyć wolna od męczących emocji i uczuciowego zamieszania. Miała nadzieję, że dystans, który stwarzała, spowoduje, że Michał zrozumie i da za wygraną, tymczasem on wykazał się wyjątkową cierpliwością. Opowiedziała mu o doktorze Mazurze, który molestował małe dziewczynki, i którego krótkie, owłosione palce dotykały także jej ciała. Wyjaśniła, że nie potrafi się oddać i zatracić, a wtedy on zrobił coś niewiarygodnie głupiego: włożył ręce pod jej piżamę. Dotychczas ograniczał się do pocałunków, a tamtego wieczoru chciał przesunąć granicę. Powstrzymała go i powiedziała wprost, że nic z tego nie będzie. Naprawdę było jej przykro, nie chciała go zranić, ale nie chciała również stwarzać złudzeń. Wtedy powiedział coś o Tomczyku. Coś, czego na początku nie rozumiała. Michał wyczuł zmysłem łowcy, że kobieta, którą się interesuje, woli innego.

Agata z westchnieniem oderwała wzrok od blatu stołu i znów omiotła spojrzeniem pomieszczenie, w którym siedziała. Zerknęła w stronę odsłoniętej szyby weneckiej i zastanawiała się przez chwilę, czy ktoś jest po drugiej stronie, a później zajęła się obserwacją punktu na przeciwległej ścianie. Po chwili odbiegła myślami do wydarzeń prawie sprzed roku, gdy zatrzasnęły się jej drzwi do mieszkania. Był ciepły, letni wieczór, a ona zmęczona po pracy. Zdjęła buty, przebrała się w szorty i zaczęła szykować kolację. Świeży chleb nie dawał się pokroić, więc wyszła na chwilę na klatkę schodową, żeby naostrzyć nóż o kamienne schody. Przeciąg spowodował, że została na zewnątrz boso, z kuchennym nożem w ręku, i musiała jechać do swojej przyjaciółki Justyny po zapasowe klucze. Taksówkę, do której wsiadła, prowadził Michał Stępień. Podczas jazdy zerkał z niepokojem na ostre narzędzie i mimo zapewnień Agaty, że nic mu nie grozi, nie uwierzył jej. Gdy przy stacji metra Wierzbno policjantka wysiadła na chwilę, żeby spacyfikować wyrostka, który szarpał swoją dziewczynę, taksówkarz odjechał razem z nożem. Spotkali się kilka dni później w bazie, gdy Górską zgłosiła się, żeby zapłacić za kurs i odzyskać swoją własność. Nic nie wskazywało na to, że znajomość będzie miała ciąg dalszy, ale niespodziewanie Michał pomógł w prowadzonym wówczas śledztwie.

Górska zrobiła głęboki wdech i znów spojrzała w kierunku szyby.

* * *

Podkomisarz Grzegorz Kalicki stał po drugiej stronie szyby weneckiej i obserwował Agatę, która siedziała na krześle wyprostowana i wpatrzona nieobecny wzrokiem w przeciwną ścianę. Przyglądał się policjantce od kilkunastu minut i próbował dostrzec na jej twarzy oznaki emocji: złości, strachu, lub chociaż zniecierpliwienia. Czegoś, co mógłby wykorzystać podczas przesłuchania. Jednak oblicze koleżanki było nieprzeniknione, a jej nieobecny wzrok świadczył, że Górska jest pogrążona w swoich myślach. Kalicki dużo by dał, żeby je poznać. Nie spuszczał z niej wzroku do czasu, gdy nagle odwróciła się w jego kierunku i spojrzała tak, jakby wiedziała, że on jest po drugiej stronie szyby. Miał nawet wrażenie, że kąciki jej ust uniosły się w przelotnym uśmiechu.

Grzegorz odruchowo się cofnął i pogratulował sobie, że oczy i uszy miał zawsze otwarte. Dzięki temu wiedział, co się dzieje w firmie i w porę udało mu się przekonać podinspektora Wolskiego, że powinien właśnie jemu przydzielić śledztwo w sprawie zabójstwa Stępnia. Jak tylko dostał oficjalną zgodę, niezwłocznie przystąpił do działania.

Teraz, wciąż nie odrywając wzroku od Agaty, zabębnił palcami w teczkę z dokumentacją i uśmiechnął się pod nosem.

– Kalicki! Co jest grane? – usłyszał za plecami.

Powoli odwrócił się i napotkał podejrzliwe spojrzenie komisarza Pawelca.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Grzegorz uniósł brwi.

– Wiesz. Najpierw Wolski mnie wezwał i nakazał przywieźć Górską, a później dowiedziałem się, że odebrał mi śledztwo w sprawie zabójstwa Stępnia. I przekazał je tobie. O tym mówię i chcę wiedzieć, o co, do diabła, chodzi.

– Nie wiem. – Kalicki rozłożył ręce w geście bezradności i stłumił śmiech. – Może spytaj starego, to on podejmuje decyzje.

– Pytałem. Powiedział, że mogę być nieobiektywny. Nigdy nikt nie zarzucił mi braku obiektywizmu!

– Szymon, naprawdę nie wiem. – Grzegorz wzruszył ramionami i odwrócił głowę w stronę widoku za szybą wenecką. – Sorry, idę pogadać z naszą koleżanką – mruknął.

Minął Pawelca i po chwili wszedł do pokoju przesłuchań. Zasłonił szybę, wyłączył intercom i usiadł naprzeciwko Agaty. Policjantka przeniosła wzrok ze ściany na niego i ściągnęła brwi.

– Gdzie jest Szymon i dlaczego to nie mogło poczekać do rana? – rzuciła, patrząc na niego z niechęcią.

– Właśnie przejąłem śledztwo i chcę wyjaśnić kilka spraw.

– Koniecznie dziś wieczorem?
– Czas to pieniądz. – Kalicki rozparł się na krześle i otworzył teczkę. – Jesteś policjantką, powinnaś to wiedzieć. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Michał Stępień. Mówi ci to coś?

– Wiem, że Michał nie żyje, więc nie baw się ze mną w gierki, tylko mów, o co chodzi. – Górska westchnęła i przewróciła oczami.

– Pawelec ma długi jęzor – stwierdził z niezadowoleniem.

– Chciałeś być pierwszy? – spytała, a Grzegorz dałby głowę, że przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

– Mówił ci też, jak zginął?

– Od ciosu nożem. Podobno się wykrwawił – odparła spokojnie.

– Nie wyglądasz na zmartwioną. – Miał nadzieję, że ją sprowokuje.

– Mój stan psychiczny to nie twój interes. Do rzeczy.

– Kiedy ostatni raz widziałaś ofiarę?

– Przedwczoraj wieczorem.

– W jakich okolicznościach?

– Byłam u niego w domu.

Kalicki miał nadzieję, że Górska będzie kręcić i teraz z trudem powstrzymał się przed okazaniem niezadowolenia. Rozwaliła mu przygotowaną strategię, pozbawiła satysfakcji, którą odczuwał na myśl, że udowodni jej obecność na miejscu zdarzenia w czasie, gdy zginął Stępień.

– W jakim celu go odwiedziłaś? – wycodził.

– Michał twierdził, że znalazł coś, co należy do mnie.

– Co?

– Bransoletkę z malachitami.

– Co było dalej?

– Nic. Pojechałam tam i okazało się, że kłamał, żeby mnie ściągnąć do siebie.

– Co zrobiłaś, gdy się zorientowałaś, że to podstęp?

– Nic. Wyszłam.

Kalicki wyjął spośród papierów plastikową torebkę z zawartością i położył na stole przed Agatą.

– Czy to jest twoja bransoletka? – spytał.

Górska wzięła torebkę i przyjrzała się biżuterii.

– Wygląda na moją. Skąd ją masz?

– Znaleźliśmy w łóżku ofiary – rzucił i z zadowoleniem odnotował, że na jej twarzy wreszcie pojawiły się emocje.

– Michał powiedział, że jej nie ma, że wymyślił to wszystko, żebym do niego przyjechała. Wciąż próbował... – Na chwilę straciła pewność siebie.

– Próbował?

– Chciał, żebym do niego wróciła.
– Zdenerwowałaś się, gdy odkryłaś podstęp?
– Pytanie sugerujące – zauważyła. – Do czego zmierzasz?
– Czy to nie dziwne, że został dźgnięty nożem?
– Dlaczego? – spytała Agata. – Nóż to popularne narzędzie zbrodni, najłatwiej dostępne w domu.
– Skąd wiesz, że zginął w domu? Nie powiedziałem tego.
– Łatwo wywnioskować z twoich pytań.
– Jak poznałaś Michała Stępnia?
– Kiedyś wsiadłam do jego taksówki.
– Czy to nie wtedy biegałaś z nożem po Marszałkowskiej? – Kalicki potarł czoło, udając głęboki namysł.
– Co sugerujesz? – spytała Górka, mrużąc oczy.
Grzegorz zauważył, że zacisnęła usta, a jej ciało się napięło.
– Na razie tylko się zastanawiam – odparł. – Czy to nie dziwne, że wasza znajomość zaczęła się od noża, a teraz Stępień skończył z nożem w...?
– Dość tego! – przerwała mu i wstała. – Albo postaw mi konkretne zarzuty i zawiadom wewnętrznych, albo daj mi spokój, Grzegorz. Wychodzę! – Podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce.
– Stępień nachodził cię i chciał, żebyś do niego wróciła – rzucił Kalicki w stronę pleców policjantki i zauważył, że znieruchomiała. – Wymyślił sposób, żeby cię zwabić do siebie. Gdy złapałaś przynętę, uznał, że ma szansę. Co tam się wydarzyło, Górka? Powiedz szczerze, może uda się to podciągnąć pod obronę konieczną. Chciał cię przelecieć? – Z satysfakcją zauważył, że jej palce zaciskają się na metalowym uchwycie.
Powoli odwróciła się do niego poblądłą twarzą.
– Kiedy wychodziłam, Michał żył. Zajmij się szukaniem prawdziwego mordercy, a ode mnie trzymaj się z daleka, rozumiesz?
Wyszła, trzaskając drzwiami.

* * *

Po przyjeździe na komendę Tomczyk udał się od razu do gabinetu podinspektora Wolskiego. Niestety, szefa nie zastał, a sekretarka wyjaśniła, że przełożony wyszedł przed kwadransem bardzo zdenerwowany, więc Sławek i tak

by nic z nim nie załatwił. Na korytarzu natknął się na Pawelca, który poinformował go, że Wolski przekazał śledztwo Kalickiemu. Szymon był właśnie po krótkiej rozmowie z Grzegorzem i nie ukrywał, że najchętniej obiłby mu twarz. Kiedy obaj poszli w kierunku pokoju przesłuchań, okazało się, że Kalicki już rozmawia z Agatą. Tomczyk czekał na nią, spacerując po korytarzu do czasu, aż drzwi się otworzyły i z pokoju wyszła Górska z pochyloną głową, mrużąc pod nosem przekleństwa. Wpadła z impetem na Sławka, który złapał ją za ramiona, mocno przytrzymał i przyjrzał się jej uważnie.

– Odwiozę cię do domu i pogadamy – zaproponował.

Kiwnęła głową. W milczeniu zeszli do samochodu, a gdy ruszyli, każde zatęło w swoich myślach. Tomczyk wciąż analizował zdarzenia wieczoru, począwszy od zatrzymania Agaty w Casablance, poprzez odebranie śledztwa Szymonowi, a skończywszy na przesłuchaniu Górskiej przez Kalickiego, i jedyne, co było dla niego jasne, to śmierć Michała. Reszty nie rozumiał i miał nadzieję, że rozmowa z Agatą to zmieni.

W drzwiach przywitał ich Borys, kot przygarnięty przez Agatę tuż przed sylwestrem. Kiedy weszli do mieszkania, owinął się wokół jej łydek i zamiauczał. Policjantka wzięła go na ręce i przytuliła.

– Stęskniłeś się? – mruknęła do futrzastego ucha i poszła do kuchni. – Widzę, że wszystko zjadłeś, niezły z ciebie żarłok. – Postawiła Borysa na podłodze, wsypała do miski trochę karmy i otworzyła lodówkę. Zlustrowała jej wnętrze i odwróciła się do Sławka, który stał w progu kuchni.

– Mam schłodzone chardonnay. I piwo. I kilka produktów, z których można zrobić sałatkę. Przez Kalickiego nie zjedliśmy kolacji.

– Wezmę piwo, a tobie otworzę wino – zaproponował.

– Dobrze. Idź do pokoju i daj mi dwadzieścia minut, przygotuję coś do jedzenia.

– Włączyć ci Emmę?

– Tak, zacznij od *La notte eterna* – poprosiła.

Tomczyk wyszedł z kuchni i po chwili mieszkanie wypełnił sopran Emmy Shapplin.

Voi cui eternità

A posto in braccia

Mia vita

Voi che d'altro mondo

Sognate, d'altre fiamme[1].

Zanim ugotowały się jajka, Agata pokroiła paprykę, dymkę i dwa ogórki kiszane. Otworzyła puszki z kukurydzą i czerwoną fasolą.

– *Ma non so per ch'io sia / Ô morta ripa...* – zanuciła, dorzucając paski szynki i grubo starty żółty ser. – *Del mio stato infelice / L'stato infelice!* – Na końcu dodała wystudzone i pokrojone jajka. Wymieszała wszystko z majonezem i przełożyła do salaterki.

– Wiesz, o czym ona śpiewa? – spytał Tomczyk, gdy Agata weszła do pokoju, niosąc sałatkę i koszyk z pieczywem. – Mówiłaś kiedyś, że to język starowłoski.

– Tak. Znalazłam angielskie tłumaczenia. Trochę nieudolne, ale można się zorientować. – Agata usiadła przy stole i wzięła kieliszek z winem. Upiła łyk i zerknęła na Sławka. Wytrzymała spojrzenie jego niebieskich, identycznych jak jej, oczu. – Miejmy to za sobą – zaproponowała. – Co chcesz wiedzieć?

Nałożyła na talerz trochę sałatki, posmarowała masłem kromkę chleba. Tomczyk poszedł w jej ślady.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – powiedział po chwili. – Gdy Kalicki cię przesłuchiwał, rozmawiałem z Pawelcem. Był wściekły, bo stary niespodziewanie odebrał mu śledztwo w sprawie zabójstwa Michała. Ponoć obawiał się, że będzie nieobiektywny. Znasz Szymona, to uczciwy glina, zarzucanie mu braku obiektywizmu jest co najmniej niestosowne.

– Fakt. – Górska ułamała kawałek chleba i spojrzała na Borysa, który wylegiwał się na kanapie. – Dziwne. Przecież Pawelec nie znał Michała.

– Zgadza się, dlatego nie rozumiem tego zarzutu, chyba że... – Sławek znieruchomiał na chwilę. – Może chodzi o ciebie?

– Przecież Szymon jest tylko moim kolegą z pracy. Lubię go jak na przykład Chudego lub Krychę Szubę, to wszystko.

– Podobno Wolski najpierw chciał poznać dotychczasowe ustalenia, a potem kazał przywieźć ciebie. Gdy czekałaś w pokoju przesłuchań, oficjalnie odebrał Szymonowi śledztwo i powiedział, że przekazuje wszystko Kalickiemu. Próbowałem się czegoś dowiedzieć, ale nie zastałem już starego. – Tomczyk urwał i przez kilka następnych minut jedli w milczeniu.

– Kalicki pytał mnie o alibi na czas śmierci Michała. – Agata pierwsza przerwała ciszę. Odłożyła sztucce i ponownie sięgnęła po kieliszek z winem. – Byłam tam.

Borys wstał, przeciągnął się, przemaszzerował przez pokój. Wskoczył na kolana Górskiej i zwinął się w kłębek.

– Byłaś? – Sławek wbił w nią spojrzenie.

– Pamiętasz tamten poranek, gdy Michał czekał na mnie na Polnej? – Zanurzyła palce w kociej sierści. – Wtedy, gdy ktoś ci pociął opony w samochodzie?

– Pamiętam. Nie chciał odpuścić i położyłaś go na maskę.

– Właśnie. – Agata odbiegła myślami do wspomnianego zdarzenia. Michał

czekał na nią, żeby porozmawiać. Chciał, żeby do niego wróciła, twierdził, że uratował jej życie, rzucając się na napastnika, który ją postrzelił pod koniec ubiegłego roku. Nie odpuszczał, trzymał ją za ramiona i nie chciał zwolnić uścisku, więc musiała go obezwładnić. – Jakiś czas później, gdy przesłuchiwałam Polę Kwiecień, uświadomiłam sobie, że od dawna nie widziałam swojej bransoletki. – Agata podjęła wątek. – Wiesz, tej z malachitami, którą dostałam od Justyny. Pola miała pierścionek z takim samym kamieniem. Gdy obracała go wokół palca, próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz nosiłam bransoletkę i uznałam, że mogła spaść mi wtedy, gdy obezwładniałam Michała. – Agata upiła łyk wina i mocniej przytuliła kota. – Po zakończeniu śledztwa zadzwoniłam do niego. Przyznał, że znalazł bransoletkę, leżała na ziemi, przy jego samochodzie. Chciałam, żeby ją przy okazji podrzucił na komendę, ale powiedział, że jeśli chcę ją odzyskać, muszę po nią przyjechać. Wysłał mi SMS-a z adresem.

– Wcześniej nie byłeś u niego?

– Nie. Jak pamiętasz, z Michałem skończyło się, zanim na dobre zaczęło. Nie miałam okazji go odwiedzić. – Agata przesunęła dłoń po sierści Borysa. Kot wbił w nią spojrzenie migdałowych oczu i miauknął. – No co tam, pieszczochu? – mruknęła.

– Okej. – Tomczyk wstał i zaczął spacerować po pokoju. – Co się wydarzyło u Michała?

– Nic. Pojechałam tam, a on powiedział, że nie ma bransoletki. Myślał, że pogadamy o moim powrocie do niego. Powiedziałam mu, że traci czas i wyszłam.

– Czy...? – Tomczyk zatrzymał się przy oknie. – Czy on...?

– Nie. Tym razem trzymał ręce przy sobie.

– Dobrze. Co Kalicki ma na ciebie?

– Nie mam pojęcia, co jest w aktach, trzeba by spytać Pawelca, co ustalił na miejscu zdarzenia. Wiem tylko o bransoletce, Kalicki mi pokazał. Podobno była w łóżku Michała, więc kłamał, że jej nie ma. Pewnie też znaleźli w jego komórce mój numer i SMS, z adresem i informacją o spotkaniu. Poza tym kilka osób wie, że Michał był na miejscu, gdy mnie postrzelono. Zatem i Kalicki wie, jestem pewna. Myślę, że dlatego zostałam przesłuchana.

– Coś jeszcze? – Sławek oparł łokcie na stole i pochylił się w stronę Agaty. – Pomyśl. Wszystko może być ważne.

– Wiedział o nożu. Pamiętasz, co powiedział Michał, gdy pierwszy raz przyszedł na komendę i chciał się ze mną zobaczyć? – spytała. – Wtedy, gdy prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstwa Leśniaka i Kaweckiego. Zostawił wiadomość, że albo się z nim spotkam, albo... – Agata urwała, próbując sobie przypomnieć wypowiedź Stępnia – ... albo „powie każdemu, kto będzie chciał słuchać, że półnaga biegałam z nożem po mieście, szargając opinię stołecznej policji”. Rozniosło się, więc i do Kalickiego pewnie dotarło. – Skrzywiła się.

– To było prawie rok temu.

– No i co z tego? Grzegorz sugerował, że zabiłam Michała. zaproponował, żebym się przyznała, a wtedy może podciągnie to pod obronę konieczną.

– Żartujesz? – Tomczyk ściągnął brwi. – Skurwiel. Znajomość z ofiarą to żaden dowód winy, niech Kalicki bardziej się postara. Jutro pogadam z Szymonem, może czegoś się dowiem.

– Dobrze. – Górska zdjęła kota z kolan i ułożyła go na kanapie. – Jestem koszmarnie zmęczona. Odlóżmy resztę do jutra i chodźmy spać. – Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Pomogę ci. – Tomczyk podszedł do Agaty i objął dłońmi jej twarz. – Chcesz, żebym został?

– Chcę.

* * *

W drodze na przystanek Marcin Leśniewski zatrzymał się przed mijanym budynkiem, zlustrował otoczenie i ocenił odległość. Potem zdjął plecak i wyjął jego zawartość. Wycelował. Butelka po piwie uderzyła w betonową ścianę i roztrzaskała się na kawałki. Kątem oka zauważył, że przechodząca nieopodal starsza kobieta przyspieszyła. Szesnastolatek wziął drugą butelkę, powtórzył rzut i roześmiał się na całe gardło.

– Yeeeh! – krzyknął w ciemność.

W jednym z okien ukazała się głowa i zabrzmiał męski głos:

– Wynocha stąd albo dzwonię na policję!

– Możesz mi skoczyć, dziadziu! – Chłopak pokazał środkowy palec.

– Czekaj, kurwa, szczeniaku, już do ciebie schodzę! – Mężczyzna zniknął w głębi mieszkania.

– Yeeeh! – Chłopak powtórnie krzyknął i się roześmiał.

Zarzucił plecak na ramię i podbiegł do nadjeżdżającego autobusu. Wsiadł, naciągnął kaptur na głowę i zajął miejsce przy oknie. Przez szybę zobaczył mężczyznę, który wybiegł z klatki schodowej i rozglądał się dookoła. Autobus ruszył, a Marcin usiadł wygodniej i wyciągnął z kieszeni smartfon. Przesunął palcem po ekranie, wybrał listę utworów, a potem wcisnął do uszu słuchawki, odgradzając się od pasażerów ścianą dźwięków.

*Zachłanni, okrutni
A w duszy ciągle smutni
Bo czegoś brakuje
Bo coś nam nie pasuje
Bo niebo się psuje
I wszystko znów nie tak[2].*

Nigdy nie sięgnąłby po taki repertuar, gdyby nie dziewczyna, którą poznał na imprezie u kumpla z klasy. Siedzieli razem w rogu pokoju, patrzyli na kołyszące się pary i rozmawiali o muzyce. Powiedziała wtedy, że wychowywała się w domu pełnym dźwięków, a wybory rodziców ukształtowały jej muzyczny gust. Zaproponowała, żeby posłuchał Budki Suflera. „Tylko starej” – dodała. – „Potrafi rozedrzeć serce. Nowa to papka”. Na drugi dzień ściągnął kilka empetrójek na próbę, a później sięgnął po więcej. Spodobały mu się teksty, które poruszały w nim czułe struny i wywoływały tęsknotę za czymś nieokreślonym. A muzyka rzeczywiście była przejmująca.

Marcin poprawił słuchawki i wysiadł z autobusu. Idąc w kierunku swojego bloku, przeskoczył przez dwie ławki, wspiął się na drzewo, a następnie przespacerował po dachach garaży. Kwadrans później dotarł do domu. Zdjął buty i rozejrzał się po mieszkaniu. Rodzice oglądali telewizję, a czternastoletnia siostra siedziała przy biurku i rysowała. Drzwi wszystkich pomieszczeń były otwarte.

– Cześć, Rozi. – Marcin wszedł do pokoju siostry i usiadł na tapczanie. – Co rysujesz?

– Patio. – Rozalia odłożyła ołówek i podała bratu kartkę formatu A3.

Oczom chłopaka ukazał się rysunek dziedzińca otoczonego krążgankami i ozdobionego girlandami roślin. Na środku placu znajdowała się fontanna, która przybrała postać dziewczyny w długiej szacie. Z jej dłoni złożonych w łódkę wybijały strugi wody.

– Pięknie. – W głosie brata zabrzmiał niekłamany podziw. – Będziesz architektem, nie ma innej opcji.

– Tak myślisz? – Twarz Rozalii pojaśniała.

– Jestem pewny, tylko nie przestawaj ćwiczyć. I wierzyć. – Marcin zerknął w stronę przedpokoju. – Dlaczego masz otwarte drzwi?

– Byłam dziś u Mai przygotować prezentację na polski...

– Mama pozwoliła ci wyjść? – przerwał brat, zaskoczony.

– Była na zakupach i poprosiłam tatę. Uzgodniliśmy, o której wrócę i spóźniłam się pięć minut. Mama wróciła tuż przede mną i wpadła w panikę, że coś mi się stało. Teraz wciąż sprawdza, czy wszystko u mnie w porządku.

– Próbowalaś zamknąć drzwi?

– Tak. Przepraszałam i płakałam, ale... – urwała Rozalia, a w przedpokoju

rozległo się szuranie kapciami i do pokoju czternastolatki weszła matka.

– Marcin? Jesteś wreszcie. – Prześlizgnęła się spojrzeniem po twarzy syna, a potem jej oczy spoczęły na córce. – Idziemy spać. Kto pierwszy do łazienki?

– Chcę jeszcze porysować – powiedziała Rozalia.

Matka oparła dłoń na ramieniu córki.

– Jutro masz dużo zajęć, musisz się wyspać. Szkoła, terapia i wizyta u doktor Brzozowskiej.

– Chcę porysować.

Marcin przeniósł spojrzenie z matki na siostrę i z powrotem. Dłoń Leśniewskiej zaczęła głaskać ramię córki.

– Jutro. Teraz pora spać.

Marcin poszedł do swojego pokoju i po chwili usłyszał krzyk Rozalii. Położył się w ubraniu na tapczanie i wcisnął słuchawki do uszu.

– *Wizje chodźcie do mnie / Blisko najbliżej / Zostańcie w mojej głowie / Najdziksze sny* – zanucił, a palce uderzyły rytmicznie w ścianę. Przez dźwięki muzyki przebił się krzyk matki. Marcin pogłośnił. – *Oto jest wasza scena / Reflektor niżej / Korowód moich marzeń / Wiruje, lśni*[3].

[1] Emma Shapplin, *La notte eterna*.

[2] Budka Suflera, *Świat od zaraz*.

[3] Budka Suflera, *Noc komety*.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

OD AUTORKI

Polecamy również

